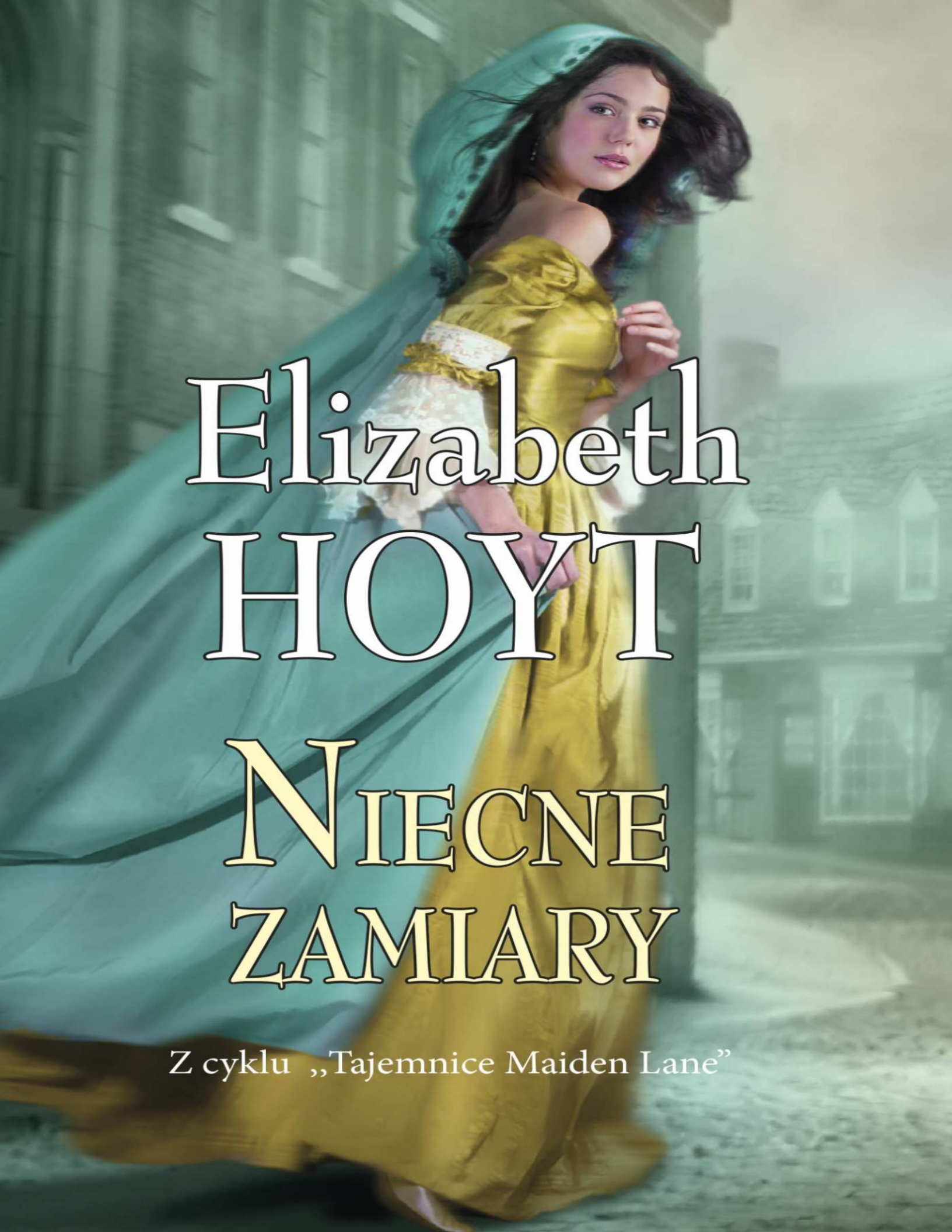


Elizabeth HOYT

NIECNE ZAMIARY

Z cyklu „Tajemnice Maiden Lane”

Elizabeth
HOYT

NIECNE ZAMIARY

przełożyła Magdalena Sikorska

bis
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *Wicked Intentions*

Projekt okładki: Alan Ayers

Copyright © 2010 by Nancy M. Finney
This edition published by arrangement with Grand Central Publishing, New York, USA.
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2017

ISBN 978-83-7551-541-1

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Epilog

Polecamy
Przypisy

Mojej siostrze SUSAN, znowu, *pomimo, że regularnie pokpiwa sobie z moich kulejących umiejętności obsługi komputera i raz do roku uznaje za konieczne podjąć próbę wytłumaczenia mi, o co naprawdę chodzi z tym internetem, przez co moja głowa zawsze znajduje się o włos od eksplozji. Kocham Cię!*

Rozdział 1

Dawno, dawno temu, w kraju dziś już zapomnianym, żył sobie potężny król, którego bali się wszyscy, a nie kochał nikt. Nazywał się Król Zamknięte Serce…
– z „Król Zamknięte Serce”[1]

Londyn,
luty 1737

Kobieta, która wałęsa się po St. Giles o północy, jest albo bardzo głupia, albo bardzo zdesperowana. Albo, jak w jej przypadku, skonstatowała z przekąsem Temperance Dews, jedno i drugie.

– Powiadają, że to Duch St. Giles straszy w noce takie jak ta – odezwała się Nell Jones, pokojówka Temperance, omijając obrzydliwą kałużę w wąskiej uliczce.

Temperance spojrzała na dziewczynę z powątpiewaniem. Nell spędziła trzy lata w trupie wędrownych aktorów i przejawiała niekiedy tendencję do dramatyzowania.

– St. Giles nie nawiedza żaden duch – odparła stanowczo Temperance.

Lodowata zimowa noc była dostatecznie przerażająca i bez udziału upiorów.

– Och, nawiedza. Pewno, że nawiedza. – Nell przesunęła wyżej śpiące w jej ramionach niemowlę. – Nosi czarną maskę i pstrokaty strój arlekina, a do tego paskudną szablę.

Temperance zmarszczyła brwi.

– Strój arlekina? Nie bardzo mi to pasuje do ducha.

– Właśnie że pasuje, jeśli to duch aktora od roli arlekina, co teraz wrócił straszyć żywych.

– Z powodu złych recenzji?

Nell pociągnęła nosem.

– I w dodatku jest oszpecony.

– Skąd to wiadomo, skoro nosi maskę?

Zbliżały się do zakrętu i Temperance wydało się, że w oddali widzi światło. Uniosła wysoko latarnię, w drugiej ręce mocniej ścisnęła stary pistolet. Był na tyle ciężki, że bolało ją ramię. Mogła wziąć na niego worek, ale wtedy średnio by się sprawdził w roli straszaka. Choć naładowany, pistolet mieścił tylko jedną kulę, no i prawdę mówiąc, Temperance nie do końca umiała się nim posługiwać.

Przynajmniej groźnie wyglądał, co ją pokrzepiało. W tę ciemną noc wiatr zawodził upiornie, niosąc smród ekskrementów i gnijących odpadków. Wokół nich wzbierały dźwięki St. Giles – odgłosy kłótni, jęki i śmiech, od czasu do czasu dziwny, mrożący krew w żyłach krzyk. St. Giles najbardziej nieustraszoną kobietę nakłoniłoby do panicznej ucieczki.

I to bez słuchania opowieści Nell.

– Potwornie oszpecony – ciągnęła Nell, nie zważając na logiczne zastrzeżenie Temperance. – Powiadają, że ma spalone do cna wargi i powieki, jakby dawno temu zginął w pożarze. Człowiekowi się widzi, że ten potwór szczerzy do niego w uśmiechu żółte zębiska, kiedy przychodzi wypruć mu flaki.

Temperance zmarszczyła nos.

– Nell!

– Tak powiadają – odparła niewinnie Nell. – Duch patroszy ofiary i bawi się ich wnętrznościami, a później znika w mrokach nocy.

Temperance zadrżała.

– Dlaczego by to robił?

– Zazdrość – wyjaśniła rzeczowo Nell. – Zazdrości żywym.

– Cóż, i tak nie wierzę w duchy. – Temperance zaczerpnęła tchu, kiedy skręciły za róg i znalazły się na niewielkim, obskurnym dziedzińcu. Na jego przeciwległym końcu stały dwie postaci, ale zaraz czmychnęły. Temperance wypuściła powietrze z płuc. – Boże, nienawidzę włóczyć się po nocy.

Nell poklepała plecy niemowlęcia.

– Jeszcze niecały kilometr. Położymy maleńką do łóżka, a rano poślem po mamkę.

Temperance przygryzła wargę, kiedy zagłębiały się w kolejną uliczkę.

– Myślisz, że dożyje rana?

Ale Nell, tak zwykle skora dzielić się opinią na każdy temat, milczała. Temperance wbiła wzrok przed siebie i przyspieszyła kroku. Na oko dziewczynka liczyła sobie zaledwie kilka tygodni i nie wydała ani jednego dźwięku, odkąd wyratowały ją z rąk zmarłej matki. Zdrowe niemowlęta przeważnie są głośne. Temperance odstręczała myśl, że być może ona i Nell urządziły ten niebezpieczny wypad na darmo.

Czy jednak miały wybór? Kiedy do Przytułku dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków dotarła wiadomość, że jej pomocy potrzebuje niemowlę, było jeszcze widno. Temperance z gorzkiego doświadczenia wiedziała, że gdyby wstrzymały się z wyprawą po dziecko do rana, wyzionęłoby w nocy ducha z braku opieki lub zostało sprzedane na żebraczy rekwizyt. Wzdrygnęła się. Dzieciom kupowanym przez żebraków często nadawano żałosny wygląd, aby wzbudzały litość przechodniów. Wyłupywano im oko albo łamano bądź zniekształcano rękę lub nogę. Nie, naprawdę nie miała wyboru. Dziewczynka nie mogła czekać do świtu.

Mimo to będzie bardzo szczęśliwa, kiedy znajdą się z powrotem w przytułku.

Podążały teraz wąskim przejściem, wysokie budynki po obu stronach nachylały się ku nim złowrogo. Nell musiała iść za Temperance, inaczej ocierałyby się o ściany. Obok nich prześlizgnął się wychudzony kot, potem gdzieś bardzo blisko rozległ się krzyk.

Temperance zmyliła krok.

– Przed nami ktoś jest – szepnęła ochryple Nell.

Słyszały odgłosy szamotaniny, a później rozległ się nagły, przenikliwy wrzask.

Temperance przełknęła ślinę. Z uliczki nie odchodziły żadne odnogi. Miały do wyboru wycofać się albo iść dalej – a to pierwsze równało się kolejnym dwudziestu minutom w drodze.

Ten argument przeważył. Noc była lodowata, a zimno nie służyło dziecku.

– Trzymaj się blisko mnie – szepnęła do Nell.

– Jak pchła psa – wymamrotała służąca.

Temperance wyprostowała się i stanowczo uniosła przed sobą pistolet. Winter, najmłodszy z jej braci, mówił, że wystarczy wycelować i strzelić. To nie mogło być takie trudne. Blask latarni rozlał się na boki, kiedy

wkroczyła na kolejny obskurny dziedziniec. I zamarła na sekundę, oświetliwszy scenę przed sobą niczym pantomimę w teatrze.

Na ziemi leżał mężczyzna z zakrwawioną głową. Ale nie to ją zmroziło – krew, a nawet śmierć, stanowiły w St. Giles nierzadki widok. Nie, jej uwagę przykuł ten drugi mężczyzna. Nachylał się nad pierwszym, jego czarna peleryna rozpościerała się na boki jak skrzydła wielkiego, drapieżnego ptaka. Trzymał długą czarną laskę ze srebrną gałką, pasującą do jego równie srebrnych włosów. Długie i proste, opadały swobodnie, połyskując w blasku latarni. Choć jego twarz w większości tonęła w mroku, spod ronda czarnego trikorna[2] błyszczały oczy. Temperance czuła ciężar spojrzenia nieznajomego. Zupełnie jakby fizycznie jej dotknął.

– Chroń nas, Panie, i ocal ode złego – wymamrotała Nell, po raz pierwszy ze strachem w głosie. – Chodu, psze pani. Żywo!

Ponaglona Temperance pobiegła przez dziedziniec, jej obcasy stukały o bruk. Wpadła w kolejną uliczkę, pozostawiając scenę za plecami.

– Kto to był, Nell? – wydyszała, kiedy biegły cuchnącym zaułkiem. – Wiesz?

Uliczka wyrzuciła je znienacka na szerszą drogę i Temperance odprężyła się odrobinę, czując się bezpieczniej, kiedy nie napierały na nią ściany.

Nell splunęła, jakby pozbywała się z ust paskudnego smaku.

Temperance popatrzyła na nią z ciekawością.

– Mówiłaś, jakbyś znała tego mężczyznę.

– Znać to nie – odparła Nell. – Alem go widywała. To był lord Caire. Lepiej go omijać z daleka.

– Dlaczego?

Nell pokręciła głową, mocno zaciskając wargi.

– O jemu podobnych tom wcale nie powinna pani gadać, psze pani.

Temperance pozostawiła tę zagadkową odpowiedź bez komentarza. Szły teraz lepszą ulicą – przy drzwiach niektórych sklepów wisiały latarnie, zapalone przez mieszkańców. Temperance skręciła za kolejny róg, w Maiden Lane, i ich oczom ukazał się przytułek dla podrzutków. Podobnie jak sąsiednie, był to wysoki budynek z cegły wzniesiony tanim kosztem. Nieliczne i bardzo wąskie okna, wejście nieoznaczone. Przez piętnaście niepewnych lat istnienia przytułku nigdy nie musieli się reklamować.

Porzucone i osierocone dzieci trafiały się w St. Giles aż nazbyt często.

– Bezpiecznie w domu – powiedziała Temperance, kiedy dotarły do drzwi. Postawiła latarnię na wytartym kamiennym stopniu i wydobyła wielki żelazny klucz, który nosiła na sznurku opasującym jej talię. – Marzę o gorącej herbacie.

– Położę maleńką do łóżka – zadeklarowała Nell, gdy weszły do niewielkiej, obdrapanej sieni.

Było tu nieskazitelnie czysto, ale nie maskowało to ubytków tynku ani wypaczonych desek podłogi.

– Dziękuję. – Temperance zdjęła pelerynę i wieszała ją właśnie na kołku, kiedy w drzwiach w głębi ukazała się wysoka męska postać.

– Temperance.

Przełknęła ślinę i się odwróciła.

– Och! Och, Winterze, nie wiedziałam, że wróciłeś.

– Najwyraźniej – rzekł z przekąsem jej brat. Skinął głową pokojówce. – Dobry wieczór, Nell.

– Psze pana. – Nell dygnęła i nerwowo przeniosła wzrok z brata na siostrę. – To ja, eee…, sprawdzę, co u dzieci, dobrze?

I umknęła na górę, porzucając Temperance, by samotnie stawiła czoło dezaprobacie Wintera.

Temperance wyprostowała się i ominęła brata. Budynek przytułku był długi i wąski, ściśnięty między sąsiednimi domami. Do niewielkiej sieni przylegał z boku jeden pokój. Służył jako jadalnia oraz, okazjonalnie, do podejmowania nieczęstych ważnych gości. Na tyłach domu mieściła się kuchnia, dokąd teraz weszła Temperance. Dzieci zjadły obiad punktualnie o piątej, lecz ani ona, ani jej brat jeszcze się nie posilali.

– Zamierzałam właśnie zrobić herbatę – odezwała się, podchodząc, by poruszyć ogień w palenisku. Czarny kocur Sadza, ich domownik, wstał ze swego miejsca przed piecem i przeciągnął się, nim podreptał szukać myszy. – Zostało troszkę wołowiny z wczoraj, a rano na targu kupiłam świeże rzodkiewki.

Za jej plecami Winter westchnął.

– Temperance.

W pośpiechu szukała czajnika.

– Chleb trochę sczerstwiał, ale mogę ci go przypiec, jeśli sobie życzysz.

Milczał, odwróciła się więc wreszcie, by zmierzyć się z nieuniknionym.

Było gorzej, niż się obawiała. Na pociągłej, szczupłej twarzy Wintera malował się po prostu smutek, a wtedy zawsze czuła się okropnie. Nienawidziła sprawiać mu zawód.

– Kiedy wychodziłyśmy, było nadal jasno – powiedziała niepewnie.

Westchnął znowu, zdjął okrągły czarny kapelusz i odłożył go na kuchenny stół.

– Nie mogłaś zaczekać na mój powrót, siostro?

Temperance popatrzyła na brata. Winter miał dopiero dwadzieścia pięć lat, ale nosił się jak mężczyzna dwakroć starszy. Jego rysy żłobiło zmęczenie, szerokie barki zapadały się pod niedopasowanym kaftanem, a długie kończyny były o wiele za chude. Od pięciu lat nauczał w maleńkiej dziennej szkole przy przytułku.

Po śmierci papy w minionym roku Winterowi kolosalnie przybyło pracy. Concord, najstarszy z braci, przejął rodzinny browar. Asa, drugi w kolejności, zawsze odnosił się do przytułku z lekceważeniem i prowadził jakieś własne tajemnicze interesy. Obie ich siostry, Verity, najstarsza z rodzeństwa, i Silence, najmłodsza, wyszły za mąż. Tak oto na Wintera spadło zarządzanie przytułkiem. Nawet z jej pomocą – pracowała w przytułku od śmierci męża przed dziewięciu laty – zadanie przerastało siły jednego człowieka. Temperance obawiała się o dobrostan brata, ale zarówno przytułek, jak i maleńką szkołę ufundował papa. Winter uważał za swój synowski obowiązek utrzymać obie instytucje dobroczynne przy życiu.

Jeśli jego zdrowie nie wyczerpie się pierwsze.

Nalała do czajnika wody z dzbana przy tylnych drzwiach.

– Gdybyśmy zaczekały, trzeba by było iść tam w zupełnej ciemności i bez gwarancji, że nadal zastaniemy dziecko. – Popatrzyła na brata, umieszczając czajnik nad ogniem. – Poza tym czy nie wystarczy ci pracy?

– Jak sądzisz, jeśli stracę siostrę, pracy mi ubędzie?

Temperance umknęła wzrokiem z poczuciem winy.

– Że nie wspomnę o trwającym do końca życia smutku, jaki by mnie dręczył, gdyby dziś w nocy cokolwiek ci się stało – dodał łagodniej.

– Nell znała matkę dziecka, dziewczynę niespełna piętnastoletnią. – Temperance wyjęła chleb i kroiła go cienko. – Poza tym wzięłam pistolet.

– Hm – mruknął za jej plecami Winter. – I gdyby ktoś cię zaczepił, użyłabyś go?

– Oczywiście – odparła z całkowitym przekonaniem.

– A gdyby nie wypalił?

Zmarszczyła nos. Ojciec wychował jej braci tak, by prowadzili dyskusję w przemyślany sposób, co bywało wielce irytujące.

Zaniosła kromki chleba do ognia, żeby je podpiec.

– Tak czy owak, nic się nie stało.

– Tej nocy. – Winter znowu westchnął. – Siostro, musisz mi obiecać, że więcej nie postąpisz tak głupio.

– Mhm – wymamrotała Temperance, koncentrując się na grzankach. – Jak minął dzień w szkole?

Przez chwilę myślała, że Winter nie przystanie na zmianę tematu. Potem odpowiedział:

– Dobrze, jak sądzę. Dzieciak Samuelów wreszcie przyswoił lekcję łaciny i nie musiałem karać żadnego z chłopców.

Temperance popatrzyła na brata ze współczuciem. Wiedziała, że Winter nienawidzi brać do ręki rózgi, a cóż dopiero spuszczać jakiemuś chłopcu lanie. W dni, kiedy poczuł, że któryś z uczniów zasłużył na karę, wracał do domu w ponurym nastroju.

– Cieszę się – powiedziała po prostu.

Poruszył się na krześle.

– Wróciłem na lunch, ale cię nie było.

Temperance zdjęła przypieczoną grzankę z ognia i położyła na stole.

– Widocznie odprowadzałam Mary Found na jej nową posadę. Myślę, że dobrze tam sobie poradzi. Jej pani wydawała się bardzo miła, w dodatku wzięła tylko pięć funtów za przyuczenie Mary na pokojówkę.

– Jak Bóg da, rzeczywiście czegoś to dziecko nauczy i nie zobaczymy tu Mary Found ponownie.

Temperance nalała wrzątku do małego imbryka i zaniosła naczynie na stół.

– Mówisz jak cynik, bracie.

Winter przeciągnął dłonią po brwi.

– Wybacz. Cynizm jest okropną przywarą. Postaram się poprawić.

Temperance usiadła i w milczeniu obsłużyła brata. Czekała, aż powie, co mu naprawdę leży na sercu. Trapiło go bowiem coś więcej aniżeli tylko jej ryzykowny wypad po nocy.

– Pan Wedge zajrzał z wizytą, kiedy jadłem lunch – rzekł w końcu.

Pan Wedge był właścicielem tego domu. Temperance zamarła z ręką na imbryku.

– Co mówił?

– Da nam jeszcze zaledwie dwa tygodnie, potem usunie nas stąd siłą.

– Dobry Boże…

Temperance wbiła wzrok w niewielki kawałek wołowiny na swoim talerzu. Mięso było łykowate i twarde, pochodziło z bliżej nieokreślonej części krowy, ale wyczekiwała na nie z utęsknieniem. Teraz nagle straciła apetyt. Zalegali z czynszem za przytułek – w ubiegłym miesiącu zapłacili niepełną kwotę, a w tym zupełnie nic. Może nie powinna była kupować rzodkiewek, skonstatowała posępnie. Ale dzieci od tygodnia jadły wyłącznie bulion z chlebem.

– Gdybyż tak sir Gilpin pamiętał o nas w testamencie – wymamrotała.

Sir Stanley Gilpin był dobrym przyjacielem papy i patronem przytułku. Emerytowany właściciel teatru, dorobił się fortuny na Kompanii Mórz Południowych, przy czym okazał się dość przebiegły, żeby wycofać fundusze, zanim pękła niesławna bańka spekulacyjna. Za życia sir Gilpin był hojnym patronem, ale po jego niespodziewanej śmierci przed sześcioma miesiącami przytułek zaczął grzęznąć. Brnęli jakoś, spożytkowując niewielkie oszczędności, teraz jednak znaleźli się w rozpaczliwych kłopotach.

– Wygląda na to, że sir Gilpin był niespotykanie szczodrym człowiekiem – odparł Winter. – Nie udało mi się znaleźć innego dżentelmena równie chętnego łożyć na przytułek dla biednych dzieci.

Temperance dźgnęła mięso widelcem.

– Co zrobimy?

– Trzeba ufać Panu – powiedział Winter, odsunął na pół dojedzony posiłek i wstał. – A jeśli nie, cóż, może zacznę udzielać wieczorami indywidualnych lekcji.

– Już pracujesz za dużo – zaprotestowała Temperance. – Ledwie znajdujesz czas na sen.

Winter wzruszył ramionami.

– Jak spojrzę sobie w oczy, jeśli niewinne istoty, które są pod naszą opieką, trafią na ulicę?

Temperance opuściła wzrok na talerz. Nie znajdowała na to odpowiedzi.

– Chodź. – Brat z łagodnym uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

Uśmiech na jego twarzy był tak rzadki, tak cenny. Kiedy Winter się uśmiechał, cała jego twarz się rozjaśniała, jakby wewnątrz zapłonął ogień, a na policzku pojawiał się dołeczek, nadając mu chłopięcy wygląd, bliższy jego faktycznemu wiekowi.

Nie sposób było nie odwzajemnić uśmiechu Wintera i tak też zrobiła Temperance, podając bratu dłoń.

– Dokąd pójdziemy?

– Odwiedźmy naszych podopiecznych – powiedział, wziął świecę i poprowadził siostrę ku schodom. – Zauważyłaś, że we śnie wyglądają jak anioły?

Temperance się roześmiała, kiedy wspinali się drewnianymi schodami na piętro. Z niewielkiego przedpokoju prowadziło dalej troje drzwi. Zajrzeli za pierwsze, a Winter uniósł wysoko świecę. Wzdłuż ścian pokoju stało sześć łóżeczek dziecięcych. Spały w nich najmłodsze dzieci, po dwoje lub troje na łóżeczko. Nell już zasnęła na łóżku dorosłych rozmiarów, ustawionym przy drzwiach.

Winter podszedł do łóżeczka najbliżej Nell. Leżało w nim dwoje niemowląt. Chłopiec, rudowłosy i rumiany, ssał we śnie piąstkę. Drugie dziecko było od niego o połowę mniejsze, o bladych policzkach i zapadniętych oczach, nawet we śnie. Czubek jego głowy zdobiły maleńkie zwoje pięknych czarnych włosów.

– To ją dziś uratowałyście? – zapytał cicho Winter.

Temperance przytaknęła. Dziewczynka wyglądała jeszcze wątlej u boku zdrowego chłopca.

Ale Winter jedynie delikatnie dotknął palcem rączki niemowlęcia.

– Co powiesz, żeby nazwać ją Mary Hope?

Temperance poczuła ucisk w gardle.

– Bardzo trafne. Nadzieja jej potrzebna.

Winter skinął głową i pogładziwszy maleństwo po raz ostatni, wyszedł z pokoju. Kolejne drzwi prowadziły do sypialni chłopców. W czterech łóżkach spało ich trzynastu, wszyscy liczący poniżej dziewięciu lat, w którym to wieku szli do terminu. Chłopcy leżeli w niedbałych pozach, zaróżowieni we śnie. Winter uśmiechnął się i naciągnął koc na trzech malców najbliżej drzwi, upychając z powrotem nogę, która umknęła z łóżka.

Temperance westchnęła.

– Nikt by nie pomyślał, że w porze lunchu przez godzinę polowali na szczury w zaułku.

– Mhm – odparł Winter, cicho zamykając za nimi drzwi. – Chłopcy tak szybko wyrastają na mężczyzn.

– Nie da się ukryć.

Temperance otworzyła ostatnie drzwi, do sypialni dziewcząt, i z poduszki natychmiast poderwała się drobna twarzyczka.

– Znalazła ją pani? – szepnęła chrapliwie Mary Whitsun.

Była najstarszą dziewczynką w przytułku, nazwaną na cześć niedzielnego poranka Zielonych Świątek – Whitsunday – przed dziewięciu laty, kiedy to trafiła do tego domu jako trzyletni berbeć. Mimo jej młodego wieku Temperance musiała czasami powierzać pieczy Mary Whitsun pozostałe dzieci – jak tej nocy.

– Tak, Mary – odszepnęła Temperance. – Nell i ja przyniosłyśmy niemowlę bezpiecznie do domu.

– Cieszę się. – Mary Whitsun ziewnęła szeroko.

– Dobrze się spisałaś, pilnując dzieci – pochwaliła ją szeptem Temperance. – A teraz śpij. Wkrótce wstanie nowy dzień.

Dziewczynka sennie skinęła głową i szybko zamknęła oczy.

Winter wziął ze stolika przy drzwiach świecznik i pierwszy opuścił sypialnię dziewcząt.

– Skorzystam z twojej miłej rady, siostro, i będę ci życzył dobrej nocy.

Zapalił zabraną od dziewcząt świecę od własnej i podał Temperance.

– Śpij dobrze – odparła. – Ja chyba wypiję filiżankę herbaty, zanim udam się na spoczynek.

– Nie siedź za długo – rzekł Winter.

Dotknął jej policzka palcem – bardzo podobnie jak wcześniej niemowlęcia – i odwrócił się, żeby wspiąć się po schodach.

Temperance odprowadzała go wzrokiem, marszcząc brwi, gdy wolno pokonywał stopnie. Minęła już północ, a Winter wstanie przed piątą, żeby poczytać, napisać listy do potencjalnych patronów i przygotować lekcje na nadchodzący dzień. Poprowadzi poranną modlitwę przy śniadaniu, spiesznie uda się do szkoły, będzie uczył cały ranek, zanim zrobi sobie godzinę przerwy na mizerny lunch, a później znów będzie pracował aż do zmroku. Wieczorem odpyta z lekcji dziewczynki i poczyta Biblię starszym

dzieciom. Niemniej gdyby wyraziła swoje troski na głos, Winter uniósłby jedynie brew i zapytał, kto wykona tę pracę, jeśli nie on.

Temperance potrząsnęła głową. Również powinna się położyć – jej dzień zaczynał się o szóstej – ale ceniła te wieczorne chwile, które miała wyłącznie dla siebie. Poświęci pół godziny snu, żeby posiedzieć samotnie z filiżanką herbaty.

Wzięła zatem świecę z powrotem na dół. Z przyzwyczajenia sprawdziła, czy frontowe drzwi są zamknięte na klucz i zaryglowane. Gdy szła do kuchni, wiatr świstał i trząsł okiennicami, a tylne drzwi zastukotały. Je także sprawdziła i zobaczyła z ulgą, że nadal są zaryglowane. Zadrżała, zadowolona, że nie przebywa dłużej na zewnątrz w noc taką jak ta. Wypłukała imbryk i napełniła go na nowo. Zaparzenie dzbanka świeżej herbaty wyłącznie dla siebie było potwornym luksusem. Wkrótce z niego również będzie musiała zrezygnować, dziś jednak sprawi sobie tę przyjemność.

Do kuchni przylegał maleńki pokoik. Jego pierwotne przeznaczenie zniknęło w mrokach niepamięci, znajdował się w nim jednak niewielki kominek i Temperance urządziła tu sobie prywatną bawialnię. W środku stał tapicerowany fotel, bardzo wysłużony, ale odświeżony za sprawą narzuconego na oparcie koca ze skrawków. Wyposażenie uzupełniały niewielki stolik i podnóżek – wszystko, czego potrzebowała, żeby usiąść samotnie przy ogniu.

Nucąc, Temperance umieściła imbryk, filiżankę, miseczkę z cukrem oraz świecznik na starej drewnianej tacy. Nie pogardziłaby mlekiem, ale ta odrobina, która została z rana, trafi na jutrzejsze śniadanie dzieci. W obecnej sytuacji cukier uchodził za skandaliczny luksus. Popatrzyła na miseczkę, przygryzając wargę. Naprawdę powinna ją odstawić; po prostu nie zasługiwała na tyle. Po chwili zdjęła naczynie z cukrem z tacy, ale za sprawą tego poświęcenia nie poczuła się dobra. Czuła się zwyczajnie znużona. Podniosła tacę, a ponieważ obie ręce miała zajęte, pchnęła drzwi do bawialni plecami.

To dlatego aż do momentu, kiedy odwróciła się twarzą do wnętrza, nie zorientowała się, że w jej małym pokoiku ktoś jest.

Rozparty w jej fotelu jak wyczarowany z powietrza demon, siedział tu lord Caire. Srebrne włosy rozsypywały mu się na ramionach okrytych czarną peleryną, trójrożny kapelusz spoczywał na kolanie, a prawa dłoń

pieściła gałkę mahoniowej laski. Z bliska Temperance odkryła, że włosy przekłamują jego wiek. Wokół zdumiewająco niebieskich oczu rysowało się niewiele zmarszczek, usta i szczękę miał mocne. Nie mógł liczyć sobie wiele ponad trzydzieści pięć lat.

Skłonił głowę, kiedy weszła.

– Dobry wieczór, pani Dews – przemówił głębokim, gładkim, miękko niebezpiecznym głosem.

* * *

Stała ze spokojną pewnością siebie, ta przyzwoita kobieta żyjąca w rynsztoku, jakim było St. Giles. Oczy rozszerzyły jej się na jego widok, ale nie wykonała żadnego ruchu, by uciec. W rzeczy samej, odkrycie, że w jej żałosnej bawialni przebywa obcy mężczyzna, zdawało się ani trochę jej nie przerażać.

Interesujące.

– Jestem Lazarus Huntington, lord Caire – przedstawił się, nie tracąc pewności siebie.

– Wiem. Co pan tutaj robi?

Przekrzywił głowę, przyglądając jej się badawczo. Znała go, a mimo to nie wzdrygnęła się przerażona? Tak, świetnie się nada.

– Przyszedłem złożyć pani propozycję, pani Dews.

Nadal żadnych oznak strachu, aczkolwiek zmierzyła wzrokiem drzwi.

– Wybrał pan niewłaściwą damę, milordzie. Jest późno. Proszę opuścić mój dom.

Żadnego strachu ani też szacunku dla jego pozycji. Doprawdy interesująca kobieta.

– Moja propozycja nie jest, hm, nieuczciwej natury – rzekł, cedząc słowa. – W rzeczy samej, jest przyzwoita. Albo prawie.

Westchnęła i spojrzała na tacę, a potem znów przeniosła wzrok na niego.

– Napiłby się pan herbaty?

Nieomal się uśmiechnął. Herbata? Kiedy po raz ostatni usłyszał od kobiety równie prozaiczną propozycję? Nie przypominał sobie.

– Dziękuję, nie – odparł jednak, zachowując należytą powagę.

Skinęła głową.

– Jeśli zatem nie ma pan nic przeciw?

Machnął przyzwalająco ręką.

Postawiła tacę na sfatygowanym stoliku i przysiadła na tapicerowanym podnóżku, żeby nalać sobie filiżankę. Obserwował ją. Przedstawiała ujednolicone studium. Jej suknia, gorset, pończochy i buty były matowoczarne. Chustka przy surowym dekolcie, fartuch i czepek – ani śladu koronek czy marszczeń – białe. Jej stroju nie mącił żaden kolor, przez co zmysłowa czerwień pełnych warg jeszcze bardziej zdumiewała. Ubierała się jak zakonnica, lecz usta miała sybarytki.

Ten kontrast fascynował… i podniecał.

– Jest pani purytanką? – zapytał.

Zacisnęła te piękne usta.

– Nie.

– Aha.

Odnotował, że nie powiedziała, iż jest anglikanką. Przypuszczalnie należała do jednej z wielu mało znanych nonkonformistycznych sekt, niemniej jej religijne przekonania interesowały go jedynie o tyle, o ile oddziaływały na jego misję.

Upiła łyk herbaty.

– Skąd zna pan moje nazwisko?

Wzruszył ramionami.

– Pani Dews i jej brat są powszechnie znani za sprawą swych dobrych uczynków.

– Doprawdy? – spytała z przekąsem. – Nie byłam świadoma, że cieszymy się taką sławą poza granicami St. Giles.

Może i wyglądała na skromną, ale za tą pruderyjną aparycją kryły się ostre ząbki. Przy tym miała rację – nigdy by o niej nie usłyszał, gdyby nie spędził ostatniego miesiąca, przemierzając mroki St. Giles. Przemierzając bezowocnie, z którego to powodu podążył za nią do domu i aktualnie siedział przy tym ledwie zipiącym ogniu.

– Jak pan tutaj wszedł? – zapytała.

– Tylne drzwi były otwarte.

– Nie, nie były. – Jej brązowe oczy spoglądały na niego znad filiżanki. Miały nietypowo jasny kolor, prawie złoty. – Dlaczego pan tu jest, milordzie?

– Chcę panią wynająć, pani Dews – rzekł cicho.

Zesztywniała i odstawiła filiżankę na tacę.

– Nie.

– Nie usłyszała pani jeszcze, do jakiego zadania jej potrzebuję.

– Jest po północy, milordzie, a ja nie mam skłonności do gierek nawet za dnia. Proszę opuścić ten dom albo będę zmuszona wezwać brata.

Ani drgnął.

– Nie męża?

– Jestem wdową, o czym z pewnością już pan wie.

Odwróciła twarz do kominka, prezentując mu pełen pogardy profil.

Wyciągnął nogi, na ile się dało w tej ciasnocie, tak że prawie włożył nogi do kominka.

– Ma pani słuszność, wiem. Wiem również, że pani i brat od blisko dwóch miesięcy nie płacicie czynszu za tę nieruchomość.

Milczała, popijając herbatę.

– Szczodrze zapłacę za pani czas – rzekł półgłosem.

Wreszcie nań spojrzała i w tych jasnobrązowych oczach dostrzegł złoty płomień.

– Pańskim zdaniem każdą kobietę można kupić?

Potarł kciukiem brodę, rozważając pytanie.

– Tak, tak uważam, aczkolwiek może nie ściśle za pieniądze. I nie ograniczam tego twierdzenia do kobiet: każdego mężczyznę również można kupić, w taki lub inny sposób. Jedyny kłopot polega na znalezieniu stosownej waluty.

Po prostu wbijała w niego te fascynujące oczy.

Opuścił dłoń na kolano.

– Na przykład pani, pani Dews. Przyjąłbym, że pani walutą będą pieniądze na przytułek, może jednak się mylę. Może zwiodła mnie pani bezbarwna powierzchowność, pani reputacja pruderyjnej wdowy. Może prędzej przekonałyby panią wpływy lub informacje, lub choćby rozkosze ciała.

– Nadal nie wyjaśnił pan, do czego jestem mu potrzebna.

Chociaż się nie poruszyła, ani na moment nie zmieniła wyrazu twarzy, w jej głosie zagościł szorstki ton. Wychwycił go jedynie dzięki wieloletniemu doświadczeniu w takich łowach. Jego nozdrza rozszerzyły się odruchowo, jakby ukryty w nim myśliwy starał się złapać jej woń. Który punkt z listy wzbudził jej zainteresowanie?

– Jako przewodniczka. – Opuścił powieki, udając, że ogląda paznokcie u rąk. – Zaledwie tyle.

Obserwował ją ukradkiem i zobaczył, jak te zmysłowe usta się sznurują.

– Przewodniczka w jakiej sferze?

– St. Giles.

– Na co panu przewodnik?

Ach, i tutaj wkraczali na delikatny grunt.

– Szukam… pewnej osoby w St. Giles. Chciałbym przepytać niektórych mieszkańców, moje wysiłki niweczy wszakże nieznajomość terenu i ludzi tudzież niechęć tych ostatnich do rozmowy ze mną. Stąd myśl o przewodniku.

Zwęziła oczy, słuchając. Jej palce postukiwały o filiżankę.

– Kogo pan szuka?

Wolno pokręcił głową.

– Powiem dopiero wtedy, kiedy zgodzi się pani zostać moją przewodniczką.

– I to wszystko, czego pan chce? Przewodniczka? Nic więcej?

Przytaknął, obserwując ją.

Odwróciła się do ognia, jakby zasięgała u niego rady. Przez chwilę jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu był trzask węgla. Lord czekał cierpliwie, gładząc srebrną gałkę laski.

Wreszcie nań spojrzała.

– Ma pan rację. Pańskie pieniądze mnie nie kuszą. To prowizoryczny środek, który jedynie opóźni eksmisję.

Przechylił głowę i przyglądał się, jak pani Dews ostrożnie oblizuje te soczyste wargi, bez wątpienia przygotowując wywód. Puls łomotał mu pod skórą, odpowiedź jego ciała na jej kobiecą witalność.

– Czego w takim razie pani chce, pani Dews?

Popatrzyła mu prosto w oczy, nieomal wyzywająco.

– Chcę, żeby przedstawił mnie pan bogatym i utytułowanym ludziom w Londynie. Chcę, żeby pomógł mi pan znaleźć nowego patrona dla przytułku.

Lazarus zachował beznamiętny wyraz twarzy, niemniej gwałtownie wezbrał w nim triumf, kiedy ta pruderyjna wdowa rzuciła się na oślep w jego szpony.

– Zgoda.

Rozdział 2

Wiedzcie, że król Zamknięte Serce był człowiekiem bardzo dumnym. Choć bowiem przyszedł na świat w małym królestwie bez znaczenia, dzięki odwadze, przebiegłości i wojowniczości podbijał większe krainy wokół, aż w końcu rządził rozległym i potężnym królestwem. Na północy góry obfitowały w minerały i mieniące się klejnoty. Na wschodzie ścieliły się pola złotych zbóż i łąki pełne tłustego bydła. Na południu rozciągały się lasy dające twarde drewno. A na zachodzie w oceanie kotłowały się srebrzyste ryby. Człowiek mógł wyruszyć ze stolicy i przez miesiąc iść w dowolnym kierunku, a nie opuściłby ziem króla Zamknięte Serce…

– z „Król Zamknięte Serce”

Temperance wstrzymała oddech, poczuwszy się nagle jak w potrzasku. Nie dopuściła wszakże do tego, by w jej wzroku pojawiło się wahanie. Lord Caire sprawił na niej wrażenie drapieżnika, okazywanie w jego obecności strachu by nie popłaciło. Nachyliła się i łagodnym ruchem nalała sobie kolejną filiżankę herbaty. Z niejaką dumą odnotowała, że nie drżą jej ręce.

Kiedy pociągnęła łyk, spojrzała na niego, tę egzotyczną istotę rozpartą leniwie w jej bezbarwnej bawialni, i się wyprostowała.

– Omówmy zatem szczegóły naszego porozumienia, milordzie.

Jego szerokie, zmysłowe wargi drgnęły, jakby go rozbawiła.

– Takie jak… pani Dews?

Przełknęła ślinę. Naturalnie nigdy dotąd nie zawierała tego rodzaju paktu, ale regularnie targowała się u rzeźnika, handlarza ryb i rozmaitych sprzedawców, z którymi człowiek przestaje, gdy prowadzi przytułek. Roiła sobie, że targuje się całkiem nieźle.

Odstawiła filiżankę.

– Będą mi potrzebne pieniądze na bieżące wydatki.

– Bieżące wydatki? – Jego czarne brwi wygięły się w łuk.

Poczynała sobie nieco zuchwale, prosząc o pieniądze, kiedy ustalili już, że jego częścią targu będzie przedstawić ją potencjalnym patronom. Ale prawda wyglądała tak, że przytułek potrzebował tych środków. Rozpaczliwie.

– Tak – powiedziała, zadzierając brodę. – Jak sam pan zauważył, zalegamy z czynszem. Ponadto dzieci od wielu dni nie jadły przyzwoitego posiłku. Potrzebuję pieniędzy na zakup wołowiny, warzyw, chleba, herbaty i mleka. Nie wspominając o tym, że Joseph Tinbox i Joseph Smith potrzebują nowych butów…

– Joseph Tinbox?

– …a większość młodszych dziewcząt nowych koszul – zakończyła z wyzywającym pośpiechem Temperance.

Przez chwilę lord Caire jedynie przyglądał się jej tymi tajemniczymi szafirowymi oczami. Wreszcie się poruszył.

– Dokładnie ile dzieci mieszka w przytułku?

– Dwadzieścioro siedmioro – odparła prędko Temperance, a potem przypomniała sobie dzisiejsze dokonanie. – Przepraszam. Dwadzieścioro ośmioro, uwzględniając Mary Hope, niemowlę, które przyniosłam do domu tej nocy. Mamy też dwoje niemowląt, które aktualnie przebywają u mamek. Po odstawieniu od piersi również zamieszkają w przytułku. I, oczywiście, mieszkamy tutaj ja, mój brat Winter i nasza pokojówka Nell Jones.

– Zaledwie troje dorosłych na tyle dzieci?

– Tak. – Temperance nachyliła się ku niemu z zapałem. – Rozumie pan, dlaczego potrzebujemy patrona? Gdybyśmy mieli fundusze, moglibyśmy zatrudnić kolejną opiekunkę albo dwie i ewentualnie kucharkę oraz służącego. Moglibyśmy podawać dzieciom mięso na lunch i obiad, a wszyscy chłopcy chodziliby w porządnych butach. Moglibyśmy płacić przyzwoite stawki za termin i wyposażyć każde opuszczające przytułek dziecko w nowe ubrania i buty. Byłyby znacznie lepiej przygotowane, aby zmierzyć się ze światem.

Uniósł brew.

– Stać mnie na utrzymanie przytułku, jeśli życzy pani sobie renegocjować moją część układu.

Temperance ściągnęła usta w ciup. Nie znała tego mężczyzny. Skąd mogła mieć pewność, że będzie odpowiedzialnym patronem? Albo że nie

porzuci ich po zaledwie miesiącu czy dwóch?

I, oczywiście, był kolejny, jeszcze ważniejszy wzgląd.

– Patron przytułku musi cieszyć się szacunkiem.

– Ach. Rozumiem. – Spodziewała się, że poczuje się urażony, on jednak posłał jej tylko ironiczny półuśmiech. – Doskonale. Zapewnię pani stosowne fundusze na opłacenie czynszu, jak również pokrycie rozmaitych wydatków na rzecz dzieci. W zamian wszelako będę oczekiwał pani przewodnictwa w St. Giles jutrzejszej nocy.

Tak prędko?

– Oczywiście – odparła Temperance.

– I – dodał niebezpiecznie cichym głosem – będę korzystał z pani usług do czasu, gdy przestaną być mi potrzebne.

Temperance zamrugała, raptem nieufna. Z pewnością szczytem głupoty było wiązać się z obcym mężczyzną na nieokreślony czas.

– A jak długo pańskim zdaniem będą trwały te poszukiwania?

– Nie wiem.

– Ale bez wątpienia myśli pan o jakiejś dacie końcowej? Jeśli nie znajdzie pan tego, na czym panu zależy, w ciągu, powiedzmy, miesiąca, zrezygnuje pan z poszukiwań?

Po prostu na nią patrzył, z igrającym w kąciku ust uśmieszkiem, a ją uderzyła z całą mocą – ponownie – świadomość, że nie zna tego mężczyzny. W istocie jej wiadomości o nim ograniczały się do złowieszczego ostrzeżenia Nell. Przez moment Temperance poczuła strach, skradający się na pajęczych odnóżach wzdłuż jej kręgosłupa.

Wyprostowała się. Dobili targu, nie splami się, wycofując słowo. Przytułek i wszystkie przebywające w nim dzieci były od niej zależne.

– Dobrze – powiedziała, ważąc słowa. – Będę panu pomagać przez niesprecyzowany czas. Proszę jednak, żeby uprzedzał mnie pan nieco wcześniej, kiedy życzy sobie iść do St. Giles. Mam w przytułku obowiązki i będę musiała znaleźć kogoś, żeby je za mnie wykonał.

– Prowadzę poszukiwania głównie nocą – rzekł lord Caire, przeciągając zgłoski. – Jeżeli potrzebuje pani osoby na zastępstwo, także i to sfinansuję.

– Bardzo pan hojny – wymamrotała – ale jeśli będziemy wychodzić nocą, dzieci powinny leżeć już w łóżkach. Miejmy nadzieję, że nie będę potrzebna.

– To dobrze.

– Jak szybko będzie pan w stanie zabrać mnie na spotkanie z potencjalnymi patronami przytułku?

Będzie musiała zorganizować sobie nową suknię i buty, co najmniej tyle. Jej codzienne czarne stroje nie nadadzą się na spotkania z bogaczami z towarzystwa.

Wzruszył ramionami.

– Dwa tygodnie? Może więcej. Niewykluczone, że będę zmuszony żebrać o zaproszenia na bardziej stateczne przyjęcia.

– Doskonale.

Dwa tygodnie to nie było za wiele czasu, lecz z drugiej strony przytułek potrzebował wsparcia natychmiast. Nie mogła pozwolić sobie na zwłokę.

Skinął głową.

– Wobec tego, jak mniemam, nasze negocjacje dobiegły końca.

– Niezupełnie – zaoponowała.

Zamarł z uniesionym kapeluszem, nim sięgnął głowy.

– Doprawdy, pani Dews? Sama pani powiedziała, że okazałem się hojny. Czego jeszcze pani trzeba?

Uśmieszek zniknął z jego ust i mężczyzna sprawiał teraz groźne wrażenie, ale Temperance przełknęła ślinę i wysunęła brodę.

– Informacji.

Jedynie uniósł brew.

– Jak nazywa się osoba, której pan szuka?

– Nie wiem.

Zmarszczyła czoło.

– Wie pan, jak wygląda albo jakie miejsca zwykle odwiedza?

– Nie.

– To mężczyzna czy kobieta?

Uśmiechnął się, a na jego szczupłych policzkach wyryły się głębokie linie.

– Nie mam pojęcia.

Wypuściła powietrze z płuc, więcej niż odrobinę sfrustrowana.

– Jak wobec tego mam znaleźć dla pana tę osobę?

– Nie ma pani jej znaleźć – odparł. – Oczekuję jedynie pomocy w moich poszukiwaniach. Wyobrażam sobie, że w St. Giles trafi się parę dobrze poinformowanych źródeł. Zaprowadzi mnie pani do nich, a ja zajmę się resztą.

– Doskonale. – Temperance przyszło już na myśl jedno takie „źródło”. Wstała i wyciągnęła rękę. – Przyjmuję pański układ, milordzie.

Przez koszmarną chwilę tylko wpatrywał się w jej wyciągniętą dłoń. Być może uznał gest za zbyt męski lub zwyczajnie głupi. Później jednak także wstał i w tej ciasnocie musiała odchylić głowę do tyłu, żeby spojrzeć mu w twarz. Raptem stała się świadoma, jak znacznie jest od niej potężniejszy.

Ujął jej dłoń z dziwnie zmartwiałym wyrazem twarzy, uścisnął ją szybko i puścił, jakby go sparzyła.

Temperance nadal dumała nad tym dziwnym zajściem, kiedy założył kapelusz, zarzucił na ramiona pelerynę i skinął głową.

– Przyjdę po panią jutro o dziewiątej wieczorem do zaułka za kuchennymi drzwiami. Dobranoc zatem, pani Dews.

I poszedł.

Temperance zamrugała i pospieszyła do kuchni, żeby zaryglować tylne drzwi. Sadza wstał z pieca, kiedy weszła.

– Drzwi były zamknięte na klucz. Na pewno – wymamrotała do kota. – Jakim cudem się tu dostał?

Ale kot jedynie ziewnął i przeciągnął się leniwie.

Temperance westchnęła i wróciła do bawialni po naczynia. Wchodząc do pokoiku, spojrzała na fotel, w którym niedawno rozpierał się lord Caire. Na siedzeniu leżała niewielka sakiewka. Temperance porwała ją i otworzyła. Na jej dłoń wysypały się złote monety, więcej niż potrzebowali na czynsz dla pana Wedge’a.

Najwyraźniej lord Caire zapłacił z góry.

* * *

W kawiarni U Bashama panował wściekły hałas, kiedy późnym popołudniem następnego dnia Lazarus wszedł do środka. Ominął stolik, przy którym podstarzali jegomoście w długich perukach kłócili się zapamiętale nad gazetą, i dotarł do siedzącego w kącie samotnego dżentelmena w siwej peruce. Mężczyzna przez okulary połówki studiował jakąś broszurę.

– Zrujnujesz sobie oczy, próbując czytać te śmieci, St. John – powiedział Lazarus, zajmując krzesło naprzeciw wieloletniego przyjaciela.

– O, Caire – mruknął Godric St. John. Popukał palcami w broszurę. – Teza autora nie jest całkowicie nie do pomyślenia.

– Czyli tylko częściowo? Ulżyło mi. – Lazarus strzelił palcami, wzywając jednego z chłopców, którzy biegali tam i z powrotem z tacami zastawionymi kawą. – Jedna tutaj.

Odwróciwszy się znów do stolika, odkrył, że St. John spogląda na niego znad okularów. Ze względu na posępną skołtunioną perukę, okulary i prosty strój St. Johna brano niekiedy za dziadka. W istocie oni dwaj byli w tym samym wieku – trzydziestu czterech lat. Przy bliższych oględzinach zauważało się przenikliwe szare oczy St. Johna, jego mocną szczękę, ciemne brwi. Jedynie ci naprawdę spostrzegawczy widzieli zawsze obecny smutek, który spowijał go niczym śmiertelny całun.

– Chciałbym, żebyś rzucił okiem na tłumaczenie – powiedział Lazarus.

Wyjął z kieszeni kaftana plik kartek i podał mężczyźnie naprzeciw. St. John spojrzał na nie.

– Katullus? Burgess znowu się zeźli.

Lazarus prychnął.

– Burgess uważa się za pierwszy autorytet, gdy chodzi o Katullusa, a wie o rzymskiej poezji tyle co pierwszy lepszy zasmarkany uczniak.

– No cóż, oczywiście. – St. John uniósł brew nad okularami, sprawiając wrażenie z lekka ubawionego. – Ale wywołasz paskudną awanturę.

– Och, taką mam nadzieję – odparł Lazarus. – Możesz na to zerknąć i wygłosić opinię?

– Pewnie.

Przy stoliku obok rozległ się krzyk i cynowy kufel z kawą poleciał na podłogę.

Lazarus podniósł wzrok.

– Dyskutują o polityce czy religii?

– Polityka. – St. John beznamiętnie spojrzał na kłócących się dżentelmenów. – Gazety donoszą, że Wakefield nawołuje do uchwalenia jeszcze jednej ustawy antyalkoholowej.

– A można by mniemać, że już do niego dotarło, iż fortuny zbyt wielu jego kumpli w Izbie Parów zależą od sprzedaży ginu.

St. John wzruszył ramionami.

– Wakefield wytacza rozsądne argumenty. Kiedy gin wycieńcza tylu biedaków, traci na tym przemysł Londynu.

– Tak, i bez wątpienia spasiony wiejski baron, stojąc przed wyborem, czy sprzedać nadwyżkę zboża gorzelnikowi, czy pozwolić, by zgniło, przedłoży zdrowie Londynu nad pieniądze we własnej kieszeni. Wakefield to głupiec.

– Jest idealistą.

– I, powtórzę, głupcem – wycedził Lazarus. – Ideały jedynie przysparzają mu wrogów. Lepiej by na tym wyszedł, gdyby tłukł głową o ścianę, zamiast próbować nakłonić parlament do przepchnięcia skutecznej ustawy antyalkoholowej.

– Czyli radzisz, żebyśmy siedzieli bezczynnie, kiedy Londyn podupada? – spytał St. John.

Lazarus machnął ręką.

– Pytasz, jakby istniało inne rozwiązanie. Twierdzę, że takiego nie ma. Wakefield i jemu podobni chcieliby wierzyć w możliwość zmiany, ale to złudzenie. Zważ moje słowa: prędzej świnie zaczną latać nad Westminsterem, niż londyńskiemu pospólstwu odbierze się gin.

– Głębia twojego cynizmu jak zawsze zapiera dech w piersiach.

Chłopiec wsunął przed Lazarusa kufel z kawą.

– Dziękuję, urwisie.

Lazarus rzucił pensa, a kawiarczyk złapał go zręcznie i pomknął z powrotem do stanowiska, gdzie parzono kawę. Lazarus pociągnął łyk gorącego napoju, kiedy zaś opuścił kufel, przyłapał St. Johna na tym, że wpatruje się w niego niczym w owada przez lupę.

– Gapisz się na mnie, jakbym miał na twarzy wrzody od syfilisu – skomentował Lazarus.

– Pewnego dnia bez wątpienia się ich doczekasz – odparł St. John. – Zaliczyłeś wystarczająco dużo dziwek.

– Mam potrzeby…

– Masz słabostki – przerwał mu cicho St. John – i nie podejmujesz żadnego wysiłku, żeby je okiełznać.

– A niby dlaczego powinienem? – zapytał Lazarus. – Czy wilk boleje z powodu radości, jaką sprawia mu pościg za zdobyczą? Jastrząb z powodu pragnienia, by szybować, a potem dawać nura w dół i schwycić w szpony zająca? To leży w ich naturze, tak jak moje… potrzeby leżą w mojej.

– Wilk i jastrząb nie mają sumienia, duszy, o czym doskonale wiesz.

– Dobrze płacę tym kobietom za ich usługi. Moje potrzeby nikogo nie ranią.

– Nie? – zapytał miękko St. John. – Zastanawiam się, czy nie ranią ciebie, Caire.

Lazarus podwinął górną wargę.

– To stary spór, którego żaden z nas dotąd nie wygrał.

– Jeśli zrezygnuję z tego sporu, to jakbym zrezygnował z ciebie.

Lazarus zastukał palcami o zniszczony blat stołu, nic nie mówiąc. Niech go diabli, jeśli ulegnie trosce St. Johna. Jego potrzeby były niezwykłe – wręcz dziwne – lecz z pewnością nie chorobliwe.

Oczywiście St. John bez skrupułów pchał się ze swoimi analizami tam, gdzie go nie proszono.

Przyjaciel pokręcił głową i odchylił się na oparcie krzesła.

– Wychodziłeś ubiegłej nocy.

– A niech mnie! Zostałeś wróżem? Czy może kręciłeś się wczoraj pod moim domem i odkryłeś moją nieobecność?

– Ani jedno, ani drugie. – St. John ze spokojem przesunął okulary na czoło. – Na twarzy masz ten sam wyraz co wtedy, kiedy widziałem cię ostatnio, swego rodzaju…

– Znużenie?

– Zamierzałem powiedzieć: desperację.

Lazarus pociągnął łyk gorącej kawy, cholernie świadom, że gra na zwłokę, w końcu wszakże jedyna odpowiedź, jaką znalazł, brzmiała:

– Nie wiedziałem, że masz taką skłonność do dramatyzowania. „Desperacja” niebotycznie wyolbrzymia sprawę.

– Wątpię. – St. John wbił nieobecny wzrok w swoją kawę. – Nosisz ten wyraz twarzy od śmierci Marie. Zaprzeczasz, że minionej nocy po raz kolejny szukałeś jej zabójcy?

– Nie. – Lazarus odchylił się na oparcie krzesła, przyglądając się przyjacielowi spod na pół opuszczonych powiek. – I co z tego?

– Masz obsesję, człowieku. – St. John wyrzekł te słowa neutralnym tonem, co jakimś sposobem dodało im mocy. – Marie nie żyje od blisko dwóch miesięcy, a ty noc w noc szukasz jej mordercy. Powiedz mi, Lazarusie, kiedy zrezygnujesz z polowania?

– Kiedy ty byś się poddał, gdyby zamordowano Clarę? – odparował Lazarus.

Jedyną oznaką tego, jak głęboko wbiła się strzała, był nieznaczny tik na szczęce St. Johna.

– Nigdy. Ale to dwa różne przypadki.

– Dlaczego? Ponieważ ty jesteś mężem swojej kobiety, podczas gdy Marie była zaledwie moją kochanką?

– Nie – odparł łagodnie St. John. – Ponieważ ja kocham Clarę.

Lazarus umknął wzrokiem. Podle usposobiona część jego jestestwa bardzo chciała zaoponować, jednak nie mógł tego zrobić. Ponieważ St. John miał rację: istotnie kochał swoją Clarę.

Podczas gdy Lazarus jeszcze nigdy nikogo nie kochał.

* * *

– Nie widzi mi się to, psze pani. Ani trochu mi się nie widzi – powiedziała Nell późnym wieczorem w kuchni przytułku.

– Wyraziłaś swoją dezaprobatę nader jasno, Nell – mruknęła cicho Temperance, zawiązując pod brodą pelerynę.

Upomnienie nie zniechęciło Nell.

– A jeśli on planuje nastawać na pani cnotę? Jeśli uwiedzie panią i porzuci? Albo gorzej, sprzeda jakiemu stręczycielowi? Och, psze pani! Straszne rzeczy pani grożą!

Temperance stłumiła dreszcz na myśl o lordzie Cairze robiącym jej „straszne rzeczy”. Powinien to być dreszcz odrazy. Tymczasem kwestia seksualnych skłonności lorda Caire’a wzbudziła w niej nienaturalną ciekawość. Lubieżna istota w niej wyprężyła się i węszyła, jak nigdy chętna wyrwać się na wolność. Na coś takiego Temperance nie mogła pozwolić. Kiedyś, dawno temu, dopuściła do tego, by prymitywna natura przejęła nad nią władzę, i popełniła niewybaczalny grzech. Od tamtej pory każdego dnia żyła ze świadomością, że musi odpokutować i nigdy więcej nie spuszczać swoich demonów ze smyczy.

Zarzuciła kaptur na głowę.

– Szczerze wątpię, by lord Caire był zainteresowany robieniem mi czegokolwiek, strasznego czy nie, a poza tym biorę pistolet.

Nell jęknęła.

– On nie jest jak inni dżentelmeni, psze pani.

Temperance podniosła worek z pistoletem.

– Czyniłaś te tajemnicze aluzje już wcześniej. Powiedz mi: w jaki sposób lord Caire różni się od innych mężczyzn?

Nell przygryzła wargę, przestąpiła z nogi na nogę, aż wreszcie zacisnęła powieki i wypaliła:

– W łóżku.

Temperance czekała, ale z ust pokojówki nie nadpływały dalsze wyjaśnienia. Wreszcie westchnęła, trzymając mocno na wodzy tę istotę w sobie, która aż podskoczyła na hasło „łóżko”.

– Przytułkowi grozi zamknięcie. Nie dopuszczę, żeby to, czemu lord Caire oddaje się we własnej sypialni, powstrzymało mnie przed skorzystaniem z jego pomocy.

Oczy Nell rozwarły się szeroko z niepokoju.

– Ale, psze pani…

Temperance otworzyła tylne drzwi.

– Pamiętaj: jeśli Winter spyta, położyłam się wcześniej spać. A jeśli będzie naciskał, powiedz mu, że chodzi o sprawy kobiece. To powstrzyma dociekania.

– Niech pani na siebie uważa! – zawołała Nell, kiedy Temperance zamykała za sobą drzwi.

Podmuch wiatru ze świstem wypadł zza narożnika. Temperance zadrżała i szczelniej otuliła się peleryną, odwracając się, żeby zagłębić się w zaułek. Przed nią znienacka zamajaczyła szeroka męska pierś.

– Och!

– Dobry wieczór, pani Dews – odezwał się lord Caire, cedząc słowa na swój mroczny, złowieszczy sposób.

Targana chłodnym wiatrem peleryna owijała mu się wokół nóg.

– Proszę tego nie robić – powiedziała Temperance, cokolwiek ostro.

On jednak wyglądał na ubawionego.

– Nie robić czego?

– Nie wyskakiwać na mnie jak jakiś rozbójnik.

Spiorunowała go wzrokiem, obserwując, jak wygina się kącik jego szerokich ust. Naszło ją niedorzeczne pragnienie, by odwzajemnić uśmiech, ale stłamsiła je bezlitośnie. Tej nocy srebrne włosy miał zaplecione w warkocz pod czarnym trikornem. Temperance poczuła drżenie w podbrzuszu i nie mogła przestać się zastanawiać, w jaki konkretnie sposób lord Caire wyróżnia się w sypialni.

Tymczasem on się odwrócił i ruszył zaułkiem.

– Zapewniam panią, że nie jestem rozbójnikiem. – Obejrzał się przez ramię i dostrzegła błysk jego niebieskich oczu, kiedy przyspieszyła kroku, żeby się z nim zrównać. – Gdybym nim był, już by pani nie żyła.

– Nie zachęca mnie pan do tej wycieczki – wymamrotała Temperance.

Zatrzymał się nagle, tak że o mało znów by na niego wpadła.

– Jest pani tutaj, czyż nie?

Podlec!

– Tak, jestem.

Ukłonił się przesadnie, w wyciągniętej ręce trzymając laskę ze srebrną gałką, czarną peleryną zamiatając brudną ziemię.

– Zdaję się więc na pani przewodnictwo, szlachetna pani Dews.

Sapnęła, zwróciła się twarzą przed siebie i ruszyła spiesznie zaułkiem, świadoma, że on trzyma się tuż za nią, czuła jego potężną mroczną obecność.

– Dokąd zabierze mnie pani tej nocy?

Wyobraźnia płatała jej figle czy czuła na karku jego gorący oddech?

– Trudno mi było podjąć decyzję, skoro odmówił pan wyjawienia czegokolwiek na temat osoby, której szuka.

Czekała na wyjaśnienie, ale nie skomentował. Westchnęła.

– Zdradził pan jedynie, że kogoś szuka, co, wyznam panu, milordzie, nie ułatwiło sprawy.

– A jednak wyczuwam, że prowadzi mnie pani w konkretne miejsce – rzekł cicho lord Caire.

– Owszem.

Dotarli do końca zaułka i schyliła się, przechodząc pod sypiącym się łukiem w jeszcze węższą uliczkę.

– I jest to? – W głosie lorda Caire’a dało się wychwycić ślad rozbawienia.

– Właśnie tutaj – oznajmiła z niejaką satysfakcją.

W rzeczy samej była z siebie zadowolona, że wynalazła dla niego jakieś źródło na podstawie tak skąpych informacji.

Stali przed budynkiem bez okien. Jedynie kołyszący się drewniany szyld z namalowaną świecą wskazywał, że jest to sklep świecarza. Temperance pchnęła drzwi. Wnętrze było maleńkie. Po jednej stronie ciągnęła się lada. Towary wystawiono, gdzie tylko się dało, leżały w stosach i stertach,

wisiały na ścianach. Świece, herbata, cynowe kubki, sól i mąka, sznurek, smalec, kilka noży, postrzępiony wachlarz, parę nowych mioteł, guziki, niewielki placek ze śliwkami i, oczywiście, gin. Przy dalszym końcu lady dwie kobiety pochylały się nad kubkami. Za kontuarem stał pan Hopper, niski, ciemny mężczyzna, który urósł tak niewielki może dlatego, by zmieścić się w swoim sklepiku.

Sprzedaż ginu bez licencji była, oczywiście, nielegalna, ale na niebotycznie drogie licencje mogli sobie pozwolić tylko nieliczni. Poza tym sędziowie pokoju polegali na płatnych informatorach, którzy doprowadzali nielicencjonowanych sprzedawców ginu przed sąd – a żaden informator nie poważyłby się zapuścić do St. Giles. Ostatniego śmiałka zaatakowała miejscowa gawiedź, powlokła ulicami, dotkliwie pobiła i wreszcie porzuciła, by nieszczęśnik zmarł wskutek ran.

– A cóż to panią do mnie sprowadza, pani Dews? – zapytał pan Hopper.

– Dobry wieczór, panie Hopper – odparła Temperance. – Mój przyjaciel szuka kogoś i zastanawiam się, czy zechciałby mu pan pomóc?

Pan Hopper spojrzał na lorda Caire’a, mrużąc podejrzliwie oczy, ale powiedział dostatecznie radosnym tonem:

– Czemu by nie. Kogóż pan szuka?

– Mordercy – odparł lord Caire i wszystkie głowy w pomieszczeniu zwróciły się ku niemu.

Temperance wstrzymała oddech. Mordercy?!

Konsumentki ginu cichaczem wymknęły się ze sklepu.

– Blisko dwa miesiące temu zamordowano kobietę w jej pokojach w St. Giles – ciągnął lord Caire, niewzruszony. – Nazywała się Marie Hume. Wie pan o niej cokolwiek?

Ale pan Hopper już kręcił głową.

– Ja tam z morderstwami nic wspólnego nie mam. I będę wdzięczny, jak pani weźmie stąd tego dżentelmena, pani Dews.

Temperance przygryzła wargę i spojrzała na lorda Caire’a.

Nie sprawiał wrażenia szczególnie wytrąconego z równowagi.

– Jedną chwilkę, jeśli można – powiedział do sklepikarza pewnym głosem.

Pan Hopper popatrzył na niego z niechęcią.

Lord Caire się uśmiechnął.

– Mogę prosić o ten placek?

Sklepikarz chrząknął i podał mu ciasto ze śliwkami, chowając w zamian do kieszeni dwupensówkę, nim znacząco pokazał im obojgu plecy. Temperance westchnęła poirytowana. Oczywiste, że będzie musiała znaleźć lordowi Caire'owi innego informatora.

– Mógł mnie pan uprzedzić – bąknęła po wyjściu ze sklepu.

Wiatr dmuchnął jej tymi słowami w twarz i zadrżała, żałując, że nie siedzi przy swoim przyjaźnie ciepłym kominku.

Lord Caire jakby nie zważał na ziąb.

– Co by to zmieniło?

– No cóż, przede wszystkim nie próbowałabym u pana Hoppera.

Gniewnym krokiem przeszła na drugą stronę ulicy, bacząc, żeby nie wdepnąć w szlam wypełniający kanał ściekowy.

Bez trudu ją dogonił.

– Dlaczego?

– Ponieważ pan Hopper jest przyzwoity, czego nie da się powiedzieć o pańskich dociekaniach – odparła z rozdrażnieniem. – Po co w ogóle kupował pan to ciasto?

Wzruszył ramionami.

– Zgłodniałem.

Z przyjemnością wgryzł się w placek.

Przyglądała się, gdy zlizywał z kącika ust purpurowy syrop, i odruchowo przełknęła ślinę. Placek istotnie dobrze wyglądał.

– Ma pani ochotę? – zapytał głębokim głosem.

Stanowczo pokręciła głową.

– Nie. Nie jestem głodna.

Przekrzywił głowę, mierząc ją wzrokiem, kiedy przełykał kolejny spory kęs.

– Kłamie pani. Dlaczego?

– Proszę nie mówić głupstw! – rzuciła ostro i ruszyła przed siebie.

Zagrodził jej drogę, przez co musiała zatrzymać się gwałtownie, żeby na niego nie wpaść.

– To placek ze śliwkami, pani Dews, nie bogactwa, alkohol lub inny dekadencki grzech. W czym on może pani zaszkodzić? Proszę się poczęstować.

Odłamał kawałek i przytrzymał go w palcach przy jej wargach. Owoce pachniały słodko, nieomal czuła smak puszystego ciasta i nim się

zorientowała, otworzyła usta. Wsunął w nie ten kęs. Poczuła kwaskowaty smak śliwki na języku, aż nazbyt słodki syrop, wyjątkowo smaczny tutaj, w mroku ulicy St. Giles.

– Proszę – szepnął. – Smaczne, prawda?

Raptownie otworzyła oczy – kiedy je zamknęła? – i wbiła w niego wzrok, bliska przerażenia.

Wargi mu drgnęły.

– Dokąd teraz, pani Dews? Czy może pan Hopper i jego sklep byli pani jedynym źródłem?

Temperance zadarła brodę.

– Nie. Mam inny pomysł.

Ominęła go i ruszyła szybkim krokiem, ze smakiem słodkich śliwek nadal na języku. Ta część St. Giles należała do najgorszych i Temperance nie odważyłaby się przyjść tu za dnia, a cóż dopiero nocą, gdyby nie obecność potężnego mężczyzny zdążającego cicho tuż za nią.

Dwadzieścia minut później Temperance zatrzymała się przed wypaczonymi drzwiami, do których schodziło się po dwóch stopniach.

Lord Caire popatrzył na drzwi, z zainteresowaniem mrużąc niebieskie oczy.

– Co to za miejsce?

– Tutaj prowadzi interes Matka Pocieszycielka – odparła Temperance, akurat kiedy wypaczone drzwi otwarły się z trzaskiem.

– Już cie tu ni ma! – wrzasnęła wysoka, zaniedbana kobieta. Miała na sobie czerwoną kurtkę od wojskowego munduru, narzuconą na czarny od brudu skórzany gorset. Do tego nosiła spódnicę z półsukna w czarne i czerwone pasy, której skraj był wystrzępiony i uwalany błotem. Za jej plecami migotał przytłumiony blask ognia, nadając jej wygląd strażniczki bram piekieł. – Bez pinindzy ni ma picia. Wynocha!

Obiekt jej gniewu stanowiła chuda kobieta, która mogłaby być ładna, gdyby nie czarne zęby i otwarty wrzód na policzku.

Żałosne stworzenie skuliło się i uniosło ramiona, jakby dla odparcia ciosu.

– Jutro dom pynsa i pół. Ino dejcie mi dziś ginu.

– A idźże zarobić te pynsy – powiedziała Matka Pocieszycielka i wypchnęła nieszczęsną na ulicę. Odwróciła się i wsparła na biodrach zwinięte w pięści duże dłonie o zaczerwienionych knykciach, mierząc lorda

Caire’a z góry na dół chciwym spojrzeniem. – No dobra, to co tu panią przyniosło, pani Dews? Tak mi się widzi, że to nie pani rewiry.

– Nie wiedziałam, że w St. Giles obowiązuje podział na terytoria – odparła sztywno Temperance.

Matka Pocieszycielka wbiła w nią świdrujący wzrok.

– Ach nie?

Temperance odkaszlnęła.

– Mój przyjaciel chciałby zadać pani kilka pytań.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko do lorda Caire’a, ukazując braki w uzębieniu.

– No to wejdźta.

Nie spojrzała ponownie na Temperance, jej chciwość, co oczywiste, skoncentrowała się na lordzie Cairze. Tak czy owak, odstąpił, by puścić Temperance przodem. Schylona przekroczyła próg i po stromych drewnianych schodach zeszła do piwnicy.

Sala od frontu była nisko sklepiona, długa i ciemna, rozświetlana jedynie przez huczący na tyłach ogień. Krokwie poczerniały od dymu. Po jednej stronie powyginana deska rzucona na dwie beczki służyła za kontuar. Za nim stała jednooka dziewczyna, jedyna posługaczka. Tutaj Matka Pocieszycielka sprzedawała to, czemu zawdzięczała swój przydomek: gin, po półtora pensa za kubek. Spora grupa pijanych żołnierzy w wysokich czapach śmiała się przy stole w rogu. Obok dwaj podejrzanego autoramentu osobnicy garbili się, jakby usiłowali stać się niewidzialni. Jeden z nich maskował brak nosa trójkątną skórzaną przepaską. Po przeciwnej stronie pomieszczenia wybuchła kłótnia między trzema grającymi w karty marynarzami, podczas gdy tuż obok samotny mężczyzna w zbyt wielkiej peruce stoicko palił cygaretkę. Inny mężczyzna i kobieta siedzieli ramię w ramię na brudnej podłodze, oparci o ścianę, wspólnie tuląc w dłoniach cynowy kubek. Mogliby spędzić tu noc – gdyby każde zapłaciło Matce Pocieszycielce dodatkowo po pięć pensów za ten przywilej.

– No to w czym mogę wspomóc takiego galantego dżentelmena?! – huknęła Matka Pocieszycielka, aby przebić się przez hałaśliwy spór marynarzy.

Sugestywnie potarła o siebie palce.

Lord Caire wydobył spod peleryny sakiewkę. Z uśmiechem wyjął z niej pół korony i umieścił monetę na dłoni Matki.

– Interesuje mnie morderstwo pewnej kobiety w St. Giles. Nazywała się Marie Hume.

Z ust Matki Pocieszycielki zniknął uśmiech, z namysłem je ściągnęła.

– Taka sprawa to ciutkę więcej wyniesie, milordzie.

Znała lorda Caire’a czy jedynie schlebiała potencjalnemu źródłu dochodu?

Lord Caire uniósł brwi, słysząc żądanie, niemniej w milczeniu wyłuskał z sakiewki kolejne pół korony. Rzucił kobiecie monetę, która wraz z poprzednią zniknęła w głębi jej gorsetu.

– Siadejcie, milordzie. – Matka Pocieszycielka wskazała wolne krzesło, rozchwierutany drewniany twór. – Zamordowana kobita, gada pan?

Lord Caire zignorował tę namiastkę gościnności.

– Około trzydziestu lat, blondynka, ładna i zgrabna, ale miała czerwone znamię wielkości pensa, o tutaj. – Popukał się przy zewnętrznym kąciku prawego oka. – Znała ją pani?

– O, ładnych dziewuch tu pełno, a znamię da się ukryć – powiedziała kobieta. – Jeszcze co szczególnego?

– Została wypatroszona – rzekł lord Caire.

Temperance gwałtownie wciągnęła powietrze, lawinowo powróciły ostrzeżenia Nell. Dobry Boże…

Nawet Matka Pocieszycielka zamrugała na tak dosadne ujęcie sprawy.

– Wypatroszona jak świnia – wymamrotała. – To żech słyszała. Dziwy, nie? Znaleźli ją w jakijś klitce przy Tanner’s Court, muchy bzyczały w jej czornej krwi.

Jeśli te słowa miały wstrząsnąć lordem Caire’em, zamysł się nie powiódł. Na jego twarzy nadal malowała się ciekawość, wręcz rozbawienie, kiedy przekrzywił na bok głowę.

– Tak. O nią chodzi.

Matka Pocieszycielka pokręciła głową z udawanym smutkiem.

– No to panu nie pomogę, milordzie. Nie znała żem dziewuchy.

Lord Caire wysunął dłoń.

– Proszę mi zwrócić monety.

– Chwila, milordzie – rzekła szybko kobieta. – O morderstwie nic nie wim, ale wim, kto może mieć o tym jakie pojęcie.

Lord Caire znieruchomiał, nieznacznie zwężając oczy, jakby wypatrzył zdobycz.

– Kto?

– Martha Swan. – Matka Pocieszycielka wykrzywiła usta w złym uśmiechu i dodała śpiewnie: – Ta kobita ostatnia ją żywą widziała.

* * *

Wiatr pozbawił Temperance tchu, kiedy pokonywała dwa zewnętrzne stopnie, wychodząc z przybytku Matki Pocieszycielki. Lord Caire podążał tuż za nią, upiornie milczący. Kim była zamordowana kobieta? I dlaczego rozpytywał o to morderstwo? Zadrżała, przypomniawszy sobie, jak opisał ofiarę jako „wypatroszoną”. Dobry Boże, w co ona się wpakowała?

– Jest pani wyjątkowo cicha, pani Dews – zauważył lord Caire swym głębokim głosem.

– Skąd może pan wiedzieć, co jest dla mnie typowe, milordzie? – zapytała. – Ledwie mnie pan zna.

Zaśmiał się cicho za jej plecami.

– A jednak wyczuwam, że staje się pani rozmowna, gdy znajdzie się wśród osób, których towarzystwo jej odpowiada.

Przystanęła i odwróciła się, splatając ramiona, żeby zatrzymać ciepło, choć być może także dla dodania sobie pewności.

– Jakiego rodzaju grę pan ze mną prowadzi?

Również się zatrzymał, o wiele za blisko. Jego warkocz się rozplatał, długie pasma srebrzystych włosów smagały mu twarz na wietrze.

– Grę, pani Dews?

– Tak, grę. – Spiorunowała go wzrokiem, odrzucając strach. – Mówi mi pan, że szuka kogoś w St. Giles, ale kiedy zabieram pana do sklepu pana Hoppera, pyta pan o zamordowaną kobietę, a teraz u Matki Pocieszycielki pyta pan o wypatroszoną zamordowaną kobietę.

Jego szerokie bary uniosły się niedbale pod peleryną.

– Nie okłamałem pani. Naprawdę kogoś szukam: jej mordercy.

Temperance zadrżała, kiedy wiatr cisnął lodowate kropelki deszczu w jej zmarznięte policzki. Żałowała, że nie widzi oczu Caire’a, ukrytych pod rondem kapelusza.

– Kim ona dla pana była?

Wygiął zmysłowe usta w półuśmiechu. Nie odpowiedział.

– Dlaczego ja? – odezwała się półgłosem. To pytanie, co uzmysłowiła sobie poniewczasie, powinna była zadać ubiegłej nocy. – Jak mnie pan znalazł? Dlaczego wybrał pan właśnie mnie?

– Widywałem panią – odparł wolno – kiedy prowadziłem poszukiwania w St. Giles. Zawsze w biegu, zawsze na czarno, zawsze tak bardzo… zdeterminowana. Kiedy ujrzałem panią minionej nocy, podążyłem za nią do domu.

Wpatrywała się w niego.

– I tyle? Wybrał mnie pan pod wpływem kaprysu?

– Jestem kapryśnym mężczyzną. Zmarzła pani. Chodźmy.

I znów ruszył, pewnym krokiem, przejmując prowadzenie.

– Dokąd idziemy? – zawołała za nim. – Nie chce pan odnaleźć Marthy Swan?

Zatrzymał się i odwrócił ku niej.

– Matka Pocieszycielka mówiła, że można ją spotkać na Hangman’s Alley. Wie pani, gdzie to jest?

– Tak, ale to ze dwadzieścia minut drogi w tym kierunku. – Pokazała za siebie.

Skinął głową.

– Wobec tego zostawimy sobie pannę Swan na kolejną noc. Jest późno i pora, żeby znalazła się pani w domu.

Ruszył, nie czekając na odpowiedź.

Temperance potruchtała za nim jak posłuszny terier. Odpowiedział na jej pytania, ale w taki sposób, że na miejsce jednych wyrosły następne. W St. Giles mieszkały setki kobiet. Owszem, wiele z nich było prostytutkami lub oddawało się innym występnym zajęciom. Gdyby jednak sobie zażyczył, znalazłby tuzin i więcej kobiet chętnych służyć mu za przewodniczki. Dlaczego wybrał ją? Temperance zmarszczyła brwi i przyspieszyła, żeby dotrzymać mu kroku. Może i był nieznajomym z mrocznymi sekretami, nadal jednak czuła się bezpieczniej, przemierzając te uliczki z nim u boku.

– Nie wiem, czy możemy ufać Matce Pocieszycielce – powiedziała, zacinając się lekko, kiedy zimny wiatr porywał jej słowa.

– Wątpi pani, czy istnieje jakaś Martha Swan?

– Och, zapewne istnieje – wymamrotała Temperance. – Ale czy posiada jakiekolwiek informacje, to już inna sprawa.

– Skąd pani zna Matkę Pocieszycielkę?

– Wszyscy ją znają. Gin jest zmorą St. Giles.

Obejrzał się na nią.

– Doprawdy?

– Piją go młodzi i starzy. Dla niektórych to jedyny posiłek. – Temperance się zawahała. – Ale nie tylko dlatego ją znam.

– Proszę mi opowiedzieć.

Uniosła rękę, żeby ciaśniej otulić twarz kapturem.

– Dziewięć lat temu, kiedy rozpoczęłam pracę w przytułku, Matka Pocieszycielka przysłała nam wiadomość. Miała małą dziewczynkę, mniej więcej trzyletnią. Nie wiem, skąd wzięła to dziecko, ale z pewnością nie było jej własne.

– I?

– Zaproponowała, że nam je sprzeda.

Temperance przerwała, ponieważ głos zaczął jej drżeć – nie ze strachu czy smutku, lecz z furii. Pamiętała palący ją wtedy gniew, pogardę wobec merkantylnego cynizmu Matki Pocieszycielki.

– Co dalej? – Głos lorda Caire’a był cichy, ale usłyszała go wyraźnie. Nieomal rezonował jej w kościach.

– Winter i ojciec sprzeciwiali się kupnu dziecka. Twierdzili, że to jedynie zachęci Matkę Pocieszycielkę do sprzedaży kolejnych sierot.

– A pani?

Temperance wciągnęła powietrze.

– Nienawidziłam myśli o płaceniu jej, ale dała jasno do zrozumienia, że znajdzie innego kupca, jeśli nie dostanie od nas żądanej ceny. Kogoś, komu dobro dziecka byłoby najzupełniej obojętne.

– Jakiegoś stręczyciela.

Spojrzała na niego szybko, ale był zwrócony do niej profilem, zimnym i niedostępnym. Podążali teraz szerszą uliczką, gdzie mogła iść obok niego. To nie tą trasą prowadziła go do piwnicy Matki Pocieszycielki. Zastanowiła się przelotnie, czy zgubił drogę.

Później znów popatrzyła przed siebie.

– Tak, najprawdopodobniej stręczyciela, chociaż Matka Pocieszycielka nigdy nie wypowiedziała tych słów. Robiła tylko okropne aluzje.

Temperance szła ze zwieszoną głową, wspominając upiorne negocjacje. Była wówczas nadal trochę naiwna. Nie miała pojęcia, jak czarna może być dusza kobiety.

Nie dość uważnie patrzyła pod nogi. Zahaczyła o coś noskiem buta, jej ręce wystrzeliły na boki, gdy się potknęła i usiłowała odzyskać równowagę. Przez koszmarną sekundę czuła ucisk w żołądku i wiedziała, że zaraz grzmotnie o ziemię.

A potem ją złapał, twarde dłonie zacisnęły się na jej łokciach, boleśnie, ale zapewniając bezpieczeństwo. Podniosła wzrok i był tam, tuż przed nią, jego niebieskie oczy lśniły jak u demona. Przyciągnął ją bliżej, prawie że w swoje objęcia. Jak przyjaciółkę. Jak kochankę.

Wszystkie jej najgorsze pragnienia naparły z wrzaskiem na powierzchnię.

– Zatem kupiła pani to dziecko – szepnął, oddechem muskając jej wargi.

– Tak. – Spiorunowała go wzrokiem, tego bezdusznego arystokratę. Dlaczego chciał usłyszeć tę historię? Dlaczego nalegał, by rozdrapała stare rany? Dlaczego szukał mordercy jakiejś kobiety? – Tak, zapłaciłam żądaną cenę. Sprzedałam jedyną biżuterię, jaką miałam, złoty krzyżyk podarowany mi kiedyś przez męża, i kupiłam dziewczynkę. Nazwałam ją Mary Whitsun, na cześć niedzieli Zielonych Świątek, kiedy po raz pierwszy trzymałam ją w ramionach.

Przekrzywił głowę, a jego niebieskie, jakże niebieskie oczy zadawały to pytanie.

Załkała, furia i smutek wezbrały z miejsca, gdzie starannie kontrolowała wszystkie emocje, na odczuwanie których nie mogła sobie pozwolić. Zadrżała, próbując ujarzmić namiętność. Pochwycić ją i ukryć.

Potrząsnął nią, jakby w ten sposób chciał wydobyć z niej odpowiedź.

– Winter miał rację – rzekła na bezdechu. – Dziewczynka była bezpieczna, ale dwa miesiące później Matka Pocieszycielka przyszła do nas z kolejnym dzieckiem, tym razem chłopcem. I cena za niego była dwa razy wyższa.

– Co pani zrobiła?

– Nic. – Zamknęła oczy, pokonana. – Cena była zbyt wysoka; nie mieliśmy pieniędzy. Nie mogliśmy… nie mogłam nic zrobić. Błagałam, padłam na kolana i zaklinałam tę wiedźmę, a ona go sprzedała.

Zebrała w pięściach materiał jego peleryny i potrząsała nią, jakby dzięki temu mogła przekazać mu potworność tego wspomnienia.

– Sprzedała tego słodkiego malca, a ja nie mogłam zrobić nic, żeby go ocalić.

W jednej chwili płakała z furii, unosząc ku niemu twarz, w następnej on nachylił się płynnie i pochwycił jej usta. Mocno, bez litości. Zatchnęła się, zszokowana. Miażdżył ustami jej miękkie wargi. Czuła jego zęby, smak gorącego języka i ta nędzna, grzeszna, zła istota w niej wyrwała się na wolność i szalała. Rozkoszowała się jego brutalną dzikością. Radowała bezceremonialną seksualnością.

Kompletnie poza jej kontrolą.

Dopóki nie uniósł głowy, by spojrzeć na nią z góry. Jego wargi były wilgotne i nieznacznie zaczerwienione, poza tym jednak ten niszczycielski pocałunek nie odcisnął na nim żadnego piętna.

Równie dobrze mógł przed chwilą opierać się o ścianę.

Temperance próbowała uwolnić się z jego uchwytu, ale trzymał ją mocno.

– Jest pani takim namiętnym stworzeniem – wymruczał, przyglądając jej się badawczo spod na pół opuszczonych powiek. – Tak emocjonalnym.

– Nie jestem – szepnęła, przerażona, że coś takiego mogło komuś przyjść do głowy.

– Kłamie pani. Zastanawiam się dlaczego? – Rozbawiony uniósł brwi i puścił ją tak nagle, że zachwiała się i zrobiła krok w tył. – Była moją kochanką.

– Proszę?

– Ta zamordowana kobieta, wypatroszona jak świnia u rzeźnika. Była moją kochanką przez trzy lata.

Gapiła się na niego w osłupieniu.

Skłonił głowę.

– Do jutrzejszego wieczoru. Dobranoc, pani Dews.

I odszedł, znikając w ciemności.

Temperance odwróciła się, oszołomiona, i zobaczyła je niespełna dwadzieścia kroków dalej. Drzwi przytułku.

A więc lord Caire jednak odprowadził ją bezpiecznie do domu.

Rozdział 3

Król Zamknięte Serce żył we wspaniałym zamku na szczycie wzgórza. W jego zamku mieszkały setki gwardzistów, tłum dworzan i mrowie służby oraz kurtyzan. Króla dzień i noc otaczali ludzie, lecz nikt nie był bliski jego sercu. W rzeczy samej, jedyną żywą istotą ważną dla króla był mały niebieski ptak. Ptaszek ten mieszkał w zdobionej klejnotami złotej klatce i czasami śpiewał lub świergotał. Wieczorami Król Zamknięte Serce karmił ptaszka orzechami przez pręty klatki…
– z „Król Zamknięte Serce”

W St. Giles słońce nigdy nie świeci, pomyślała następnego ranka Silence Hollingbrook. Podniosła wzrok i dostrzegła pasek błękitu ledwie na szerokość dłoni, widoczny między wysuniętymi piętrami, szyldami i dachami. St. Giles było nadmiernie zatłoczone, domy budowano jedne na drugich, pokoje dzielono na mniejsze pomieszczenia i jeszcze raz, aż ludzie gnieździli się jak szczury w norach. Silence zadrżała, rada ze swoich schludnych pokoi w Wapping. St. Giles było okropnym miejscem do życia. Chciałaby, żeby jej starsi brat i siostra znaleźli inną lokalizację dla Przytułku dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków. Z drugiej strony, to w St. Giles ich ojciec założył przytułek i to tutaj mieszkali najbiedniejsi z biednych w Londynie.

Zatrzymała się przed wytartym podestem i głośno zapukała w grube drewniane drzwi. Przytułek miał niegdyś dzwonek, ale w minione Boże Narodzenie ktoś go ukradł. Winter jeszcze nie znalazł sposobności, by zastąpić go nowym, i niekiedy pukała przez kilka minut, zanim ją usłyszano.

Dziś jednak drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

Popatrzyła w dół na wyszorowane różowe policzki, czarne włosy zebrane do tyłu z szerokiego czoła i bystre brązowe oczy.

– Dzień dobry, Mary Whitsun.

Mary dygnęła.

– Dzień dobry, pani Hollingbrook.

Silence weszła do wąskiej sieni i odwiesiła szal.

– Zastałam siostrę?

– Pani jest w kuchni – odparła Mary.

– W takim razie ją znajdę. – powiedziała Silence z lekkim uśmiechem.

Mary z powagą skinęła głową i pomaszerowała po schodach na górę, wracając do bliżej nieokreślonej pracy, od której ją oderwano.

Silence dźwignęła kosz z płaskim dnem, z którym tu przyszła, i udała się do kuchni na tyłach.

– Dzień dobry! – zawołała, wchodząc.

Temperance odwróciła się od ogromnego gara, pyrkającego nad ogniem.

– Dzień dobry, siostro! Co za miła niespodzianka. Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

– Nie planowałam wizyty. – Policzki Silence zapłonęły z poczucia winy. Nie odwiedzała przytułku od ponad tygodnia. – Ale kupiłam dziś na targu trochę rodzynków i pomyślałam, że przyniosę ci część.

– Och, jak miło z twojej strony! Mary Whitsun się ucieszy – powiedziała Temperance. – Uwielbia słodkie bułki z rodzynkami.

– Mhm. – Silence postawiła kosz na starym kuchennym stole. – Zdaje się, że urosła o kolejne dwa palce, odkąd ostatnio ją widziałam.

– W istocie. – Temperance otarła fartuchem pot ze skroni. – I jest śliczna, choć tego jej nie mówię. Nie chcę, żeby stała się próżna.

Silence uśmiechnęła się, odkrywając kosz.

– Słychać, że jesteś z niej dumna.

– Naprawdę? – spytała w roztargnieniu Temperance.

Odwróciła się znów do parującego gara.

– Tak. – Silence zawahała się, nim podjęła przepraszającym tonem: – Jest już w wieku, żeby oddać ją na przyuczenie, prawda?

– Tak. W zasadzie powoli robi się za duża. – Temperance westchnęła. – Ale tak bardzo się przydaje w przytułku. Jeszcze nie zaczęłam szukać dla niej posady.

Silence wyjmowała rzeczy z kosza, nie komentując. Temperance lepiej od niej wiedziała, że zbytnie przywiązywanie się do podrzutków przynosi jedynie ból.

– Masz tam więcej niż rodzynki – powiedziała Temperance, podchodząc do stołu.

– Przyniosłam też wydziergane przeze mnie pończochy. – Silence nieśmiało zaprezentowała swoje dzieło: trzy pary maleńkich pończoch. Prawda, nogawki każdej z nich różniły się odrobinę rozmiarem, ale przynajmniej miały ten sam kształt. W przybliżeniu. – Robiłam dla Williama i zostało mi trochę wełny.

– Ojej. – Temperance wsparła dłonie na biodrach i wygięła plecy w łuk, rozciągając się. – Zupełnie zapomniałam, że kapitan Hollingbrook wkrótce wraca.

Drobne fale radości rozlały się w Silence na samą wzmiankę o mężu. William był na morzu od miesięcy, dowodząc *Ziębą*, statkiem handlowym, który wracał aktualnie z Indii Zachodnich.

Spuściła głowę, kiedy odpowiadała siostrze:

– Spodziewam się go lada dzień. Miałam nadzieję, że po jego powrocie ty i Winter przyjdziecie do nas na uroczystą kolację.

Kiedy Temperance nie zareagowała od razu, Silence spojrzała na nią. Siostra ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w pęczek rzepy na stole.

– O co chodzi? – spytała Silence.

– Słucham? – Temperance szybko podniosła wzrok, a jej twarz się wygładziła. – Och, o nic, kochana. Wiesz, że Winter i ja z przyjemnością zjemy z tobą i kapitanem Hollingbrookiem. Po prostu w tej chwili mamy tyle pracy w przytułku… – Mówiła coraz ciszej, rozglądając się po dużej kuchni.

– Może pora nająć dodatkową pomoc. Nell pracuje ciężko, ale to tylko jedna kobieta.

Temperance się roześmiała, ale twardo i krótko.

– Gdybyśmy mieli patrona, który by łożył na przytułek, zrobilibyśmy to. W obecnej sytuacji ledwie nam się udało zapłacić dzisiaj czynsz za ten i ubiegły miesiąc. Jeśli znowu się spóźnimy, pan Wedge przypuszczalnie nas eksmituje.

– Co takiego? – Silence opadła na kuchenne krzesło. – Z pieniędzy na żywność został mi prawie funt. Czy to pomoże?

– Nie, kochana – odparła z uśmiechem Temperance. – To by nam pomogło jedynie na krótko, a nie chcę brać pieniędzy kapitana Hollingbrooka. Wiem, jak wy dwoje oszczędzacie na wszystkim.

Silence zarumieniła się z lekka. William był cudownym mężem, ale kapitan statku kupieckiego nie wyciągał aż tak wiele, zwłaszcza kiedy miał na utrzymaniu żonę, podstarzałą matkę i niezamężną siostrę.

– A Concord?

Temperance już zaprzeczała ruchem głowy.

– Winter mówi, że od śmierci ojca browar przynosi straty. Poza tym Concord musi troszczyć się o własną rodzinę.

Silence pokręciła głową. Nie miała pojęcia, że Concord znalazł się w finansowych tarapatach, lecz przecież mężczyźni z rodziny niekoniecznie chętnie rozmawiali o interesach z kobietami. Concord i jego żona, Rose, mieli pięcioro uroczych dzieci i kolejne w drodze.

Podniosła wzrok.

– No a Asa?

Temperance się skrzywiła.

– Wiesz, że Asa zawsze wyrzekał na przytułek. Sądzę, że Winter nienawidzi samej myśli o tym, żeby znów iść do niego z wyciągniętą ręką.

Silence przysunęła do siebie rzepę i wzięła nóż, żeby odciąć liście.

– Winter to najmniej dumny mężczyzna, jakiego znam.

– Tak, oczywiście, ale nawet najskromniejszy mężczyzna nosi w sobie odrobinę dumy. Poza tym choćby i Winter go poprosił, nie byłoby gwarancji, że Asa by nam pomógł.

Silence chciała zaprotestować, że Asa bez wątpienia pomoże, jeśli będzie w stanie, ale prawda wyglądała tak, że nie miała co do tego pewności. Asa zawsze chadzał własnymi ścieżkami, skryty i samotny.

– Co zrobisz?

Silence zaczęła kroić rzepę w kostkę, choć uzyskiwała raczej dziwaczne grudki. Krojenie nigdy nie było jej mocną stroną.

Temperance wzięła drugi nóż, ale się zawahała.

– Mam pewien plan.

– Tak?

– Obiecaj, że nie powiesz naszym braciom

– O czym? – Silence popatrzyła na siostrę.

– Ani Verity – dodała Temperance. Verity była najstarszą z Makepeace’ów.

Silence wytrzeszczyła na nią oczy. Co takiego Temperance chciała zachować w tajemnicy nie tylko przed braćmi, ale także starszą siostrą?

Jednak mina Temperance była niemal groźna. Jeśli Silence chciała się dowiedzieć, musiała obiecać.

– Dobrze.

Temperance odłożyła nóż i nachyliła się ku niej.

– Spotkałam kogoś – szepnęła – kto przedstawi mnie wpływowym i zamożnym ludziom w Londynie. Znajdę przytułkowi nowego patrona.

– Kto to taki? – Silence ściągnęła brwi.

Ich rodzina była niskiego stanu. Ojciec warzył piwo, a po jego śmierci rodzinny interes przejął Concord. Ojciec głęboko wierzył w edukację i dopilnował, żeby wszyscy jej bracia otrzymali doskonałe wykształcenie w zakresie religii, filozofii, greki i łaciny. Przypuszczała, że dzięki temu można by ich nazwać intelektualistami, nie umniejszało to jednak znaczenia faktu, że pracowali, by zarobić na życie. Ludzie w rodzaju tych, o których mówiła Temperance, należeli do zupełnie innej ligi.

– Kim jest ten potężny przyjaciel? – Silence wychwyciła moment, kiedy coś przesunęło się w głębi siostrzanych oczu. Temperance była cudowną osobą i zapewne z tego powodu fatalnie kłamała. – Temperance, powiedz mi.

Siostra wysunęła brodę.

– To lord Caire.

Silence zmarszczyła brwi.

– Arystokrata? Jak, na Boga, znalazłaś chętnego do pomocy arystokratę?

– Ściśle mówiąc, on znalazł mnie. – Temperance ściągnęła usta, wpatrzona w rosnący kopiec pokrojonej rzepy. – Myślisz, że ktokolwiek naprawdę lubi rzepę?

– Temperance…

Temperance wbiła czubek noża w białą kostkę i uniosła ją.

– Jest bardzo sycąca, oczywiście, ale, szczerze, kiedy ostatnio słyszałaś, jak ktoś mówi: „Och, przepadam za rzepą”?

Silence odłożyła nóż i czekała.

Pokrywka na garze nad ogniem terkotała, nóż uderzał głucho o stół przez jakieś pół minuty, nim Temperance wreszcie przemówiła.

– Poszedł za mną do domu przedwczoraj w nocy.

– Co takiego? – Silence się zatchnęła.

Ale siostra już ciągnęła w pośpiechu:

– To tylko tak źle brzmi. Był całkowicie nieszkodliwy, zapewniam cię. Poprosił mnie o pomoc w poszukiwaniach pewnych ludzi w St. Giles. W zamian ja poprosiłam, żeby przedstawił mnie znanym sobie bogaczom. Bardzo praktyczny układ, naprawdę.

Silence zmierzyła siostrę sceptycznym spojrzeniem. Odmalowany przez Temperance obrazek wydawał się, ogólnie biorąc, zbyt różowy.

– I zakładam, że ten lord Caire jest wiekowym dżentelmenem, białowłosym, o kościstych kolanach?

Temperance wykrzywiła się do niej.

– Tak się składa, że ma białe włosy.

– A kolana?

– Mam nadzieję, że nie podejrzewasz mnie o gapienie się na kolana dżentelmenów.

– Temperance…

– Och, no dobrze, jest dość młodym i przystojnym mężczyzną – przyznała nieporadnie Temperance. Na jej policzki wypłynął rumieniec.

– Dobry Boże! – Silence z troską patrzyła na siostrę. Temperance była dwudziestoośmioletnią wdową, niekiedy jednak zachowywała się równie przezornie jak głupiutka dzierlatka. – Pomyśl. Dlaczego lord Caire wybrałby akurat ciebie na przewodniczkę po St. Giles?

– Nie wiem, ale…

– Musisz powiedzieć Winterowi. Cała ta sprawa brzmi jak historia zamyślona, by cię omamić. Lord Caire może snuć wobec ciebie potworne plany. A jeśli zwabi cię do nierządu?

Temperance zmarszczyła nos, uwidaczniając plamkę sadzy na czubku.

– Mało prawdopodobne. Przyglądałaś mi się ostatnio?

Rozpostarła ramiona, jakby chcąc podkreślić niedorzeczność podejrzenia, że jakiś arystokrata pragnie ją uwieść. Silence musiała przyznać, że kiedy Temperance tak stała w kuchni, z włosami częściowo w nieładzie i nosem uwalanym sadzą, nie wyglądała na szczególnie kuszący kąsek dla uwodziciela.

– Jesteś całkiem ładna i świetnie o tym wiesz – odparła jednak lojalnie.

– Niczego takiego nie wiem. – Temperance opuściła ramiona. – To ty zawsze byłaś rodzinną pięknością. Gdyby jakiś nikczemny lord miał kogoś zdeprawować, wybrałby ciebie.

Silence surowo popatrzyła na siostrę.

– Próbujesz odwrócić moją uwagę.

Temperance z westchnieniem opadła na krzesło.

– Nie mów nikomu, Silence, proszę. Przyjęłam już od lorda Caire’a pieniądze na czynsz, to dzięki nim spłaciliśmy dług.

– Ale Winter na pewno w końcu się dowie. Jak mu wytłumaczyłaś zapłatę czynszu?

– Powiedziałam, że sprzedałam pierścionek, który dał mi Benjamin.

– Och, Temperance! – Silence zakryła dłonią usta, przerażona. – Okłamałaś Wintera?

Lecz Temperance pokręciła głową.

– Drobne kłamstewko. To nasza jedyna nadzieja. Pomyśl, czym byłaby dla Wintera konieczność zamknięcia przytułku.

Silence umknęła wzrokiem. Ze wszystkich braci Winter był najbardziej oddany ojcu i jego działalności dobroczynnej. Przeżyłby ogromny zawód, gdyby pod jego nadzorem przytułek upadł.

– Proszę, Silence – szepnęła Temperance. – Dla Wintera.

– No dobrze. – Silence skinęła głową. – Nie powiem naszym braciom…

– Och, dziękuję!

– …chyba że – ciągnęła Silence – poczuję, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

– Nic mi nie grozi. Obiecuję.

* * *

Lazarus obudził się z cichym krzykiem. Otworzył szeroko oczy i przez chwilę po prostu leżał i rozglądał się po pokoju, usiłując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Później rozpoznał własną sypialnię. Ciemny brąz ścian, stare, imponujące meble, przy łożu ciemnozielone i brązowe zasłony. Przed nim sypiał tutaj jego ojciec, a Lazarus nie zawracał sobie głowy wprowadzaniem zmian, kiedy odziedziczył tytuł. Poczuł, jak mięśnie powoli mu się rozluźniają, gdy spojrzał w okno. Światło na dworze było jasnoszare; do świtu pozostało niewiele – on zaś nigdy nie próbował na powrót zasnąć po koszmarze. Przeciągnął się i wstał, nagi, a później boso podszedł do wysokiej toaletki, żeby ochlapać twarz zimną wodą. Założył żółty banyan[3] z brokatu i usiadł w rogu przy

eleganckim biurku z drewna wiśniowego – jedynym meblu w tym pokoju, który wniósł ze sobą. Jego ojciec wyraziłby zdecydowaną dezaprobatę wobec pisania w dezabilu.

Lazarus uśmiechnął się szeroko na tę myśl. Później otworzył kałamarz i podjął pracę nad aktualnym tłumaczeniem. W tym wierszu Katullus szczególnie zajadle chłostał Lesbię. Lazarus pragnął znaleźć właściwe słowo – słowo doskonałe – które, odpowiednio wstawione, będzie lśnić niczym diament w misternym pierścieniu. Była to wymagająca, pedantyczna praca, która pochłaniała go na całe godziny.

Jego lokaj, Small, wszedł jakiś czas później i gdy Lazarus podniósł wzrok, odkrył, że pokój zalewa słoneczne światło.

– Pan wybaczy, milordzie – powiedział Small. – Nie byłem świadom, że pan już wstał.

– To bez znaczenia – odparł Lazarus, na powrót przenosząc wzrok na tłumaczenie.

Słowa go wzywały, lecz nie znalazł dotąd dla nich tej właściwej aranżacji.

– Czy mam zadzwonić, by przysłano na górę pańskie śniadanie?

– Mhm.

– Jest pan gotowy na toaletę?

Niech to! I po sprawie. Lazarus ze zniecierpliwieniem rzucił pióro i odchylił się na oparcie krzesła. Small natychmiast przykrył dolną część jego twarzy parującą szmatką. Lokaj poruszał się szybko i sprawnie, dłonie miał delikatne jak kobieta.

Lazarus zamknął oczy, rozluźniając się, kiedy wilgotne gorąco wnikało w jego skórę. Przypomniał sobie jasnobrązowe oczy pani Dews minionej nocy. To, jak zamknęły się z rozkoszy, kiedy wsunął w jej usta śliwkowy placek. Jak zwęziły się w gniewie, kiedy na początku dociekał, dlaczego odmawia poczęstunku. Dla kogoś takiego jak on – mężczyzny niezdolnego do doznawania emocji – jej zmiany nastroju były nieodparcie kuszące. Płomień jej gniewu wytworzył nieomal odczuwalny żar. Ciągnęło go do tego żaru jak kota do ciepłego paleniska. Jej emocje były obce, dzikie i ekscytujące, dogłębnie fascynujące – a ona tak bardzo starała się je ukryć. Dlaczego? Pragnął spędzić więcej czasu ze źródłem tak potężnych uczuć. Pragnął eksperymentować, szturchać i popychać, przekonać się, co jeszcze wywołuje u niej rumieniec, przyspieszony oddech. Co by ją rozśmieszyło?

Co ją przerażało? Jaki wyraz pojawiłby się w jej oczach w trakcie orgazmu? Czy starałaby się pohamować, czy też cielesne doznanie zmiażdżyłoby jej umocnienia obronne?

Ta myśl okazała się dziwnie podniecająca tak wczesnym rankiem. Nigdy nie dbał o reakcję kobiety. Była zaledwie naczyniem dla jego żądzy. Lecz w przypadku pani Dews to kobieta sama w sobie stanowiła przedmiot zainteresowania.

Small usunął szmatkę i pokrył szczękę Lazarusa ciepłą pianą. Lazarus nie otwierał oczu, ani drgnął, kiedy brzytwa po raz pierwszy zaskrobała o jego policzek. Ukradkiem zacisnął dłonie na podłokietnikach krzesła. Cudzy dotyk był dlań straszliwą fizyczną próbą, z którego to po części powodu co rano zezwalał na tę pospolitą intymność. Konfrontacja z owym najbardziej pierwotnym strachem i przezwyciężanie go każdego dnia dostarczały mu swego rodzaju satysfakcji.

Lokaj uporał się z jego lewym policzkiem i Lazarus przekrzywił głowę, żeby przyjąć brzytwę na prawym, tłumiąc dreszcz odrazy. Nosił w sobie ten wstręt do cudzego dotyku, odkąd pamiętał. Nie. Nieprawda. Lazarus wbrew woli się skrzywił, kiedy Small przeciągnął brzytwą nad jego górną wargą. Niegdyś, gdy był dzieckiem, pewien dotyk nie wywoływał w nim strachu, wstrętu i bezwarunkowego bólu.

Ale to było dawno temu i ta osoba od lat nie żyła.

Small wytarł mu twarz z resztek mydła i Lazarus otworzył oczy.

– Dziękuję.

Jeśli lokaj miał choć cień pojęcia, ile cierpienia sprawił swemu panu, ta wiedza nie ujawniła się na jego łagodnej twarzy.

– W co pan się dziś ubierze, milordzie?

– Czarne jedwabne spodnie i kaftan z haftowaną srebrem kamizelką.

Lazarus wstał i rzucił banyan na krzesło. Sam założył podane mu przez lokaja ubrania – istniała granica między próbą wytrzymałości a zadawaniem sobie tortur.

– Laskę także – rzekł Lazarus, pozwalając, by Small związał mu z tyłu włosy czarną aksamitną wstążką.

– Oczywiście, milordzie. – Small z powątpiewaniem spojrzał w okno. – Ma pan spotkanie o tak wczesnej porze?

– Zamierzam odwiedzić matkę. – Lazarus uśmiechnął się bez wesołości. – A z tym zadaniem dobrze uporać się jak najwcześniej.

Wziął podaną mu przez lokaja laskę i opuścił pokój, nie czekając na odpowiedź.

Z głównej sypialni wychodziło się do szerokiego korytarza na piętrze, wyłożonego ciemnym, misternie rzeźbionym drewnem. Ta miejska rezydencja należała do rodu Caire'ów od czasów jego dziadka. Nie stała w najmodniejszej części Londynu, ale była okazała, dostojna i wystarczająco silnie zalatywała starymi pieniędzmi tudzież władzą. Lazarus zszedł po schodach, wiodąc dłonią po różowej poręczy. Kamień sprowadzono z Italii, rzeźbiono i polerowano, aż błyszczał prawie jak lustro. Wiedział, że powinien coś poczuć, dotykając zimnego, gładkiego marmuru. Może dumę? Albo nostalgię? Tymczasem czuł to, co zawsze.

Absolutnie nic.

W holu przyjął od kamerdynera pelerynę oraz trikorn. Na zewnątrz mocno wiało, czekający nań lektykarze dygotali. Lektyka była nowa, wykonana specjalnie na jego wzrost, z zewnątrz pomalowana na czerń i srebro, w środku wyścielana szkarłatnym pluszem. Jeden z mężczyzn przytrzymał w górze dach, kiedy Lazarus stanął między drążkami, żeby wejść do środka. Przednie drzwiczki zabezpieczono zasuwką, dach opuszczono. Mężczyźni podnieśli lektykę i pobiegli ulicami Londynu.

Lazarus zastanawiał się leniwie, z jakiego powodu matka go wezwała. Poprosi o więcej pieniędzy? Wydawało się to mało prawdopodobne, jako że otrzymywała od niego hojną rentę, a do tego miała kilka własnych posiadłości. Być może u schyłku życia zainteresowała się hazardem. Parsknął głośno na tę myśl.

Lektykarze zatrzymali się i Lazarus wysiadł. Miejska rezydencja, którą kupił dla matki, była mała, lecz elegancka. Narzekała – wtedy i nieustannie od tamtego czasu – że zmusił ją do wyprowadzki z Caire House, ale niech go diabli, gdyby miał mieszkać z tą kobietą.

Kamerdyner zaprowadził Lazarusa do skandalicznie złoconej bawialni. Siedział tutaj dobre pół godziny, kontemplując złote zawijasy u szczytu strzegących drzwi kolumn korynckich. Wyszedłby, ale wówczas po prostu musiałby powtórzyć tę farsę innego dnia. Lepiej mieć to za sobą.

Weszła do pokoju w swoim zwykłym stylu – przystając na ulotną chwilę tuż za progiem, tak by jej piękno napełniło obecnych w pomieszczeniu należytym podziwem.

Lazarus ziewnął.

Zachichotała, nie całkiem maskując tym złość.

– Czyżby nakazy dobrego wychowania stały ci się całkiem obce, mój synu? A może jest obecnie w modzie nie wstawać, gdy dama wchodzi?

Podniósł się na tyle ociężale, by urosło to do rangi zniewagi, później zaś ukłonił jak najpłycej.

– Czego sobie życzysz, milady?

Popełnił błąd, oczywiście. Okazując niecierpliwość, jedynie dał jej powód, by przeciągnęła spotkanie.

– Och, Lazarusie, że też jesteś taki grubiański! – Ostrożnie opadła na jedną z delikatnie malowanych kanap. – To się staje nieznośne. Poleciłam, by przyniesiono herbatę, ciasta i takie tam – z roztargnieniem machnęła ręką – musisz więc zostać przynajmniej na poczęstunek.

– Muszę? – zapytał cicho, a wskutek ostrej nuty w jego głosie słowo aż zgrzytnęło.

Przez jej piękną twarz przemknął wyraz niepewności, potem jednak oznajmiła stanowczo:

– Och, jak najbardziej.

Lazarus na powrót usiadł, chwilowo ustępując swej pięknej, pustej matce. Obserwował ją, kiedy czekali na obiecaną herbatę. Nienawidził herbaty od zawsze. Matka nie wiedziała o tym czy – co bardziej prawdopodobne – poczęstunek był prowokacją?

W młodości lady Caire słynęła z urody, a czas okazał się dla niej łaskawy. Idealny owal twarzy, długa, pełna wdzięku szyja. Oczy miała takie jak on, czysto niebieskie, opadające nieznacznie w kącikach. Czoło alabastrowe i bez skazy. Włosów, o tej samej zadziwiająco białej barwie jak u niego, nie próbowała nigdy farbować bądź ukrywać pod peruką, przeciwnie, pyszniła się ich niezwykłym odcieniem. Najchętniej nosiła granatowe suknie, które uwypuklały tę biel, oraz czarne lub granatowe czepki, przyozdobione koronką i klejnotami.

Zawsze wiedziała, jak najskuteczniej przyciągnąć cudze oko.

– A, jest herbata – odezwała się, kiedy do bawialni weszły dwie pokojówki z tacami.

Czy w jej głosie pobrzmiewała ulga?

Służące w milczeniu rozstawiły poczęstunek, a potem cicho wyszły. Lady Caire usiadła prosto, żeby nalać herbaty. Jej dłoń zawahała się nad filiżanką.

– Cukru?

– Nie, dziękuję.

– Oczywiście. – Odzyskała zimną krew. Podała mu filiżankę. – Już pamiętam, bez cukru i śmietanki.

Uniósł brwi i odstawił filiżankę, nie upiwszy ani łyka. Jaką grę z nim prowadziła?

Zdawała się nie zauważać jego braku entuzjazmu wobec herbaty, kiedy z filiżanką w ręku na powrót przyjęła omdlewającą pozę.

– Dochodzą mnie słuchy, że widziano cię ze starszą z panien Turner. Czyżbyś przejawiał nią zainteresowanie?

Mrugał przez chwilę, autentycznie zaskoczony, a potem wybuchnął śmiechem.

– Postanowiłaś mnie, pani, wyswatać?

Między jej brwiami zarysowała się wyraźnie zmarszczka irytacji.

– Lazarusie…

Przerwał jej wszakże, mówiąc szybko, lekkim tonem, który zadawał kłam kryjącej się w jego słowach złości:

– Zrób więc przegląd i zaaprobuj grupę dziewcząt, a potem każ im stanąć w szeregu, żebym dokonał inspekcji. Oczywiście, może się to okazać utrudnione, biorąc pod uwagę krążące w towarzystwie plotki na temat moich… skłonności. Chyba tylko najchciwsze rodziny nie dołożą starań, by utrzymać swoje dziewice z dala ode mnie.

– Nie bądź ordynarny. – Odstawiła filiżankę, z niesmakiem wydymając wargi.

– Wpierw grubiański, teraz ordynarny – wycedził. Najwyraźniej jego cierpliwość się wyczerpała. – Doprawdy cud, że w ogóle jesteś, pani, w stanie znieść moje towarzystwo.

Zmarszczyła brwi.

– Chodzi mi…

– Potrzebujesz funduszy?

– Nie, tylko…

– Chcesz omówić ze mną inny palący problem?

– Lazarusie…

– Żadnych zmartwień w interesach? – wszedł jej w słowo. – W twoich włościach albo w związku ze służbą?

Po prostu na niego patrzyła.

– Wobec tego obawiam się, że na mnie już pora, milady. – Wstał i ukłonił się, nie patrząc jej w oczy. – Życzę miłego dnia.

Znajdował się przy drzwiach, kiedy powiedziała:

– Nie wiesz. Nie wiesz, jak wtedy było.

Zwrócony do niej plecami, w żaden sposób nie okazał, że przyjął jej słowa do wiadomości, lecz tylko zamknął za sobą drzwi.

* * *

Stan Mary Hope się nie poprawiał.

Temperance przyglądała się niespokojnie, gdy mamka, Polly, raz jeszcze spróbowała nakłonić niemowlę, by uczepiło się sutka. Maleńkie, miękkie usteczka otwarły się wokół brodawki, ale dziecko leżało obojętne, z zamkniętymi oczami.

Polly zacykała i podniosła wzrok ze smutkiem na twarzy.

– Nie ssie, psze pani. Ledwie co ją czuję.

Temperance wyprostowała się i skrzywiła twarz, gdy strzyknęło jej w plecach. Tkwiła nachylona nad Polly i dzieckiem od wielu godzin. Polly siedziała z niemowlęciem w starym fotelu. Ten fotel był najładniejszym meblem w wynajmowanym przez nią pokoiku – Temperance go jej podarowała, kiedy najęła ją jako mamkę na usługi przytułku. Mamki nie mieszkały w przytułku. Brały maleńkich podopiecznych do siebie, gdziekolwiek to było.

Ponieważ Temperance nie miała bezpośredniego nadzoru nad mamkami, absolutnie konieczne było znalezienie kobiet godnych zaufania, przy czym Polly ceniła najbardziej. Ciemnooka, ciemnowłosa i dość ładna mamka liczyła sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, ale cechował ją pragmatyczny sposób bycia kobiety dwakroć starszej. Jej mąż marynarz pojawiał się w domu akurat na tyle często, żeby spłodzić z żoną dwoje dzieci. Pomiędzy jego rzadkimi stawiennictwami Polly musiała sama troszczyć się o siebie i swoją małą rodzinę.

Oprócz fotela na wyposażenie pokoiku Polly składały się stół, łóżko z zasłonami oraz tania rycina na ścianie, przedstawiająca damy w kolorowych sukniach. Okrągłe wypolerowane lustro nad kominkiem minimalnie rozjaśniało pokój, odbijając liche światło. Na gzymsie kominka

Polly ustawiła swój skromny dobytek: świecznik, pojemnik na sól i drugi na ocet, imbryk oraz cynowy kubek. W kącie wysłużonego lokum bawiły się dzieci Polly, jedno już chodzące i drugie, które niedawno nauczyło się raczkować.

Temperance spojrzała znów na Mary Hope. Pokoik był może nędzny, ale nieskazitelnie czysty, a sama Polly schludna i trzeźwa. W przeciwieństwie do wielu kobiet, które zarabiały na życie jako mamki, Polly nie piła i, co więcej, zdawała się autentycznie troszczyć o swoich maleńkich podopiecznych, gdy przebywali u niej.

Z tego powodu była na wagę złota.

– Spróbujesz znowu? – spytała niespokojnie Temperance.

– Pewno, przystawię ją do cyca, ale czy zassie… – Polly zamilkła, umieszczając znów dziecko we właściwej pozycji.

Już wcześniej częściowo rozsznurowała skórzany gorset i odsunęła na bok wełnianą koszulę, odsłaniając pierś.

– A gdyby nakapać jej mleka do buzi?

Polly westchnęła.

– Tak żem robiła, ale połyka ino kropelkę lub dwie.

Zademonstrowała i Temperance przyglądała się, jak strużka świeżego mleka ścieka z kącika ust niemowlęcia. Trudno było ocenić, czy mała cokolwiek przełknęła.

Mniejsze z dzieci Polly przyraczkowało do niej, podciągnęło się do pionu i stało teraz przy fotelu, płacząc.

– Potrzymie ją pani, a ja się zajmę moją?

Temperance przełknęła, dziwnie niechętna brać na ręce kruche niemowlę, ale Polly już wkładała jej Mary Hope w ramiona. Temperance sztywno trzymała maleństwo. Ważyło tyle co ptaszek. Obserwowała, jak Polly wciąga na podołek swoją córkę. Ta natychmiast odnalazła sutek, ciągnąc z zadowoleniem wielkimi haustami i leniwie ściskając w grubych paluszkach obleczony pończoszką paluch u nogi. Temperance przeniosła wzrok z wyraźnie dobrze odżywionego dziecka na ziemiste policzki Mary Hope. Dziewczynka miała teraz otwarte oczy, ale bez zainteresowania wpatrywała się w jakiś punkt ponad ramieniem Temperance, a zmarszczki na jej buzi zauważalnie kontrastowały z pulchną, zdrową twarzyczką dziecka Polly.

Temperance prędko odwróciła wzrok, w piersi czuła ucisk wskutek jakiejś emocji, której za nic nie chciała identyfikować. Nie będzie współczuła temu umierającemu dziecku, nie będzie. Już kiedyś w przeszłości sparzyła się, zbyt swobodnie ofiarowując swą miłość, i odtąd trzymała ją zamkniętą bezpiecznie w sercu.

– I co, kaczuszko, szczęśliwa? – zanuciła Polly do dziecka w ramionach. Popatrzyła na Temperance. – Pani da mi znów spróbować z maleńką.

– Dobrze, ale nie zaniedbuj swoich dzieci – powiedziała Temperance, z ulgą przekazując Mary Hope.

Słyszała o mamkach, które głodziły własne dzieci, żeby nakarmić te, za które dostawały pieniądze.

– Bez obaw – odparła dziarsko Polly. – Starczy dla wszystkich.

Stosownie do deklaracji zsunęła koszulę z drugiej piersi i umieściła przy niej Mary Hope, podczas gdy jej córeczka nadal ssała pierwszą.

Temperance skinęła głową.

– Dziękuję, Polly. Zostawię ci w tym tygodniu trochę więcej pieniędzy. Proszę, na pewno wydaj to na jedzenie dla siebie.

– Wydam – obiecała Polly, pochylona już nad słabowitym niemowlęciem.

Temperance wahała się chwilę, lecz w końcu po prostu życzyła Polly dobrej nocy i wyszła. Co więcej mogła zrobić? Szła przez zatłoczone pokoje domu, w którym Polly wynajmowała swoją klitkę. Zatrudniła najlepszą dostępną mamkę i nawet zapłaciła jej ekstra ze skromnych środków przytułku.

Reszta leżała w rękach Boga.

Na zewnątrz szarzało, kiedy dzień uciekał z St. Giles. Temperance zadrżała. Minęła ją jakaś kobieta, niosąca na głowie kosz z resztkami małży i służącym za miarkę kubkiem z cynołowiu. Winter przysłał wiadomość, że będzie dziś do późna pracował w szkole, nadal jednak musiała ugotować kolację dla siebie i oporządzić dzieci, zanim spotka się z lordem Caire’em.

Wielki cień poruszył się w bramie, gdy przechodziła, i jej serce na moment zmyliło rytm.

Później dotarł do niej głęboki głos lorda Caire’a:

– Dobry wieczór, pani Dews.

Zatrzymała się i z rozdrażnieniem wzięła pod boki.

– Co też pan tu robi?

Widziała, jak jego ciemne brwi unoszą się pod rondem trikorna.

– Czekam na panią.

– Śledził mnie pan!

Skłonił głowę, w najmniejszym stopniu nieporuszony jej oskarżycielskim tonem.

– W istocie, pani Dews.

Fuknęła z irytacją i znów ruszyła przed siebie.

– Musi się panu ogromnie nudzić, skoro ucieka się pan do tak dziecinnych sztuczek.

Zaśmiał się cicho za jej plecami, tak blisko, że zdało jej się, iż otarł się peleryną o jej spódnice.

– Nawet sobie pani nie wyobraża.

Znienacka wróciło wspomnienie pocałunku, który na niej wymusił – twardego, gorącego, bynajmniej nie delikatnego. Serce zabiło jej wtedy szybciej, skóra zwilgotniała od potu. Stwarzał zagrożenie dla niej i wszystkich emocji, nad którymi sprawowała tak wątłą kontrolę.

– Nie jestem rozrywką dla znudzonego arystokraty – rzuciła ostro.

– A czy powiedziałem, że nią pani jest? – zapytał łagodnie. – Kogo odwiedzała pani w tym domu?

– Polly.

Szedł za nią tak cicho, że mógłby być duchem.

Temperance zaczerpnęła powietrza. Każdy inny dżentelmen – a już zwłaszcza arystokrata – odpuściłby ją sobie po tak cierpkich słowach, okręcił się na pięcie i odszedł, unoszony gniewnym męskim oburzeniem. Jakąkolwiek grę prowadził lord Caire, był cierpliwy.

Poza tym przytułek nadal potrzebował patrona.

– Polly to nasza mamka – odparła nieco spokojniej Temperance. – Jeśli pan sobie przypomina, tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy, przyniosłam do przytułku nowe dziecko, dziewczynkę. Umieściłam ją, bardzo słabowitą, u Polly, żeby ją odkarmiła. Nazywa się Mary Hope.

– Wydaje się pani… – Umilkł, jakby analizując ton jej głosu. – Nieszczęśliwa.

– Mary Hope nie chce ssać – wyjaśniła Temperance. – A kiedy Polly wlewa jej odrobinę mleka do ust, prawie nie przełyka.

– W takim razie to dziecko umrze – stwierdził zdystansowanym tonem.

Zatrzymała się i odwróciła ku niemu.

– Tak! Tak, Mary Hope umrze, jeśli nie zdoła się nauczyć ssać. Dlaczego jest pan taki nieczuły?

– Dlaczego pani tak się angażuje? – Przystanął wraz z nią, jak zwykle zbyt blisko, a wiatr zawiewał jego pelerynę do przodu, tak że oplatała się wokół jej spódnic niczym żywa istota. – Dlaczego czuje pani tyle do dziecka, które ledwie zna? Dziecka, o którym z pewnością wiedziała pani, że niedomaga, być może już umiera, kiedy przyniosła je pani do przytułku?

– Ponieważ na tym polega moja praca – odparła zapalczywie. – Z tego powodu wstaję co rano, z tego powodu jem, z tego powodu kładę się spać: żeby troszczyć się o te dzieci. Żeby przytułek funkcjonował.

– I to wszystko? Sama z siebie nie kocha pani tego dziecka?

– Nie, oczywiście, że nie. – Odwróciła się i podążyła dalej. – Zależy mi… zależy mi na każdym z podopiecznych, naturalnie, że tak, ale pokochać umierające dziecko byłoby szczytem głupoty. Proszę nie sądzić, że o tym nie wiem, milordzie.

– Taka ofiarna – zakpił głębokim głosem. – Męczennica dla tych biednych, nieszczęsnych dzieci. No jakże, pani Dews, mogłaby pani nawet zostać świętą. Trzeba pani tylko aureoli i broczących krwią dłoni.

Temperance miała na końcu języka ostrą ripostę, ale zacisnęła wargi, przełykając te słowa.

– A jednak – zadumał się tuż za nią lord Caire – zastanawiam się, czy jest pani w stanie powstrzymać się przed pokochaniem dziecka. Dla niektórych to zapewne proste, lecz dla pani, pani Dews, och, bardzo wątpię.

Z irytacją przyspieszyła kroku.

– Uważa się pan za autorytet w dziedzinie emocji, milordzie?

– Skądże znowu – mruknął. – Rzadko cokolwiek czuję. Ale niczym człowieka beznogiego, z niewyjaśnionych przyczyn fascynują mnie ci, którzy potrafią tańczyć.

Skręciła za róg, myśląc intensywnie. Oddalali się od przytułku.

– Niczego pan nie czuje?

– Niczego.

Przystanęła i spojrzała nań z zaciekawieniem.

– Czemu więc spędza pan tyle czasu, szukając mordercy swojej kochanki?

Uśmiechnął się cynicznie.

– Nie dopatrywałbym się w tym za wiele. Kaprys, nic ponadto.

– I kto tu kłamie? – szepnęła.

Odwrócił wzrok, jakby poirytowany.

– Widzę, że nie idziemy do przytułku.

Ta zmiana tematu sprawiła jej dziwny zawód. Jeśli istotnie nie odczuwał emocji, to skąd „kaprys”, by spędzić miesiące na poszukiwaniu mordercy? Czy lord Caire czuł więcej, niż gotów był przyznać? Czy też naprawdę był zimnym, beznamiętnym arystokratą, jakim siebie odmalowywał?

On wszakże milczał, ewidentnie czekając na jej odpowiedź. Westchnęła.

– Zabieram pana na Hangman’s Alley, gdzie ponoć mieszka Martha Swan.

– Czy pani brat nie będzie się martwił, jeśli nie wróci pani do domu?

– Jeżeli zdołamy obrócić w tę i z powrotem w godzinę, powiem, że sprawdzałam, co u pozostałych mamek – mruknęła Temperance, ruszając dalej.

– Och, pani Dews, okłamywać własnego brata?

Tym razem po prostu go zignorowała. Zapadł już wieczór, ulice pustoszały, gdy na łowy wychodzili myśliwi, cieszyła się więc, że wzięła ze sobą pistolet, ukryty w worku pod spódnicami. Pół godziny później skręcili w Hangman’s Alley, miejsce spotkań rabusiów, złodziei i kieszonkowców. Zastanawiała się, czy lord Caire wie, jak bardzo niebezpieczna jest ta okolica. Zerknąwszy z ukosa, odnotowała, że mężczyzna stąpa z gracją drapieżnika, ściskając w dłoni hebanową laskę niczym pałkę.

Pochwycił jej spojrzenie.

– Co za urocze sąsiedztwo.

Sapnęła. Niemniej wbrew tej lekceważącej reakcji Temperance ulżyło, że prezentował się tak groźnie.

– Jesteśmy.

Wskazała zniszczony szyld w kształcie buta. Matka Pocieszycielka powiedziała, że Martha Swan mieszka nad szewcem. Budynek był ciemny, uliczka pusta. Temperance ciaśniej otuliła się peleryną, ukradkiem macając pod spódnicami w poszukiwaniu pistoletu. Żałowała, że nie wstąpili do przytułku po latarnię.

Lord Caire zrobił krok naprzód i zastukał laską w drzwi. Rozległ się głuchy odgłos, ale nie usłyszeli, by w środku ktokolwiek się poruszył.

– Jeśli jest złodziejką albo prostytutką, zapewne wyszła – powiedziała Temperance.

– Bez wątpienia – odparł lord Caire – ale skoro pokonaliśmy taki kawał drogi, sugeruję, żebyśmy chociaż sprawdzili.

Zmarszczyła brwi, szykując się do protestu, gdy ponad jego ramieniem spostrzegła w mroku jakiś ruch. Krzyk uwiązł jej w gardle, kiedy z zaułka wypadły trzy postaci.

Poruszały się szybko i w ewidentnie morderczych zamiarach.

Ostrzegłaby lorda Caire’a, ale nie było takiej potrzeby. Wbił ostry wzrok w jej twarz.

– Uciekaj!

A potem się okręcał, wciągając ją za siebie, pod ścianę budynku, podczas gdy sam stawał przeciw napastnikom. Natarli na niego w rozproszeniu, jeden od frontu i po jednym z każdego boku, przy czym mężczyzna pośrodku uniósł nóż. Lord Caire uderzył go laską w nadgarstek, odpierając pierwszy cios. Następnie dobył z laski krótką szpadę i zaraz potem tamci dopadli go w zamęcie szybkich ciosów i kopnięć, trzech na jednego.

Było tylko kwestią czasu, kiedy lord Caire polegnie, nawet uzbrojony.

Miała pistolet. Temperance zebrała spódnice, gmerając w poszukiwaniu worka. Wyjęła pistolet, puściła spódnice.

Podniosła wzrok akurat w porę, by zobaczyć, jak lord Caire stęka i na pół się obraca, jakby otrzymał cios. Jeden z mężczyzn cofnął się chwiejnie, lecz pozostali naparli bliżej. Uniosła pistolet, ale walczący znajdowali się zbyt blisko siebie. Gdyby oddała strzał, mogłaby trafić lorda Caire’a.

Jeśli wszakże nie strzeli, napastnicy przypuszczalnie go zabiją.

Na jej oczach mężczyzna u jednego boku lorda Caire’a zamarkował cios sztyletem, podczas gdy ten z drugiej strony zamachnął się nożem. Nie mogła dłużej zwlekać. Lada moment go zadźgają.

Strzeliła.

Rozdział 4

Zgodnie z tradycją raz do roku Król Zamknięte Serce wygłaszał mowę do swego ludu. Ponieważ jednak sprawniej władał mieczem niźli piórem, zwykł ćwiczyć wystąpienia. Tak zatem pewnego ranka Król Zamknięte Serce przechadzał się po balkonie swego wspaniałego pałacu i deklamował, zwracając się do nieba i zamkniętego w klatce niebieskiego ptaka.
– Poddani moi – obwieścił król – dumny jestem, że wam przewodzę, i wiem, że wy z dumą żyjecie pod moimi rządami. Wiem, że mnie kochacie, poddani moi.
Niestety, w tym właśnie momencie jego wspaniałą mowę zakłócił… chichot…
– z „Król Zamknięte Serce”

Za jego plecami rozległ się strzał. Na ten dźwięk dzika furia wypełniła pierś Lazarusa. Nie mogli, nie mieli prawa krzywdzić jego małej męczennicy. Była jego zabawką.

Rozjuszony natarł na przeciwnika po prawej, zatapiając ostrze głęboko w jego trzewiach. Zobaczył, jak oczy zaskoczonego mężczyzny rozszerzają się z szoku, i w tej samej chwili wyczuł ruch po lewej. Okręcił się, zostawił szpadę i laską grzmotnął napastnika w nadgarstek. Rzezimieszek z wyciem chwycił się za strzaskaną rękę i upuścił nóż. Nieuzbrojony zdał sobie sprawę z utraty przewagi. Zaklął i odskoczył, a później czmychnął. Zniknął równie nagle, jak się pojawił. Lazarus odwrócił się ku trzeciemu mężczyźnie, lecz on także już się ulotnił. Znienacka zapanowała cisza.

Dopiero wtedy obejrzał się na swoją małą męczennicę. Swoją panią Dews.

Stała nieruchoma, z surową miną i pistoletem w zwieszonej wzdłuż boku ręce.

A zatem nie ranna. Nie zabita. Dzięki Bogu!

– Dlaczego, u licha, pani nie uciekła? – zapytał miękko.

Wysunęła brodę, niech ją diabli, z nieustępliwą godnością męczennicy. Była w pełni opanowana, schludna jak przed atakiem – a jej czerwone usta zapraszały.

– Nie mogłam pana zostawić.

– Owszem – rzekł, ruszając ku niej – mogła pani i powinna była uciec. Rozkazałem pani uciekać.

Na pozór kompletnie nieporuszona jego gniewem, opuściła wzrok, wsuwając swój gigantyczny pistolet do żałosnego worka.

– Być może nie przyjmuję od pana rozkazów, milordzie.

– Nie przyjmuje rozkazów – prychnął jak podenerwowana staruszka. W pewnym stopniu czuł się rozbawiony tym, jakiego durnia z siebie robi, coś jednak mu kazało uważać za bardzo, ale to bardzo ważne, by pani Dews wiedziała, że musi go słuchać. – Wyjaśnię więc pani…

Zamierzał chwycić ją za ramię, ale się wyrwała. W barku odezwał się ból.

– Na rany Chrystusa!

Ściągnęła brwi.

– Co się stało?

Jego niepokój o nią ją odpychał, słabość zaś przyciągała. Co za przekorne stworzenie.

– Nic.

– Dlaczego więc krzyknął pan z bólu?

Ze zniecierpliwieniem podniósł wzrok, zajrzawszy pod pelerynę.

– Ponieważ, pani Dews, wygląda na to, że oberwałem nożem.

Czuł, jak gorąca krew wsiąka mu w kaftan.

Zabrakło jej tchu, zbladła.

– Och, dobry Boże. To nie jest nic! Dlaczego mi pan nie powiedział? Może powinien pan usiąść i…

– Kto tu jest?

Odwrócili się oboje i ujrzeli drobną garbatą staruszkę, która wysunęła się zza drzwi szewca. Zezowała na nich, przekrzywiając głowę.

– Słyszała żem strzał.

Lazarus zrobił krok w jej stronę, lecz na ten ruch spróbowała wrócić do środka. Niedoczekanie! Sięgnął za nią i szybko zamknął drzwi, odcinając jej drogę ucieczki.

– Przyszliśmy do Marthy Swan.

Kobiecina wzdrygnęła się na dźwięk tego nazwiska.

– Kim jesteście? – zawołała, wodząc wzrokiem z jednej strony na drugą. Najwyraźniej była ślepa albo prawie ślepa. – Nie chcę mieć nic wspólnego z…

Pani Dews ujęła ją za rękę.

– Nie zamierzamy pani skrzywdzić. Powiedziano nam, że Martha Swan mieszka tutaj.

Dotyk pani Dews zdawał się działać uspokajająco, niemniej chuda pierś kobiety nadal falowała, jakby starowina paliła się do ucieczki.

– Martha tu mieszkała, a jakże.

– Wyprowadziła się? – Na twarzy pani Dews odmalował się zawód.

– Nie żyje. – Kobieta znów przekrzywiła głowę. – Znaleźli trupa dzisiej rano.

– Jak umarła? – Lazarus zwęził oczy.

Ramię miał już całe we krwi, ale potrzebował tej informacji.

– Gadają, że była rozpruta – szepnęła kobieta. – Rozpruta z góry na dół, bebechy rozwlyczone po całym pokoju.

– Dobry Boże… – Pani Dews się zatchnęła.

Najwidoczniej poluzowała przy tym uchwyt na ręku nieznajomej. Staruszka odwróciła się, otworzyła drzwi i szybko weszła do budynku.

– Proszę zaczekać! – krzyknęła pani Dews.

– Niech ją pani zostawi – rzekł Lazarus. – Powiedziała nam wszystko, co chcieliśmy wiedzieć.

Pani Dews otworzyła usta, jakby zamierzała się spierać, lecz potem zacisnęła je w kreskę. Czekał chwilę, by się przekonać, czy gniew zwycięży w starciu z samokontrolą, kobieta jednak po prostu wbijała w niego wzrok.

– Pewnego dnia się pani złamie – wymruczał. – A ja się modlę, by być na miejscu, kiedy to nastąpi.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Owszem, ma pani.

Odwrócił się i wsparł but o pierś mężczyzny. Stęknąwszy z bólu, wyciągnął szpadę z ciała zabitego. Mężczyzna leżał na wznak, światło z pobliskiego okna odbijało się w jego otwartych, niewidzących oczach. W miejscu nosa miał skórzaną przepaskę. Czy przeszło mu przez myśl, że zakończy ten dzień, leżąc martwy w rynsztoku? Wątpliwe.

Lecz jedynie głupiec opłakuje śmierć swego potencjalnego zabójcy.

Lazarus nachylił się, by wytrzeć ostrze o kaftan mężczyzny, zanim wsunął je w drugą część czarnej laski. Spojrzał na panią Dews. Stała, obserwując jego poczynania z niepokojem w oczach.

– Odprowadzę panią do domu, tam będzie bezpieczniej.

Skinęła głową i zrównała się z nim, kiedy ruszył. Lazarus szedł spiesznie, mocno zaciskając laskę w prawej dłoni. Nie zamierzał wyglądać na łatwy cel dla niedawnych napastników, gdyby ci wrócili – bądź dla dowolnych innych drapieżców grasujących po ulicach St. Giles. Noc była smoliście czarna, księżyc skrył się za chmurami. Lazarus obierał drogę, kierując się instynktem, jak również zmiennymi światłami mijanych budynków. Pani Dews dotrzymywała mu tempa, smukły cień u jego boku. Darzył ją niechętnym podziwem. Być może nie posłuchała jego rozkazu, lecz nie straciła głowy w trakcie walki ani widząc, że został ranny. W rzeczy samej, była na tyle zapobiegliwa, że wzięła ze sobą broń, nawet jeśli okazała się ona bezużyteczna.

– Musi pani poćwiczyć, jeśli zamierza nosić pistolet do obrony – powiedział.

Zesztywniała u jego boku.

– Uważam, że świetnie dałam sobie radę.

– Chybiła pani.

Zwróciła ku niemu twarz, mimo ciemności wyczuwał jej oburzenie.

– Wystrzeliłam w powietrze!

– Co takiego? – Zatrzymał się raptownie, chwytając ją za ramię.

Ponownie spróbowała się wyrwać, ale potem przypomniała sobie chyba o jego ranie. Z irytacją zacisnęła wargi.

– Wystrzeliłam w powietrze, ponieważ bałam się, że jeśli wymierzę w któregoś z napastników, pomyłkowo trafię pana.

– Głupia – syknął, a serce znów zabiło mu szybciej ze strachu. Głupia mała męczennica.

– Proszę?

– Następnym razem… jeśli taki się zdarzy… niech pani celuje w napastników, nie bacząc na koszty.

– Ale…

Potrząsnął jej ramieniem.

– Ma pani pojęcie, co by z panią zrobili, gdybym nie dał rady odeprzeć ataku?

Z niedowierzaniem uniosła głowę.

– Wolałby pan, żebym strzeliła i potencjalnie trafiła, a wręcz zabiła pana?

– Tak.

Puścił ją i podążył dalej uliczką. Bark pulsował mu bólem, mokra od krwi koszula robiła się zimna.

Podbiegła, żeby się z nim zrównać.

– Nie rozumiem pana.

– Niewielu rozumie.

– Moje życie żadną miarą nie może być warte więcej niż pańskie.

– A skąd pomysł, że moje życie w ogóle jest cokolwiek warte? – zagadnął uprzejmym tonem.

Tym ją uciszył, przynajmniej na chwilę. Dotarli do końca zaułka i weszli w szerszą ulicę.

– To bardzo dziwne – wymamrotała pani Dews.

– Co takiego? – Lazarus pilnował się, żeby trzymać głowę w górze, czujnie przeczesując wzrokiem otoczenie.

– Że Marthę Swan zabito w dokładnie taki sam sposób jak pańską kochankę.

– Nic w tym dziwnego, jeśli mordu dokonała ta sama osoba.

Bardziej poczuł, niż dostrzegł, że na niego zerknęła.

– Sądzi pan, że to był ten sam morderca?

Wzruszył ramionami, po czym stłumił gwałtowne sapnięcie, kiedy bark eksplodował mu bólem.

– Nie wiem, ale byłoby szalenie dziwne, gdyby po St. Giles grasował więcej niż jeden morderca preferujący tę szczególną metodę uśmiercania kobiet.

Zdawała się myśleć przez kilka chwil, nim wreszcie wolno się odezwała:

– Moja pokojówka, Nell Jones, mówi, że Duch z St. Giles patroszy swoje ofiary.

Pomimo narastającego bólu Lazarus się roześmiał.

– Widziała pani tego Ducha, pani Dews?

– Nie, ale…

– Wobec tego moim zdaniem duch to zaledwie historyjka, którą straszy się dzieci w ciemne noce. Ten, którego szukam, jest człowiekiem z krwi

i kości.

Szli w milczeniu przez, jak się zdawało, bardzo długi czas, zanim ich oczom ukazały się tylne drzwi przytułku.

Lazarus chrząknął, czując zarazem ulgę i słabość. Kręciło mu się w głowie.

– Jesteśmy. Proszę wejść i dobrze zaryglować za sobą drzwi.

– O nie, wykluczone. – Złapała go za zdrowe ramię.

Na moment zamarł. Rękaw osłaniał mu ciało przed jej dłonią, ale nikt nie dotykał go bez pozwolenia. Zwykle w takich sytuacjach reagował sarkazmem, brutalnym odrzuceniem. Teraz, z nią, nie wiedział, jak postąpić.

Podczas gdy stał tam, oniemiały, pani Dews odłożyła worek z pistoletem, gdzieś spod peleryny wygrzebała klucz i otworzyła tylne drzwi przytułku.

– Musimy się zająć pańską raną.

– Nie ma potrzeby… – zaczął z przekąsem.

– Teraz – oznajmiła i jakimś sposobem znalazł się w starej kuchni.

Przekradł się przez nią tamtej nocy, kiedy wślizgiwał się do małej bawialni pani Dews. Wówczas w pomieszczeniu było pusto i ciemno, nie licząc żarzących się w palenisku węgli. Teraz oświetlał je huczący ogień i tłoczyło się w nim mrowie mniejszych i większych urwisów.

Oraz jeden mężczyzna.

– Och, psze pani, jest pani! – wykrzyknęła najstarsza dziewczynka.

Jednocześnie mężczyzna wstał od kuchennego stołu, spoglądając pytająco.

– Temperance?

– Winterze, jak wcześnie wróciłeś – rzuciła w rozkojarzeniu. – Tak, jestem już w domu, Mary Whitsun, cała i zdrowa, obawiam się jednak, że nie mogę powiedzieć tego samego o jego lordowskiej mości. Będziesz łaskawa nalać dla mnie wrzątku do miski? Josephie Tinbox, przynieś mi torbę-szmaciankę. Mary Evening, uprzątniesz, proszę, stół? A pan, proszę, niech siada tutaj.

Ostatni rozkaz skierowany był do Lazarusa. Wybrał lepszą stronę męstwa i potulnie opadł na wskazane krzesło. Brat pani Dews mierzył go ostrym wzrokiem, a Lazarus starał się wyglądać na słabego, rannego i bezradnego, aczkolwiek odnosił wrażenie, że nie do końca przekonał tego człowieka.

W kuchni było gorąco, niski tynkowany sufit odbijał ciepło rozszalałego ognia. Lazarus zorientował się, że dzieci przygotowywały posiłek. Nad ogniem pyrkał ogromny czajnik, doglądany przez jedną ze starszych dziewczynek, na stole zagniatano ciasto. Krzątały się wszystkie dzieci z wyjątkiem chłopczyka, który stał na jednej nodze i wpatrywał się w Lazarusa z bezwładnym kotem przewieszonym przez ramię.

Lazarus uniósł brew w stronę malca, a ten umknął, wraz z kotem chowając się za spódnicami pani Dews.

– Kim jest ten dżentelmen, Temperance? – zapytał łagodnie Winter Makepeace.

– To lord Caire – odparła pani Dews, pomagając dziecku zwanemu Mary Evening zdjąć ze stołu misę z mąką. Malec naśladował jej ruchy, przez cały czas w większej części ukryty w jej spódnicach. – Jest ranny.

– Ach tak? – zapytał Makepeace, jedynie odrobinę ostrzejszym tonem. – A jakże to się stało?

Zawahała się przez ułamek sekundy – tak przelotnie, że być może dostrzegł to tylko Lazarus – i rzuciła mu szybkie spojrzenie.

Uśmiechnął się, obnażając zęby. Nie spieszyło mu się pomagać jej w wybrnięciu z oczywistego dylematu, kiedy jej tłumaczenia zapowiadały się o tyle bardziej interesująco.

Pani Dews zasznurowała usta.

– Lorda Caire’a zaatakowano niedaleko stąd.

– Tak? – Makepeace przekrzywił głowę w znajomym geście, czekając na dalsze wyjaśnienia siostry.

– A ja przyprowadziłam go tutaj, żeby go opatrzyć. – Posłała bratu krótki, olśniewający uśmiech.

Ale w przeciwieństwie do Lazarusa ten mężczyzna przywykł do jej czarujących forteli. Jedynie pytająco uniósł brwi.

– Tak po prostu wpadłaś na lorda Caire’a?

– No cóż, nie…

Bóg chyba naprawdę upodobał sobie panią Dews. Chłopiec, którego wysłała po „torbę-szmaciankę”, wrócił w tej właśnie chwili, wybawiając ją od konieczności dalszych tłumaczeń.

– O, dobrze, Josephie Tinbox. Dziękuję ci. – Wzięła od chłopca torbę i umieściła ją na stole obok parującej miski z wodą, dostarczonej przez

dziewczynkę zwaną Mary Whitsun. Później spojrzała surowo na Lazarusa. – Proszę to zdjąć.

Uniósł brwi, naśladując jej brata.

– Słucham?

Och, bogowie pokarzą go za tę rozkosz. Jej policzki pociemniały, przybierając ładny odcień różu.

– Proszę zdjąć, eee…, górną część stroju, milordzie – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Skrył uśmiech, kiedy zdejmował kapelusz i nachylał się, żeby rozpiąć pelerynę. Zrzucił ją z siebie i zmełł w ustach przekleństwo, gdy w następstwie tego ruchu bark przeszył mu ból.

– Pomogę panu.

Znienacka znalazła się przy nim, pomagając uwolnić się od kaftana i kamizelki. Jej bliskość rozpraszała, dziwnie słodka. Odkrył, że nachyla się ku niej w trakcie tych wspólnych wysiłków, być może wabiony miękkim łukiem jej szyi, delikatnym zapachem lawendy i kobiety.

Z niechęcią uniósł ramiona, by mogła ściągnąć mu koszulę przez głowę, a później był nagi od pasa w górę. Kiedy podniósł wzrok, otaczał go wianuszek ciekawskich urwisów. Nawet tamten malec wyłonił się zza spódnic pani Dews.

Chłopiec trzymał kota za górną część ciała, tak że jego tylne nogi zwisały bezwładnie. Zwierzak wyglądał jak nieżywy, tyle że mruczał.

– Ma na imię Sadza.

– Fascynujące – odparł Lazarus.

Nienawidził kotów.

– Mary Whitsun – powiedział Makepeace – bądź uprzejma zabrać młodsze dzieci do jadalni. Wysłuchaj, jak recytują psalmy.

– Tak, psze pana – odparła dziewczynka i zagoniła pobratymców do wyjścia.

Pani Dews odkaszlnęła.

– Może ty powinieneś ich przypilnować, Winterze. Poradzę sobie tutaj.

Jej brat uśmiechnął się stanowczo zbyt życzliwie.

– Mniemam, siostro, że Mary Whitsun doskonale podoła zadaniu.

Makepeace zajął znów swoje miejsce po drugiej stronie stołu, kiedy jednak pani Dews odwróciła się, żeby poszperać za czymś w kredensie, posłał Lazarusowi spojrzenie – nader łatwe do odczytania. Winter

Makepeace może i był od niego o dziesięć lat młodszy i wyglądał jak ascetyczny mnich, jeśli wszakże Lazarus skrzywdzi jego siostrę, mężczyzna stanie na głowie, żeby wyekspediować go do piekła.

* * *

Temperance odwróciła się od kredensu ze słojem maści w dłoniach. Starała się nie krzywić na widok rany lorda Caire’a. Krew pomalowała mu bark i ściekła strużkami po ręce do nadgarstka, wstrząsająco szkarłatna na białej skórze. Świeża krew spływała mu po piersi, gdyż przy zdejmowaniu koszuli na nowo otworzyli ranę. Temperance bezradnie podążyła spojrzeniem za strumyczkiem krwi, w dół jego muskularnej klatki piersiowej, delikatnie oprószonej czarnymi włosami, przez szokujący brąz sutka, do linii czarnych włosów, która zaczynała się przy pępku i znikała w spodniach.

Dobry Boże…

Gwałtownie poderwała wzrok i stanęła plecami do lorda Caire’a, usiłując przypomnieć sobie, co takiego robiła. W dłoniach trzymała słój z maścią leczniczą. Jego rana. Prawda. Musiała ją oczyścić i opatrzyć.

Przełknęła ślinę i pospieszyła ze słojem maści do stołu, a wtedy spostrzegła, jak Winter spoziera groźnie na arystokratę. Popatrzyła od jednego mężczyzny do drugiego, mrużąc oczy. Winter na powrót przywdział pozę cierpliwej niewinności, podczas gdy lord Caire odwzajemnił jej spojrzenie, jego szerokie usta drgnęły, w oczach zaigrał diabelski ognik rozbawienia. Czyżby przyłapał ją na pożeraniu wzrokiem jego nagiego ciała?

Och, do licha! Teraz nie była pora na panieńską wstydliwość.

Temperance zaczerpnęła tchu, żeby się uspokoić, starannie unikając hipnotyzującego widoku torsu lorda Caire’a.

– Życzyłby pan sobie wina, milordzie? Zabieg może okazać się bolesny.

– Poproszę. Nie chciałbym zemdleć. – Jego słowa były niewinne, ale ton ironiczny.

Skarciła go spojrzeniem, podczas gdy Winter wstał, żeby przynieść ich jedyną butelkę wina, przechowywaną pieczołowicie na wyjątkową okazję.

No cóż, kurowanie arystokraty w ich kuchni z pewnością kwalifikowało się jako wyjątkowe.

Temperance znalazła w torbie czystą szmatkę i zanurzyła ją w gorącej wodzie. Stanowczo odwróciła się do lorda Caire'a. Winter tymczasem wrócił i odkorkował wino. Napełnił kubek, który podał pacjentowi. Temperance delikatnie ścierała krew wokół rany, kiedy lord Caire pociągał łyk. Skórę miał ciepłą i gładką. Pod dotykiem jej palców zesztywniał i gwałtownie odstawił wino. Zerknęła na jego twarz. Wpatrywał się przed siebie szklistymi oczami.

– Zadaję panu ból? – spytała z niepokojem.

Jeszcze nawet nie musnęła rany, ale niektórzy bywają wyjątkowo wrażliwi na ból. Może wcale nie żartował z tym mdleniem.

Nastała chwila ciszy, prawie jakby jej nie usłyszał, a później zamrugał.

– Nie. Nic mnie nie boli.

Mówił zimnym głosem, z jego oczu zniknęła wesołość. Coś było nie tak, ale Temperance nie potrafiła stwierdzić co.

Na powrót skoncentrowała uwagę na ranie. Odnosiła dziwne wrażenie, że lord Caire jedynie ogromnym wysiłkiem woli powstrzymuje się przed odepchnięciem jej. Docisnęła szmatkę do samej rany, na pół oczekując po nim gwałtownej reakcji. Tymczasem pod wpływem bólu on jakby nieco się odprężył.

Dziwne.

Uniosła szmatkę i obejrzała przemytą ranę. Długa ledwie na kilka centymetrów, na pewno była głęboka. Świeża krew sączyła się z niej miarowo, krawędzie ziały.

– Muszę ją zaszyć – oznajmiła, podnosząc wzrok.

Znajdował się tak blisko, ich twarze dzieliły ledwie centymetry. Widziała mięsień drgający mu obok ust, ten drobny tik odcinał się ostro na jego poza tym nieruchomym obliczu. Coś czaiło się w głębi intensywnie niebieskich oczu. Coś podobnego do cierpienia.

Temperance wciągnęła powietrze, zszokowana.

– Przyniosę twój przybornik – rzekł z drugiej strony stołu Winter.

Poderwała głowę. Jej brat już wstawał, z pogodną twarzą. Czyżby nie zauważył bólu w oczach lorda Caire'a? Albo spojrzenia, jakie wymienili?

Najwyraźniej nie.

Wypuściła powietrze z płuc, szperając w torbie ze skrawkami, żeby dostarczyć rękom zajęcie. Drżały. Zszywała dotąd niezliczone rozcięcia, kurowała zadrapania, guzy i gorączkę, ale nigdy nie zadała nikomu takiego bólu, jaki rysował się w oczach lorda Caire'a. Nie była nawet pewna, czy może kontynuować.

– Niech pani po prostu robi swoje – wymamrotał lord Caire.

Popatrzyła nań wstrząśnięta. Czyżby jakimś sposobem odczytał jej myśli?

Obserwował ją z czujnym wyrazem twarzy.

Spojrzała na drugą stronę kuchni, ale Winter nadal szukał w kredensie jej przybornika. Wróciła wzrokiem do lorda Caire'a.

– Nie chcę, żeby pan cierpiał.

Jego usta drgnęły, nie potrafiła jednak stwierdzić, czy był to grymas, czy uśmiech.

– Zapewniam panią, pani Dews, że cokolwiek pani zrobi, nie przysporzy mi pani dodatkowego bólu.

Wpatrywała się w niego i wiedziała, że ból, o którym mówił, nie miał nic wspólnego z raną na jego barku. Co zatem…?

– Masz tu chyba wszystko – rzekł Winter, kładąc na stole jej przybornik. – Temperance?

– Tak? – Podniosła wzrok, uśmiechając się odruchowo. – Tak, dziękuję, bracie.

Podejrzliwie powiódł spojrzeniem od niej do lorda Caire'a, ale usiadł, nie komentując.

Temperance odetchnęła. Ostatnim, czego w tej chwili potrzebowała, było przesłuchanie prowadzone przez Wintera. Otworzyła przybornik, niewielki cynowy pojemnik, gdzie trzymała duże igły, katgut, porządne, ostro zakończone szczypczyki, nożyczki oraz inne przybory użyteczne przy opatrywaniu dzieci, które często się przewracały. Z radością odnotowała, że palce już jej nie drżą.

Nawlókłszy mocną igłę, skoncentrowała się na barku lorda Caire'a i zetknęła ze sobą krawędzie rany. Naniosła pierwszy szew. Dzieci często trzeba było w takich momentach trzymać. Niektóre krzyczały albo płakały, albo wpadały w histerię, lecz lorda Caire'a ulepiono z twardszej gliny. Zaczerpnął powietrza, kiedy przekłuła mu skórę, poza tym jednak

w żaden sposób nie zasygnalizował, że zadaje mu ból. W rzeczy samej, wydawał się bardziej zrelaksowany teraz, niż kiedy przemywała mu ranę.

Ale nie mogła zastanawiać się nad tym w tej chwili. Nachyliła się bliżej, dbając, by szwy były drobne, schludne i mocne. Musiały trzymać razem brzegi rany, aby dobrze się goiła, lecz po źle założonych szwach zostałaby brzydsza blizna.

Odetchnęła z ulgą, ucinając katgut przy ostatnim szwie.

– No i proszę. Prawie gotowe – mruknęła, w równym stopniu do siebie, co do swego pacjenta.

Nie skomentował, siedział nieruchomo jak posąg, kiedy otwierała niewielki słój z tłustą maścią. Gdy wszakże wklepywała maść w jego ranę – leciutko, jednym palcem – wzdrygnął się. Natychmiast cofnęła rękę, zaskoczona, i popatrzyła na jego twarz.

Czoło lśniło mu od potu.

– Niech pani dokończy.

Zawahała się, nie mogła jednak pozostawić rany bez opatrunku. Przygryzając wargę, jak najszybciej rozprowadziła maść, świadoma, że oddech mu przyspieszył. Wyciągnęła z torby duży skrawek starego płótna i uformowała z niego opatrunek, a następnie zaczęła owijać pierś lorda Caire’a długim pasem materiału. Ta czynność wymagała, by Temperance nachyliła się ku niemu, oplatając ramionami jego tors. Zaczerpnął powietrza i zdawał się przytrzymywać je w płucach, odwracając twarz, jakby jej bliskość budziła w nim odrazę.

Jego oczywista udręka powinna przytępić reakcję jej ciała, ale tak się nie stało. Ciepło jego skóry, puls tętniący z boku szyi, nawet jego męski zapach połączyły siły, by obudzić w niej stare demony. Do czasu, gdy zawiązała bandaż, Temperance znowu drżała.

Kiedy tylko się odwróciła, lord Caire poderwał się z krzesła.

– Dziękuję, pani Dews.

Wybałuszyła na niego oczy.

– Ale pańska koszula…

– To teraz szmata w sam raz do pani torby. – Skrzywił się, gdy narzucał na nagie ramiona pelerynę i chwytał trikorn. – Podobnie jak kamizelka i kaftan. Jeszcze raz, pani Dews, dziękuję i życzę dobrej nocy. Żegnam, panie Makepeace.

Skinął lekko głową im obojgu i ruszył do tylnych drzwi.

Temperance wyprostowała się, gardło ściskała jej nietypowa panika. Chyba nie zamierzał wracać do domu po ciemku?

– Jest pan ranny, milordzie, i w pojedynkę. Może rozważyłby pan spędzenie nocy pod naszym dachem?

Odwrócił się, czarna peleryna zawirowała mu wokół nóg, końcem laski dotknął ronda kapelusza. Dopiero teraz zauważyła, że srebrna gałka wyobraża siedzącego sokoła.

– Pani troska mi pochlebia, zapewniam jednak, że dotrę bezpiecznie do własnego łóżka.

I poszedł.

Temperance wypuściła powietrze z płuc, dziwnie oklapła.

To znaczy dopóki Winter nie odwrócił się wolno na krześle, aż zaskrzypiało.

– Chciałbym, siostro, usłyszeć wyjaśnienie, jak zawarłaś znajomość z niesławnym lordem Caire’em.

* * *

Był stworzeniem nocy, niezdatnym do przebywania wśród ludzi.

Mroki St. Giles otuliły Lazarusa, kiedy szybkim krokiem oddalał się od Maiden Lane i niewinnego małego przytułku pani Dews. Nadawał się do tego miejsca mniej więcej tak, jak sokół do gołębnika. Przeskoczył nad cuchnącym ściekiem, który biegł środkiem ulicy, i skręcił w inną wąską uliczkę, kierując się na zachód. Co sobie o nim myślała, nędznym, skrzywionym zwierzęciu, niezdolnym znieść dotyku innego przedstawiciela swego gatunku? W bramie przed nim poruszył się jakiś cień i Lazarus rzucił się ku niemu, z radością witając okazję do przemocy. Ale cień oderwał się od otaczającej go ciemności i smukła postać umknęła w noc.

Lazarus zwolnił znów do marszu, przeklinając utratę szansy na zajęcie czymś myśli. Poczuł łaskotanie, kiedy wilgotna strużka spłynęła mu wzdłuż boku – niedawnym wysiłkiem na nowo otworzył ranę. Ale to nie dlatego szukał czegoś, co zaprzątnęłoby jego uwagę.

Był boleśnie twardy przez cały czas, odkąd pani Dews dotknęła jego nagiej skóry smukłymi, bladymi dłońmi. Jej dotyk wywołał nie tylko rozpaczliwy ból psychiczny, lecz także erotyczną żądzę tak intensywną, że

przetrwała w zimnie nocy. Zaśmiał się cicho. Małą męczennicę z pewnością zniesmaczyłaby wiadomość o tym, co mu zrobiła. Jeszcze bardziej zbulwersowałaby ją wiedza o preferowanej przezeń metodzie zaspokajania takich cielesnych pragnień. Gdyby nie fakt, że krew ściekała mu do spodni, znalazłby kobietę przychylną jego żądaniom. Zabrałby ją do jakiegoś pokoju w pobliżu i…

Do myśli wepchnął mu się wizerunek jego ostatniej kochanki. Marie. Marie nie żyła, jej ciało rozerwano na groteskowy stos wnętrzności. Została zamordowana w pokojach, które wynajął dla niej tutaj, w St. Giles. Ona nalegała na tę lokalizację, a w tamtym czasie – dwa lata temu – Lazarus zastanawiał się nad nią jedynie o tyle, że dla niego była raczej niedogodna. Teraz jednak wydawało się oczywiste, że w St. Giles kryje się rozwiązanie zagadki morderstwa Marie. Nie wyłącznie ze względu na ranę zrezygnował z ulżenia żądzy, którą obudziła w nim pani Dews. Tej nocy wzięto go na cel. Napastnik ze skórzaną przepaską na nosie pił wczoraj u Matki Pocieszycielki. Możliwe, że był zaledwie rabusiem polującym na sakiewkę, ale Lazarus w to wątpił.

Ktoś nie chciał, by Lazarus odnalazł mordercę Marie.

* * *

– Znasz lorda Caire’a? – Temperance wytrzeszczyła oczy na brata.

Uniósł brew.

– Może i jestem zwykłym nauczycielem, siostro, ale nawet do mnie docierają krążące po St. Giles plotki.

– O…

Opuściła wzrok na ręce, kiedy machinalnie czyściła i chowała igłę oraz nożyczki. W jej głowie zapanowała kompletna pustka, w której snuła się myśl, że najwyraźniej wszyscy oprócz niej słyszeli o lordzie Cairze.

Winter westchnął i wstał. Przeszedł do kredensu, skąd wyjął dwa kieliszki. Te kruche cacka należały niegdyś do ich matki, ocalały z liczącego pierwotnie sześć elementów kompletu. Przyniósł je na stół i ostrożnie napełnił czerwonym winem.

Później usiadł i pociągnął łyk, zamykając oczy. Odchylił do tyłu głowę, a zmarszczki wokół jego ust się pogłębiły.

– To wino jest ohydne. Dziwię się, że lord Caire nie cisnął nim o ścianę.

Temperance sięgnęła po swój kieliszek i skosztowała, a słodki, piekący płyn rozgrzał jej żołądek. Wino mogło sobie być tanie, jej to nie przeszkadzało. Uważała za zabawne zrządzenie losu, że Winter, zwykle najbardziej ascetyczny z mężczyzn, jest wybredny w kwestii wina.

– Powiesz mi, gdzie spotkałaś niesławnego lorda Caire'a? – zapytał cicho Winter, nadal z zamkniętymi oczami.

Westchnęła.

– Odwiedził mnie dwie noce temu.

Otworzył oczy.

– Tutaj?

– Tak. – Zmarszczyła nos, delikatnie odstawiając kieliszek z winem na stół.

– Dlaczego nie wiedziałem o tej wizycie?

Wzruszyła ramionami, unikając jego spojrzenia.

– Spałeś, kiedy się zjawił. – Wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy czeka ją tłumaczenie, w jaki sposób lord Caire się zjawił.

Ale Wintera trapiło co innego.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś, Temperance?

– Domyślałam się, że tego nie pochwalisz. – Westchnęła i usiadła na krześle, które wcześniej zajmował lord Caire. Siedzisko już ostygło. Od początku wiedziała, że będzie musiała odbyć z Winterem tę rozmowę, ale odkładała ją tchórzliwie. – Nie mam pojęcia, z jakiego konkretnie powodu jest, jak mówisz, niesławny, założyłam jednak, że nie chciałbyś, żebym się z nim zadawała.

– Zatem mnie okłamałaś.

– Tak. – Zadarła brodę, ignorując poczucie winy. – Zawarłam z nim układ. Pomoże mi znaleźć patrona dla przytułku, a w zamian ja pomogę mu w poszukiwaniach mordercy jego kochanki.

– Ach tak?

Wzięła głęboki oddech.

– Z pieniędzy od niego zapłaciłam czynsz.

Milczał zszokowany. Temperance przełknęła ślinę i opuściła wzrok, żeby nie oglądać zranionej miny Wintera. Napomniała się, że przecież robi to dla niego. Dla Wintera i dla przytułku.

Po chwili jej brat westchnął ciężko.

– Obawiam się, że nie wiesz, w co się wplątałaś.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie. – Popatrzyła nań ostro. – Wiem, że przytułek czeka zamknięcie, nawet jeśli zaharujesz się na śmierć. Wiem, że nie potrafię bezczynnie się temu przyglądać. Wiem, że mogę pomóc. Wiem…

– Lord Caire jest niesławny z powodu swoich seksualnych perwersji – powiedział Winter, tymi beznamiętnymi, precyzyjnymi słowami przerywając jej tyradę.

Temperance wgapiła się w niego, zamknęła usta. Gdyby była dobrą kobietą, kobietą skromną i cnotliwą, informacja wzbudziłaby w niej odrazę. Tymczasem poczuła dreszcz, głuchy, głęboko ukryty i zakazany. Dobry Boże…

– Bądź ostrożna, siostro – ciągnął Winter. – Nie zdołam cię powstrzymać, nie będę więc próbował. Ale jeśli kiedykolwiek pomyślę, że coś ci grozi, przedstawię sprawę Concordowi.

Zaczerpnęła powietrza, ale się nie odezwała.

Brązowe oczy Wintera, zwykle tak spokojne i ciepłe, nabrały twardego, zdeterminowanego wyrazu.

– I zważ, że Concord cię powstrzyma.

Rozdział 5

Tak się złożyło, że pod balkonem Króla Zamknięte Serce mieścił się kamienny taras, skąd do wnętrza zamku prowadziły drzwi. W komnacie za nimi klęczała przy palenisku drobna, nieistotna pokojówka. Na imię miała Meg, a do jej zadań należało wygarnianie popiołu z zamkowych kominków. Praca była brudna, lecz Meg wykonywała ją radośnie, zadowolona, że ma zajęcie. Ponieważ zaś Meg wcale a wcale nie liczyła się na zamku, jego mieszkańcy nie zwracali na nią uwagi, gdy pracowała. Tym sposobem podsłuchała więcej niż kilka rozmów. Kiedy więc z balkonu nad jej głową król obwieścił, jak ogromnie jest kochany, Meg mimo woli zachichotała. Natychmiast zatkała sobie usta dłonią, ale wtedy było już za późno…
– z „Król Zamknięte Serce”

Kiedy dwa ranki później Silence otworzyła oczy, powitał ją najcudowniejszy widok na świecie: ukochana twarz jej męża, Williama. Spał, pełne wargi miał nieznacznie rozchylone, olśniewające zielone oczy zamknięte. Z kącików oczu rozchodziły mu się śliczne białe zmarszczki, odcinając się na opaleniźnie. Szlafmyca odstawała mu z lekka na świeżo ogolonej głowie. Oprószający szczękę rudawy zarost połyskiwał w porannym słońcu. Spod białej koszuli nocnej wyzierały przetykane siwizną kręcone rude włosy, rozkosznie kontrastując z mocną kolumną jego szyi. Na ten widok poczuła ucisk w dole brzucha. Chciałaby odsunąć na bok kołnierz jego koszuli, pocałować go u nasady szyi, może przeciągnąć językiem po tej pięknej, czystej skórze.

Zarumieniła się na tę lubieżną myśl. William wolał, gdy łóżkowym ćwiczeniom oddawali się nocą, po zgaszeniu świec, i miał całkowitą rację. Jedynie chutliwe stworzenie chciałoby kochać się w blasku dnia, rankiem po nocy, kiedy mąż z takim entuzjazmem dogłębnie je zaspokoił.

Wstała zatem, bacząc, żeby nie obudzić Williama. Odświeżyła się wodą z dzbana na komodzie i odziała szybko, zanim cicho przeszła do sąsiedniego pokoju.

Pokoje, jakie znalazł dla nich William, choć nie za duże, były przyjemnie urządzone. Oprócz maleńkiej sypialni mieli bawialnię z paleniskiem, na którym Silence mogła gotować. W trakcie dwóch lat małżeństwa z Williamem nadała wnętrzom przytulny charakter dzięki drobnym akcentom: porcelanowej pasterce tulącej różowe jagnię, ustawionej na obudowie kominka, zamykanemu słojowi w kształcie karczocha obok niej – Silence lubiła chować w nim pensy – i zasłonom na jedynym oknie, dla których odejmowała sobie od ust i które własnoręcznie uszyła. Prawda, wyszły jej troszkę koślawe i nie do końca stykały się pośrodku, miały jednak cudny brzoskwiniowy odcień pomarańczu, wywołujący w niej zawsze ochotę, by usiąść przy herbacie.

To było przyjemne gniazdko i Silence czuła się z niego dumna.

Nucąc pod nosem, Silence na nowo roznieciła ogień i wstawiła wodę na herbatę. Kiedy William wreszcie wyłonił się z sypialni, ziewając, na stoliku czekały gorąca herbata, podgrzane ciepłe bułeczki i masło.

– Dzień dobry – powiedział, siadając do stolika.

– Dzień dobry, mój mężu. – Silence cmoknęła go w szczeciniasty policzek, zanim nalała mu filiżankę herbaty. – Dobrze spałeś?

– W rzeczy samej – odparł, rozrywając bułeczkę. Przypaliły się tylko odrobinę, a poza tym zdrapała najgorsze części. – Zadziwiające, jak znacznie przyjemniej śpi się na łóżku, które się nie kołysze.

Uśmiechnął się przelotnie, błyskając białymi zębami, tak przy tym przystojny, że zaparło jej dech.

Silence spojrzała na swoją bułeczkę, uświadamiając sobie, że miażdży ją w palcach. Pospiesznie odłożyła ją na talerz.

– Co będziesz dziś robił?

– Muszę nadzorować rozładunek *Zięby*. Ulicznicy rozkradną nam połowę towaru, jeśli tego zaniedbam.

– O… Och, oczywiście.

Pociągnęła łyk herbaty, starając się ukryć rozczarowanie. Miała nadzieję, że po tylu miesiącach na morzu będzie mógł spędzić ten dzień z nią, ale było to głupie życzenie. William był kapitanem statku handlowego, ważną

personą. Naturalnie, że jego zobowiązania wobec *Zięby* stały na pierwszym miejscu.

Nadal jednak nie potrafiła przemóc rozczarowania.

William najwidoczniej to zauważył. Schwycił jej dłoń w rzadkiej manifestacji czułości.

– Powinienem był zacząć rozładunek wczoraj wieczorem. I zrobiłbym to, gdybym nie miał tak pięknej młodej żony.

Na jej policzki wypłynął żar.

– Naprawdę?

– W rzeczy samej. – Uroczyście skinął głową, ale w jego zielonych oczach zamigotała jakaś iskierka. – Obawiam się, że nie zdołałem się oprzeć pokusie zobaczenia ciebie.

– Och, Williamie.

Nie zapanowała nad głupkowatym uśmiechem, który rozlewał się po jej twarzy. Jakkolwiek byli małżeństwem już dwa lata, jej mąż więcej niż połowę tego czasu spędził na morzu. Każdy jego powrót przypominał kolejny miesiąc miodowy. Czy to kiedykolwiek się zmieni? Zdecydowanie liczyła, że nie.

William uścisnął jej dłoń.

– Im rychlej uporam się z obowiązkami, tym prędzej będę mógł zabrać cię do parku albo na jarmark, albo do ogrodu publicznego.

– Naprawdę?

– A jakże. Nie mogę się doczekać, żeby spędzić dzień z moją uroczą żoną.

Uśmiechnęła się do jego oczu, a serce trzepotało jej ze szczęścia.

– W takim razie lepiej jedz śniadanie.

Roześmiał się i przypuścił atak na bułeczkę i herbatę. Nazbyt szybko wstał i dokończył się ubierać, zakładając również białą perukę, która nadała mu aurę surowej władczości. Ucałował Silence w policzek i już go nie było.

Westchnęła i rozejrzała się po pokoju. Powinna pozmywać naczynia i wykonać inne prace, jeśli miała zabawiać się z mężem przez cały dzień. Z determinacją przystąpiła do działania.

Dwie godziny później Silence cerowała dziurę w białej pończosze Williama, zastanawiając się, czy żółta przędza rzeczywiście była właściwym wyborem, nawet przy uwzględnieniu, że biała jej się skończyła,

kiedy usłyszała, jak ktoś biegnie korytarzem. Podniosła wzrok, marszcząc czoło.

Poderwała się już na nogi, kiedy załomotano do drzwi. Pospieszyła je odryglować i otworzyć. W wejściu ukazał się William, ale nie oglądała dotąd męża w takim stanie. Pobladł pod opalenizną, oczy błyszczały mu szaleńczo.

– O co chodzi?! – wykrzyknęła z sercem w gardle. – Co się stało?

– *Zięba*… – Chwiejnie wszedł do pokoju, lecz potem stanął, z ramionami zwieszonymi wzdłuż boków, tocząc dzikim wzrokiem, jakby nie wiedział, co robić. – Jestem zrujnowany.

* * *

– Bardzo dobrze, Mary Whitsun – pochwaliła Temperance, obserwując, jak dziewczynka starannie umieszcza szew na robótce.

Siedziały razem w kącie kuchni, podczas gdy kilkoro innych dzieci przygotowywało obiad. Mary wyśmienicie posługiwała się igłą i Temperance uwielbiała pomagać jej przy pracy, kiedy znalazła czas. Niestety, czasu stale jej brakowało.

– Może umieścimy cię u krawcowej szyjącej mantuy[4]. Co ty na to?

Mary niżej pochyliła głowę nad pracą – przyozdabiała skraj fartucha.

– Wolałabym zostać tutaj z panią, psze pani.

Wyszeptane przez dziewczynkę słowa wywołały u Temperance znajome ukłucie bólu. Uniosła rękę, żeby pogładzić Mary po włosach, lecz powstrzymała się w porę i zwinąwszy palce, cofnęła dłoń. Niewłaściwe byłoby dawać dziewczynce fałszywą nadzieję.

– Wiesz, że to niemożliwe – powiedziała z werwą. – Gdybyśmy każde dziecko zatrzymywali w przytułku, wkrótce nie dałoby się tu ruszyć.

Mary przytaknęła ze zwieszoną głową, tak że nie było widać jej twarzy, ale ramiona jej drżały.

Temperance przyglądała się temu bezradnie. Zawsze czuła większą bliskość z Mary Whitsun niż z innymi dziewczynkami, choć wiedziała, że nie powinna. Przybyła pomagać w przytułku po śmierci Benjamina, swego męża. Niedługo potem ocaliła Mary Whitsun. Tamtego dnia dziewczynka wspięła się jej na podołek i zasiadła tam, ciepła, miękka i niosąca pociechę.

W owym czasie Temperance potrzebowała kogoś, kogo mogłaby przytulić. Od tamtej pory zawsze wiedziała, że Mary Whitsun jest wyjątkowa, nieważne, jak bardzo starała się zwalczyć to uczucie.

– Och, psze pani, nie zgadnie pani! – zawołała zdyszana Nell, wchodząc do kuchni.

Temperance spojrzała na pokojówkę z uniesioną brwią.

– Przypuszczalnie nie, dlatego lepiej mi powiedz.

Nell wyciągnęła ku niej złożony w kwadrat papier, który najwyraźniej zdążyła już przeczytać.

– Lord Caire zabiera panią dzisiaj na wieczór muzyczny!

– Co takiego? – Temperance wzięła kartkę, rozkładając ją bezmyślnie. Nie miała wieści od lorda Caire'a od nocy, kiedy został ranny, a choć potwornie się o niego martwiła, nie była pewna, czy wypada jej wysłać list z zapytaniem o zdrowie. – Nie mam… – Umilkła, czytając skreślone eleganckim odręcznym pismem słowa.

Zajedzie po nią o czwartej po południu. Spojrzenie Temperance pomknęło ku staremu zegarowi na gzymsie nad paleniskiem. Wskazówki ujawniały, że dopiero co minęło południe. Miała świadomość, że w kuchni zapadła nagła cisza, a wszystkie dzieci wbijają w nią wzrok.

– Dobry Boże… – Na moment zamarła, zgniatając w dłoni wiadomość. – Nie mam w co się ubrać.

Sądziła, że został jej co najmniej tydzień na znalezienie nowej sukni!

Nell zamrugała i wyprężyła się jak żołnierz wezwany do broni.

– Mary Evening, odpowiadasz za kuchnię. Mary Whitsun, Mary St. Paul i Mary Little, chodźcie ze mną. A pani – Nell surowo wycelowała palec w Temperance – idzie do swojej tyciej bawialni i zdejmuje suknię.

Pokojówka odmaszerowała dziarsko na czele grupki pomocnic.

Temperance spojrzała na kartkę w dłoni i wygładziła ją pieczołowicie. Słowa lorda Caire'a wyskakiwały ku niej, śmiałe i stanowcze. Zobaczy go dziś wieczorem. Będzie mu towarzyszyć w trakcie szacownego wydarzenia towarzyskiego. Będzie się wspierać na jego ramieniu. Och… Och, wielkie nieba! Policzki zapłonęły jej na samą myśl, a choć wśród jej emocji dominowały strach i trwoga, przebiła się przez nie całkiem wyraźna nuta ekscytacji.

Temperance złapała świecę i podążyła do swojej małej bawialni. Prędko zdjęła szal, suknię i buty. Kiedy Nell wróciła ze swoim oddziałem,

Temperance stała w samej halce i gorsecie.

– Już pięć lat ją mam albo i dłużej – powiedziała Nell, wchodząc z jakimś pakunkiem. – Nie mogłam się z nią rozstać, nawet jak było bardzo źle.

Położyła pakunek na fotelu i odwinęła. Lśniący czerwony jedwab rozlał się na poduszkach. Temperance wytrzeszczyła oczy. Suknia była piękna – żywa i kolorowa, a przy tym o wiele, wiele za śmiała.

– Nie mogę jej założyć – palnęła, nim pomyślała o uczuciach Nell.

Ale pokojówka jedynie wzięła się pod boki.

– A co innego pani założy? Przecie nie pójdzie pani w tym.

„Tym”, czyli codziennej czarnej sukni, przewieszonej teraz przez oparcie fotela. Temperance posiadała dokładnie trzy suknie, wszystkie z praktycznej czarnej tkaniny.

– Wobec tego… – zaczęła, ale została zagłuszona, kiedy Nell zarzuciła jej czerwoną suknię na głowę.

Dzielnie przebijała się przez rękawy i stanik, aż wreszcie wynurzyła się z prychaniem. Nell obiegła ją i zaczęła zapinać suknię na plecach.

Mary Whitsun krytycznie przekrzywiła głowę.

– Kolor jest śliczny, psze pani, ale stanik nie całkiem pasuje.

Temperance spojrzała w dół i uzmysłowiła sobie, że nigdy dotąd nie oglądała tak znacznej części swego dekoltu wystawionej na pokaz. Stanik był niebywale głęboko wycięty.

– O, nie. Nie mogę…

– Nie, pewno, że pani nie może. – Nell przeszła do przodu, żeby dokonać oględzin. – Nie tak w każdym razie. – Złapała luźny materiał stanika, formując dwa stożki przed niewielkimi piersiami Temperance. Puściła jedwab, ten zaś obwisł żałośnie. – Nie, trza to zebrać.

– A tu na dole? – spytała Mary Whitsun.

Pochyliła się, żeby obejrzeć skraj sukni, który od podłogi nieszczęśliwie dzieliło dobrych dziesięć centymetrów.

Nell odchrząknęła.

– To też. Drogie panie, przed nami pracowite popołudnie.

I tak też było. Przez całe popołudnie Nell i jej pomocnice naciągały, zszywały i przycinały.

Blisko cztery godziny później Temperance stanęła w kuchni na końcową inspekcję. Do tego czasu zdążyła się wykąpać i umyć włosy. Nell ułożyła je

fachowo, wplatając w nie szkarłatną wstążkę. Suknia barwy wiśni mieniła się w blasku ognia, kiedy Temperance usiłowała podciągnąć stanik wyżej. Dekolt nadal był stanowczo zbyt głęboki jak na jej gust.

– Pani przestanie. – Nell trzepnęła ją po rękach. – Pozrywa pani szwy.

Temperance zamarła. Ostatnie, o czym marzyła, to żeby suknia z niej spłynęła.

– Szkoda, że nie ma pani odpowiednich pantofelków – powiedziała Mary Whitsun.

Temperance zebrała spódnice, żeby spojrzeć na swoje solidne czarne trzewiki ze sprzączką.

– Cóż, te będą musiały wystarczyć. Dzięki falbanie właściwie nie będzie ich widać.

Marszczona falbana z czarnego jedwabiu, którą Nell doszyła do skraju sukni, do niedawna była jednym z lepszych kaftanów papy.

– Wygląda naprawdę pięknie – orzekła Mary.

Usta Temperance zadrżały.

– Dziękuję, Mary Whitsun.

Była absolutnie przerażona. Dopiero teraz dotarły do niej wszystkie konsekwencje układu zawartego z lordem Caire’em. Wkraczała między arystokratów – te olśniewające istoty, tak eleganckie i barwne, że wręcz nie wydawały się ludźmi. Czy uznają ją za zabawną figurę?

Jakżeby inaczej?

Cóż, lord Caire był człowiekiem w wystarczającym stopniu. Temperance się wyprostowała. Jakie miało znaczenie, co pomyślą o niej te egzotyczne istoty? Udawała się na wieczór muzyczny, żeby ocalić przytułek. Dla Wintera i Nell, i Mary Whitsun, i wszystkich pozostałych dzieci. Dla nich z pewnością przetrwa jedną noc upokorzenia.

Uśmiechnęła się do swej dziecięcej widowni.

– Dziękuję wam wszystkim – powiedziała. – Byliście naprawdę…

– Ktoś puka! – Jeden z chłopców popędził do frontowych drzwi.

– Josephie Tinbox. – Temperance podążyła za nim do sieni. – Nie biegnij. Nie robi większej różnicy, czy…

Ale Joseph Tinbox już odciągał zasuwę i otwierał drzwi, by ujawnić nie lorda Caire’a, lecz Silence.

Temperance się zatrzymała. Jej siostra miała bladą twarz i nie założyła czepka. Piękne rdzawe włosy zmierzwił jej wiatr, w orzechowych oczach

malował się tragiczny wyraz. Silence nawet nie spojrzała na piękną wiśniową suknię.

– Temperance.

– Co się stało? – szepnęła Temperance.

Silence położyła dłoń na framudze, jakby potrzebowała oparcia.

– Williamowi ukradziono ładunek.

* * *

Minęła czwarta, kiedy kareta Lazarusa zatrzymała się u wylotu Maiden Lane. Uliczka była zbyt wąska dla pojazdu, toteż lord zszedł po stopniach i polecił stangretowi oraz służącym, żeby zaczekali, po czym ruszył ku drzwiom przytułku pani Dews. Słońce jeszcze nie całkiem zaszło, niemniej mocno zaciskał w pięści hebanową laskę. Kątem oka uchwycił jakiś ruch w cieniu, dziwne mignięcie czerwieni i czerni, gdy jednak się odwrócił, ów obiekt – mężczyzna? – zniknął.

Po dwóch nocach wypoczynku bark dokuczał mu bardziej niż na początku. Nieustannie pulsował tępym bólem. Tego ranka na widok rany Small przełamał swą zwykłą rezerwę i zasugerował, że jego pan dobrze by zrobił, spędzając najbliższy wieczór w łóżku – którą to sugestię Lazarus odrzucił po nader krótkim namyśle. Był winien pani Dews wydarzenie towarzyskie, w trakcie którego mogłaby zapolować na patrona dla swego przytułku. Ponadto dziwnie palił się do tego, by znów ją zobaczyć, przy czym ów stan umysłu szalenie ubawił jego mroczne ego. Zaproszenie na wieczór muzyczny nieomal wypadło mu z pamięci, gdy jednak przypomniał sobie o nim dziś rano, wiedział, że jest to jedno z niewielu wydarzeń, na które może zabrać panią Dews.

Większość otrzymywanych przezeń zaproszeń dotyczyła rozrywek znacznie mniej delikatnych.

Lazarus gałką laski zapukał w drewniane drzwi przytułku. Prawie natychmiast otworzyła mu dziewuszka z mnóstwem piegów na zadartym nosku i policzkach. Odstąpiła bez słowa i wszedł do żałosnej sieni. Nie było tu nikogo poza nimi dwojgiem.

Spojrzał na dziecko, unosząc brew.

– Gdzie jest pani Dews?

Dziewczynka gapiła się, ewidentnie oniemiała na jego widok.

Lazarus westchnął.

– Jak ci na imię?

Nastała kolejna chwila niezręcznej ciszy, w trakcie której dziecko wpakowało kciuk do ust, a później oboje uratował stukot obcasów.

– Mary St. Paul, wróć, proszę, do kuchni i przekaż Nell, żeby dobrze zaryglowała za mną drzwi – powiedziała pani Dews.

Oświetlona od tyłu blaskiem z kuchni, zbliżała się ku niemu jakby w świetlistej poświacie. Miała na sobie szkarłatną suknię, szokująco jaskrawy kolor kontrastował z surowością jej codziennego stroju. Bezmiar gładkiej, białej skóry niemalże promieniał w mocno wyciętym, okrągłym dekolcie.

Jego lędźwie zareagowały w sposób łatwy do przewidzenia.

Ukłonił się.

– Pani Dews.

– Hm? – Skoncentrowała na nim wzrok, jakby dopiero teraz go zauważyła, a jego próżność aż stanęła dęba z niedowierzania.

Wyprostował się, z rozmysłem podsuwając jej ramię. Oczywiście, proponowanie damie ramienia było zwyczajowym uprzejmym gestem, jak najbardziej oczekiwanym. Dla niego wszakże, przy jego szczególnej awersji do fizycznego kontaktu, gest ten stanowił zawsze źródło dyskomfortu, toteż starał się go unikać. Teraz jednak zdawał się tęsknić za jej dotykiem. Dziwne. Umieściła palce na jego rękawie. Poczuł gwałtowne ukłucie, nawet przez sztywny materiał, ale czy był to ból, czy inne, trudniejsze do zdefiniowania doznanie, tego nie potrafił stwierdzić.

Interesujące.

– Idziemy? – spytał.

Ona wszakże jakby się zawahała, spoglądając w stronę kuchni.

– Chyba… Tak, chyba tak. – Po raz pierwszy popatrzyła wprost na niego i wykrył coś na podobieństwo delikatnego rumieńca wysoko na jej policzkach. – Dziękuję, milordzie.

Skinął głową i poprowadził ją na zewnątrz. Noc była zimna, pani Dews otuliła ramiona cienką narzutką. Narzutka, szara, z szorstkiego materiału, wyraźnie bliższa jej zwykłemu stylowi, wyglądała jeszcze nędzniej w zestawieniu z intensywną czerwienią jedwabnej kreacji. Lazarus zmarszczył brwi, zastanawiając się, skąd wzięła tę suknię. Miała ją od

dawna, oszczędzając na specjalne okazje, czy musiała kupić na dzisiejsze wyjście?

Pani Dews odkaszlnęła.

– W liście wspomniał pan, że wybieramy się na wieczór muzyczny.

Stanęli przed karetą, jeden ze służących w międzyczasie zeskoczył i przygotował schodek. Lazarus osłoniętą rękawiczką dłonią ujął palce pani Dews, pomagając jej wsiąść do pojazdu.

Nie wiedział, czy cieszy się, że ona dłużej go nie dotyka, czy wręcz przeciwnie.

– Gospodynią jest lady Beckinhall, prawdziwa lwica w londyńskim towarzystwie. W jej domu powinno się zjawić wielu bogatych gości.

Pani Dews ulokowała się na siedzeniu naprzeciw niego. Lazarus zapukał w dach i opadł na swoje miejsce.

Ona zaś ze zmarszczonymi brwiami wbijała wzrok w podołek.

– Mówi pan, jakbym była wyrachowana.

– Rzeczywiście? – Przekrzywił głowę, przyglądając jej się bacznie. Była dziś zdenerwowana i rozkojarzona, nie sądził jednak, by odpowiadała za to perspektywa uczestnictwa w elitarnym wydarzeniu towarzyskim. Co takiego wytrąciło ją z równowagi? – Nie jest to moim zamiarem, zapewniam panią.

Odwróciła się do ciemnego okna, być może wpatrując się we własne odbicie.

– Przypuszczam, że jestem wyrachowana, ale to dla przytułku.

– Wiem.

Przez moment poczuł dziwną czułość do niej, tej jego małej męczennicy.

Później znów nań spojrzała.

– Skąd zna pan lady Beckinhall?

Uśmiechnął się kwaśno.

– Jest dobrą przyjaciółką mojej matki.

– Pańskiej matki? – Jej brwi wspięły się wysoko na białe czoło.

– Sądziła pani, że wyłoniłem się w pełni uformowany z uda mojego ojca?

– Nie, oczywiście, że nie. – Położyła dłoń na dekolcie, a potem pozwoliła jej opaść. – A zatem pańska matka żyje?

Przytaknął.

– Ma pan rodzeństwo?

Przypomniał sobie wielkie brązowe oczy, zbyt poważne na jej wiek, oraz dotyk, który nigdy nie wywoływał bólu. Zamrugał, by odpędzić zjawę.

– Nie.

Przekrzywiła głowę, z powątpiewaniem mierząc go wzrokiem.

Zmusił się do uśmiechu.

– Naprawdę. Jestem ostatni z rodu, nie licząc mojej dostojnej matki.

Pokiwała głową.

– Sama mam trzech braci i dwie siostry.

– Jak widać, Makepeace'owie są płodni – podsumował z przekąsem.

Zasznurowała wargi, jakby z dezaprobatą, kontynuowała jednak:

– Moja młodsza siostra ma na imię Silence.

Uniósł brwi, ale wystarczyło mu inteligencji, żeby nie skomentować.

Temperance nachyliła się odrobinę do przodu, a wskutek tego ruchu jej narzutka zsunęła się, odsłaniając ramię barwy kości słoniowej. Zastanowił się, czy zrobiła to umyślnie.

– Silence jest żoną kapitana statku, pana Williama Hollingbrooka. Niedawno zawinął do portu. Minionej nocy ukradziono ładunek jego statku.

Umilkła i przyglądała mu się tymi dziwnymi jasnobrązowymi oczami, jakby czekała na reakcję.

Spróbował dociec, jak zareagowałby na taką wiadomość przeciętny mężczyzna w bardziej typowej sytuacji.

– Przykro mi – rzekł.

Temperance potrząsnęła głową, ewidentnie nieusatysfakcjonowana.

– Jeśli ładunku nie uda się odzyskać, przynajmniej w części, kapitan Hollingbrook będzie zrujnowany. Silence będzie zrujnowana.

Potarł kciukiem srebrnego sokoła na lasce.

– Dlaczego? Włożył pieniądze w ten statek?

– Nie, ale najwyraźniej właściciel statku oskarża go o współudział w kradzieży.

Zastanowił się nad tym.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałem, by ukradziono ze statku cały ładunek.

– To dość niezwykłe. Ponoć nie ma nic dziwnego w tym, że ginie część ładunku, ale wszystko, co było na pokładzie… – Wzruszyła ramionami i z rezygnacją opadła na poduszki oparcia kanapy.

Obserwował ją, tę kobietę z innego świata. Nie wiedział, dlaczego postanowiła zwierzyć mu się ze swych zmartwień, ale fakt, że obdarzyła go zaufaniem, sprawił mu irracjonalną przyjemność. Wykrzywił usta, rozbawiony własnym zidioceniem.

Znienacka poderwała wzrok.

– Przepraszam, że pana tym obarczam.

– Ależ skąd.

Uśmiechnęła się drżącymi wargami.

– Nie podziękowałam panu za dzisiejsze zaproszenie.

Wzruszył ramionami.

– To część naszego układu.

– Tak czy owak, jestem panu niezmiernie wdzięczna za życzliwość.

– Niech pani nie będzie głupia – rzekł opryskliwie. – Ostatnie, co można o mnie powiedzieć, to że jestem życzliwy.

Zesztywniała i odwróciła od niego twarz.

Niech to diabli! Zareagował zbyt pochopnie. Chciał widzieć jej oczy, słuchać, jak zwierza mu się ze swych trosk.

Odkaszlnął.

– Nie zamierzałem mówić tak ostro – burknął.

Kącik jej ust uniósł się minimalnie, nie raczyła wszakże obrócić ku niemu twarzy.

– Czy pan mnie przeprasza, milordzie?

– A gdybym przepraszał? – zapytał miękko. – Przyjęłaby pani mój hołd?

Opuściła rzęsy.

– Nie czuję potrzeby, by padał pan przede mną na kolana.

– Nie? – rzucił lekkim tonem. – Może wobec tego to moje potrzeby mnie tam popchną.

Obserwował, jak rumieniec wspina się wolno po jej szyi.

– Albo – szepnął – może pani miałaby chęć uklęknąć przede mną?

Zaczerpnęła prędko powietrza, jakby dotknięta, i spojrzała nań szeroko otwartymi oczami. Takiej reakcji należało oczekiwać – jego sugestia była prostacka i niegodna. Powinna poczuć się urażona. Ale to nie uraza przyspieszyła jej oddech, aż jej rozkoszne piersi rozpierały stanik sukni przy każdym wdechu. Było to coś znacznie bardziej pierwotnego.

Lazarus opuścił wzrok, czując, że w jego ciele także narasta żar. Polował już w ten sposób, wypatrywał zdobycz, krążył nad nią, a wreszcie

nurkował, by pochwycić ją w szpony, lecz to doznanie… było znacznie bardziej intensywne od wcześniejszych polowań.

– Nie powinien… nie powinien pan zwracać się do mnie w ten sposób – odezwała się, a głos jej drżał, tyle że nie z gniewu.

Wpatrywał się w nią spod osłony brwi.

– Dlaczego? Bawi mnie omawianie z panią tych spraw. Pani nie?

Temperance przełknęła ślinę. Wyraźnie widział pracę jej przełyku.

– Niech pan przestanie.

– Myślę, że pani się to podoba. Myślę, że ma pani w głowie ten sam obrazek co ja. Powiedzieć pani, co widzę?

Trzymała dłoń na gardle, ale milczała, wpatrując się w niego szklistym wzrokiem.

Z rozmysłem przeniósł spojrzenie na wzgórki jej obnażonych piersi.

– Widzę panią w tej sukni, klęczy pani przede mną, jej spódnice rozlewają się w lśniącą kałużę szkarłatu. Widzę siebie, jak stoję przed panią. Podnosi pani na mnie wzrok, złote oczy ma na pół przymknięte, jak w tej chwili, wargi zaczerwienione i wilgotne od swojego języka… lub może mojego.

– Nie – jęknęła tak cicho, że odczytał słowo wyłącznie z ruchu jej warg.

– Widzę siebie, jak biorę pani dłoń i kładę sobie na kroczu. – Jego penis był twardy, pulsował pod wpływem jego słów i jej reakcji na nie. – Widzę, jak pani smukłe, chłodne palce pieczołowicie odpinają każdy guzik, podczas gdy ja gładzę pani upięte włosy. Widzę, jak pani…

Kareta zatrzymała się z szarpnięciem.

Lazarus cicho zaczerpnął powietrza i rozchylił zasłony, by wyjrzeć na zewnątrz. Rezydencja lady Beckinhall jarzyła się od świateł.

Puścił zasłonkę i popatrzył na panią Dews na siedzeniu naprzeciw. Oczy miała szeroko rozwarte, na policzkach rumieńce i założyłby się o własne życie, że pod tymi mieniącymi się szkarłatnymi spódnicami była wilgotna.

Kącik jego ust skoczył w górę, ale to nie wesołość czuł w tej chwili.

– Jesteśmy na miejscu. Wysiadamy? – Obserwował, jak przytomnieje, jak białymi zębami przygryza pulchną dolną wargę. Zniżył głos do chropawych głębi: – Czy kazać stangretowi, żeby jechał dalej?

Rozdział 6

Król Zamknięte Serce ryknął na straże, by przyprowadziły szubrawca, który miał czelność się z niego śmiać. W parę chwil zawleczono przed jego oblicze potarganą i czarną od sadzy Meg.
– Jak cię zwą?! – huknął Król Zamknięte Serce.
– Meg, jeśli to Waszą Królewską Mość zadowoli.
Zgromił ją spojrzeniem.
– A cóż cię tak rozbawiło w mojej mowie?
Gwardziści i dworzanie, zwabieni zamieszaniem, jak jeden mąż oczekiwali, że mała pokojówka rzuci się królowi do stóp i będzie błagać o życie. Meg jednak potarła koniuszek uwalanego sadzą nosa i postanowiła, że skoro i tak już po niej, równie dobrze może mówić prawdę.
– Jedynie przekonanie Waszej Królewskiej Mości o miłości poddanych…
– z „Król Zamknięte Serce”

Był uosobieniem pokusy.

Temperance wpatrywała się w lorda Caire’a, czując przyspieszone bicie serca i ból między udami. Przez ostatnie dziewięć lat unikała mężczyzn właśnie z powodu swych grzesznych pragnień. A przecież tutaj, teraz, siedziała naprzeciw mężczyzny znacznie bardziej uwodzicielskiego niż jakikolwiek dotąd jej znany. Wiedział doskonale, jak obudzić jej demony, jak ją drażnić i podniecać, aż znalazła się w gorączkowym rozbiciu i ta straszna, potworna część jej natury chciała – potrzebowała – ulec. Poddać się czarowi jego niebieskich oczu. Uklęknąć przed nim i dotknąć tej najbardziej doczesnej części męskiego ciała. Zrobić to, co zabronione, i otoczyć go ustami w akcie, który żadną miarą nie wiązał się z płodzeniem dzieci.

Akcie czysto cielesnym.

Nie.

Temperance wyzwoliła się spod jego hipnotyzującego spojrzenia i z drżeniem zaczerpnęła powietrza.

– Proszę mnie stąd wypuścić.

Przez chwilę ani drgnął, nawet nie mrugnął, wpatrywał się w nią jedynie tymi szafirowymi oczami, które zdawały się parzyć jej obnażoną skórę. Zaparło jej dech na ten widok, na myśl o tym, że być może nie pozwoli jej wysiąść, zabierze ją gdzieś i każe robić te niecne rzeczy, o których dopiero co mówił swym głębokim głosem.

Później westchnął.

– Doskonale, pani Dews.

Wstał i otworzył drzwi karety, po czym zeskoczył na ziemię i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wysiąść. Temperance złożyła drżące palce w jego dłoni, a on na długą chwilę zamknął je w uścisku, gorącym i zaborczym nawet przez rękawiczkę. Później dotknęła stopami gruntu i puścił ją, w zamian znów oferując jej ramię. Wsparła się na nim, biorąc oddech dla uspokojenia, świadoma, że zadrżał pod jej dotykiem. Wokół nich eleganckie damy zstępowały z karet przyozdobionych złoconymi herbami. Wiśniowa suknia, przy której Nell tak ciężko pracowała całe popołudnie, wydała jej się nagle stara i zbyt krzykliwa, wstążka w jej włosach świadczyła zaś po prostu o braku obycia. Temperance z nagłym przestrachem przełknęła ślinę. Nie pasowała tutaj. Była wróblem między pawiami.

Lord Caire nachylił się ku niej.

– Gotowa?

Wysunęła brodę.

– Tak, oczywiście.

– Z odwagą wkracza między lwy – wymamrotał.

W środku rezydencja lady Beckinhall skrzyła się bogactwem białego marmuru, złoceń i kryształów. Nad ich głowami migotał żyrandol z setką świec. Temperance w roztargnieniu oddała lokajowi wysłużoną narzutkę z szarej wełny, nie przejmując się, kiedy ten z krzywą miną wziął ją w dwa palce. Rezydencja przywodziła jej na myśl zamek z bajki. Wiodła palcami po marmurowej balustradzie, kiedy lord Caire prowadził ją na górę. Ilu służących spędzało całe dnie na kolanach, polerując biały marmur?

U szczytu schodów podążyli za strumieniem jaskrawo przyodzianych gości do podłużnej sali, z jednej strony całej w lustrach, tak że zdawało się, iż w pomieszczeniu znajdują się tysiące dam w olśniewających sukniach, którym towarzyszą niezliczeni onieśmielająco eleganccy dżentelmeni. Gdyby Temperance przyszła tu sama, przypuszczalnie by uciekła, pod palcami czuła jednak silne i ciepłe ramię lorda Caire'a.

– Odwagi – mruknął.

– Moja sukienka – powiedziała cichutko.

– Pani sukienka jest w porządku – odszepnął. – W przeciwnym razie nie pozwoliłbym pani tu wejść. Co ważniejsze, nie ma pani czego się wstydzić w tym tłumie. Wysławia się pani nie gorzej od obecnych tu dam, dorównuje im bystrością. I ma pani coś, czego one nie mają: zaradność życiową.

– To zwykle nie jest powód do dumy – stwierdziła Temperance.

Spojrzał na nią.

– Może powinien być. Niech pani trzyma głowę wysoko.

Jedna z wyrafinowanych dam odwróciła się, kiedy weszli, i wolno podążyła w ich stronę. Nosiła ciemnoniebieską suknię, a gdy się zbliżyła, Temperance przekonała się, że to, co początkowo wzięła za haftowane kwiaty na jej spódnicy, było w istocie naszytymi rubinami i szmaragdami.

Dobry Boże!

– Lazarusie – odezwała się przeciągle ta nieziemska istota – co za niespodzianka spotkać cię tutaj.

Była dojmująco piękna, niczym bogini, która zstąpiła na ziemię, by zabawić się kosztem śmiertelników. Z tak bliska Temperance widziała w jej włosach dwie piękne szpilki, diamenty, szmaragdy i rubiny ułożone w kształt ptaków. Diamenciki na końcach delikatnych drucików drżały, ilekroć dama poruszała głową.

Temperance z całych sił starała się nie gapić, ale w jej towarzyszu dama najwyraźniej nie wzbudzała takiego podziwu. Skłonił głowę tak płytko, że było to obraźliwe.

Piękne usta damy zacisnęły się w kreskę, przeniosła spojrzenie na Temperance.

– A kim jest ta… osoba?

– Przedstawiam pani panią Dews – rzekł krótko lord Caire.

Temperance odnotowała, że nie przedstawił jej nieznajomej.

Dama ewidentnie również zwróciła uwagę na ten szczegół. Zesztywniała.

– Jeśli przyprowadziłeś do domu lady Beckinhall jedną ze swoich kokot…

Lord Caire uniósł brew.

– Wyobraźnia nie przynosi pani chluby, milady. Zapewniam, że pani Dews jest prawdopodobnie najbardziej godną szacunku osobą spośród tu obecnych.

Dama zwęziła oczy.

– Uważaj, Lazarusie. Stąpasz po cienkim lodzie.

– Doprawdy?

– Co cię łączy z tą kobietą?

Temperance poczuła, jak policzki płoną jej w obliczu tak oczywistego lekceważenia ze strony damy. Nieznajoma zachowywała się, jakby Temperance była psem lub kotem, tępym zwierzęciem, niezdolnym się porozumiewać.

– Przyjaźń – oznajmiła Temperance.

– Co pani powiedziała? – Dama zamrugała, jakby autentycznie zdumiało ją, że Temperance zna ludzką mowę.

– Powiedziałam, że jestem przyjaciółką lorda Caire'a – odparła zdecydowanym tonem Temperance. – A pani to…?

– Lazarusie, powiedz mi, że chodzi o jakiś żart. – Dama odwróciła się znów do Lazarusa, ignorując Temperance tak dogłębnie, jak zapewne zwykła traktować pomywaczkę.

– Nie. – Lord Caire uśmiechnął się blado. – Mniemałbym, że akurat pani będzie szczęśliwa, iż zdecydowałem się towarzyszyć przyzwoitej damie podczas tego zbiegowiska.

– Przyzwoitej! – Dama opuściła powieki, jakby zniesmaczona tym słowem. Później jej szafirowe oczy otworzyły się gwałtownie. – Odeślij ją i pozwól, że przedstawię cię komuś dorównującemu ci pozycją. Jest kilka niezamężnych…

Ale lord Caire już zamierzał poprowadzić Temperance dalej.

– Lazarusie! – syknęła w ślad za nim dama. – Jestem twoją matką.

Lord Caire zesztywniał i odwrócił się z okrutnym uśmiechem na ustach.

– Tak też słyszałem, szanowna pani.

Zamarkował ukłon. Kiedy się odwracali, przez twarz damy przemknął nieokreślony wyraz. Przez chwilę zdawała się bezbronna i zagubiona.

Czyżby zraniona? Później znowu skryła się za zimną maską opanowania, a oni ją minęli.

Temperance spojrzała na lorda Caire’a, świadoma, że płoną jej policzki.

– To była pańska matka?

– Niestety, tak – odparł i ziewnął, elegancko zasłaniając usta pięścią.

– Wielkie nieba! – Nigdy by nie odgadła stopnia ich pokrewieństwa, widząc jawną wrogość, jaką lord Caire okazywał damie. Czy nienawidził własnej matki? Zmarszczyła brwi, przypomniawszy sobie coś jeszcze. – Czy ona naprawdę sądziła, że jestem pańską…?

– Tak – rzucił. Popatrzył na nią i dodał łagodniejszym tonem: – Proszę się tym nie martwić. Wszystkim innym wystarczy na panią spojrzeć, by wiedzieli, że nigdy nie dałaby mi się pani zdeprawować.

Temperance umknęła wzrokiem, niepewna, na ile się z nią droczy, i właśnie wtedy to się zdarzyło. Kiedy stawiała krok, poczuła coś pod butem i usłyszała odgłos rozdzierania.

– O nie!

– Co się stało?

Temperance spojrzała na dolną część sukni, w miarę możliwości dyskretnie.

– Naderwałam skraj sukni. – Popatrzyła na lorda Caire’a. – Czy jest tu miejsce, gdzie mogłabym ją naprawić?

Przytaknął i po chwili uzyskał od lokaja informację, gdzie znajduje się gotowalnia dla pań. Szło się do niej krótkim korytarzem i Temperance ostrożnie uniosła spódnice, zmierzając we wskazanym kierunku. Rozejrzała się, kiedy weszła – pokój był dobrze oświetlony i ładnie urządzony, z niskimi fotelami, na których mogła spocząć dama – ale nikogo w środku nie zastała. Przystanęła skonsternowana. Czy nie powinny tu czekać gotowe do pomocy pokojówki?

Wzruszyła ramionami i usiadła, żeby obejrzeć skraj sukni.

– Mogę jakoś pomóc?

Uniosła głowę, spodziewając się pokojówki, ale do pomieszczenia weszła dama. Wysoka i blada, o nienagannie królewskiej postawie, miała włosy w uroczym jasnorudym odcieniu. Nosiła wspaniałą suknię – w przygaszonych szarościach i zieleniach, wyszywaną srebrną nicią.

Temperance zamrugała.

Z twarzy kobiety spłynął wszelki wyraz.

– Nie chcę przeszkadzać…

– Och, nie – rzekła pospiesznie Temperance. – Po prostu spodziewałam się pokojówki albo… albo… no cóż, w każdym razie nie damy. Pechowo naderwałam skraj sukni.

Kobieta zmarszczyła prosty nos.

– Nienawidzę tego. – Obejrzała się przez ramię. – Zdaje się, że lady Kitchen ma właśnie atak histeryczny czy też nerwowy. Bez wątpienia to tam pobiegły wszystkie pokojówki.

– Och… – Temperance spojrzała znów na czarną falbanę u dołu sukni. Zwisała cokolwiek smętnie.

Ale dama już klękała przed nią, zielone i srebrne spódnice rozlały się wokół niej rozmigotaną chmurą.

– Och, proszę, nie! – zawołała instynktownie Temperance.

Ta kobieta, co oczywiste, była arystokratką. Co by zrobiła, gdyby wiedziała, że pomaga córce browarnika?

– W porządku – rzekła cicho dama. Nie obraziła się o wybuch Temperance. – Mam kilka szpilek…

Wprawnie podwinęła skraj sukni, przypięła od spodu falbanę, po czym na powrót opuściła materiał. Szpilek nie było nawet widać.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Temperance. – Świetnie pani sobie z tym radzi.

Nieznajoma podniosła się z lekkim uśmiechem.

– Mam doświadczenie. Na takich towarzyskich spędach damy powinny trzymać się razem, zgodzi się pani?

Temperance odwzajemniła uśmiech, pewna siebie po raz pierwszy, od chwili kiedy lord Caire przysłał jej zaproszenie.

– Jest pani bardzo miła. Dziękuję. Zastanawiam się tylko…

Drzwi otworzyły się gwałtownie i weszło kilka dam w asyście fruwających wokół nich pokojówek. Najwyraźniej była wśród nich lady Kitchen ze swymi histeriami. W powstałym zamieszaniu Temperance rozdzielono z jej nową przyjaciółką, a kiedy wreszcie wydostała się na korytarz, kobiety nie było już nigdzie widać.

Mimo wszystko Temperance wróciła do lorda Caire’a lżejszym krokiem, pokrzepiona serdecznością nieznajomej. Znalazła go opartego o ścianę, skąd cynicznym spojrzeniem lustrował towarzystwo.

Na jej widok się wyprostował.

– Lepiej?

– Znacznie – odparła rozpromieniona.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Poszukajmy więc dla pani jakiejś zdobyczy.

Ruszyli ku odległemu krańcowi sali, gdzie na wprost malowanego pięknie fortepianu ustawiono w rzędach złocone krzesła. Nikt nie zajmował jeszcze miejsc. Lord Caire poprowadził ją wprost do trzech dżentelmenów.

– Milordzie. – Chudy jak szczapa dżentelmen w długiej białej peruce skinął głową, kiedy się zbliżyli. – Nie przypuszczałem, że lubi pan takie rozrywki.

– Ach, moje gusta są zróżnicowane. – Lord Caire podwinął wargę. – Czy mogę przedstawić panu panią Dews? Pani Dews, to jest sir Henry Easton.

– Szanowny panie. – Temperance wykonała swój najlepszy dyg, podczas gdy podstarzały dżentelmen się ukłonił.

– A to są kapitan Christopher Lambert oraz pan Godric St. John. Panowie, pani Dews wraz z bratem, panem Winterem Makepeace'em, prowadzi Przytułek dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków na East Endzie, wielce chrześcijańską i dobroczynną instytucję.

– Ach tak? – Sir Henry uniósł krzaczaste brwi, spoglądając na nią z zainteresowaniem.

Kapitan Lambert również skierował na nią wzrok. Dla odmiany pan St. John, wysoki mężczyzna w szarej peruce, spojrzał ponad okularami połówkami na lorda Caire'a, unosząc brew.

Przez chwilę Temperance zastanawiała się, co łączy lorda Caire'a z panem St. Johnem. Potem sir Henry zapytał:

– Ilu urwisów znalazło schronienie w państwa instytucji, pani Dews?

Temperance przywołała na usta najbardziej czarujący uśmiech, zamierzała bowiem upolować dla przytułku jednego z tych szacownych dżentelmenów.

* * *

– Co ty zamierzasz, Caire? – syknął kącikiem ust Godric St. John.

Lazarus nie odrywał oczu od swej małej męczennicy, kiedy ta uciekała się do wszystkich znanych sobie świątobliwych sztuczek, żeby uwieść

Lamberta oraz Eastona i pozyskać ich wsparcie dla przytułku.

– Nie mam pojęcia, do czego nawiązujesz.

St. John prychnął cicho i na pół się odwrócił, tak by słyszał go tylko Lazarus.

– Oczywiste, że jest tak przyzwoita, jak twierdzisz, a to znaczy, że albo wykorzystujesz ją do jakichś włas-nych celów, albo twoja deprawacja zeszła na poziom gwałtu na niewinnych.

– Czuję się zraniony – wycedził Lazarus, kładąc palce na sercu.

Przybrał ironiczną, wręcz zblazowaną pozę, ale, co dziwne, w piersi istotnie poczuł coś, co mogło być ukłuciem bólu.

St. John nachylił się ku niemu.

– Czego od niej chcesz? – szepnął.

– Dlaczego cię to interesuje? – Lazarus zwęził oczy. – Zabawisz się w rycerza w lśniącej zbroi i wykradniesz ją z moich łajdackich ramion?

St. John uniósł głowę, jego zwykle łagodne szare oczy nabrały twardości granitu.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Sądzisz, że pozwoliłbym ci odebrać sobie coś, na czym mi zależy?

– Mówisz o pani Dews, jakby była zabawką. – Po minie St. Johna widać było, że analizuje sytuację. – Złamałbyś ją dla kaprysu?

Lazarus uśmiechnął się blado.

– Gdybym zechciał.

– Daj spokój – mruknął St. John. – Nie jesteś tak stracony dla człowieczeństwa, jakiego lubisz czasem udawać.

– Ach nie?

Lazarus już się nie uśmiechał. Spojrzał na panią Dews, która ze szczerym entuzjazmem opowiadała o swoim przytułku. Gdyby w karecie dała mu najmniejszy sygnał przyzwolenia, w tej chwili brałaby jego członek w te świątobliwe usta. Czyż deprawacja świętej nie jest dziełem diabła? Spojrzał ponownie na St. Johna, jedynego człowieka na świecie, którego mógł nazwać przyjacielem. W sali zrobiło się piekielnie gorąco, z barku promieniowały mu w dół ramienia ostre ukłucia bólu.

– Dobra rada: nigdy nie zakładaj się o poziom mojego człowieczeństwa.

St. John uniósł brew.

– Nie będę przyglądał się bezczynnie, jak krzywdzisz niewinną. Zabiorę ją od ciebie, jeśli uznam, że potrzebuje mojej pomocy.

Gniew wezbrał w nim tak prędko, że Lazarus obnażył zęby, nim uzmysłowił sobie, co robi.

Najwidoczniej St. John dostrzegł żądzę mordu w jego oczach. Cofnął się o krok.

– Caire?

– Nie waż się – syknął Lazarus. – Nawet w żartach, St. John. Pilnuj własnej pani. Pani Dews jest moja i postąpię z nią, jak zechcę.

Spojrzenie przyjaciela przeskoczyło między nim a panią Dews.

– A pani Dews nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia?

– Nie – warknął Lazarus, świadom, że zachowuje się jak pies broniący kości.

St. John uniósł brwi.

– Czy zna twoje zamiary?

– Pozna je. – Lazarus odwrócił się i chwycił panią Dews za ramię, przerywając jej w pół zdania. – Panowie wybaczą. Chciałbym znaleźć dla pani Dews jak najlepsze miejsce.

– Oczywiście – wymamrotał sir Henry, ale Lazarus już się z nią oddalał.

– Co pan robi? – Pani Dews bynajmniej nie wyglądała na zadowoloną. – Dopiero co zaczęłam omawiać miesięczne zapotrzebowanie przytułku na świeże warzywa.

– Fascynujący temat, nie wątpię. – Musiał usiąść, odpocząć trochę. Przeklęta rana.

Ściągnęła brwi.

– Nudziłam ich? Dlatego pan interweniował?

Uśmiechnął się rozbawiony.

– Nie. Wyglądali na takich, którzy z radością przez resztę wieczoru słuchaliby pani wykładu na temat odziewania i żywienia urwisów.

– Hm. W takim razie dlaczego mnie pan stamtąd zabrał?

– Ponieważ zawsze lepiej pozostawić kupcowi pewien niedosyt – szepnął w ciemne włosy nad jej uchem.

Głupiutka czerwona wstążka wiła się w jej lśniących lokach i przez jedną dziką chwilę zapragnął ją z nich wyrwać. Przyglądać się, jak włosy kaskadą spływają jej z ramion.

Odwróciła się i podniosła nań wzrok z tak bliska, że widział drobinki złota w jej jasnobrązowych oczach.

– Tak dużo rzeczy pan sprzedał, milordzie?

Droczyła się z nim, ta układna chrześcijanka. Czy się go nie bała? Czy nie wyczuwała mroku, kipiącego głęboko w jego wnętrzu?

– Nie tyle rzeczy, ile… idei – odparł przeciągle.

Przekrzywiła głowę, w jej złoconych oczach zamigotała ciekawość.

– Sprzedawał pan idee?

– W pewnym sensie – powiedział, prowadząc ją do dwóch krzeseł na końcu jednego z przednich rzędów. – Należę do kilku towarzystw filozoficznych i naukowych. – Asystował jej, gdy siadała, po czym szybkim ruchem rozdzielił poły kaftana, żeby zająć miejsce koło niej. – Kiedy broni się własnego twierdzenia, w istocie sprzedaje się je oponentowi, jeśli mnie pani rozumie.

Nie wspomniał o innym typie „handlu”, jakim się zajmował – wabieniu seksualnych partnerek, by podejmowały działania, których w innych okolicznościach nie wzięłyby nawet pod rozwagę.

– Chyba rozumiem, co pan ma na myśli. – W oczach pani Dews błysnęło rozbawienie. – Wyznam, że do tej pory nie wyobrażałam sobie pana w roli sprzedawcy idei, milordzie. Czy tak spędza pan czas za dnia? Spierając się z innymi uczonymi dżentelmenami?

– I tłumacząc rozmaite manuskrypty z greki i łaciny.

– Jak na przykład?

– Głównie poezję.

Spojrzał na nią. Rzeczywiście ją to interesowało? Ale jej złote oczy skrzyły się, kiedy przekrzywiła głowę.

– Pisze pan poezję?

– Tłumaczę ją, to co innego.

– Prawdę mówiąc, jedno i drugie wydawałoby mi się dość podobne.

– Jak to?

Wzruszyła ramionami.

– Czy poeci nie muszą martwić się o metrum, rymy i właściwe słowa?

– Ponoć tak.

Spojrzała na niego z uśmiechem, który zaparł mu dech w piersiach.

– Sądziłabym, że tłumacza trapią te same kwestie.

Wytrzeszczył na nią oczy. Skąd wiedziała, ta prosta kobieta z zupełnie innej sfery? Jakim cudem w jednym zdaniu ujęła namiętność, którą znajdował w swoich tłumaczeniach?

– Zapewne ma pani rację.

– Dobrze pan ukrywa duszę poety – stwierdziła – Nigdy bym nie odgadła.

Teraz zdecydowanie się z nim droczyła.

– Ach. – Wyciągnął przed siebie nogi. – Wielu rzeczy pani o mnie nie wie, pani Dews.

– Naprawdę, milordzie? – Spojrzała ponad jego ramieniem i wiedział, że patrzy na jego matkę, zatopioną w rozmowie z lady Beckinhall w rogu sali. – Jak na przykład?

– Cechuje mnie nienaturalna słabość do słodyczy z marcepanu.

Bardziej poczuł niż usłyszał, jak ona chichocze, a ten cichy, niewinny dźwięk przyprawił go o ciepły dreszcz. Zwykle tak dobrze ukrywała emocje, nawet te radosne.

– Od wieków nie jadłam marcepanu – mruknęła cicho.

Zapragnął raptem kupić jej całe pudełko, jedynie po to, żeby przyglądać się, jak je. Do jej czerwonych warg przylgnęłyby drobinki cukru, które musiałaby zlizać. Stwardniał na samo wyobrażenie.

– Proszę opowiedzieć mi o sobie coś więcej. Coś prawdziwego. – Przyglądała mu się tymi tajemniczymi jasnobrązowymi oczami. – Gdzie się pan urodził?

– W Shropshire. – Odwrócił wzrok i obserwował, jak jego matka wygłasza jakiś komentarz do innej damy. Klejnoty w jej białych włosach zamigotały, kiedy przekrzywiła głowę. – Nasza rodowa siedziba znajduje się niedaleko Shrewsbury. Urodziłem się w Caire House, domu przodków. Ponoć byłem płaczliwym, słabowitym dzieckiem i ojciec odesłał mnie do mamki bez wielkiej nadziei, że przeżyję tydzień.

– Widać, że rodzice martwili się o pana.

– Nie – odparł beznamiętnie, nosił tę wiedzę w sobie od kołyski. – Zostałem u mamki przez pięć lat i w tym czasie rodzice widywali mnie raz do roku, w Niedzielę Wielkanocną. Pamiętam to, ponieważ ojciec wzbudzał we mnie bezgraniczne przerażenie.

Nie miał pojęcia, dlaczego jej o tym mówi; raczej nie ukazywał się jej w heroicznym świetle.

– A pańska matka? – spytała miękko.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Towarzyszyła ojcu, oczywiście.

– Ale – ściągnęła brwi, jakby usiłowała rozwikłać jakąś zagadkę – czy była czuła?

Zagapił się na nią. Czułość? Popatrzył znów na swoją matkę, zmierzającą teraz, by zająć miejsce. Poruszała się z gracją, ucieleśnienie zimnej elegancji. Pomysł, że miałaby okazywać czułość komukolwiek, a już zwłaszcza jemu, brzmiał absurdalnie.

– Nie – odparł cierpliwie, jakby tłumaczył Chińczykowi zawiłości angielskiego systemu monetarnego. – Nie przyjeżdżali, by dać wyraz czułości. Przyjeżdżali sprawdzić, czy ich dziedzic jest właściwie karmiony i ma dach nad głową.

– Och – powiedziała niepewnie. – A pańska piastunka? Okazywała panu czułość?

Pytanie wywołało paskudną falę bólu, wyjątkowo przykrą, po przejściu której bark pulsował mu jeszcze mocniej.

– Nie pamiętam – skłamał.

Otworzyła usta do kolejnego pytania, ale miał dość.

– A pani, pani Dews? Jak wyglądało pani wychowanie?

Na moment zasznurowała wargi, jakby w niezgodzie na zmianę tematu. Potem westchnęła.

– Urodziłam się tu, w Londynie, niedaleko budynku przytułku, prawdę mówiąc. Ojciec był browarnikiem. Jest nas sześcioro rodzeństwa: Verity, Concord, który teraz prowadzi browar, Asa, ja, Winter i najmłodsza z naszego grona, Silence. Ojciec zawarł znajomość z sir Stanleyem Gilpinem, kiedy byłam jeszcze mała, i pod jego patronatem założył przytułek.

– Przyjemna opowiastka – wycedził Lazarus, obserwując jej twarz. Wyrecytowała tę historię, jakby miała ją wykutą na pamięć. – Niemniej mówi mi bardzo mało o pani.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Ale niewiele więcej jest do powiedzenia.

– Och, myślę, że wprost przeciwnie – zamruczał. Krzesła wokół nich zapełniały się stopniowo, wzbraniał się jednak tak szybko zarzucać rozmowę. – Pracowała pani w przytułku jako dziecko? Otrzymała pani jakiekolwiek wykształcenie? I kiedy i gdzie poznała pani męża?

– Dzieciństwo spędziłam głównie w domu – odparła wolno. – Matka uczyła mnie, dopóki nie umarła, gdy miałam trzynaście lat. Później moja

starsza siostra, Verity, przejęła na siebie trud wychowania nas, młodszych dzieci. Chłopców posłano do szkoły, oczywiście, ale na dziewczynki nie wystarczyło pieniędzy. Roję sobie jednak, że odebrałyśmy całkiem zadowalającą edukację.

– Bez wątpienia – rzekł. – Ale nie wspomniała pani o zmarłym panu Dewsie. W rzeczy samej, jeszcze ani razu nie słyszałem, jak mówi pani o mężu.

Umknęła wzrokiem, blednąc, którą to reakcję uznał za nieskończenie fascynującą.

– Pan Dews… Benjamin… był protegowanym mojego ojca – powiedziała cicho. – Uczył się na pastora, lecz ostatecznie postanowił dołączyć do mojego ojca w dziele pomocy dzieciom z St. Giles. Poznałam go, kiedy miałam siedemnaście lat, i wkrótce potem się pobraliśmy.

– Święty człowiek – skomentował ironicznie Lazarus.

Jednak pani Dews pozostała przygnębiona.

– Tak, był nim. Pracował w przytułku od rana do późnej nocy. W relacjach z dziećmi zachowywał zawsze łagodność i cierpliwość, był życzliwy dla każdego, kogo znał. Raz widziałam, jak zdjął kaftan i podarował go marznącemu żebrakowi.

Lazarus zgrzytnął zębami i nachylił się ku niej.

– Proszę mi zdradzić, pani Dews – syknął – ma pani w pokoju ołtarzyk ku czci swego świętego nieboszczyka męża?

– Co proszę? – Zwróciła ku niemu zszokowaną twarz.

Tylko rozjątrzyło to w nim potrzebę, by zranić ją mocniej. Tak by poczuła tyle, że pławiłby się w bijących od niej emocjach.

– Klęka pani przed jego ołtarzykiem, by złożyć mu hołd? Jego wspomnienie ogrzewa panią w samotne noce? Czy musi się pani uciekać do innych, mniej duchowych sposobów uzyskania satysfakcji?

– Jak pan śmie? – Z jej oczu posypały się iskry na tak ordynarne insynuacje.

Jego zdeprawowane serce zapiało z zachwytu na widok furii, jaką sprowokował tymi słowami. Zamierzała wstać, ale chwycił ją mocno za ramię, zmuszając do pozostania na krześle.

– Cicho już – koił. – Zaraz zacznie się muzyka. Nie chce pani wyparować stąd gniewnie w tej chwili i zniszczyć postępy, jakie poczyniła

wcześniej z kapitanem Lambertem i sir Henrym, nieprawdaż? Gotowi by uznać panią za istotę kapryśną.

– Brzydzę się panem. – Zacisnęła wargi, odwracając od niego twarz, jakby sam jego widok ją odstręczał.

Jednak mimo tej deklaracji pozostała u jego boku, a ostatecznie tylko to się liczyło. Nie dbał, czy się nim brzydziła, nawet życzyła mu śmierci, dopóki w ogóle cokolwiek do niego czuła. Dopóki mógł trzymać ją blisko przy sobie.

* * *

Jak on śmie?

Temperance wbijała wzrok w zwinięte w pięści dłonie na podołku i bardzo się starała nie okazać furii. Co sprowokowało ten odrażający atak lorda Caire'a na nią i pamięć o Benjaminie? Prowadzili zwykłą towarzyską rozmowę i znienacka wybuchł. Czy był niespełna rozumu? Czy też zżerała go taka zazdrość o normalnych mężczyzn – mężczyzn zdolnych odczuwać życzliwość i współczucie – że atakował na samą myśl o nich?

Dłoń lorda Caire'a nadal przytrzymywała ją za łokieć, gorąca i twarda, i zacisnęła się mocniej, kiedy Temperance zadrżała.

– Niech pani tego nawet nie rozważa.

Nie zawracała sobie głowy odpowiedzią. Prawda przedstawiała się tak, że część gniewu się rozproszyła, gdy Temperance pomyślała o pozbawionym miłości dzieciństwie Caire'a.

Oczywiście tego nie zamierzała mu mówić.

Odwróciła od niego wzrok, przyglądając się zajmującym miejsca gościom. Lady Caire asystował przystojny dżentelmen w peruce. Choć wyraźnie od niej młodszy, usługiwał jej z czułością. Temperance zastanowiła się nagle, czy są kochankami. Jakie dziwne zasady moralne obowiązywały wśród arystokratów. Jej spojrzenie powędrowało ku sir Henry'emu, który siedział obok dostojnej, korpulentnej damy, ewidentnie jego żony. Wyglądała na miłą kobietę.

Kątem oka Temperance złowiła błysk srebra i odwróciła głowę, by podążyć za ruchem. Wstrzymała oddech. Elegancka młoda dama z gotowalni zmierzała niespiesznie w kierunku krzeseł. Najwyraźniej była

tu sama, jej suknia w przygaszonych odcieniach zieleni i srebra stanowiła doskonałe tło dla jasnorudych włosów i pełnej wdzięku, długiej białej szyi. Wszystkie oczy zwróciły się na nią, kiedy się zbliżała, ona jednak spokojnie zajęła miejsce, jakby nieświadoma zainteresowania.

– Kto to jest? – szepnęła Temperance, na moment zapominając, że miała się nie odzywać do lorda Caire'a.

– Kto? – spytał leniwie ten niemożliwy człowiek.

Jak mógł nie wiedzieć? Połowa sali gapiła się na nieznajomą.

– Dama w srebrze i zieleni.

Lord Caire wykręcił szyję, żeby spojrzeć, a później nachylił się ku niej zbytecznie blisko. Żar zdawał się promieniować z jego ciała.

– To, droga pani Dews, jest lady Hero, siostra księcia Wakefielda.

– Siostra księcia? – szepnęła Temperance.

Wielkie nieba! Jak dobrze, że nie wiedziała o tym, kiedy dama udzielała jej pomocy.

Stała kiedyś przez trzy godziny na rogu, żeby podczas parady zobaczyć w przelocie karetę Jego Królewskiej Mości, ale było to lata temu. Poza tym dostrzegła wtedy zaledwie fragment białej peruki, która mogła przystrajać – albo i nie – królewską głowę. Lady Hero przebywała w tym samym pomieszczeniu.

– Tak. – W głosie lorda Caire'a dało się słyszeć rozbawienie. – I przy okazji również córka księcia, proszę nie zapominać.

Odwróciła się i otworzyła usta, żeby go usadzić, ale położył ciepły palec na jej wargach.

– Ciii… Zaczyna się.

Miał rację. Dżentelmen we wspaniałej białej peruce i obszytym złotem kaftanie zasiadł przy fortepianie. Młodszy mężczyzna stanął u jego boku, żeby przewracać strony z nutami.

Lady Beckinhall wystąpiła przed publiczność i obwieściła coś, bez wątpienia zapowiadając pianistę, ale Temperance słuchała jednym uchem. Patrzyła na dżentelmena przy fortepianie. Siedział cicho, nie uśmiechnął się, kiedy gospodyni go wskazała. Skinął tylko raz krótko głową i czekał, aż dama się usadowi. Wbił wzrok w klawisze fortepianu, na pozór niepomny, że goście nadal gawędzą za jego plecami. Potem nagle zaczął grać.

Temperance wstrzymała oddech i nieznacznie nachyliła się do przodu. Nie znała wykonywanego utworu, ale te wspaniałe akordy, te fruwające

klawisze uniosły coś w jej wnętrzu. Zamknęła powieki, rozkoszując się słodkim pęcznieniem w piersi. Wilgoć kłuła ją w oczy. Jakże dawno nie słyszała takiej muzyki.

Jakże dawno.

Dryfowała, całą sobą skupiona na muzyce, aż wreszcie utwór dobiegł końca. Dopiero wtedy z westchnieniem otworzyła oczy.

– Podobało się pani – rozległ się głęboki głos u jej boku.

Zamrugała, spoglądając na lorda Caire'a, i uzmysłowiła sobie, że ściska jej dłoń w swojej. Popatrzyła na ich splecione palce, zdezorientowana. Sama wzięła go za rękę czy to on sięgnął po jej dłoń? Nie pamiętała.

Pociągnął ją łagodnie.

– Chodźmy. Przejdzie się pani ze mną.

– Och, ale…

Zerknęła na fortepian, lecz pianista już się oddalił. Wokół nich goście wstawali i rozchodzili się, przy czym nikt nie sprawiał wrażenia choć trochę poruszonego muzyką.

Odwróciła się znów do lorda Caire'a.

Świdrował ją wzrokiem, czerwony na twarzy.

– Chodźmy.

Wstała i w milczeniu podążyła za nim, nie bacząc, dokąd ją prowadzi, dopóki nie otworzył drzwi i nie wpuścił jej do małej bawialni, oświetlonej przez ogień na kominku.

Temperance zmarszczyła brwi.

– Co…?

Ale lord Caire zamknął za nią drzwi, kiedy zaś się odwróciła, już ku niej zmierzał.

– Podobała się pani muzyka.

Spojrzała na niego skonfundowana.

– Tak, oczywiście.

– Nie ma tu żadnego „oczywiście". – Jego szafirowe oczy wręcz skrzyły się w blasku ognia. – Większość bywalców takich wieczorów muzyka obchodzi niewiele lub zgoła nic. Lecz pani… pani była urzeczona.

Nacierał na nią z taką determinacją, że cofnęła się o krok i odkryła, że przyparł ją do sofy.

Dalej się do niej zbliżał, a żar buchał od niego jak z pieca.

– Co pani usłyszała? Co pani poczuła w tej muzyce?

– N-nie wiem – zająknęła się. Czego od niej chciał?

Złapał ją za ramiona.

– Owszem, wie pani. Proszę mi powiedzieć. Opisać swoje emocje.

– Czułam się wolna – wyszeptała, a serce tłukło jej się w piersi. – Czułam, że żyję.

– I? – Przekrzywił twarz, lustrował ją wzrokiem.

– I nie wiem! – Wsparła dłonie o jego klatkę piersiową, odpychając go, on zaś, choć zesztywniał pod jej dotykiem, jednak nie ustąpił. – Jak opisać muzykę? To niemożliwe zadanie. Czuje się jej cudowność albo nie.

– A pani należy do tych nielicznych, którzy istotnie czują, nieprawdaż?

– Czego pan ode mnie chce? – wyszeptała.

– Wszystkiego.

Przywarł ustami do jej ust. Rozpalony, natarczywy, zachowywał się tak, jakby zamierzał cieleśnie wydobyć z niej to, czego nie uzyskał słowami. Chwyciła go za ramiona, niezdolna bronić się przed tym gwałtownym atakiem tak krótko po muzycznej ekstazie.

Ochoczo rozchyliła wargi, pragnąc smakować, odczuwać bez winy, choć ten jeden raz. Wpychał język w jej usta, ciągle na nowo, aż wreszcie jęknęła, pochwyciła go i ssała, czując smak wina, smak jego samego. Chciała ściągnąć mu z ramion kaftan, zedrzeć z niego koszulę i znowu dotknąć gładkiej skóry. Przylgnąć ustami do jego sutka i polizać go.

Dobry Boże, straciła rozum, równowagę, moralność i nic jej to dłużej nie obchodziło. Chciała znowu być wolna, odczuwać bez myśli czy potwornych wspomnień. Chciała narodzić się na nowo, czysta i bez grzechu. Przeciągnęła dłońmi w górę jego ramion, ściskając, badając twarde mięśnie pod ubraniem, aż dotarła do barków, a wtedy…

– Diabli! – jęknął lord Caire, gwałtownie odrywając się od jej ust.

– Och! – Zapomniała o jego ranie. – Tak mi przykro. Zadałam panu ból.

Sięgnęła ku niemu, niepewna, co może zrobić; niewykluczone, że chodziło jej po prostu o gest wsparcia.

Ale potrząsnął głową, nad jego górną wargą perlił się pot.

– Proszę się nie przejmować, pani Dews.

Wyprostował się, puszczając oparcie sofy, ale wtedy się zachwiał.

– Musi pan usiąść – powiedziała Temperance.

– Niech pani nie histeryzuje – wymamrotał z irytacją, lecz głos miał słaby.

Z tyłu na kaftanie wykwitła mu ciemna plama.

Przez ciało Temperance przemknął dreszcz strachu. Twarz miał zbyt czerwoną, ciało zbyt rozpalone. Przełknęła ślinę, starając się mówić opanowanym głosem. Z jej doświadczenia wynikało, że dżentelmeni nigdy nie chcą przyznać się do słabości.

– Jestem… jestem zmęczona. Czy miałby mi pan potwornie za złe, gdybyśmy już wyszli?

Ku jej uldze nie oprotestował tak oczywistego fortelu. Zamiast tego wyprostował się i podsunął jej ramię. Poprowadził ją z powrotem do sali muzycznej. Tam stanowczo zbyt leniwie ruszył przez tłum gości, raz po raz przystając, by pożartować z dżentelmenami, nim wreszcie przeprosił gospodynię za to, że tak wcześnie ją opuszcza. Przez cały ten czas Temperance obserwowała go niespokojnie, świadoma, że na czole perli mu się pot. Kiedy odzyskali jej narzutkę, wspierał się już ciężko na jej ramieniu. Nie była pewna, czy zdaje sobie z tego sprawę.

– Proszę powiedzieć stangretowi, żeby jechał do miejskiej rezydencji lorda Caire’a – poinstruowała służącego, kiedy ten pomagał swemu panu wspiąć się po schodkach do karety. – Niech się pospieszy.

– Tak, proszę pani – odparł służący i zatrzasnął drzwi.

– Tyle dramatyzmu, pani Dews – wycedził lord Caire. Złożył ciężko głowę na oparciu i zamknął oczy. – Nie chce pani wracać do swojego przytułku?

– Sądzę, że wskazane będzie jak najszybciej odstawić pana do domu.

– Za dużo się pani martwi.

– Tak. – Temperance zaparła się, kiedy kareta ostro skręciła w boczną ulicę. – Taka już moja przypadłość.

Przygryzła wargę. Pomimo tych lekkich słów wiedziała, że jej niepokój ma mocne podstawy. Obawiała się, że w ranę lorda Caire’a wdała się infekcja.

A infekcja może zabić mężczyznę.

Rozdział 7

Na słowa Meg wszyscy w komnacie głośno wciągnęli powietrze.
– Nonsens! – ryknął król. – Mój lud mnie kocha. Słyszę
to od każdego.
Meg wzruszyła ramionami.
– Przykro mi, Wasza Królewska Mość, ale te osoby kłamią. Wasza
Królewska Mość być może wzbudza strach, ale nie miłość.
Król zwęził oczy.
– Dowiodę ci, że jestem kochany, a kiedy tego dokonam,
przyozdobię twoją głową bramy pałacu. Do tego czasu
zamieszkasz w lochu.
I machnął ręką, a Meg wywleczono z komnaty…
– z „Król Zamknięte Serce”

Infekcja potrafi zabić w kilka dni – nawet godzin, jeśli rana szybko gnije.

Temperance nie umiała przepędzić z głowy tej makabrycznej myśli, kiedy kareta lorda Caire’a z łoskotem toczyła się ciemnymi ulicami Londynu. Nie wiedziała nawet, gdzie on mieszka, czy mają przed sobą długą podróż, czy zaledwie kilka minut jazdy. Może trzeba było nalegać, żeby został w rezydencji lady Beckinhall, pomimo jego oczywistej woli ukrycia choroby.

– Bardzo pani cicha, pani Dews – rzekł wolno lord Caire z siedzenia naprzeciw. – Słowo daję, robię się przez to nerwowy. Jakież to intrygi uknuła pani wobec mnie w tym swoim purytańskim umyśle?

– Zastanawiałam się tylko, jak prędko dotrzemy do pańskiego domu.

Przetoczył głowę i mrużąc oczy, wyjrzał przez okno, za którym migały nocne światła Londynu. Po chwili na powrót opuścił powieki.

– Nie poznaję, gdzie jesteśmy. Niechby i w pół drogi do Bath. Ale bez obaw, mój stangret to człowiek zupełnie wyzuty z poczucia humoru. Dowiezie nas bezpiecznie do domu.

– Oczywiście.

– Tańczyć również pani lubi? – spytał znienacka.

Czyżby majaczył?

– Nie tańczę.

– Naturalnie, że nie – wymamrotał. – Męczennice tańczą wyłącznie na krzyżu. Dziwię się, że pozwoliła pani sobie choćby na tak niewinną radość, jak ta z muzyki fortepianowej.

– Jako dziewczyna miałam szpinet – odparła w roztargnieniu. Bez wątpienia już dojeżdżali…

– I grała pani.

– Tak.

Przypomniała sobie raptem chłód gładkich klawiszy pod palcami, czystą radość z płynącej muzyki. Tamten czas wydawał się teraz tak niewinny i tak odległy.

Leniwie uchylił powieki.

– Ale już pani nie gra?

– Sprzedałam szpinet po śmierci męża. – Czekała na kolejną zjadliwą uwagę na temat Benjamina.

– Dlaczego?

To proste pytanie zaskoczyło ją na tyle, że na niego spojrzała. Przyglądał się jej przymkniętymi oczami, jego niebieskie tęczówki błyszczały nawet w ciemnym wnętrzu karety.

– Dlaczego co?

– Dlaczego sprzedała pani instrument tak drogi sercu? Obawiała się pani, że będą ją kusiły drobne przyjemności muzyki? Czy chodziło o coś innego?

Temperance mocno splotła dłonie na podołku, głos miała jednak spokojny, kiedy odpowiadała mu półprawdą:

– Potrzebowaliśmy pieniędzy dla przytułku.

– Nie wątpię – mruknął – ale moim zdaniem nie dlatego sprzedała pani szpinet. Czerpie pani przyjemność z karania samej siebie.

– Cóż to za wstrętna uwaga.

Odwróciła od niego twarz, czując, że płoną jej policzki. Modliła się, żeby nie dostrzegł tego w mroku.

– A jednak nie zaprzecza pani oskarżeniu. – Stęknął z bólu, kiedy karetą zakołysało.

Zerknęła na niego i wciągnęła powietrze, napotkawszy jego przenikliwe spojrzenie. Nawet osłabiony, osaczał ją niczym drapieżnik.

– Za jakiż to wyobrażony grzech się pani karze? – zapytał miękko. – W dzieciństwie pożądała pani czepka innej dziewczynki? Objadała się słodyczami? Poczuła frywolny dreszcz, gdy jakiś prostak otarł się o panią na ulicy?

Temperance zalała furia, ostra i nieoczekiwana, od której aż się zatrzęsła. Z trudem powstrzymała się przed wykrzyczeniem riposty. Zamiast tego wzięła głęboki oddech, wbijając wzrok w zaciśnięte dłonie na podołku. Gdyby teraz pozwoliła sobie mówić, popełniłaby kolosalne głupstwo. Powiedziałaby za dużo, wyjawiła za dużo. I bez tego znalazł się niebezpiecznie blisko jej sekretnego wstydu.

– Albo też – lord Caire z odpychającym spokojem cedził słowa – ten grzech był cięższy od przeze mnie przytoczonych.

Przypomniała sobie tamten dawny dreszcz na widok pewnego mężczyzny, jego krzywego uśmiechu, który przyprawiał ją o tak nieznośny łomot serca. Wspomnienia były cieniami zamierzchłych emocji i pragnień, nadal czających się w mroku, mimo że ich przodkowie dawno umarli.

Temperance uniosła głowę i z zaciśniętą szczęką popatrzyła w te nikczemne niebieskie oczy. Nieznaczny uśmiech zaigrał na jego szerokich ustach, zmysłowych i uwodzicielskich. Czy znęcał się nad nią z ciekawości? Czerpał radość z jej bólu?

Kareta zatrzymała się i lord Caire przerwał ich pojedynek na spojrzenia.

– Ach, właśnie dotarliśmy. Dziękuję za dotrzymanie mi towarzystwa w drodze do domu, pani Dews. Kiedy wysiądę, stangret odwiezie panią do przytułku. Życzę dobrej nocy.

Potwornie ją kusiło, żeby po prostu go tutaj zostawić. Drwił z niej i dopiekał jej jak chłopiec poszturchujący patykiem małpę przez pręty klatki, wyłącznie dla zabawy. Gdy jednak wstał i stracił równowagę, na pół osuwając się na drzwi karety, poderwała się z miejsca.

– Wzbudza pan we mnie odrazę, milordzie – wycedziła przez zaciśnięte zęby, ujmując go pod ramię.

– Już mnie pani o tym informowała.

– Jeszcze nie skończyłam. – Zachwiała się, kiedy wsparł się na niej ciężko. Młody służący otworzył drzwi karety i natychmiast ujął lorda Caire’a pod drugie ramię, aby pomóc mu wysiąść. – Jest pan niemożliwie

grubiańskim człowiekiem, któremu obce są moralność czy choćby dobre maniery, na ile zaobserwowałam.

– Och, proszę przestać, błagam panią. – Lord Caire stęknął. – Zawróci mi pani w głowie tyloma pochlebstwami.

– I – kontynuowała Temperance, ignorując jego wtręt – zachowywał się pan wobec mnie obrzydliwie, odkąd się poznaliśmy… kiedy to włamał się pan do mojego domu, że pozwolę sobie panu przypomnieć.

Lord Caire stanął jakoś na ulicy, zdyszany, z ręką na ramieniu młodego służącego, który gapił się na nich dwoje.

– Pani diatryba ku czemuś zmierza czy jedynie daje pani upust złości?

– Zmierzam ku czemuś – oznajmiła Temperance, pomagając mu wejść po schodach do okazałej miejskiej rezydencji. – Pomimo sposobu, w jaki mnie pan traktował, jak również pańskiej plugawej osobowości, zamierzam pozostać z panem, dopóki nie obejrzy pana medyk.

– Jakkolwiek schlebiają mi pani męczeńskie impulsy, pani Dews, nie potrzebuję pomocy. Łóżko i brandy bez wątpienia mnie uleczą.

– Doprawdy?

Temperance zmierzyła wzrokiem tego idiotę, słaniającego się na progu własnego domu. Pot ściekał mu po rozpalonej twarzy, włosy kleiły się do skroni i wyraźnie czuła, jak dygoce.

Wymierzyła mu szybkiego kuksańca wprost w zraniony bark.

– Na rany Chrystusa! – Lord Caire złożył się wpół, krztusząc się.

– Proszę posłać po doktora – poleciła Temperance kamerdynerowi, który z okrągłymi oczami stał przy drzwiach obok lokaja. – Lord Caire jest chory. A wy dwaj – ruchem brody wskazała pozostałych mężczyzn – pomożecie jego lordowskiej mości dotrzeć do sypialni.

– Mściwa harpia z pani – wydyszał lord Caire.

– Nie musi mi pan dziękować – odparła słodko Temperance. – Wypełniam jedynie mój chrześcijański obowiązek.

Dźwięk, który lord Caire wydał z siebie w reakcji na jej słowa, mógł być śmiechem lub stęknięciem z bólu; trudno było to stwierdzić. W każdym razie lord nie spierał się dłużej, kiedy służący pomagali mu wspiąć się po schodach na piętro.

Temperance podążyła za nimi, a choć motywy, dla których chciała się upewnić, że lord Caire zostanie otoczony należytą opieką, były niemal całkowicie altruistyczne, mimo wszystko nie zdołała powstrzymać się przed

oglądaniem jego domu. Schody z marmuru, po których wchodzili, prezentowały się jeszcze dostojniej niż te w rezydencji lady Beckinhall. Eleganckim łukiem prowadziły na piętro. Na ścianach wisiały ogromne portrety mężczyzn w zbrojach i wyniosłych kobiet w bajecznych klejnotach, najwyraźniej przodków Caire'a. Ich oczy z dezaprobatą śledziły wtargnięcie Temperance do tego domu. Wyścielający schody puszysty szkarłatny dywan amortyzował stąpnięcia. Na piętrze marmurowe posągi naturalnych rozmiarów upiornie popatrywały na idących z wnęk wzdłuż ścian. Wysokie podwójne drzwi otworzono na oścież, gdy się zbliżyli. Smukły służący w średnim wieku stał niespokojnie z boku, kiedy wkraczali do sypialni lorda Caire'a.

Temperance spojrzała na niego, kiedy tamci dwaj powiedli lorda Caire'a do masywnego łoża na środku pokoju.

– Jest pan osobistym lokajem lorda Caire'a?

– Tak, proszę pani. – Przeniósł wzrok z niej na swego pana. – Nazywam się Small.

– To dobrze. – Temperance odwróciła się do dwóch lokajów. – Przynieście, proszę, wody, jak najgorętszej, i czyste szmatki. A także butelkę jakiegoś mocnego alkoholu.

Mężczyźni wyszli w pośpiechu.

– Zostawże mnie w spokoju, człowieku! – dobiegł od strony łoża poirytowany głos lorda Caire'a.

Odwróciwszy się, Temperance zobaczyła, jak Small wycofuje się przed swoim panem. Lord Caire siedział z jednej strony łoża, ze zwieszoną głową, ciążąc ku haftowanym zasłonom w odcieniach zieleni i brązu.

– Ale, milordzie… – zaprotestował nieszczęsny lokaj.

Westchnęła. Jakże nieznośnym dżentelmenem był lord Caire!

Z determinacją podeszła do łóżka.

– W pańską ranę wdało się zakażenie. Musi pan nam pozwolić sobie pomóc.

Lord Caire zakołysał głową na boki i łypnął na nią dziko spode łba.

– Pozwolę, żeby pani się mną zajęła, ale Small musi wyjść z pokoju. Chyba że lubi pani mieć publiczność?

– Proszę nie być odrażającym – powiedziała, o wiele za łagodnie, kiedy unosiła jego zdrowe ramię, by ściągnąć z niego rękaw kaftana. Zmarszczyła

brwi na widok plamy po prawej stronie jego pleców. – Obawiam się, że będzie bolało.

Lord Caire uśmiechnął się krzywo z zamkniętymi oczami.

– Każdy dotyk sprawia mi ból. Zresztą nie wątpię, że ból, który mi pani zada, dostarczy pani przynajmniej nie lada rozrywki.

– Co za okropne rzeczy pan mówi. – Temperance poczuła się niewytłumaczalnie zraniona. – Pańskie cierpienie nie sprawia mi radości.

Delikatnie zsunęła mu z ramienia rękaw, lecz pomimo jej starań syknął.

– Przepraszam – szepnęła, podczas gdy Small zręcznie rozpinał mu kamizelkę.

Caire jakby zapomniał, że kazał lokajowi wyjść, a Temperance ulżyło – nawet we dwoje namęczą się, żeby go rozebrać.

– Nie ma potrzeby – mruknął lord Caire. – Ból zawsze był moim przyjacielem. Napomina mnie, kiedy zapuszczę się zbyt blisko granic rozumu.

Mówił jak w malignie. Temperance zmarszczyła brwi, oglądając jego bark. Z rany się sączyło, trujący wyciek przykleił mu koszulę do ciała. Porozumiała się wzrokiem ze Smallem. Po niepokoju na jego twarzy poznała, że również dostrzega problem.

W tejże chwili wrócili lokaje z gorącą wodą i ze szmatkami, a w ślad za nimi przydreptał niski, korpulentny kamerdyner.

– Zostawcie to tutaj – poinstruowała Temperance, wskazując stolik przy łóżku. – Czy posłano po doktora?

– Tak, proszę pani – huknął kamerdyner.

Small odkaszlnął.

– Lepiej nie czekajmy na doktora, proszę pani – szepnął, kiedy Temperance nań spojrzała. – Po siódmej nie ma co na niego liczyć.

Temperance zerknęła na elegancki złoty zegar na stoliku nocnym. Dochodziła ósma.

– Dlaczego?

– Pije – wybełkotał z łóżka lord Caire. – I trzęsą mu się ręce. Nie wiem, czy w tym stanie w ogóle pozwolę nicponiowi zbliżyć się do mnie.

– A nie można posłać po innego medyka? – zapytała Temperance.

Na litość boską! Lord Caire był bogaty. Powinno o niego dbać mnóstwo ludzi.

– Zasięgnę informacji, proszę pani – odparł kamerdyner i wyszedł.

Temperance wzięła czysty kawałek płótna, zamoczyła go w dopiero co zagotowanej wodzie i delikatnie przyłożyła do barku lorda Caire’a.

Szarpnął się, jakby przytknęła mu do nagiej skóry rozżarzony do białości pogrzebacz.

– Na rany Chrystusa, chce mi pani obgotować mięso z kości?

– Skądże – odparła Temperance. – Musimy odkleić koszulę od rany, tak by nie pozrywać szwów, kiedy będziemy ją zdejmować.

Zaklął szpetnie.

Temperance postanowiła to zignorować.

– Czy jest prawdą to, co mówił pan wcześniej?

– Co?

– Że każdy dotyk sprawia panu ból?

Okropnie z jej strony, że wykorzystywała jego stan, by go przepytać, ale ją zaciekawił.

Zamknął oczy.

– O tak.

Przez chwilę Temperance wpatrywała się w niego – w tego bogatego, utytułowanego arystokratę. Jak to możliwe, że ranił go dotyk innego człowieka? Być może jednak ból, o którym mówił, nie był czysto fizyczny.

Pokręciła głową i spojrzała na lokaja.

– Czy jest ktoś, po kogo powinniśmy posłać? Jakiś krewny albo przyjaciel lorda Caire’a?

Lokaj wymamrotał coś pod nosem, unikając jej spojrzenia.

– Aaa… nie jestem pewien…

– Powiedz jej, Small – mruknął lord Caire. Oczy miał zamknięte, lecz słuch najwyraźniej całkiem czuły.

Small głośno przełknął ślinę.

– Nie, proszę pani.

Temperance zmarszczyła brwi, płucząc płótno i przykładając je na nowo.

– Wiem wprawdzie, że nie ma pan najlepszych relacji z matką…

– Nie.

Westchnęła.

– Przecież musi być ktoś bliski – naciskała.

Obaj mężczyźni milczeli. Co dziwne, lokaj wydawał się bardziej zawstydzony niż lord Caire. Ten ostatni wyglądał po prostu na znudzonego.

– A może… eee… – Temperance wbijała wzrok w gorące płótno, które przykładała mu do barku, a na policzki wspinał jej się żar – jakaś… kobieta, z którą jest pan blisko?

Lord Caire zaśmiał się cicho i otworzył oczy. Błyszczały stanowczo za intensywnie.

– Small, kiedy ostatnio widziałeś w tym domu kobietę inną niż służąca?

– Nigdy. – Lokaj wpatrywał się we własne buty.

– Jest pani pierwszą od dziesięciu lat damą, która przekroczyła próg tej rezydencji, pani Dews – rzekł lord Caire, przeciągając zgłoski. – Poprzednią była moja matka w dniu, kiedy wyrzuciłem ją z mojego domu. Ogólnie biorąc, powinno to pani chyba pochlebiać, zgodzi się pani?

* * *

Lazarus przyglądał się, jak twarz pani Dews oblewa się rumieńcem. Ładnie tak wyglądała i mimo osłabienia poczuł w lędźwiach poruszenie, tęsknotę więcej niż seksualną. Przez chwilę jakby coś kłuło go w piersi, dziwne życzenie, by jego życie, on sam, mogły być w jakiś sposób inne. By jakimś cudem zasługiwał na kobietę taką jak ona.

Pani Dews znów przepłukała płótno, wykręciła je i przyłożyła na powrót, a dźgnięcie gorąca wyrwało go z rozmarzenia. Bolała go głowa, czuł się słaby i rozpalony, bark dokuczał mu jak przypiekany żywym ogniem. Pragnął po prostu położyć się i zasnąć, a gdyby więcej się nie obudził… No cóż, czy świat poniósłby aż tak wielką stratę?

Jednak pani Dews na razie ani myślała pozwolić mu uciec.

– Nie ma pan absolutnie nikogo, kto by się o pana troszczył?

Dotknęła, przypadkiem bądź celowo, jego dłoni i poczuł znajomy palący ból. Utrzymał rękę nieruchomo jedynie wysiłkiem woli. Być może dzięki praktyce przywykłby do bólu wywoływanego jej dotykiem – jak pies, który obrywa tak często, że już nawet nie wzdryga się po ciosie. Kto wie, czy wręcz nie polubiłby tego doznania.

Lazarus się roześmiał, a przynajmniej próbował. Dźwięk, który z siebie dobył, przypominał raczej krakanie.

– Daję pani słowo, pani Dews, nikogo. Matka i ja rozmawiamy najrzadziej, jak się da. Przyjacielem nazwałbym zaledwie jednego

człowieka, przy czym ostatnio się pokłóciliśmy…

– Kogo?

Zignorował pytanie – niech go diabli, jeśli dziś wieczorem pośle po St. Johna.

– I wbrew pani romantycznym wyobrażeniom, nawet gdybym już znalazł sobie nową metresę, nie wzywałbym jej do mego łoża boleści. Panie, które zatrudniam, mają, aaa… inne zastosowanie. Jak już mówiłem, nie przyprowadzam ich do domu.

Zacisnęła wargi na tę informację.

Zmierzył ją sardonicznym spojrzeniem.

– Obawiam się, że jestem zdany na pani łaskę.

– Rozumiem.

Marszcząc brwi, zabrała szmatkę i sprawdziła stan koszuli pod spodem.

Syknął, kiedy materiał odkleił się od rany.

– Trzeba to usunąć – mruknęła do Smalla, jakby Lazarus był niemowlęciem, którym się we dwoje zajmowali.

Lokaj skinął głową i wspólnymi siłami zdjęli Lazarusowi koszulę, co okazało się rozdzierająco bolesną operacją. Kiedy wreszcie skończyli, dyszał ciężko. Nie musiał patrzeć na swój nagi bark, by wiedzieć, że wdała się poważna infekcja. Ból pulsował i palił.

– Proszę pani, doktor – oznajmił od drzwi służący.

Za jego plecami konował chwiał się na nogach, tłusta szara strzyżona peruka zsunęła mu się na tył ogolonej głowy.

– Milordzie, przybywam co tchu.

– Cudownie – mruknął Lazarus.

Medyk zbliżył się do łóżka przesadnie ostrożnym krokiem człowieka pijanego.

– Co też my tu mamy?

– Jego rana… może mu pan pomóc? – zaczęła pani Dews, ale doktor przepchnął się koło niej, żeby z bliska przyjrzeć się ranie.

Twarz Lazarusa owionął fetor taniego wina.

Doktor wyprostował się raptownie.

– Cóżeś uczyniła, kobieto?

Oczy pani Dews się zaokrągliły.

– Ja tylko…

Wyrwał jej z palców szmatkę.

– Zakłócać naturalny proces gojenia!

– Ale ropa… – zaczęła pani Dews.

– *Bonum et laudabile.* Wie pani, co to znaczy?

Pani Dews pokręciła głową.

– Dobra i chwalebna – wymamrotał Lazarus.

– Zgadza się, milordzie. Dobra i chwalebna! – wykrzyknął medyk tak zapalczywie, że byłby się przewrócił. – Powszechnie wiadomo, że to ropa leczy ranę. Nie wolno jej przeszkadzać.

– Ale on gorączkuje – zaprotestowała pani Dews.

Lazarus zamknął oczy. Mniejsza o metodę kuracji, byle szybko dobiegła końca. A niechże jego męczennica i konował się o nią spierają.

– Upuszczę mu krwi i tym sposobem wyciągnę gorąco z ciała – obwieścił doktor.

Lazarus otworzył oczy i zobaczył, że mężczyzna szpera w swojej torbie. Wydobył lancet i odwrócił się do pacjenta, trzymając ostre narzędzie w drżącej dłoni. Lazarus zaklął, zbyt słaby, żeby wstać, mimo podejmowanych wysiłków. Puszczanie krwi to jedno, ale pozwolenie, by jakiś pijak dobierał się z nożem do jego osoby, równało się samobójstwu.

Niech to diabli, pokój wirował wokół niego.

– Odeślijcie go.

– Ale… – Pani Dews przygryzła wargi.

– Jeśli ma mnie pani oddać w ręce tego człowieka, równie dobrze może mnie pani osobiście rzucić lwom na pożarcie!

– No, no, milordzie… – zaczął pojednawczo medyk.

Pani Dews popatrzyła na Lazarusa z niepokojem i niepewnością w oczach.

– Proszę. – Był zbyt osłabiony, zbyt silnie gorączkował, żeby narzucić swoją wolę. Musiała zrobić to za niego. – Jeśli mam umrzeć, to z pani ręki, a nie jakiegoś pijanego konowała.

Znienacka skinęła głową i Lazarus z ulgą osunął się na łóżko. Pani Dews ujęła medyka pod ramię, po czym z mieszanką stanowczości i czarującej słodyczy wyprowadziła z pokoju. Przekazawszy mężczyznę kamerdynerowi, wróciła do łóżka Lazarusa.

– Mam nadzieję, że podjął pan słuszną decyzję – powiedziała cicho. – Nikt mnie nie szkolił, posiadam jedynie praktyczne umiejętności kobiety, która zajmowała się mnóstwem dzieci.

Kiedy spojrzał w jej nakrapiane złotem oczy, uzmysłowił sobie, że być może powierza tej kobiecie własne życie.

Zległ swobodnie na łóżku, uśmiechając się z ironicznym rozbawieniem.

– Ufam pani całkowicie, pani Dews.

A choć wyrzekł te słowa zwykłym sarkastycznym tonem, z zaskoczeniem odkrył, że odpowiadają prawdzie.

* * *

Temperance wpatrywała się w zainfekowany bark lorda Caire'a, świadoma, że w reakcji na deklarację zaufania z jego strony wzdłuż kręgosłupa pociekła jej strużka potu. Ostatniego mężczyznę, który jej zaufał, spotkał potworny zawód.

Teraz wszakże nie była pora na rozmyślania o przeszłości. Temperance otrząsnęła się ze wspomnień. Rana, czerwona i obrzmiała, miała opuchnięte i zaognione krawędzie, od których rozchodziły się promieniście smugi czerwieni.

– Niech lokaje przyniosą świeży wrzątek – poleciła cicho Smallowi, wykręcając znów szmatkę.

Tym razem umieściła ją bezpośrednio na ranie. Niekiedy infekcję da się zwalczyć gorącem.

Lord Caire zesztywniał pod jej dotykiem, lecz poza tym nijak nie okazał, że odczuwa bez wątpienia koszmarny ból.

– Dlaczego dotyk innych sprawia panu ból? – zagadnęła miękko.

– Równie dobrze może pani zapytać ptaka, czemu ciągnie go w przestworza – wybełkotał. – Taki po prostu jestem.

– A kiedy pan kogoś dotyka?

Wzruszył ramionami.

– Nie odczuwam bólu, dopóki to ja inicjuję sytuację.

– I zawsze tak było?

Ze zmarszczonym czołem spojrzała na szmatkę, dociskając ją do rany. Pomimo filozofii doktora sama postępowała zawsze zgodnie z naukami matki na temat leczenia ran, a mama nie lubiła ropy bez względu na to, czy ktoś ją uznawał za *bonum*, czy nie.

Caire gwałtownie wciągnął powietrze i zamknął oczy.

– Tak.

Zerknęła na jego twarz, nim uniosła szmatkę i starła płyn, który wysączył się z rany.

– Powiedział pan wcześniej, że nie było nigdy osoby, która by nie zadawała panu bólu.

Wygłosiła to zdanie jako twierdzenie, lecz w istocie pytała, pamiętała bowiem, że wtedy lekko się zawahał.

Milczał, kiedy płukała szmatkę w letniej wodzie i znów przykładała do rany. Przez chwilę sądziła, że się nie odezwie.

– Kłamałem – wyszeptał wreszcie. – Była Annelise.

Poderwała głowę i wbiła weń wzrok, czując dziwne ukłucie, jakby zazdrości.

– Kim jest Annelise?

– Była.

– Słucham?

Westchnął.

– Annelise była moją młodszą siostrą. Młodszą o pięć lat. Z wyglądu wdała się w naszego ojca: pospolita osóbka o mysich włosach i szarobrązowych oczach. Łaziła za mną, mimo że jej powiedziałem… powiedziałem…

Umilkł, kiedy Small bez słowa wymieniał miskę z wodą na nową. Temperance wypłukała szmatkę w świeżej wodzie, tak gorącej, że poczerwieniały jej dłonie. Położyła gorący materiał na ranie i docisnęła, ale lord Caire jakby tego nawet nie zauważył.

– Co pan jej powiedział?

– Hm? – zamruczał, nie otwierając oczu.

Nachyliła się ku niemu, patrząc na jego długi nos, stanowcze, niemal okrutne usta. Takiego sarkastycznego, złośliwego mężczyzny nie pokona chyba rzecz tak przyziemna jak zakażona rana?

Ze strachu poczuła skurcz w żołądku.

– Milordzie!

– Co? – wymamrotał z wyraźną irytacją, na pół otwierając oczy.

Przełknęła ślinę.

– Co pan powiedział Annelise?

Pokręcił głową na poduszkach.

– Włóczyła się za mną, szpiegowała mnie, kiedy sądziła, że nie patrzę, ale była o tyle ode mnie młodsza. Zawsze wiedziałem. I brała mnie za rękę, nawet kiedy jej mówiłem, żeby tego nie robiła. Mówiłem, żeby mnie nie dotykała. A przecież jej dotyk nigdy nie ranił… nie ranił…

Temperance wyciągnęła rękę i zrobiła coś, na co nigdy by się nie poważyła, gdyby nie jego obecny stan: delikatnie odgarnęła mu z czoła piękne srebrzyste włosy. W dotyku były miękkie, prawie że jedwabiste.

– I co pan jej powiedział?

Znienacka jego szafirowe oczy rozwarły się szeroko, tak klarowne, tak spokojne jak dzień przed napaścią.

– Kazałem jej odejść, i odeszła. Jakiś czas później dostała gorączki i umarła. Miała pięć lat, ja dziesięć. Proszę nie przypisywać mi romantycznych cnót, pani Dews. Nie mam żadnych.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, pragnąc się spierać, pocieszyć chłopca, który tak dawno temu stracił młodszą siostrę. Zamiast tego jednak wyprostowała się, wycofując dłoń z jego włosów.

– Zamierzam polać panu ranę mocnym alkoholem. Będzie zdrowo bolało.

Uśmiechnął się prawie ze słodyczą.

– Oczywiście.

I jakimś sposobem, wspierana przez Smalla, dokonała tego okropnego dzieła. Polała mu ranę brandy, osuszyła, na nowo opatrzyła, przez cały czas świadoma, że zadaje mu dotkliwy ból. Gdy skończyła, lord Caire oddychał ciężko pod przykryciami, nieprzytomny. Small był rozczochrany, a Temperance walczyła z sennością.

– Wreszcie gotowe – wyszeptała ze znużeniem, kiedy pomagała lokajowi zebrać brudne szmatki.

– Dziękuję, proszę pani – rzekł drobny służący. Rzucił zmartwione spojrzenie w stronę łóżka i jego użytkownika. – Nie wiem, co byśmy dziś bez pani zrobili.

– Kłopotliwy z niego przypadek, nieprawdaż?

– W rzeczy samej, proszę pani – zgodził się żarliwie Small. – Życzy pani sobie, żebym polecił pokojówkom przygotować dla niej pokój?

– Powinnam wracać do domu.

Temperance popatrzyła na lorda Caire’a. Twarz miał czerwoną, a choć przemyła mu czoło, znów perlił się na nim pot.

– Jeśli mi pani wybaczy – rzekł Small. – Pan może potrzebować pani w nocy, a poza tym i tak jest bardzo późno na to, żeby dama podróżowała samotnie.

– Rzeczywiście już późno – mruknęła, wdzięczna za wymówkę.

– Polecę kucharce, żeby przygotowała dla pani tacę – powiedział Small.

– Dziękuję – odparła Temperance, kiedy lokaj wymykał się z pokoju.

Opadła na przysunięte do łóżka wysokie krzesło i wsparła głowę na pięści, zamierzając jedynie dać odpocząć oczom w oczekiwaniu na kolację.

Kiedy się obudziła, ogień na kominku ledwie się żarzył. Pokój oświetlała tylko samotna, mocno już stopiona świeca na stoliku nocnym. Temperance przeciągnęła się, krzywiąc się z bólu w plecach i ramionach po śnie w tak niewygodnej pozycji, i spojrzała na łóżko. Dziwne, ale nie zaskoczyło jej odkrycie, że obserwują ją błyszczące niebieskie oczy.

– Jaki on był – spytał cicho lord Caire – ten pani niedościgniony ideał męża?

Wiedziała, że powinna odmówić odpowiedzi, że pytanie jest stanowczo zbyt osobiste, ale jakimś sposobem tutaj, głęboką nocą, wydało jej się sensowne i na miejscu.

– Wysoki i ciemnowłosy – szepnęła, przypominając sobie twarz sprzed lat. Niegdyś tak znajoma, teraz już wyblakła. Zamknęła oczy, koncentrując się. Odbierała jako niewłaściwe, że zapomniała Benjamina i to, jaki był. – Miał cudowne ciemnobrązowe oczy. Na brodzie została mu blizna po upadku w dzieciństwie, a kiedy mówił, prostował palce i gestykulował w sposób, który odbierałam jako elegancki. Był bardzo inteligentny, dobrze wychowany i życzliwy.

– Okropność – skomentował. – Wygląda mi na nadętego pedanta.

– Nie był taki.

– Rozśmieszał panią? – dociekał cicho, głosem chropawym od snu lub bólu. – Szeptał pani do ucha rzeczy, które przyprawiały ją o rumieniec? Drżała pani pod jego dotykiem?

Gwałtownie wciągnęła powietrze, słysząc te grubiańskie, o wiele zbyt osobiste pytania.

On jednak kontynuował, głosem niemożliwie głębokim:

– Czy robiła się pani mokra, gdy na nią patrzył?

– Niech pan przestanie! – krzyknęła, przesadnie głośno w ciszy pokoju. – Proszę przestać.

Caire tylko ją obserwował, wzrokiem stanowczo zbyt bystrym, jakby wiedział, że robiła się mokra, ale pod wpływem jego spojrzenia, nie zaś wspomnień o mężu.

Zaczerpnęła tchu.

– Był dobrym człowiekiem, cudownym, a ja na niego nie zasługiwałam.

Lord Caire zamknął oczy i przez chwilę wyglądało to tak, jakby zasnął. Potem odezwał się cicho:

– Nigdy nie byłem żonaty, ale wydaje mi się okropne musieć zasłużyć sobie na współmałżonka.

Odwróciła wzrok. Temat przyprawiał ją o ból w piersi, napełniał umysł deprymującą melancholią.

– Była w nim pani zakochana? – spytał lord Caire. – W tym mężu, na którego pani nie zasługiwała?

I czy to ze względu na fakt, że nadal nie w pełni się rozbudziła, czy też dlatego, że nawiązali w półmroku osobliwie intymny kontakt, odpowiedziała zgodnie z prawdą:

– Nie. Kochałam go, ale nigdy nie byłam w nim zakochana.

W pokoju się rozjaśniło, jak się zdawało, znienacka, i Temperance uzmysłowiła sobie, że gdy rozmawiali, niepostrzeżenie nadszedł świt.

– Nastał nowy dzień – powiedziała.

– Istotnie – odparł lord Caire, a satysfakcja w jego głosie przyprawiła ją o dreszcz.

Rozdział 8

No, no! Sprawy ułożyły się pechowo dla biednej Meg, gdyż
w lochach Króla Zamknięte Serce nie było zbyt przyjemnie.
Ze ścian sączyła się cuchnąca woda, korytarzami przemykały
szczury i robactwo. Żadnych świateł, żadnego ciepła, za to z oddali
dobiegały krzyki innych nieszczęsnych mieszkańców tego miejsca.
Sytuacja przedstawiała się rozpaczliwie, ponieważ jednak
Meg nigdy nie miała w życiu łatwo, postanowiła mężnie
stawić czoło kryzysowi.
I poprzysięgła sobie, że cokolwiek się zdarzy, będzie
mówiła wyłącznie prawdę…
– z „Król Zamknięte Serce”

Temperance pojechała do domu karetą lorda Caire’a, kiedy nad Londynem wstawał nowy dzień. Zasnęła w trakcie jazdy i obudziła się dopiero, gdy stangret wstrzymał konie u wylotu Maiden Lane. Prawdę mówiąc, opieka nad Caire’em tak ją wyczerpała, że myśl o konsekwencjach nocy spędzonej poza domem nawet nie przemknęła jej przez głowę, dopóki rzeczone konsekwencje nie runęły na nią jak głaz, gdy weszła do przytułku.

– Gdzie byłaś? – zapytał Concord, najstarszy z jej braci, z głęboką dezaprobatą w głosie.

Zapewne nie było w porządku porównywać Concorda do głazu, doznała jednak szoku, natknąwszy się na niego tuż za progiem. Praktycznie wypełniał swoją osobą sień, emanując niezadowoleniem.

– Ja… aaa… – bąknęła niezbyt elokwentnie Temperance.

Concord nasrożył gęste, przetykane siwizną brązowe brwi, aż spotkały się nad jego surowym nosem.

– Jeśli ten arystokrata, o którym opowiedział nam Winter, przetrzymał cię wbrew twojej woli, będziemy szukać zadośćuczynienia.

– Obijemy mu jego przeklętą mordę, ot co – warknął zza pleców Concorda Asa, średni brat.

Temperance zamrugała na widok Asy. Nie widziała go od miesięcy. Ojej, nie było dobrze. Asa i Concord rzadko w czymkolwiek się zgadzali i, po prawdzie, od lat dokładali starań, żeby rozmawiać ze sobą jak najrzadziej. Tego ranka wszelako stali ramię w ramię w wąskiej sieni przytułku, zjednoczeni w gniewie na Caire'a – oraz zgryzocie z jej powodu. Z nich dwóch Concord był wyższy, siwiejące brązowe włosy nosił zebrane z tyłu i, podobnie jak wszyscy jej bracia, nieupudrowane.

Asa, dla kontrastu, miał włosy złotobrązowe jak lwia grzywa, a choć był o kilka centymetrów niższy od Concorda, potężnymi barami niemal wypełniał sień na szerokość. Koszula i kaftan napinały mu się na piersi, jakby na co dzień wykonywał jakieś fizyczne prace. Niemniej nikt w rodzinie nie orientował się, jak właściwie Asa zarabia na życie, on sam zaś udzielał na ten temat mętnych odpowiedzi. Temperance od dawna podejrzewała, że bracia boją się zanadto na niego naciskać, na wypadek gdyby jego zajęcie okazało się nie całkiem godne.

– Lord Caire nie przetrzymał mnie wbrew mojej woli – oznajmiła.

Concord spojrzał spode łba.

– Co zatem robiłaś w jego domu przez całą noc?

– Lord Caire był chory. Zostałam, żeby pomóc go pielęgnować.

– Chory w jakim sensie? – dociekał Asa.

Temperance spojrzała w głąb sieni, ku kuchni za plecami braci. Gdzie się podziewał Winter?

– Miał infekcję – odparła ostrożnie.

Asa wbił w nią przenikliwe zielone oczy.

– Infekcję czego?

– Rany barku.

Jej bracia wymienili spojrzenia.

– A jak został ranny? – zadudnił Concord.

Temperance się skrzywiła.

– Którejś nocy zaatakowali go rabusie. Jeden z nich dźgnął go w bark.

Przez chwilę bracia po prostu wlepiali w nią wzrok, aż wreszcie Concord zwęził oczy.

– Spędzasz noc z arystokratą, na którego napadają rabusie.

– To przecież nie jego wina – zaprotestowała Temperance.

– Tak czy inaczej… – zaczął pedantycznie Concord.

Na szczęście Asa wszedł mu w słowo.

– Ona wygląda na półżywą, Con. Przenieśmy się z tą rozmową do kuchni.

Concord spiorunował młodszego brata wzrokiem i Temperance pomyślała, że odmówi z czystej przekory. Później zasznurował usta.

– Dobrze.

Odwrócił się i oddalił ciężkim krokiem. Asa gestem zaprosił Temperance, by szła pierwsza. Z jego oczu nie dało się nic wyczytać. Temperance nabrała tchu, żałując, że nie staje do konfrontacji bardziej wyspana.

Rankiem – dopiero co minęła ósma – w kuchni przytułku panował zwykle gwar, dzisiaj jednak przy długim stole siedziała tylko jedna postać.

Temperance zatrzymała się gwałtownie w progu, wbijając wzrok w Wintera.

– Dlaczego nie jesteś w szkole?

Popatrzył na nią z cieniem w ciemnobrązowych oczach.

– Zamknąłem dziś szkołę po tym, jak szukałem cię przez całą noc.

– Och, Winterze, tak mi przykro. – Poczucie winy zmiotło tę odrobinę energii, jaka jej pozostała. Temperance opadła na kuchenne krzesło. – Nie mogłam go wczoraj zostawić, naprawdę. Nie miał nikogo, kto by mu pomógł.

Concord prychnął niezbyt przyjemnie.

– Arystokrata? Czy w jego domu nie roiło się od służby?

– Byli tam służący, tak, ale nikogo, komu by… – O mały włos nie powiedziała „komu by na nim zależało”, lecz w ostatniej sekundzie ugryzła się w język. – Nikogo, kto by nimi pokierował.

Asa popatrzył na nią z namysłem, jakby odgadł, jak brzmiało niedokończone zdanie.

Jednakże Concord tylko pociągnął się za brodę, co zwykł robić w zdenerwowaniu.

– Dlaczego w ogóle zadałaś się z tym człowiekiem?

Ból głowy ją otępiał. Wpatrywała się w Wintera, usiłując wymyślić prawdopodobną wymówkę dla swojej znajomości z lordem Caire’em. Ostatecznie jednak okazała się zanadto zmęczona, by lawirować.

– Zabrał mnie wczoraj na wieczór muzyczny – powiedziała. – Chciałam poznać kogoś, kogo moglibyśmy nakłonić do wspierania przytułku.

Potrzebujemy funduszy, jeśli ma dalej funkcjonować.

Kończąc wyjaśnienia, zerknęła na Wintera i zobaczyła, że zamknął oczy. Asa zacisnął usta, podczas gdy Concord srożył się jak burzowa chmura. Zapadła ciężka cisza.

– Dlaczego nie poinformowaliście nas o tym zmartwieniu? – odezwał się wreszcie Concord.

– Ponieważ wiedzieliśmy, bracie, że będziesz chciał pomóc, nawet jeśli cię na to nie stać – rzekł cicho Winter.

– A mnie? – zapytał miękko Asa.

Winter spojrzał na niego w milczeniu. Chociaż dyskutowali, czy poprosić o pomoc Concorda, nie rozważali udania się do Asy.

– Nigdy nie sprawiałeś wrażenia zainteresowanego przytułkiem – wyjaśniła delikatnie Temperance. – Kiedy ojciec o nim mówił, prawie że kpiłeś. Skąd Winter i ja mieliśmy wiedzieć, że nam pomożesz?

– No cóż, pomógłbym wam wbrew temu, co o mnie myślicie, ale w tej chwili trochę krucho u mnie z funduszami. Może za trzy miesiące…

– Nie mamy trzech miesięcy – oświadczył Winter.

Asa potrząsnął głową, aż pukiel złotawobrązowych włosów wysunął mu się z warkocza. Przeszedł w pobliże paleniska, odgradzając się od rodziny jak zawsze.

Concord spojrzał znów na Wintera.

– I ty na coś takiego pozwoliłeś?

– Nie podobało mi się to – odrzekł krótko Winter.

– A jednak pozwoliłeś, by nasza siostra łajdaczyła się dla przytułku.

Temperance gwałtownie wciągnęła powietrze, czując się, jakby brat wymierzył jej policzek. Winter już stał i z gniewem atakował Concorda, Asa wrzeszczał, do niej jednak dźwięki docierały wytłumione. Czy Concord naprawdę uważał ją za ladacznicę? Czy miała swój największy wstyd wypisany na twarzy, widoczny dla każdego? Być może to z tego powodu Caire wygłaszał tak sugestywne komentarze. Być może wystarczyło mu jedno spojrzenie, by odkrył, jak łatwo ją zdeprawować.

Zasłoniła usta drżącą dłonią.

– Dosyć! – Asa podniósł głos, by położyć kres kłótni braci. – Winter ponosi winę czy nie, Temperance zaraz zemdleje z wyczerpania. Poślijmy ją do łóżka, a później będziemy kontynuować dyskusję. Niezależnie od

tego, co się zdarzy, jest oczywiste, że nie może więcej widywać tego lorda Caire’a.

– Zgadzam się – rzekł Winter, choć nie spojrzał przy tym na Concorda.

– Naturalnie, że nie – oświadczył z namaszczeniem jej najstarszy brat.

No proszę, zdarzył się cud – jej bracia choć raz byli w jakiejś kwestii zgodni. Temperance prawie że dopadło poczucie winy.

– Nie.

– Co takiego? – Asa wybałuszył na nią oczy.

Wstała, wspierając dłonie płasko na blacie stołu, żeby zapewnić sobie równowagę. Na tym etapie jakakolwiek oznaka słabości byłaby zgubna.

– Nie, nie przestanę widywać lorda Caire’a. Nie, nie zarzucę poszukiwań patrona.

– Temperance – mruknął ostrzegawczo Winter.

– Nie. – Pokręciła głową. – Skoro moja reputacja, jak twierdzi Concord, i tak została zszargana, jaki sens z czegokolwiek rezygnować? Przytułek potrzebuje patrona, żeby przetrwać. Możecie oprotestowywać lorda Caire’a i moją cnotę, ale temu faktowi nie zaprzeczycie. Co więcej, żaden z was nie ma rozwiązania tego problemu, zgadza się?

Powiodła wzrokiem od znużonej, poznaczonej bruzdami twarzy Wintera, przez czujne oczy Asy, do pełnej dezaprobaty fizjonomii Concorda.

– Zgadza się? – powtórzyła cicho.

Znienacka Concord ciężkim krokiem wyszedł z kuchni.

Wypuściła powietrze z płuc, kręciło jej się w głowie.

– Sądzę, że tyle wystarczy za odpowiedź. A teraz wybaczcie, położę się spać.

Odwróciła się, aby godnie wyjść, lecz powstrzymała ją postać w drzwiach.

– Bardzo przepraszam, psze pani – wymamrotała Polly.

Mamka trzymała w ramionach zawiniątko i na ten widok Temperance przestała oddychać. Nie. Nie, nie zniesie kolejnego cierpienia. Nie teraz.

– Dobry Boże – rzekła na bezdechu. – Czy ona…?

– Och, nie, psze pani – odparła pospiesznie mamka. – Całkiem nie w tym rzecz.

Odciągnęła róg koca, a wtedy Temperance ujrzała ciemnoniebieskie oczy, wpatrujące się w nią z zaciekawieniem. Ulga uderzyła w nią tak mocno, że ledwie docierały do niej słowa mamki.

– Przyszła żem pani powiedzieć, że Mary Hope wreszcie zaczęła ssać – wyjaśniła Polly.

* * *

Przypaliła pieczeń wołową.

Tego wieczoru Silence machała ścierką nad dymiącym mięsem, aby rozwiać gryzącą woń. Głupia. Głupia. Głupia. Powinna była bardziej skupiać się na kolacji, zamiast gapić się w pustkę, zamartwiając się o ich przyszłość, jej i Williama. Przygryzła wargę. Problem polegał na tym, że tak strasznie trudno było nie myśleć o ich kłopotach.

Drzwi się otworzyły i wszedł William. Skwapliwie podniosła nań wzrok, lecz natychmiast się zorientowała, że nie odzyskał ładunku. Jego twarz żłobiły bruzdy zmartwienia, cerę miał szarą pomimo zdobytej na morzu opalenizny. Do tego pomięta koszula i przekrzywiony halsztuk, jakby szarpał go we wzburzeniu. Zdawało się, że w ciągu ostatnich kilku dni jej mąż postarzał się o całe lata.

Silence podeszła doń szybko, biorąc od niego pelerynę i kapelusz, które powiesiła na kołku przy drzwiach.

– Usiądziesz?

– Tak – odparł nieobecnym głosem William.

Przeciągnął dłonią po głowie, zapomniawszy, że ma na niej perukę. Zaklął szpetnie, na co normalnie nie pozwoliłby sobie w obecności żony, zdjął perukę i rzucił na stół.

Silence podniosła ją i udrapowała starannie na drewnianej formie na toaletce.

– Są jakieś wieści?

– Nic przydatnego – wymamrotał William. – Dwaj marynarze, którzy mieli strzec statku, zaginęli: nie żyją albo uciekli z łapówką.

– Przykro mi.

Silence stała bezużytecznie u boku męża, dopóki smród przypalonego mięsa nie przypomniał jej o obiedzie.

Pospiesznie rozstawiła cynowe talerze. Przynajmniej chleb przyniosła dziś rano prosto od piekarza, a gotowana marchew wyglądała pociągająco. Wyłożyła ulubione pikle Williama i nalała mu piwa, zanim przyniosła na

stół wołowinę. Odkroiła niewielki kawałek pieczeni i trwożnie położyła mu na talerzu, ale chyba nawet nie zauważył, że mięso jest przypalone z zewnątrz, a nadal surowe w środku. Silence westchnęła. Była taką żałosną kucharką.

– To był Mickey O’Connor – wymamrotał raptem William.

– Słucham? – Silence podniosła wzrok.

– Mickey O’Connor odpowiada za kradzież ładunku.

– Ależ to cudownie! Skoro znasz winnego, możesz przecież powiadomić sędziego pokoju?

William roześmiał się szorstko.

– Żaden z londyńskich sędziów pokoju nie ośmieli się tknąć Czarującego Mickeya.

– Dlaczego? – spytała skonsternowana. – Skoro wiadomo, że to złodziej, czy nie jest ich obowiązkiem postawić go przed sądem?

– Sędziowie pokoju przeważnie sami są opłacani przez złodziei i innych przestępców. – William wbił wzrok w zawartość swojego talerza. – Zgarniają tylko tych zbyt biednych, by płacili łapówki. A pozostali sędziowie tak się boją O’Connora, że nie zaryzykują życia, żeby go przymknąć.

– Ale kim on jest? Dlaczego tak się go boją?

Jej mąż odepchnął od siebie talerz, nie tknąwszy jedzenia.

– Czarujący Mickey O’Connor jest najpotężniejszym złodziejem portowym w Londynie. Kontroluje nocnych jeźdźców: złodziei, którzy kradną nocą. Każdy cumujący w Londynie statek płaci Mickeyowi łapówkę; on nazywa ją dziesięciną.

– To bluźnierstwo – szepnęła zszokowana Silence.

William przytaknął, zamykając oczy.

– W rzeczy samej. Ponoć mieszka w jakiejś ruinie w St. Giles, w środku urządzonej po królewsku.

– Nazywają tego potwora czarującym? – Silence pokręciła głową.

– Jest bardzo przystojny i podoba się kobietom, tak przynajmniej mówią – wyjaśnił cicho William. – Mężczyźni, którzy wejdą Czarującemu Mickeyowi w drogę, znikają bez śladu albo są odnajdywani na wodach Tamizy ze stryczkiem u szyi.

– I nikt go nie tknie?

– Nikt.

Silence wbijała wzrok w talerz, straciwszy apetyt.

– Co zrobimy, Williamie?

– Nie wiem – odparł jej mąż. – Nie wiem. Właściciele uważają, że przyłożyłem rękę do tej kradzieży.

– Ależ to niedorzeczność! – William był jednym z najuczciwszych znanych jej ludzi. – Dlaczego cię oskarżają?

Ze znużeniem zamknął oczy.

– Tamtej nocy, kiedy zawinęliśmy do portu, wcześnie zszedłem z pokładu. Zostawiłem na statku tylko dwóch wartowników. Twierdzą, że mnie przekupiono.

Silence zacisnęła pięści pod stołem. William zszedł z pokładu wcześnie, żeby wrócić do niej. Poczucie winy boleśnie kłuło ją w piersi.

– Obawiam się, że potrzebują kozła ofiarnego i ja mam nim zostać – rzekł ciężko William. – Chcą mnie oskarżyć o kradzież.

– Dobry Boże!

– Przepraszam, skarbie. – William wreszcie otworzył smutne zielone oczy. – Sprowadziłem na nas tę katastrofę.

– Nie, Williamie. Skądże. – Silence położyła dłoń na ręce męża. – To nie twoja wina.

Roześmiał się znowu, tym potwornym chrapliwym rechotem, którego zaczynała nienawidzić.

– Powinienem był zostawić na statku więcej ludzi, powinienem był sam zostać i zadbać o bezpieczeństwo ładunku. Jeśli nie ja ponoszę winę, to kto?

– Czarujący Mickey, oto kto – powiedziała z nagłym gniewem Silence. – To on bogaci się kosztem uczciwych ludzi. To on ukradł ten ładunek z czystej chciwości.

William pokręcił głową, wycofując dłoń z uścisku żony, kiedy wstawał od stołu.

– Być może, ale nijak nie uzyskamy od tego człowieka zadośćuczynienia. Nie obchodzimy go my ani w ogóle nikt. – Stał przez chwilę, patrząc na nią, i po raz pierwszy Silence ujrzała na jego twarzy wyraz beznadziei. – Obawiam się, że jesteśmy straceni.

Odwrócił się, przeszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Silence wpatrywała się w przygotowany przez siebie żałosny posiłek. Miała ochotę zmieść na podłogę te stare naczynia, przypalone mięso i brejowatą marchew. Miała ochotę krzyczeć i płakać, i rwać sobie włosy

z głowy, tak by świat dowiedział się o jej rozpaczy. Ale nie zrobiła żadnej z powyższych rzeczy. Takimi działaniami nie pomogłaby mężczyźnie, którego kochała. Jeśli William miał rację, nie zdoła im pomóc nikt ze znanych jej osób. Byli zdani na siebie. A jeżeli Silence nie znajdzie sposobu, żeby odzyskać ładunek od Czarującego Mickeya, wówczas William albo umrze w więzieniu, albo zawiśnie na szubienicy.

Wyprostowała się. Nigdy do tego nie dopuści.

* * *

Trwało tydzień, nim Lazarus wyzdrowiał. W każdym razie dopiero po tygodniu poczuł się na tyle dobrze, żeby odszukać panią Dews. Wstał z łóżka kilka dni wcześniej, ale niech go diabli, gdyby pozwolił, żeby mała męczennica znów oglądała go tak słabego. Toteż nie spieszył się, cierpliwie jedząc papki, które Small uporczywie mu podawał jako stosowne dla chorego. Wezwano innego medyka, ale Lazarus wrzasnął na niego, kiedy konował zaczął bełkotać o upuszczaniu krwi. Mężczyzna czmychnął w pośpiechu, najpierw jednak zostawił butelkę obrzydliwego „lekarstwa” w płynie. Lazarus wyrzucił specyfik, obojętny na fakt, że bez wątpienia otrzyma później za niego rachunek.

Resztę izolacji spędził, sarkając na zwłokę przed ponownym spotkaniem z panią Dews. Jakimś sposobem ta kobieta wkradła się do jego krwi równie nieodwołalnie jak trucizna z rany. W ciągu dnia odtwarzał rozmowy, jakie prowadzili, przypominał sobie wyraz cierpienia w jej połyskujących złotem oczach, gdy powiedział coś szczególnie prostackiego. Ból, który jej zadawał, budził w nim dziwną czułość. Pragnął uleczyć zadrę, a później zranić ją znowu, jedynie po to, by po raz kolejny ukoić jej ból. Niemożliwością było utrzymać z dala myśli o jej łagodności, bystrości i zgryźliwości. Nocami jego sny krążyły wokół spraw znacznie bardziej podstawowych. Nawet w chorobie budził się co rano z członkiem prężącym się dla pani Dews.

Może należało pozwolić, by konował upuścił mu krwi. Może wówczas jego ciało wypchnęłoby z siebie nie tylko truciznę, lecz także panią Dews.

Zastanowił się, czy nie zrezygnować z jej pomocy i więcej jej nie oglądać, ale koncept szybko umknął. Tego samego wieczoru, gdy Small

uznał go za wyleczonego, Lazarus zagłębił się pośpiesznie w zaułek za przytułkiem.

Nie uprzedził jej, by go oczekiwała, towarzyszyła mu więc nietypowa dla niego niepewność co do tego, jak zostanie przyjęty. Noc była ciemna i zimna, wiatr owijał mu pelerynę wokół nóg. Lazarus zawahał się w cuchnącym zaułku. Przyłożył dłoń do drewna tylnych drzwi, jakby w ten sposób mógł poczuć kobietę za nimi.

Nonsens.

Rozważył, czy nie wkraść się do środka jak niegdyś, lecz ostatecznie roztropność nakazała mu zapukać głośno do drzwi. Otworzono mu niemal natychmiast. Lazarus wpatrzył się w jasnobrązowe oczy usiane złotymi gwiazdami. Pani Dews wyglądała na zaskoczoną, jakby nie jego się spodziewała, i w rzeczy samej włosy miała rozpuszczone, wilgotne, wskutek czego się skręcały.

– Myła pani włosy – powiedział głupio.

Myśl o takiej przyziemnej intymnej czynności obudziła tęsknotę nie tylko w jego lędźwiach, ale również w piersi.

– Tak. – Rumieniec rozlewał się jej na policzkach.

– Są piękne – rzekł, ponieważ takie były, gęste, sięgały jej prawie do pasa. Falowały i zwijały się w beztroskim zatraceniu. Jakże musiało ją to denerwować.

– Och. – Spojrzała w dół, a potem przez ramię. – Nie wejdzie pan?

Wargi drgnęły mu z rozbawienia, bawiło go jej skrępowanie, powiedział jednak na tyle delikatnie, na ile leżało to w zasięgu jego możliwości:

– Dziękuję.

W kuchni przytułku było tego wieczoru parno. Ogień płonął ujarzmiony pod poczerniałym kociołkiem. Wierna asystentka pani Dews, Mary Whitsun, ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na Lazarusa znad misy z wodą na stole; obok niej stał mały chłopiec. W kącie siedziała pulchna młoda blondynka o radośnie rumianej twarzy, karmiąc maleńkie niemowlę. Podniosła wzrok, kiedy wszedł, i od niechcenia naciągnęła szal na obnażoną pierś.

– To jest Polly, nasza mamka – powiedziała w rozkojarzeniu Temperance. – Nocuje tu dziś z Mary Hope i swoimi dziećmi.

– Tak mi na myśl przyszło, że tu lepiej będzie, bo u mnie po sąsiedzku czuwanie przy nieboszczyku będzie – wyjaśniła Polly. – Harmidru narobią

jak nie wiem co.

– Miło mi panią poznać. – Lazarus skłonił głowę. Zmierzył wzrokiem ruchliwe dziecko. – Czyli mała ma się lepiej?

– Och, świetnie se radzi, psze pana, a jakże.

– Cieszę się.

Lazarus oparł się o ścianę i obserwował, jak pani Dews i dziewczynka sprzątają ze stołu. Podczas gdy były odwrócone plecami, przysunął się do niego chłopiec. Twarz miał obsypaną piegami i nawet niewyćwiczone oczy Lazarusa uznały go za ancymona.

– Duży kij – zauważył.

– Ukrywa szpadę – rzekł kordialnie Lazarus.

Przekręcił gałkę i wysunął ostrze.

– Jaa! – zawołał chłopiec. – Zabił pan nią kiedy kogo?

– Całe tuziny – odparł dumnie Lazarus. Wypchnął z myśli wspomnienie wpatrzonych w niego martwych oczu beznosego napastnika. – Najchętniej najpierw rozpruwam brzuch, a potem odcinam głowę.

– Au! – podsumował chłopiec.

Lazarus zdecydował się uznać ten wykrzyknik za wyraz najwyższego respektu.

– Milordzie! – Pani Dews najwyraźniej podsłuchała końcówkę tej wymiany zdań.

– Tak? – Lazarus zwrócił na nią spojrzenie wielkich, niewinnych oczu.

Chłopiec zachichotał.

Pani Dews westchnęła.

Polly wyjęła dziecko spod szala.

– Potrzymie ją pani chwilkę? To się ogarnę.

Mamka podała jej śpiące dziecko, ale pani Dews cofnęła się prędko.

– Mary Whitsun ją weźmie.

Dziewczynka przejęła dziecko bez wahania. Najwidoczniej ani ona, ani Polly nie uznały zachowania pani Dews za niezwykłe, Lazarus wszakże obserwował ją z zaciekawieniem.

Polly poprawiła na sobie ubranie i wstała.

– Tera Mary Hope wezmę. Pora tej kruszynie spać.

Z tymi słowy wyniosła niemowlę z kuchni.

Pani Dews skinęła głową do Mary Whitsun.

– Powiedz, proszę, panu Makepeace’owi, że zamierzam wyjść dziś wieczorem… i zabierz ze sobą Josepha Tinboksa.

Dzieci posłusznie opuściły pomieszczenie.

– Nigdy wcześniej nie informowała pani brata o swoich zamiarach.

Lazarus podszedł leniwie do paleniska i zajrzał do kociołka. Na jego dnie pyrkała kałuża jakiejś zupy.

– Skąd pan wie? – zapytała zza jego pleców.

Odwrócił się akurat w porę, by zobaczyć, jak przeciąga grzebień przez te wspaniałe włosy.

– Nigdy wcześniej nie zaprosiła mnie pani do środka.

Otworzyła usta, ale w tym momencie do kuchni wszedł Winter Makepeace. Nie wydawał się zaskoczony widokiem Lazarusa, niemniej nie sprawił mu on również radości.

– Pamiętaj, żeby zabrać pistolet – powiedział do siostry.

Pani Dews przytaknęła, nie patrząc na Makepeace’a.

– Tylko upnę włosy.

Wyślizgnęła się z kuchni.

Jej brat znienacka znalazł się przy Lazarusie.

– Niech pan dopilnuje, żeby nic jej się nie stało.

Lazarus uniósł brwi w reakcji na rozkaz z ust młodszego mężczyzny.

– Pańskiej siostry nie spotkała nigdy krzywda w moim towarzystwie.

Makepeace chrząknął z kwaśną miną.

– Cóż, niech pan zadba, żeby ta szczęśliwa passa się utrzymała. Temperance musi być w domu przed świtem.

Lazarus skłonił głowę. Nie zamierzał przetrzymywać pani Dews w mrokach St. Giles ani chwili dłużej, niż było to konieczne.

W tejże chwili wróciła, z włosami bezpiecznie okiełznanymi i ukrytymi pod białym czepkiem. Popatrzyła bystro od Lazarusa do swego brata i Lazarusowi pozostało żywić nadzieję, że młodszy mężczyzna starł z twarzy wyraz niechęci.

– Jestem gotowa – powiedziała, biorąc pelerynę.

Lazarus płynnie znalazł się u jej boku i wyrwał jej z palców znoszone okrycie. Przytrzymał je dla niej. Spojrzała nań niepewnie, nim założyła pelerynę. Lazarus otworzył drzwi.

– Bądźcie ostrożni! – zawołał za nimi Makepeace.

Noc była wilgotna. Lazarus natychmiast poczuł jęzor brudnej mgły na twarzy. Naciągnął pelerynę na ramiona.

– Proszę trzymać się blisko mnie. Pani brat rozerwałby mnie końmi, gdybym odstawił panią do domu z choć jednym włosem nie na swoim miejscu.

– Martwi się o mnie.

– Mhm. – Lazarus rozejrzał się, a później popatrzył na nią. – Podobnie jak ja. Tamten ostatni atak nie był przypadkowy.

Jej nakrapiane złotem oczy się rozszerzyły.

– Jest pan pewien?

Wzruszył ramionami i zaczął iść.

– Widziałem jednego z napastników w przybytku Matki Pocieszycielki. Nie lada zbieg okoliczności.

Zatrzymała się znienacka, przez co również musiał przystanąć, jeśli nie chciał zostawić jej w tyle.

– Ale to oznacza, że ktoś próbował pana zabić!

– W istocie. – Zawahał się, po czym wolno rzekł: – Teraz już dwukrotnie, jak sądzę. W noc, kiedy się poznaliśmy, zaatakował mnie osobnik, którego wówczas wziąłem za pospolitego rabusia.

– Mężczyzna, nad którym pan się wtedy pochylał!

– Tak. – Spojrzał na nią. – Zastanawiam się, czy przypadkiem nie zależało mu na moim życiu zamiast na sakiewce.

– Dobry Boże! – Z namysłem wbiła wzrok w noski swych butów. – Jeśli mężczyzna bez nosa był u Matki Pocieszycielki, wydaje się prawdopodobne, że przebywał tam również morderca.

Skłonił głowę, obserwując ją.

Popatrzyła mu w oczy bez śladu strachu.

– Wobec tego powinniśmy wrócić do Matki Pocieszycielki i sprawdzić, czy zna tego człowieka.

– Na to liczę – powiedział, ruszając znowu. – Chcę jednak uzmysłowić pani powagę sytuacji. Wcześniej borykałem się z pospolitymi niebezpieczeństwami St. Giles. Teraz najwyraźniej przykułem uwagę bezwzględnego mordercy. – Spojrzał na nią z ukosa. – Jeśli życzy pani sobie wycofać się z polowania, w dalszym ciągu dotrzymam mojej części umowy.

Kaptur peleryny przesłaniał większą część jej profilu, ale Lazarus mimo wszystko dostrzegł, jak jej wargi sznurują się świętoszkowato.

– Nie odstąpię od naszej umowy.

Nachylił się nad nią, zbliżając głowę do jej głowy.

– Wobec tego niech pani cały czas trzyma się blisko mnie.

Sapnęła i podniosła nań wzrok, a wtedy zobaczył, że brwi ma ściągnięte.

– Z kim pan rozmawiał tej nocy, kiedy się poznaliśmy… w noc pierwszego ataku na pana?

– Z sąsiadką Marie, prostytutką. – Wykrzywił usta. – A przynajmniej usiłowałem z nią porozmawiać. Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, kiedy się dowiedziała, czego szukam.

– Nie rozumiem.

– Czego?

– Musi istnieć jakieś powiązanie… między tą prostytutką a pijalnią ginu Matki Pocieszycielki, ale nie wiem jakie.

Wzruszył ramionami.

– Być może chodzi tylko o okolicę: morderca dowiedział się, że przepytywałem sąsiadkę Marie, jak również, że rozmawiałem z Matką Pocieszycielką.

Pokręciła głową.

– Bardzo łatwo wpadałby w przestrach, gdyby nasłał na pana zabójcę jedynie dlatego, że zadawał pan pytania. Nie, moim zdaniem coś pan odkrył. – Spojrzała nań pytająco.

– Jeśli tak, nie wiem, co to jest – odparł, śmiejąc się cokolwiek ponuro.

Resztę drogi do przybytku Matki Pocieszycielki pokonali w milczeniu. Lazarus rozglądał się czujnie, nie odnotował jednak, by ktokolwiek podążał ich śladem, chyba że liczyć parchatego kundla, głównie skóra i kości, który dreptał za nimi przez jakąś minutę.

Kiedy, schylony, zanurzył się w niskie wejście do pijalni ginu, w twarz buchnęły mu gorąco i smród. Przytrzymał panią Dews za ramię, przeczesując wzrokiem zatłoczone pomieszczenie. W palenisku w głębi huczał ogień, grupa marynarzy śpiewała pijacko przy długim stole. Jednooka posługaczka pomykała między stolikami, unikając kontaktu wzrokowego z kimkolwiek, a zwłaszcza z Lazarusem. Matki Pocieszycielki nie było nigdzie widać.

Pani Dews szarpnęła go lekko za ramię i wspięła się na palce, żeby krzyknąć mu do ucha, przebijając się przez hałas w pomieszczeniu:

– Proszę mi dać parę monet!

Spojrzał na nią, unosząc brew, a potem wyjął sakiewkę i wytrząsnął na jej dłoń kilka szylingów. Skinęła głową i bez słowa zaczęła kluczyć w tłumie, cierpliwie podążając w ślad za posługaczką. Lazarus ani myślał puszczać ją samą w takim towarzystwie. Trzymał się tuż za nią, śledząc jej ruchy, i spoglądał groźnie, gdy jakiś natarczywy marynarz próbował złapać ją za rękę.

W końcu pani Dews osaczyła posługaczkę niedaleko paleniska. Dziewczyna odwróciła się niechętnie, aczkolwiek jej zainteresowanie minimalnie wzrosło, kiedy pani Dews wcisnęła jej w dłoń monetę. Nastąpiła szeptana wymiana zdań i posługaczka czym prędzej odeszła.

Pani Dews odwróciła się do Lazarusa.

– Mówi, że Matka Pocieszycielka jest na zapleczu.

Lazarus zerknął na zasłonięte kotarą przejście.

– Poszukajmy jej zatem.

Uniósł kotarę i podążył przodem. Dalej znajdował się krótki, ciemny korytarz. O ścianę opierał się tu młody mężczyzna, który czubkiem noża czyścił sobie paznokcie.

Nawet się nie pofatygował, by na nich spojrzeć.

– Tu nie wolno. Wracać do baru.

– Życzę sobie rozmawiać z Matką Pocieszycielką – oznajmił spokojnie Lazarus.

Młodzieniec nie był postawny, ale wyglądał na szybkiego. Nim zdążył odpowiedzieć, za jego plecami Matka Pocieszycielka otworzyła drzwi. Wyślizgnęła się przez nie jakaś dziewczyna, chwiejąc się w pantofelkach na obcasach. Lekceważąco spojrzała na strażnika, zwolniła jednak na widok Lazarusa. Stanął bokiem, żeby umożliwić jej przejście, ona zaś podziękowała mu zawadiackim uśmiechem i puściła do niego oczko. Nie wątpił, że gdyby okazał choć cień zainteresowania, przychylnie podeszłaby do szybkiego sam na sam w kącie pijalni ginu. Zerknął na panią Dews i nie zaskoczył go widok jej pruderyjnie zaciśniętych warg.

– Pani Dews! – zawołała od drzwi Matka Pocieszycielka. – Mało ma pani roboty w tym swoim przytułku? Nie przeszły dwa tygodnie, jak drugi raz

nawiedza pani mój rejon St. Giles. I to z lordem Caire’em, jak widzę. Pana żem się nie spodziewała z powrotem, milordzie.

– Ponieważ sądziła pani, że zabiją mnie pod domem Marthy Swan? – spytał z uśmiechem Lazarus.

Kobieta przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się kokieteryjnie. Odstręczający widok!

– A żem słyszała, że były tam kłopoty. Bidna Martha Swan! Niebezpiecznie włóczyć się po ulicach.

– Czyli nie uważa pani za znamienne, że wypatroszono ją w taki sam sposób jak Marie Hume?

Wzruszyła kościstymi ramionami, równie szeroka w barach jak mężczyzna.

– Niejedna dziewucha źle skończyła w St. Giles.

Lazarus przyglądał się przez chwilę bacznie starej rajfurce. Bez wątpienia prowadziła z nim grę, czy jednak chodziło o pieniądze, ochronę jej tajemniczych interesów, czy też miała bardziej złowrogie zamiary, co do tego brakowało mu pewności.

– Tak czy owak, mężczyzna, który mnie zaatakował, siedział tu w barze tej nocy, kiedy przyszedłem zadać pani kilka pytań. Miał przepaskę na nosie.

Przytaknęła.

– A tak, jego żem widywała.

– Wie pani, kto mógł go wynająć, żeby mnie zabił? Kto nie chce, by odnaleziono zabójcę Marie Hume?

– Zabić pana? – Charknęła i splunęła na brudną słomę na podłodze. – Słuchaj pan, nie mój interes, co ludzie robią, jak ode mnie wyjdą. Pewnikiem przyuważył tę sakiewkę, co to pan nią wywijał tamtej nocy, i pomyślał, że łatwo pana ustrzeli.

– Orientuje się pani, czy miał przyjaciół? Mężczyzn, z którymi pił?

– Nie i nic mnie to nie obchodzi. – Wzruszyła ramionami i odwróciła się od nich. – Interesy wzywają, milordzie.

Lazarus przyglądał się, jak zamyka za sobą drzwi. Podczas ich pierwszej wizyty Matka Pocieszycielka wydawała się żywo zainteresowana zarobkiem, dziś wszakże nawet nie napomknęła o pieniądzach. Czy się bała? Ktoś udzielił jej ostrzeżenia?

Obok niego pani Dews westchnęła.

– I to by było na tyle. Nie sądzę, żeby powiedziała panu coś więcej.

Młodzian, który przez cały ten czas podpierał ścianę, odkaszlnął. Lazarus spojrzał na niego, ale tamten patrzył na panią Dews.

– Chce pani wiedzieć o Marie Hume?

Prawie że nie poruszał ustami, jego słowa były ledwie słyszalne. Mimo to pani Dews przytaknęła milcząco i wetknęła mu w dłoń resztę monet, które dał jej Lazarus.

– Jest taki dom na Running Man Courtyard. Zna pani?

Pani Dews zesztywniała, ale skinęła głową.

– Pani pyta o Tommy'ego Petta i nie gada nikomu, skąd ma jego nazwisko. Rozumi pani?

– Tak.

Pani Dews odwróciła się szybko i weszła z powrotem do baru.

Lazarus odczekał, aż wspięli się po schodach i stanęli w chłodnym nocnym powietrzu.

– Trafi pani pod ten adres?

Zacisnęła usta, jakby niezadowolona.

– Tak.

Lazarus rozejrzał się po mrocznej ulicy.

– Zna pani tamtego chłopaka? Możemy mu ufać?

– Nie wiem. Nigdy wcześniej go nie spotkałam. – Pani Dews naciągnęła pelerynę na ramiona. – Pańskim zdaniem to pułapka?

– Albo szukanie wiatru w polu. – Lazarus zmarszczył brwi. – Matka Pocieszycielka mogła mu polecić, żeby szepnął nam tę informację.

– Po co?

– Nie mam pojęcia, do diabła! – Wypuścił powietrze z płuc. – W tym problem. Nie znam tutejszych graczy. Przychodzę z zewnątrz.

– No cóż, jeśli to pomoże, odniosłam wrażenie, iż autentycznie się bał, że ona podsłucha.

Znienacka Lazarus poczuł, że się uśmiecha. Pokłonił się nisko, zgarniając z głowy kapelusz.

– Wobec tego, pani Dews, proszę prowadzić.

Niemal się uśmiechnęła – przysiągłby na własne życie – ale przywołała do porządku swój wyraz twarzy i ruszyła żwawo, a jej kroki rozbrzmiewały echem na bruku. Lazarus trzymał się tuż za nią, zachowując czujność. Mgła

zawijała się na narożnikach budynków i przyćmiewała światło nielicznych latarni. Pomyślał ponuro, że byłaby to dobra noc na zasadzkę.

– Kiedy w ubiegłym tygodniu wróciłam z pańskiego domu, czekali na mnie moi starsi bracia – odezwała się znienacka.

Nie popatrzyła na niego, toteż nie mógł nic wyczytać z jej twarzy.

– Co mówili?

– Nie chcieli, żebym gdziekolwiek z panem chodziła, oczywiście.

– A mimo to jest pani tutaj. – Skręcili w szerszą ulicę. – Czy powinno mi to pochlebiać?

– Nie – ucięła. – Robię to tylko dla przytułku.

– Och, naturalnie.

Grupa trzech mężczyzn, wyraźnie pijanych, wytoczyła się chwiejnie z bramy tuż przed nimi. Lazarus sięgnął do przodu i pociągnął panią Dews ku sobie, nie zważając na to, że zapiszczała z zaskoczenia. Przystanął w cieniu i otulił ją swoją peleryną, dzięki czemu praktycznie ją ukrył.

Nachylił się, by wymruczeć jej do ucha:

– W byciu cnotliwym przykre jest to, że kiedy człowiek próbuje kłamać, niezbyt dobrze mu to wychodzi.

Otworzyła usta i dostrzegł w jej oku błysk gniewu, ale pijacy właśnie ich mijali.

– Ciii… – szepnął.

Z tak bliska czuł woń słodkich ziół, których użyła przy myciu włosów. Pragnął przyciągnąć ją jeszcze bliżej, docisnąć jej biodra do swoich, polizać delikatne ucho.

Ale podejrzane typy już przeszły, toteż ją puścił.

Natychmiast od niego odskoczyła i spiorunowała go wzrokiem.

– Ani trochę nie pragnę pańskiego towarzystwa. Robię to wyłącznie dla przytułku i dzieci.

– Jakże szlachetnie, pani Dews. Jakbym słyszał świętą. – Poczuł, że usta wykrzywia mu niezbyt przyjemny uśmiech. – Powie mi pani teraz, co to za dom na Running Man Courtyard?

– Dom pani Whiteside – wymamrotała, po czym odwróciła się prędko i odmaszerowała.

Brwi Lazarusa powędrowały w górę w szczerym zaskoczeniu, kiedy przyspieszał, żeby zrównać się ze swoją przewodniczką. Zapowiadało się interesująco.

Ponieważ pani Whiteside prowadziła okryty najgorszą sławą burdel w St. Giles.

Rozdział 9

Wczesnym rankiem następnego dnia Meg obudzili czterej krzepcy strażnicy. Spiesznie poprowadzili ją krętymi schodami w górę, aż znalazła się znów w sali tronowej. Król rozpierał się leniwie na złotym tronie, jego czarna broda i włosy lśniły w promieniach porannego słońca. Przed nim stało na baczność w uporządkowanych szeregach kilkudziesięciu gwardzistów.

– Jesteś! – warknął król. – Zaraz dowiodę ci miłości mego ludu. – Odwrócił się do zgromadzonych gwardzistów. – Gwardziści moi, czy mnie kochacie?

– Tak, panie! – zakrzyknęli z mocą jednym głosem.

Król Zamknięte Serce z wyższością uśmiechnął się do Meg.

– Widzisz? Przyznaj się teraz do swojej głupoty, a może daruję ci życie…

– z „Król Zamknięte Serce”

Policzki płonęły Temperance coraz bardziej, kiedy zmierzała przed siebie. Znała w St. Giles większość domów o złej reputacji – ostatecznie to z nich wywodziła się spora grupa jej podopiecznych – ale jej noga nie postała dotąd w żadnym po zmroku. A dom pani Whiteside zapracował na swoją złą sławę, oferując bardzo specyficzny typ rozrywek.

– Ach – mruknął za jej plecami lord Caire. – Chyba wiem co nieco o tym miejscu.

Przygryzła wargę.

– Może więc nie jestem panu dziś dłużej potrzebna.

Chwycił ją tak nagle, że się zatchnęła.

– Przysięgła pani, że nie wycofa się z naszego paktu.

Zmarszczyła brwi, zdezorientowana.

– I nie wycofam się, ale…

– Zatem niech pani prowadzi.

Temperance zebrała ciaśniej pelerynę i zastosowała się do jego życzenia. Tej nocy wiatr kąsał jej policzki, aż straciła w nich czucie. Nie wiedziała dłużej, co sądzić o tym mężczyźnie. Dokuczał jej i ją pocałował, bezpardonowo próbował wydobyć z niej najbardziej wstydliwy sekret, po czym tulił ją do swego ciepłego ciała, aby osłaniać i chronić. Nadal drżała od zapachu jego szyi, stalowego uścisku ramion.

Zagłębili się w kolejną uliczkę, tym razem węższą. Szyldy nad ich głowami ze skrzypieniem kołysały się na wietrze. Usłyszała śmiech, nagły i bliski, który zaraz się oddalił. Minęli szczupłą kobietę w znoszonej pelerynie, niosącą coś w wiadrze. Unikała ich spojrzeń, gdy przemykała w pośpiechu. Raptem uliczka się poszerzyła, przechodząc w dziedziniec z wiszącymi nad nim wysuniętymi piętrami, za sprawą których przestrzeń na planie kwadratu wydawała się ciasna i zatłoczona. Za okiennicami na każdym piętrze migotały światła, na zewnątrz docierały dziwne, wytłumione odgłosy – urwany śmiech, wymamrotane słowo, rytmiczny stukot oraz coś, co brzmiało jak jęki.

Temperance zadrżała.

– Oto przybytek pani Whiteside.

– Proszę się trzymać blisko mnie – mruknął lord Caire, zanim uniósł laskę, by zapukać do jedynych drzwi na dziedzińcu.

Otworzyły się i stanął w nich zwalisty strażnik o szerokiej, pospolitej twarzy poznaczonej bliznami po ospie. Jego wąskie oczy były pozbawione wyrazu.

– Chłopak czy dziewczyna?

– Ani jedno, ani drugie – odparł gładko lord Caire. – Chcę pomówić z Tommym Pettem.

Mężczyzna zaczął zamykać drzwi.

Lord Caire wetknął laskę w szparę, wolną dłoń wsparł zaś płasko o drzwi. Zatrzymały się, a na obliczu strażnika odmalował się ledwie uchwytny wyraz zaskoczenia.

– Proszę – dodał lord Caire z twardym uśmiechem.

– Jacky – dobiegł zza pleców strażnika niski, chrapliwy głos. – Niechże zobaczę naszego gościa.

Strażnik odstąpił. Lord Caire natychmiast wszedł, pociągając za sobą Temperance. Wyjrzała zza jego ramienia.

W niewielkim kwadratowym holu z ledwością mieściły się schody wiodące na kolejne piętra. Zaraz po prawej za otwartymi drzwiami widać było schludną bawialnię. W jej wejściu stała kobieta w sukni z różowej satyny, usianej wstążkami i kokardami. Głową sięgała Caire’owi niewiele powyżej pasa, gruba i kanciasta, o ciężkim, zdeformowanym czole.

Strzeliła w Caire’a bystrym spojrzeniem.

– Lord Caire. Często się zastanawiałam, kiedy nas pan odwiedzi.

Ukłonił się.

– Czy mówię z panią Whiteside?

Karlica odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem tak niskim, że mógłby być męski.

– Dobry Boże, nie. Jestem zaledwie pracownicą wspomnianej damy. Może mi pan mówić Pansy.

Lord Caire skinął głową.

– Madame Pansy. Byłbym ogromnie wdzięczny za chwilę rozmowy z Tommym Pettem.

– Dlaczego, jeśli wolno spytać?

– Posiada potrzebne mi informacje.

Pansy ściągnęła usta w ciup i przekrzywiła głowę.

– Czemu nie? Jacky, idź zobacz, czy Tommy jest wolny.

Strażnik oddalił się ociężale, a Pansy gestem zaprosiła ich do bawialni.

– Spocznie pan, milordzie?

– Dziękuję.

Weszli do niedużego pokoju. Lord Caire opadł na obitą aksamitem sfatygowaną kanapę, pociągając Temperance na miejsce obok siebie. Naprzeciw stał szeroki, niski fotel, wyścielany wystawnie purpurą i różem. Pansy uniosła biodro i wskoczyła na niego tyłem. Jej stopy w eleganckich pantofelkach na obcasie zadyndały dobre dziesięć centymetrów nad podłogą.

Wsparła pękate przedramiona o podłokietniki i spojrzała na lorda Caire’a z igrającym na ustach uśmiechem.

– Naprawdę powinien pan zatrzymać się u nas na chwilkę, milordzie, kiedy załatwi pan już sprawę z moim Tommym. Zaoferuję panu specjalną cenę.

– Dziękuję, ale nie – odparł beznamiętnym tonem Caire.

Pansy przekrzywiła głowę.

– Specjalizujemy się w zaspokajaniu… hm, nietypowych wymagań dżentelmenów takich jak pan. I, oczywiście, pańska przyjaciółka może się przyłączyć.

Temperance zrobiła wielkie oczy, kiedy Pansy wskazała ją ruchem brody. Nie miała pojęcia, na czym polegają „nietypowe wymagania” Caire’a, wiedziała jednak, że sama sugestia, by zabawiła się wraz z nim, powinna wzbudzić w niej obrzydzenie. Tymczasem nadal usiłowała dojść do ładu ze swoimi odczuciami, gdy do pokoju wszedł urodziwy młodzieniec. Smukły, o złotych, jedwabistych, opadających falami na ramiona włosach, zawahał się tuż za progiem, niespokojnie mierząc wzrokiem lorda Caire’a.

Pansy uśmiechnęła się do chłopaka.

– Tommy, to jest lord Caire. Jak sądzę…

Cokolwiek Pansy zamierzała powiedzieć, nie było jej dane, gdyż Tommy wybiegł z pokoju. Lord Caire poderwał się z kanapy i w milczeniu pomknął za nim. Z holu dobiegły odgłosy szamotaniny, głuchy łomot i przekleństwo, a później lord Caire wrócił do bawialni, mocno trzymając Tommy’ego za kołnierz kaftana.

– Dobrze! Dobrze! – dyszał chłopak. – Ma mnie pan! Puść mnie pan, to byde gadał.

– Nie wydaje mi się – wycedził lord Caire. – Raczej mocno cię przytrzymam, a ty będziesz gadał.

Pansy dotąd śledziła wydarzenia zwężonymi oczami, choć bez zaskoczenia. Teraz się poruszyła.

– Tommy nie skończył jeszcze tej nocy pracy, milordzie. Mam szczerą nadzieję, że będzie pan miał to na względzie? Jego cena spada, kiedy jest posiniaczony.

– Nie zamierzam krzywdzić pani pracownika, jeśli tylko powie mi to, co chcę wiedzieć – zapewnił lord Caire.

– Czyli? – spytała miękko karlica.

– Marie Hume – powiedział lord Caire. – Co wiesz o jej śmierci?

Jak na chłopaka zarabiającego na życie w burdelu w St. Giles, Tommy był beznadziejnym kłamcą. Umknął wzrokiem, oblizał wargi i oświadczył:

– Nic.

Temperance westchnęła. Nawet ona widziała, że chłopak ma jakieś informacje na temat śmierci kochanki lorda Caire’a.

Lord Caire tylko nim potrząsnął.

– Spróbuj jeszcze raz.

Pansy uniosła brwi.

– Obawiam się, że czas Tommy’ego jest dosyć cenny, milordzie.

Lord Caire bez słowa sięgnął do kieszeni kaftana i wyjął małą sakiewkę. Rzucił ją Pansy, a ta złapała zwinnie. Zajrzała do środka, zamknęła woreczek i ukryła go w fałdach sukni.

Skinęła Tommy’emu głową.

– Wystarczy w zupełności. A teraz porozmawiaj z tym dżentelmenem, jagniątko.

Tommy oklapł w uchwycie lorda Caire’a.

– Nic nie wiem. Była nieżywa, jakem ją znalazł.

Na tę wieść Temperance zerknęła na lorda Caire’a, jeśli wszakże zaskoczyło go, że to Tommy, nie zaś Martha Swan, znalazł Marie, nie dał nic po sobie poznać.

– Znalazłeś ją jako pierwszy? – drążył lord Caire.

Tommy spojrzał nań zdezorientowany.

– Nikogo więcej tam nie było, jeśli o to pan pyta.

– Kiedy ją znalazłeś?

Chłopak się wykrzywił.

– Jakiś czas temu… dwa miesiące albo i dłużej.

– Jakiego dnia?

– W sobotę. – Tommy strzelił spojrzeniem ku Pansy. – W soboty rano mam wolne.

– I o której przyszedłeś do Marie?

Tommy wzruszył ramionami.

– Chyba o dziewiątej. Albo dziesiątej? Jakoś przed południem.

Lord Caire znowu nim potrząsnął.

– Opisz to.

Tommy oblizał wargi, zerkając na Pansy, jakby pytał o zgodę. Kobieta skinęła głową.

Westchnął.

– Jej pokoje były na piętrze na tyłach domu. Jakem wchodził po schodach, była ino baba, co szorowała podest przed wejściem. Chciał żem zapukać do jej drzwi… drzwi Marie… ale jakem ich dotknął, same się rozwarły. No to żem wszedł. W pierwszym pokoju to by się jadło z podłogi, Marie lubiła porządek, ale sypialnia…

Tommy przerwał opowieść, wbijając wzrok w podłogę. Grdyka mu się przesunęła, gdy głośno przełykał ślinę.

– Wszędy była krew. Na ścianach i podłodze, i nawet suficie. Boże, nigdy żem nie widział takiej krwi, w calutkim życiu. Materac był od niej czarny, a Marie…

– Co z Marie? – zapytał miękko lord Caire, ale Temperance bynajmniej nie uznała tego za oznakę łagodności lub litości.

– Była rozorana – odparł Tommy. – Od szyi po intymności. Widział żem jej flaki, wystawały jak szare węże. – Znowu przełknął ślinę, popielaty na twarzy. – Żem wtedy wszystko z siebie wyrzucił, na całą podłogę. Nic żem nie poradził. To był taki potworny smród.

– I co zrobiłeś potem? – dociekał lord Caire.

– No jak, uciekł żem – powiedział Tommy, ale oczy ponownie umknęły mu w bok.

Lord Caire nim potrząsnął.

– Nie pomyślałeś, żeby przeszukać pokój? Miała klejnoty: wysadzaną diamentami szpilkę do włosów i kolczyki z pereł, a także diamentowe spinki do butów i pierścionek z granatem.

– Nigdy… – zaczął Tommy, ale lord Caire potrząsnął nim tak mocno, że chłopak nie dał rady kontynuować.

– Tommy, jagniątko drogie – westchnęła Pansy. – Ty mów lordowi Caire’owi prawdę albo na nic mi się zdasz.

Chłopak posępnie zwiesił głowę.

– Już ich nie potrzebowała. Była nieżywa jak trup. A jakbym je tam zostawił, toby je ukradł gospodarz domu. Mam do nich większe prawo niż inni.

– Dlaczego? – spytała Temperance.

Tommy uniósł głowę i wlepił w nią wzrok, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– Dlaczego? Bo żem był jej bratem.

Temperance spojrzała na lorda Caire’a. Twarz miał bez wyrazu, zamarł jednak, jakby zaskoczony. Na powrót skupiła uwagę na Tommym.

– Byłeś bratem Marie Hume.

– No tak żem przecie powiedział – parsknął chłopak. – Mieli żeśmy jedną matkę, ale Marie była ode mnie z dziesięć lat starsza.

Temperance ściągnęła brwi. Zauważyła przelotne spojrzenie, jakie lord Caire wymienił z Pansy. Coś tutaj się nie zgadzało. Odnosiła wrażenie, że brakuje jej jakiejś informacji, którą dysponują wszystkie pozostałe osoby w pokoju.

– Czyli dobrze ją znałeś?

Tommy nieswojo wzruszył ramionami.

– No chyba jako tako.

– Czy miewała innych gości poza lordem Caire'em i tobą? – dociekała Temperance.

– Tego to nie wiem – odparł wolno Tommy. – Widywał żem ją ino raz na tydzień.

Temperance nachyliła się ku niemu.

– Ale na pewno rozmawialiście o sobie nawzajem? Opowiadała ci, jak upływają jej dni?

Chłopak wbił wzrok w noski butów.

– Zwykle żem prosił od niej pieniądze.

Temperance zamrugała, zbulwersowana takim brakiem braterskiej miłości. Pomyślałaby, że Tommy wykręca się od odpowiedzi, gdyby nie fakt, że zupełnie nie potrafił kłamać.

– Domyślasz się, kto mógł ją zabić? – spytał znienacka lord Caire.

Oczy chłopaka się zaokrągliły.

– Była przywiązana do łóżka, ręce nad głowom, nogi rozwarte, kaptur na twarzy. Od razu żem wiedział, kto ją zabił.

Lord Caire wpatrywał się w chłopaka z góry.

– Kto?

Tommy uśmiechnął się, ale jakoś krzywo, co odebrało mu całą urodę.

– No jak? Pan, milordzie. Czy nie tak lubił się pan zabawiać z moją siostrą?

* * *

Lazarus wpatrywał się w ślicznego chłopaka. Naprawdę nie oczekiwał takiego zarzutu – choć powinien był. Puścił Tommy'ego, pilnując się, żeby nie spojrzeć na panią Dews. Co ona pomyśli o rewelacjach chłopaka? Czy mogła zareagować inaczej niż przerażeniem i odrazą?

– Nie jesteś mi dłużej potrzebny – rzekł, odprawiając Tommy’ego.

Przez twarz chłopaka przemknął wyraz rozczarowania. Bez wątpienia oczekiwał sprzeciwu lub nawet rzucanych w popłochu zaprzeczeń.

Lazarus miał nieprzeniknioną twarz. Niech go diabli, jeśli dostarczy chłopakowi tej rozrywki.

Tommy zerknął na Pansy. Skinęła głową, z nieforemną twarzą całkowicie beznamiętną, i chłopak wyszedł.

Kiedy za Tommym zamknęły się drzwi, odwróciła się do Lazarusa.

– To wszystko?

– Nie.

Podszedł do niewielkiego kominka i zapatrzył się w płomienie, usiłując zebrać myśli. W swym dochodzeniu zawędrował w ślepą uliczkę. Jeśli chłopak – w końcu brat Marie – nie orientował się, kto ją zabił, dokąd Lazarus mógł się zwrócić dalej? W rozkojarzeniu obracał w pięści laskę. A potem coś sobie uzmysłowił. Wiedział, że to nie on związał Marie, wobec tego zrobił to inny mężczyzna – mężczyzna, który przynajmniej w tym względzie przejawiał te same co on skłonności.

Odwrócił się do Pansy.

– Mówiła pani, że ten przybytek zaspokaja kaprysy mężczyzn takich jak ja.

Karlica uniosła ciemne brwi.

– Tak, oczywiście. Chciałby pan obejrzeć towar?

Był świadom, że pani Dews gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Choć nadal na nią nie spojrzał, wiedział, że stoi zszokowana w kącie pokoju. Być może odraza wprawiła ją w osłupienie.

Pokręcił głową.

– Nie. Chcę informacji.

Pansy przekrzywiła swą zbyt dużą głowę, a jej inteligentne oczy rozjarzyły się na perspektywę zarobku.

– Jakiego rodzaju informacji, milordzie?

– Chcę poznać nazwiska mężczyzn, którzy lubią pęta i kaptur.

Wpatrywała się w niego z namysłem. Później nagle pokręciła głową.

– Rozumie pan, że nie mogę podawać nazwisk naszych klientów.

Wyjął z kieszeni sakiewkę – większą niż poprzednia – i rzucił na stolik przy jej łokciu.

– W środku jest pięćdziesiąt funtów.

Uniosła brwi, wzięła sakiewkę i wysypała sobie jej zawartość na podołek, by policzyć monety, jedną po drugiej. Kiedy skończyła, milczała chwilę, jakby się zastanawiała; potem na powrót schowała monety do sakiewki i wepchnęła ją w dekolt.

Oparła się wygodnie w swoim niskim, szerokim fotelu i popatrzyła na Lazarusa.

– Niektórzy dżentelmeni znajdują przyjemność w obserwowaniu zabaw innych.

Wyczekująco uniósł brew.

– Może chciałby pan skorzystać?

Lazarus przytaknął krótko, puls mu przyspieszył.

– Jacky! – zawołała Pansy.

W drzwiach pojawił się jej sługus.

Dała znak palcami.

– Proszę, zabierz tego dżentelmena do wizjerów. Sądzę, milordzie, że najbardziej zainteresuje pana pokój numer sześć.

Jacky odwrócił się bez słowa, a Lazarus podszedł, by chwycić panią Dews za nadgarstek.

Opierała się, ale trzymał mocno, kiedy siłą prowadził ją do drzwi.

– Co pan robi? Nie życzę sobie oglądać żadnych „zabaw”.

– Nie mogę zostawić pani samej – warknął cicho.

Była to prawda, ale nie cała. Chciał jej pokazać, co czai się głęboko w jego duszy. Jego sekret ją odrzuci, wiedział to, czuł jednak chorobliwy przymus, by osobiście poznać jej reakcję. Obnażyć przed nią swoje tajemnice i oczekiwać na wyrok.

Jacky poprowadził ich wąskimi drewnianymi schodami w górę i na mroczny korytarz. Wzdłuż niego ciągnęły się drzwi, oznaczone zgrzebnie wyrytymi numerami. Zamiast jednak otworzyć jedne z nich, mężczyzna powiódł ich na koniec korytarza, do drzwi bez oznaczeń.

Otworzył je kluczem i gestem zaprosił oboje do środka.

– Do końca i w bok. Jedna godzina. Nic dłużej.

I zamknął za nimi drzwi.

Pani Dews drgnęła, oparta o Lazarusa, tak że czuł drżenie jej ciała. Nachylił się do jej ucha.

– Ciii… – szepnął. – Drzwi nie są zamknięte na klucz. Możemy stąd wyjść, kiedy zechcemy.

– Więc chodźmy od razu – syknęła w odpowiedzi.

– Nie.

Serce biło mu szybko, zacieśnił uchwyt na jej nadgarstku.

Znajdowali się w niskim, wąskim przejściu. Macał ręką po ścianie, kiedy stosownie do instrukcji Jacky'ego szli do końca. Tutaj korytarzyk raptownie zakręcał i Lazarus zmrużonymi oczami zlustrował nowy odcinek. W pierwszej chwili wydawało się, że panują tu nieprzeniknione ciemności, ale kiedy oczy mu się przystosowały, na jednej ścianie dostrzegł rozmieszczone w regularnych odstępach punkciki światła. Podszedł do pierwszego i przekonał się, że to wizjer. Pod nim, ledwie widoczna w świetle padającym z pokoju po drugiej stronie, widniała cyfra dziewięć.

Pani Dews pociągnęła go za nadgarstek.

– Proszę, chodźmy stąd.

Zerknął przez wizjer i odwrócił się, przyciągając ją bliżej.

– Nie. Proszę spojrzeć.

Pokręciła głową, ale jej opór był słaby, kiedy Lazarus prowadził ją do ściany. Rozpoznał moment, gdy zobaczyła, co znajduje się w pokoju, ponieważ całe jej ciało się naprężyło. Stała twarzą do ściany, oddalona od niego, a on przesunął się za nią.

Zbliżył usta do jej ucha.

– Co pani widzi?

Przeszył ją dreszcz, ale nadal milczała.

Nie, żeby potrzebował jej słów, by wiedzieć, co dzieje się w pokoju za wizjerem. Zobaczył wszystko, kiedy sam spojrzał: mężczyzna i kobieta, mężczyzna nagi, kobieta nadal w halce. Kobieta klęczała u stóp mężczyzny, z jego instrumentem między wargami.

– Podoba się pani? – szepnął. – Podnieca to panią?

Drżała jak zając w szponach jastrzębia. Na zewnątrz była tak poprawna, wiedział jednak, tą częścią siebie poza umysłem i duchem, że nosi w sobie zmysłowe głębie, które z całych sił stara się ukryć. Chciał zbadać owe głębie. Wydobyć je na światło dnia i rozkoszować się nimi. Stanowiły część niej na równi ze złotymi cętkami w oczach i tęsknił za tym, by pławić się w jej pragnieniach.

– Chodźmy, sprawdźmy, co jeszcze jest tu do zobaczenia.

Wziął ją za rękę – teraz już mniej się opierała – i poprowadził do drugiego wizjera. Zerknięcie wystarczyło, by stwierdził, że pokój jest pusty.

W przeciwieństwie do kolejnego.

– Proszę spojrzeć – zamruczał, ciałem dociskając ją do ściany. – Co pani widzi?

Pokręciła głową, lecz mimo to wyszeptała:

– On… bierze ją od tyłu.

– Jak ogier kryjący klacz – uzupełnił cicho, napierając na nią.

Przytaknęła spazmatycznie.

– Podoba się pani?

Na to jednak odmówiła odpowiedzi.

Odciągnął ją i sprawdził kolejny otwór, ten, do którego posłała ich Pansy. Konwulsyjnie przełknął ślinę. Odwrócił się i bez słowa poprowadził panią Dews do wizjera. Rozpoznał moment, gdy zrozumiała. Jej ciało znieruchomiało, mocno ścisnęła jego dłoń.

Przesunął się za nią, dociskając do ściany tak, że nie miała możliwości ucieczki. Całym sobą czuł, jaka jest ciepła i miękka.

– Co pani widzi? – szepnął przy jej uchu.

Pokręciła głową, ale chwycił jej dłonie i rozpostarł szeroko na ścianie, nakrywając swoimi. Jego członek, gruby i pulsujący, napierał na rozporek, wtłaczając się w jej miękki bok.

– Niech mi pani powie – zażądał.

W ciszy mrocznego przejścia było słychać, jak ona przełyka ślinę.

– Kobieta jest piękna. Ma rude włosy i białą skórę.

– I?

– Jest naga i przywiązana do łóżka.

– Jak?

Przesunął wargami po jej karku. Z tak bliska jej zapach był silny, zapach kobiety. Żałował, że nie może zerwać jej z głowy prostego białego czepka, wyszarpać szpilek z włosów i zagrzebać twarzy w jej puklach.

– Proszę mi powiedzieć jak.

– Ręce, wyciągnięte nad głową, ma przywiązane razem do wezgłowia. – Mówiła gardłowym, niskim, zmysłowym głosem. – Nogi ma rozwarte, przywiązane za kostki do drążków w narożnikach łóżka. Jest całkiem naga, a jej… jej… – Głośno przełknęła ślinę, niezdolna wymówić tego słowa.

– Jej szparka? – szepnął w jej policzek.

Gdy to powiedział, jego biodra wierzgnęły w górę, jakby instynktownie szukały tej jej części.

– Tak, ona. Jest całkowicie obnażona. – Zakwiliła, kiedy polizał bok jej szyi.

– I? – ponaglił.

– Och! – Zaczerpnęła tchu, jakby dla odzyskania równowagi. – Oczy ma przewiązane szalem.

– A mężczyzna?

– Jest wysoki i mroczny, i kompletnie ubrany. Nawet perukę ma nadal na sobie.

Uśmiechnął się z ustami na jej skórze, biodrami ocierał się o jej pośladki. Zadarłby jej spódnice i odszukał jej miękkie, wilgotne miejsce, gdyby nie pewność, że wyrwałby ją tym z transu.

– Co robi? – Delikatnie ugryzł ją w ucho.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Klęczy między jej nogami i… O Boże!

Zaśmiał się mrocznie.

– Oddaje cześć jej szparce, zgadza się? Liże ją, całuje, wdziera się językiem między te różowe fałdy, kosztując jej esencji.

Jęknęła i naparła nań tyłem – ale nie była to ucieczka. Potarła pośladkami o jego twardy członek, a w Lazarusie wezbrał triumf.

Przeciągnął językiem po jej uchu, wzdłuż delikatnej zewnętrznej krawędzi.

– Podobałoby się to pani? Chciałaby pani, żeby moje usta znalazły się w tym jej cennym miejscu, żebym pieścił językiem jej pączek? Lizałbym panią, smakował, rozkoszował się, aż rzucałaby się pani pode mną, ale ja bym nie puścił. Przytrzymywałbym panią, z udami rozwartymi szeroko, szparką otwartą dla mnie, i lizałbym, aż dochodziłaby pani raz za razem.

Wtedy zaczęła się z nim siłować, na pół odwracając się w jego uchwycie, on zaś nachylił się i pocałował ją mocno, nacierając ustami na jej usta, wpychając w nie język tak dziko, jak pragnął wedrzeć się członkiem w jej ciało. Boże! Groziło mu, że dojdzie w spodniach, i miał to gdzieś. Wreszcie się przełamywała, ta jego mała męczennica, a jej kapitulacja smakowała słodziej niż miód.

Wepchnął nogę między jej nogi, na tyle wysoko, że musiała go dosiąść. Zadarł do góry jej spódnice, skupiony na jednym celu. Nie obchodziło go dłużej, gdzie się znajdują, kim ona jest, kim jest on sam, nie dbał o swoją

nikczemną przeszłość. Pragnął jedynie, by otoczyło go jej ciepłe, wilgotne ciało. Teraz.

Ona jednak zagłębiła palce w jego włosach i szarpnęła znienacka, tak że zaskoczony krzyknął z bólu.

Tylko tego było jej trzeba. Wystrzeliła jak zając umykający przez jastrzębiem i pognała na oślep mrocznym korytarzem.

* * *

Chyba rzucił na nią jakiś urok.

Temperance dyszała, kiedy skręcała za róg ciemnego korytarzyka. Panika narastająca w jej gardle przypominała żywe, roztrzepotane stworzenie, które lada moment mogło odciąć jej dopływ powietrza. Wyczyścić umysł z rozsądku.

Jakim cudem wiedział? Czy wstyd płonął na jej twarzy, widoczny dla wszystkich mężczyzn? Czy też Caire był czarodziejem, zdolnym rozpoznać zmysłowe słabości kobiet? Ponieważ uległa słabości. Nogi jej drżały, gdy znalazł się przy niej; miejsce między udami rozpływało się od haniebnego pragnienia. Zajrzała przez tamten okropny wizjer, opisała scenę w pokoju i, dobry Boże, podobało jej się to. Straszne słowa, które szeptał jej do ucha, kiedy napierał na jej pośladki, rozpaliły ją i rozbudziły w niej żądzę. Pragnęła, by dosiadł jej jak napalony ogier w tym obskurnym korytarzyku burdelu.

Być może już oszalała.

Drzwi na ogólnodostępny korytarz nie były zamknięte na klucz. Ustąpiły pod jej dotykiem i zaraz mknęła schodami w dół, a ciężkie kroki lorda Caire’a dudniły tuż za nią. Dotarła do niewielkiego holu na planie kwadratu i usłyszała, jak on klnie i się potyka. Boże w niebiesiech! Cokolwiek go opóźniło, zyskała kilka dodatkowych sekund. Otworzyła główne drzwi burdelu i wypadła w noc.

Wiatr pozbawił ją tchu, jakieś małe, nikczemne czworonożne stworzenie czmychnęło jej z drogi. Zanurkowała w maleńki kryty zaułek, jej kroki odbijały się echem od wiekowych kamiennych ścian. Nie zastanawiała się, dokąd biegnie, w ogóle nie myślała, panika łomotała jej w piersi. Gdyby ją złapał, pocałowałby ją znowu. Przywarłby do niej całym ciałem, a ona

kosztowałaby jego ust, czuła dotyk i po raz drugi już by mu się nie wyrwała. Uległaby mu, nurzając się w swej grzesznej naturze.

Nie mogła do tego dopuścić.

Kiedy zatem usłyszała z tyłu jego wołanie, zwolniła, zmusiła się, by poruszać się dyskretniej. Kryty zaułek przeszedł w miniaturowy dziedziniec. Obejrzała się za siebie i przecięła go pędem. Płuca jej płonęły. Z chęcią łapczywie chwytałaby powietrze, zmusiła się jednak, by oddychać powoli, cicho, po czym znów spojrzała za siebie. Dziedziniec był pusty. Głos Caire'a dobiegał z daleka. Może go zgubiła.

Przekradła się zaułkiem, skręciła w boczną uliczkę, później w kolejne przejście. Księżyc wędrował po niebie, dając trochę marnego światła. Biegła tak szybko i w takiej gorączce, że nie miała pojęcia, gdzie aktualnie się znajduje. Budynki po obu stronach były ciemne. Przecięła ulicę, znów biegiem, dreszcz strachu przemknął jej wzdłuż kręgosłupa. Na chwilę przystanęła w cieniu jakiegoś domu, oglądając się za siebie. Nie widziała lorda Caire'a. Czyżby zrezygnował z pościgu? Aczkolwiek wydawało się mało prawdopo…

– Głupia! – syknął jej do ucha.

Zaskowyczała, haniebny dźwięk, ale Caire przestraszył ją śmiertelnie.

Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

– Brak pani rozumu? – spytał głosem chrapliwym z furii. – Obiecałem pani bratu, że się nią zaopiekuję, a pani sobie biegnie w najgorszy rejon St. Giles.

Gapiła się na niego, oszołomiona, zdolna myśleć jedynie o tym, że wściekał się ze strachu o nią. Sądziła, że ściga ją w seksualnym szale, podczas gdy on przez cały czas martwił się o jej bezpieczeństwo. Temperance nie dała rady się powstrzymać. Odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem, a wiatr porywał ten dźwięk z jej warg i niósł wysoko.

Lord Caire spojrzał na nią chmurnie.

– Proszę przestać. To nie jest zabawne.

W rezultacie, oczywiście, zaczęła śmiać się jeszcze bardziej.

Westchnął z męską frustracją i potrząsnął nią znowu, ale bez zapału. Pociągnął ją ku sobie, a jej strach przed tym, że mu się nie oprze, gwałtownie powrócił, przez co spoważniała. Położyła mu dłonie na piersi w słabym proteście.

A potem brutalnie wepchnął ją za siebie.

Zatoczyła się od tego nagłego ruchu, lecz pozbierała się prędko i podniosła wzrok. W uliczkę w tym czasie zdążyła wejść grupa uzbrojonych w pałki mężczyzn. Caire przekręcił laskę i dobył szpady. Z krótkim ostrzem w prawej ręce i drugą częścią laski w lewej bez wahania rzucił się na napastników.

– Uciekaj! – ryknął do Temperance, szarżując na mężczyzn.

Nie spodziewali się tak raptownej ofensywy. Dwóch się cofnęło, jeden zawahał, ale pozostali dwaj ruszyli na Caire’a. Temperance macała za pistoletem. Worek z nim przywiązała sobie w talii, pod spódnicami, zaczęła więc podciągać materiał.

Rozległ się krótki wrzask, potwornie ucięty. Podniosła wzrok akurat w porę, by zobaczyć, jak jeden z napastników odstępuje z twarzą zalaną krwią. Caire właśnie okręcał się z wdziękiem, peleryna powiewała wokół niego, kiedy natarł na drugiego mężczyznę.

– Temperance! Słuchaj, co mówię. Uciekaj!

Znienacka wokół jej szyi owinęło się grube ramię, dławiąc jej krzyk.

– Rzuć pan szpadę – rozbrzmiał szorstki głos przy jej uchu – albo skręcę jej kark.

Caire odwrócił się, zwężając oczy, kiedy się zorientował w jej trudnym położeniu, a później mężczyzna przytrzymujący Temperance stęknął i zwiotczał. Odsunęła się od niego nieporadnie, kiedy padał na bruk. Gwałtownie wciągnęła powietrze, podniosła wzrok i ujrzała…

Zjawę, która minęła ją szybko bez słowa. Napastnicy zorientowali się, że on – to coś? – tu jest, dopiero kiedy jeden z nich został powalony. Czy śniła? Zabito ją i nawet się nie zorientowała? Ponieważ zjawisko, które walczyło teraz cicho i śmiertelnie groźnie u boku Caire’a, nie przypominało niczego, co dotąd widziała.

Postać, wysoka i szczupła, miała na sobie czarno-czerwoną tunikę błazna. Jej spodnie, wysokie buty i kapelusz z szerokim rondem były czarne. Górną część twarzy zakrywała jej czarna półmaska z groteskowo długim nosem i niesamowitymi bruzdami wyrzeźbionymi wokół oczu oraz sterczących policzków. W jednej ręce trzymała połyskliwą szablę, w drugiej długi sztylet, i posługiwała się nimi z zabójczą sprawnością, skacząc zwinnie po bruku w trakcie walki.

Caire i zjawa stali plecami do siebie i walczyli z zawziętą precyzją. Caire zablokował cios laską w lewej ręce i zaraz dźgnął szpadą w prawej. Pozostali napastnicy krążyli wokół dwóch przeciwników jak sfora wściekłych psów. Ale Caire i arlekin poruszali się harmonijnie, jakby walczyli w tandemie całe życie. Choć napastnicy na różne sposoby usiłowali przebić się przez ich obronę, nie znajdowali żadnej wyrwy. Zjawa cięła przeciwnika przez pierś, gdy Caire dźgnął innego w udo. Jeden z opryszków wydał okrzyk i znienacka uciekli, rozpływając się w mrokach St. Giles. Nawet mężczyzna, który wcześniej zaszedł Temperance od tyłu, odzyskał siły na tyle, by umknąć.

W ciszy, która nastała, Temperance słyszała, jak oddech chrobocze jej w gardle. Pistolet trząsł się dziko w jej dłoniach.

Arlekin odwrócił się z gracją, jego wysokie buty zaszurały na bruku. Zerwał z głowy kapelusz i ukłonił się nisko. Szkarłatne piórko u kapelusza zatańczyło, kiedy na powrót umieszczał nakrycie na głowie.

Później on także zniknął.

Temperance popatrzyła na Caire’a.

– Został pan ranny? Kto to był?

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową. W trakcie walki srebrzyste włosy uwolniły mu się z kucyka i rozsypały w wachlarz na czarnej pelerynie. – Najwyraźniej jednak Duch St. Giles to nie plotka.

Rozdział 10

Meg pokręciła głową.
– To, Wasza Królewska Mość, nie jest miłość.
– Co takiego? – Król przybrał groźną minę. – Jeśli nie miłość, co to niby jest?
– Posłuszeństwo – odparła Meg. – Gwardziści mówią Waszej Królewskiej Mości to, co Wasza Królewska Mość chce usłyszeć, ponieważ są posłuszni.
No, no! W sali tronowej usłyszałoby się spadającą szpilkę.
Niebieski ptaszek zaświergotał, a król westchnął.
– Odprowadźcie ją do lochu – rozkazał strażnikom. Po czym dodał, zwracając się do Meg: – A kiedy następnym razem przede mną staniesz, umyj się najpierw jak należy.
Meg dygnęła.
– Do mycia będzie mi potrzebna woda, mydło i szmatki, jeśli Wasza Królewska Mość będzie łaskaw.
Król machnął ręką.
– Dopilnujcie tego.
I strażnicy wyprowadzili Meg…
– z „Król Zamknięte Serce”

– Wiedziała żem, że Duch St. Giles istnieje naprawdę! – wykrzyknęła później tego wieczoru Nell.

Temperance odwróciła się i wlepiła wzrok w pokojówkę, świadoma, że siedzący po drugiej stronie kuchennego stołu Winter zrobił to samo.

Nell zarumieniła się pod ostrzałem ich spojrzeń.

– No żem wiedziała! Czy miał krwistoczerwone oczy?

Temperance uśmiechnęła się ze zmęczeniem, widząc ekscytację pokojówki. Po potyczce Caire odprowadził ją do domu, gdzie wkrótce

osaczyli ją Winter i Nell. Ostatni kwadrans spędziła, odpowiadając na pełne dezaprobaty pytania Wintera, z przerywnikami w postaci okrzyków Nell.

– Nie widziałam dobrze jego oczu – odparła zgodnie z prawdą. – Górną część twarzy zasłaniała mu czarna maska z długim, wygiętym nosem.

Winter prychnął. Spojrzała na niego.

– I nosił czerwono-czarny strój, jak arlekin.

Na tę informację jej brat uniósł brwi, umiarkowanie zainteresowany.

– Kostium teatralny? Wygląda mi na szaleńca.

– Szalony aktor. – Nell zadrżała z zachwytu.

– Walczył bardzo dobrze jak na szaleńca – zauważyła z powątpiewaniem Temperance.

– Może to po prostu rabuś ze smykałką do dramatyzmu – stwierdził kąśliwie Winter.

– Albo naprawdę jest duchem i wrócił pomścić swoją śmierć w St. Giles – powiedziała Nell.

Temperance pokręciła głową.

– To nie był duch. Dziś w nocy widziałam mężczyznę z krwi i kości, wysokiego i szczupłego. – Uśmiechnęła się figlarnie. – Prawdę mówiąc, z sylwetki przypominał mi ciebie, bracie.

Nell zdusiła chichot.

Winter tylko westchnął.

– No cóż, kimkolwiek jest, zawdzięczam mu życie – dodała spiesznie Temperance.

– Dlatego postąpisz roztropnie, jeśli więcej nie zobaczysz lorda Caire’a – odparł Winter.

Temperance skrzywiła się, wiedząc, że właśnie dostarczyła bratu amunicji. Gdyby tylko nie była tak potwornie zmęczona! Potarła skroń.

– Winterze, proszę, czy możemy odłożyć tę dyskusję do jutra?

Patrzył na nią przez chwilę z powagą w smutnych brązowych oczach, potem skinął głową i wstał.

– Oszczędzę ci dziś tego sporu, siostro, ale sen nie zmieni mojego nastawienia. Współpraca z tym mężczyzną naraziła cię na niebezpieczeństwo, przez niego zaniedbujesz obowiązki wobec przytułku i dzieci, jak również, obawiam się, wystawiasz na szwank swój zdrowy rozsądek i cnotę. Nie chcę, żebyś ponownie spotykała się z lordem Caire’em.

Pożegnał się uprzejmie płytkim ukłonem i wyszedł z kuchni.

Temperance zatopiła głowę w dłoniach.

Po chwili ciszy Nell odkaszlnęła.

– Filiżanka herbaty zawsze mi pomaga, szczególnie przed snem.

Temperance mruganiem przepędziła łzy, które wezbrały w jej oczach.

– Dziękuję.

Nigdy dotąd nie rozmawiała z Winterem w gniewie. Asa i Concord doprowadzali ją do szału swoją upartą niezdolnością spojrzenia na sytuację z perspektywy drugiej osoby, ale Winter nigdy nie podniósł na nią głosu. Jako człowiek życzliwy niełatwo dawał się wyprowadzić z równowagi, a świadomość, że dziś wieczorem dokonała tej sztuki, była ogromnie deprymująca.

Nell postawiła na stole imbryk i dwie filiżanki, po czym usiadła naprzeciw Temperance. Nalała parującej herbaty do jednej z filiżanek.

– Pan Makepeace nie chciał być taki… taki… eee… – Umilkła, ewidentnie nie znajdując słowa, które nie uwłaczałoby pracodawcy.

Temperance uśmiechnęła się cierpko.

– Owszem, chciał.

– Och, ale…

– I ma rację. – Temperance sięgnęła ponad stołem i przysunęła do siebie pełną filiżankę. – Nie powinnam go zostawiać, żeby włóczyć się po East Endzie z lordem Caire’em. Zaniedbuję swoje obowiązki.

Nell w milczeniu nalała herbaty do drugiej filiżanki i rozmieszała w niej sporą bryłkę cukru. Pociągnęła niewielki łyk, po czym ostrożnie odstawiła filiżankę na stół, wpatrzona w płyn.

– Lord Caire jest bardzo… urodziwym mężczyzną, przyjemnym dla oka, tak mnie się zdaje.

Temperance spojrzała na nią.

Służąca przygryzła wargę.

– To chyba przez te włosy, takie długie, gęste i lśniące. I srebrne! Robią wrażenie.

– Podobają mi się jego oczy – przyznała Temperance.

– Tak?

Na stół skapnęła kropla herbaty, Temperance umieściła w niej palec i narysowała na blacie okrąg.

– Nigdy nie widziałam oczu tak niebieskich. A rzęsy, w przeciwieństwie do włosów, ma takie ciemne.

– Ma całkiem ładny nos – orzekła z namysłem Nell.

– A usta szerokie i podwinięte w kącikach. Zauważyłaś?

Nell westchnęła, co zdawało się wystarczyć za odpowiedź.

Temperance przygryzła wargę.

– Są takie stanowcze, a zarazem miękkie. Zapierają mi dech w piersiach.

Uzmysłowiła sobie, że tym ostatnim wyznaniem mogła wyjawić za dużo, i w pośpiechu pociągnęła łyk herbaty.

Kiedy odstawiła filiżankę, Nell przyglądała się jej w zamyśleniu.

– On chyba… darzy panią specjalnymi względami.

Temperance ponownie wbiła wzrok w stół. Jej herbaciany krąg już wysechł.

– Skąd możesz wiedzieć? Nawet go nie poznałaś.

– Ach, ale żem słyszała od dzieci i Polly – odparła Nell. – Polly mówi, że ma dreszcze od tego, jak on na panią patrzy.

Jak na nią patrzył? Czy Nell myliła żądzę z czułością? I dlaczego znaczyło to dla niej tak wiele?

Temperance pokręciła głową, kładąc dłonie płasko na blacie.

– Jego pragnienia są wbrew naturze. A nawet gdyby takie nie były, jaką okazałabym się kobietą, gdybym szła za głosem moich popędów?

– Może zwyczajną – powiedziała łagodnie Nell.

Temperance milczała, wspominając rudowłosą prostytutkę z oczami przewiązanymi szalem. Pamiętała, jak podniecił ją ten widok. Czuła się już tak zmęczona pohamowywaniem swoich popędów i oto spotykała lorda Caire’a, który nawet nie próbował tego robić. Zdawał się raczej nimi upajać.

Nell odchrząknęła.

– Miała żem kiedyś przyjaciela, co to lubił trochu przygody w sypialni.

– Naprawdę? – Rzadko się zdarzało, by pokojówka mówiła cokolwiek o swoim poprzednim zajęciu.

Służąca przytaknęła.

– Pod innymi względami był zwyczajnym jegomościem… robił tarcze do zegarów… ale w sypialni to lubił związać panią, z którą się zabawiał.

Temperance pieczołowicie wbijała wzrok we fragment blatu pomiędzy dłońmi, czując, jak żar wspina się jej na policzki. Ta rozmowa sama w sobie

była koszmarnie krępująca, ale prowadzona, gdy w jej myślach rozgościł się lord Caire… Och, niebiosa!

– Czy on…? – Urwała i oblizała wargi. – Czy zrobił ci krzywdę?

– Och, nie, psze pani – odparła Nell. – Proszę tych spraw nie mylić, są panowie, co to chętnie skrzywdzą dziewczynę, ale ten mój nie był z takich. Po prostu miał jakby więcej radości z całej zabawy, kiedy żem nie mogła się ruszać.

– O – bąknęła Temperance.

W ogóle nie powinna rozmyślać na takie tematy, rozniecały w niej najgorsze impulsy. Czuła wszakże, jak w piersi wzbiera jej bunt. Czy było taką potwornością zaledwie rozważać seksualne połączenie z Caire'em? Zastanawiać się, co by czuła z szalem na oczach? Zgadywać, od czego by zaczął, gdyby leżała związana, bezradna i otwarta dla niego? Wyobrażać sobie, jak ulega swym żądzom bez poczucia winy – jak najwyraźniej robił to lord Caire?

Zdusiła dreszcz.

– Wydawało mi się, że nie aprobujesz lorda Caire'a?

– Nie znam go – wyjaśniła ostrożnie Nell. – Znam jeno jego reputację wśród kobiet nocy z St. Giles.

Temperance zmarszczyła brwi.

– Fakt, że zapracował sobie wśród nich na jakąkolwiek reputację, w zasadzie wystarczy za powód do dezaprobaty.

– Pewno ma pani rację. – Nell westchnęła. – Wiem, że mężczyzna powinien wytrwać w czystości do ślubu. Nie powinien odwiedzać dziwek, jeśli ma popędy.

Temperance energicznie pokiwała głową. Oczywiście, że nie. Seksualne stosunki pozamałżeńskie to grzech.

– Chodzi o to, psze pani – ciągnęła cicho Nell – że nie rozumiem, w czym to komu przeszkadza.

Temperance poderwała wzrok.

– Co masz na myśli?

Służąca wzruszyła ramionami.

– No, te sporty w łóżku. Tak se myślę, że lubią je wszyscy mężczyźni i kobiety, i nie że tylko z małżonkiem. Czemu to takie złe?

Temperance wpatrywała się w nią, niezdolna odpowiedzieć.

Nell nachyliła się ku niej.

– Jeśli zabawy w łóżku przynoszą komu radość, choćby na chwilkę, czemu je potępiać?

* * *

Następnego ranka St. John siedział w gabinecie, marszcząc czoło nad mową Cycerona, kiedy Molder flegmatycznie odkaszlnął w progu.

– Lord Caire do pana.

Może i utrzymywałby, że nie ma go w domu, tyle że Caire, niech go diabli, stał tuż za kamerdynerem. St. John zacisnął szczęki, odłożył pióro i gestem zaprosił gościa do środka.

Caire wszedł niespiesznie z pokaźnym bukietem stokrotek.

– Nie uwierzysz, kogo spotkałem w St. Giles minionej nocy.

– Dziwkę? – spytał cierpko St. John.

– Nie. To znaczy tak. – Caire podrapał się po brodzie. – Przynajmniej zakładam, że były dziwkami, ale to żadna nowość. Nie, zawarłem znajomość z niesławnym Duchem St. Giles.

– Ach tak? – St. John zajął się porządkowaniem papierów na biurku.

Kiedy znów podniósł wzrok, Caire w zamyśleniu lustrował go spojrzeniem. Położył przyniesioną wiązankę na stoliku.

– Mężczyzna w stroju arlekina, miękkim kapeluszu ze szkarłatnym piórkiem i w czarnej półmasce. Och, i wymachiwał jednocześnie szablą i sztyletem. Nieco przesadna ekstrawagancja, gdyby mnie ktoś pytał.

St. John prychnął.

– Jakbyś był właściwą osobą, by krytykować ekstrawagancję innych.

Caire zignorował komentarz.

– Według mnie szalę przeważyło szkarłatne piórko.

St. John westchnął.

– I co robił ten Duch?

– Ratował mi skórę, jeśli musisz wiedzieć.

– Co takiego?

– Wczoraj w nocy zaatakowało mnie pięciu zbirów. Interwencję Ducha określiłbym jako dosyć szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Czy pani Dews była z tobą? – zapytał cicho St. John.

Caire odwrócił się i popatrzył na niego w milczeniu.

– Do diabła! – St. John odepchnął się od biurka. – Dlaczego tak uparcie uganiasz się za tą kobietą? Narażasz ją na niebezpieczeństwo.

– Ten fakt nie podoba mi się tak samo jak tobie. Uznałem, że więcej nie mogę zabierać jej na ulice St. Giles bez obstawy. – Pokręcił głową. – Nie zdecydowałem jeszcze, jak kontynuować wraz z nią moje dochodzenie.

– Powinieneś zostawić ją w spokoju.

Caire uśmiechnął się bez wesołości.

– Zdaje się, że nie potrafię.

– Dlaczego? – St. John pokręcił głową. – Nie jest nawet w twoim typie.

– A jaki jest mój typ?

St. John umknął wzrokiem. Obaj świetnie wiedzieli, jakiego rodzaju kobiety preferuje Caire.

– Dziwki? – zapytał cicho Caire. – Kobiety, które da się kupić za klejnoty?

St. John popatrzył nań bezradnie.

Caire przechadzał się po pokoju.

– Może ten mój typ zaczyna mnie nudzić. Może pragnę towarzystwa innego rodzaju kobiety.

St. John nachylił się w fotelu.

– Wobec tego dlaczego ona? – dociekał niskim, poważnym głosem. – Niezliczone damy z naszej sfery, inteligentne, dowcipne i piękne, byłyby uszczęśliwione, gdybyś je wybrał.

– I każda z nich szacowałaby w myślach mój roczny dochód i rodowód. – Caire uśmiechnął się z niejakim smutkiem. – Może pragnę kobiety, która nie dba o te sprawy. Kobiety, która patrząc na mnie, widzi wyłącznie mężczyznę.

St. John wytrzeszczał na niego oczy.

– Jest w niej coś takiego – rzekł półgłosem Caire. – Troszczy się o wszystkich wokół, lecz zaniedbuje siebie. Chcę być tym, który troszczy się o nią.

– Zrujnujesz ją – przestrzegł St. John.

– Doprawdy? Dama nie jest niechętna, bez względu na twoje protesty. Odpuść, Godriku. Dlaczego tak się nią przejmujesz?

St. John milczał, a w piersi wzbierał mu wieloletni smutek.

– Przypomina ci Clarę, zgadza się? – spytał cicho Caire.

– Do diabła! – St. Johna piekły oczy. – Czy tobie ona przypomina Clarę?

– Nie. – Caire opuszką palca dotknął bukietu stokrotek. – Clara była zawsze twoja, od samego początku. Nigdy nie myślałem o niej inaczej jak o drogiej mi przyjaciółce. Wyznaję, że nie mogę powiedzieć tego samego o pani Dews.

St. John wpatrywał się w swoje dłonie, zaciśnięte w pięści na biurku.

– Przepraszam.

– Za co?

– Chyba dałem się ponieść zazdrości. – St. John zamknął oczy. – Masz zdrową, silną damę.

– Nie, to ja powinienem przeprosić. Dźwigasz ciężkie brzemię.

St. John zwiesił głowę, niezdolny nic odrzec.

– Wiesz, że oddałbym własne życie, gdybym mógł ją tym uzdrowić – szepnął Caire.

Jego kroki oddaliły się i St. John usłyszał, jak drzwi zamykają się delikatnie.

Odetchnął głęboko, otwierając oczy. Były mokre, z irytacją osuszył je rękawem. Następnie wstał i podszedł do przyniesionych przez Caire'a kwiatów. Co najmniej dwa tuziny biało-złotych stokrotek.

Wziął bukiet i wyniósł z gabinetu.

Stokrotki były ulubionymi kwiatami Clary.

* * *

Było późne popołudnie, kiedy Silence wyszła z domu. Zakładała, że jeśli ten cały Czarujący Mickey pracuje nocami jako złodziej, z rana nie bywa w szczególnie dobrym nastroju.

A jej zależało, by zobaczyć się z nim, kiedy humor będzie mu dopisywał.

Szła szybko wąską uliczką, pieczołowicie omijając wzrokiem inne osoby przemierzające ten rejon Londynu. Przeważnie byli to handlarze uliczni, którzy wracali do domu po długim dniu głośnego zachwalania towarów w bardziej zamożnych dzielnicach miasta. Pchali taczki z więdnącymi warzywami albo nieśli puste teraz tace po plackach i owocach. Tych ludzi się nie bała. Inni jednak wzbudzali w niej strach – niscy mężczyźni o rozbieganych, podłych oczach. Kobiety w jaskrawych sukniach, stojące w drzwiach i u wylotu zaułków, które, gdy mijali je mężczyźni, podciągały

z jednej strony spódnice, aby zareklamować swoje usługi. Od tych dwóch ostatnich grup Silence oddalała się w pośpiechu.

Zdawała sobie sprawę, że jej gładka wełniana spódnica i prosty czepek z koronką są o wiele lepszej jakości niż przyodziewek ludzi w tej okolicy. Ubrała się schludnie na tę rozmowę, chcąc wywrzeć dobre wrażenie, a zarazem się nie wyróżniać, lecz nawet jej drugiego sortu spódnica przyciągała spojrzenia stojących na rogach dziwek. Otuliła się szczelniej peleryną i zwiesiła głowę, idąc prędko.

Zaczynała się zastanawiać, czy zatajenie tej misji przed mężem było trafionym pomysłem. Ale jaki miała wybór? Nie mogła przyglądać się bezczynnie, jak Williama skazują na więzienie. Ta wyprawa wydawała się jedyną szansą, a ponieważ bez wątpienia by ją potępił, nie widziała sensu mówić mu o niej z wyprzedzeniem.

Silence zaczerpnęła powietrza, gdy skręcała za ostatni narożnik. Budynek, do którego ją skierowano, był stary, wysoki i wąski, z sypiącą się ceglaną fasadą. Wciśnięty między zakład szewski a kamienicę czynszową, nie odróżniał się od sąsiednich. Jeśli nie liczyć dwóch osiłków, którzy marudzili w bramie, podczas gdy ich kompan przechadzał się po drugiej stronie ulicy. Silence pomaszerowała do drzwi wyprostowana, z uniesioną brodą.

Stanowczo przywołała w myślach kochaną twarz Williama i popatrzyła na strażników.

– Przyszłam zobaczyć się z panem O’Connorem.

Jeden mężczyzna ją zignorował, zachowując się tak, jakby nie usłyszał jej ani nie zauważył, że stoi tuż przed nim. Ale drugiego mężczyznę, pyszniącego się wielkim, rozkwaszonym, złamanym nosem i przyciasnym kaftanem w kolorze butelkowej zieleni, jej żądanie chyba ubawiło.

Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół w nazbyt dobrze znany, aczkolwiek nie nieżyczliwy sposób.

– Nie jesteś w jego typie, serdeńko.

– Nie wątpię. – Silence bardzo się starała nie okazywać skrępowania w obliczu bezczelnych oględzin. – Jednak, tak czy inaczej, muszę z nim porozmawiać.

– Ale, widzisz, na to są małe szanse – odparł Złamany Nos.

– Co dajesz? – odezwał się po raz pierwszy jego towarzysz, ujawniając ciąg brakujących zębów w górnej szczęce.

Silence zamrugała.

– Słucham?

Złamany Nos ruchem głowy wskazał tamtego.

– Pyta, ile nam zapłacisz, serdeńko.

– Och! – Przez rozcięcie w spódnicach Silence wyjęła maleńką sakiewkę, którą nosiła u pasa. Otworzyła ją i spojrzała na mężczyzn. – Każdemu po dwupensówce?

Bezzębny parsknął.

– Pół korony na łebka.

Silence nabrała tchu, nim wszakże zdążyła zaprotestować, Złamany Nos naskoczył na kompana:

– Pół korony? Czyżeś ty oszalał, Bert?

– Ani trochu, Harry – odparł Bert. – Tak mi się widzi, że pół korony będzie w sam raz.

– Dla jakiej hrabiny Suffolk to i może! – wybuchnął Harry. – A ona ci wygląda na hrabinę Suffolk?

– Czekajże no… – zaczął żywo Bert.

– Przepraszam! – wtrąciła się Silence, cokolwiek głośno, obawiała się bowiem, że zaraz pójdą w ruch pięści.

Obaj mężczyźni zwrócili ku niej twarze, ale to Harry się odezwał:

– Taa…?

– Czy po szylingu na głowę wystarczy?

Bert parsknął znowu, głośno i z jawną pogardą wobec propozycji, ale Harry okazał się bardziej wspaniałomyślny.

– Szyling na łebka pasuje.

Bert wymamrotał pod nosem coś na temat miękkich serc i rozmiękczonych mózgów, niemniej całkiem ochoczo wysunął rękę, kiedy Silence otworzyła sakiewkę.

– Jest twoja – rzucił do Harry’ego. – Sam ją do niego prowadź.

Harry skinął głową na znak zgody.

– Tak i ja myślę. Tędy, paniusiu. – Przytrzymał jej drzwi.

Silence weszła do wnętrza domu i niemal natychmiast stanęła, wbrew sobie wytrzeszczając oczy.

Za jej plecami Harry zarechotał.

– By się paniusia nie spodziewała, no nie?

Zdołała jedynie niemo przytaknąć. Ściany wyłożono tu złotem.

Hol nie był szeroki, ale jego łukowe sklepienie znajdowało się wysoko w górze, a złoto ciągnęło się od podłogi do sufitu, również złoconego. Pod stopami Silence miała mozaikę z marmurowych kafli w kolorach tęczy, ułożonych przypadkowo. Nad jej głową ze złotego sufitu zwisały kryształowe żyrandole, których światła odbijały się w nieskończoność w połyskliwym żółtym metalu, dając w rezultacie olśniewający pokaz bogactwa.

– Nie boi się złodziei? – palnęła bez zastanowienia.

Dobry Boże, nigdy nie słyszała o ekstrawagancji dorównującej temu holowi. Nawet król z pewnością nie miał złotych ścian!

Ale Harry się roześmiał.

– Chyba ostatni głupiec by próbował kraść u Czarującego Mickeya, paniusiu. Taki, co to mu pilno do spotkania ze Stwórcą.

Silence głośno przełknęła ślinę.

– Och…

Harry spoważniał.

– Na pewno chce paniusia widzieć Czarującego Mickeya? Wyprowadzę paniusię tymi drzwiami i po sprawie.

– Nie. – Silence się wyprostowała. – Nie wyjdę stąd, dopóki się z nim nie zobaczę.

Harry wzruszył potężnymi ramionami, jakby mówił, że wobec tego umywa ręce. Bez dalszych ceregieli odwrócił się i poprowadził ją przez bajeczny hol. W głębi znajdowały się kręte schody, wyrzeźbione z tego samego co na podłodze wielokolorowego marmuru, godne cesarskich snów. Harry podążył po nich pierwszy – były za wąskie na to, żeby dwie osoby szły obok siebie – i zaprowadził Silence do górnego holu. Dokładnie na wprost szczytu schodów znajdowały się tu wielkie dwuskrzydłowe drzwi.

Harry zapukał.

W skrzydle otworzyło się maleńkie kwadratowe okienko i zamrugało ku nim czyjeś oko.

– Taa…?

– Dama do niego – oznajmił Harry.

Oko obróciło się ku Silence.

– Przeszukał żeś dziewuchę?

Harry westchnął.

– Czy ona ci wygląda na zabójczynię, Bob?

Bob zamrugał.

– No by mogła. Najlepszy zabójca to taki, co tego po nim nie widać, jeśli łapiesz.

Harry jedynie patrzył na oko.

– No już dobra – rzucił po niezręcznej przerwie Bob Oko. – Ale ty bekniesz, jak ona czego spróbuje.

Harry spojrzał na Silence.

– Paniusia niczego nie próbuje, jasne?

Niemo skinęła głową. Nagła świadomość tego, na co się poważyła, mocno ścisnęła ją za gardło.

Wielkie złote drzwi otworzył im Bob, który okazał się chudym jak szczapa mężczyzną w niedopasowanej białej peruce. Kaftan spiął szerokim, znoszonym pasem, za który zatknął dwa pistolety. Jednakże Silence ledwie zauważyła odźwiernego.

Sala za drzwiami porażała wspaniałością.

Również w tym wielkim, kwadratowym pomieszczeniu podłogę wyłożono pięknym barwionym marmurem, ale na ścianach zamiast złota migotał biały marmur. Przyjrzawszy się bliżej, Silence oniemiała z wrażenia. Biały marmur był wysadzany klejnotami. Ze złotego sufitu zwisały liczne kryształowe żyrandole, świecąc jasno jak poranne słońce. A każdy kąt, każdy centymetr kwadratowy sali był upakowany bogactwami. Bele jaskrawych jedwabi leżały w stosach na stołach z blatami z marmuru. Inkrustowane sekretarzyki dosunięto do niskich rzeźbionych kredensów z mahoniu. Z drewnianych skrzynek wysypywała się słoma, ujawniając porcelanowe naczynia i delikatne cacka z jadeitu. W powietrzu unosiła się woń egzotycznych przypraw z orientalnych skrzyń, a scenerii beznamiętnie przyglądały się pełne wdzięku marmurowe posągi. W głębi tego bajkowego skarbca znajdowało się podwyższenie, na którym stało ogromne krzesło z wysokim oparciem. Wyścielane czerwonym aksamitem, miało rzeźbione, złocone podłokietniki. Doprawdy, nie dało się go określić inaczej niż tronem.

Przez co siedzący na nim mężczyzna stawał się królem – królem piratów.

Rozpierał się leniwie, z jedną nogą zarzuconą na podłokietnik. Czarne włosy miał rozpuszczone, atramentowe loki spływały mu z ramion i opadały na brew. Piękne koronki u rozpiętej lnianej koszuli obrębiały oliwkową skórę obnażonego torsu. Mężczyzna nosił spodnie z czarnego

aksamitu, a jego stroju dopełniały wypolerowane wysokie buty, sięgające do połowy uda.

Być może Silence parsknęłaby śmiechem na widok tak niedorzecznie ekstrawaganckiej postaci, gdyby nie fakt, że inni obecni na sali mężczyźni traktowali Mickeya nad wyraz poważnie. Po jego prawej stronie stał szczupły człowieczek, bez peruki, prawie łysy, w niewielkich, okrągłych okularach na nosie. Po lewej stronie co najmniej pięciu zabijaków rozsiadło się gdzie bądź, każdy uzbrojony po zęby. Tuż przy jego łokciu chłopiec trzymał srebrną tacę ze słodyczami. A bezpośrednio przed tronem klęczał zwalisty mężczyzna, który wyglądał, jakby drżał o swoje życie.

– Przepraszam! – Osiłek wspierał o uda pięści wielkie jak szynki. – Bóg mi świadkiem, że z całego serca przepraszam, panie!

Chudy człowieczek po prawej ręce Czarującego Mickeya nachylił się i zaszeptał do ucha rzecznego pirata.

Ten skinął głową i popatrzył na klęczącego suplikanta.

– Ale zrozumiesz mnie, Dick, jeśli nie uznam twoich przeprosin za warte choć tyle co sterta psiego gówna.

Wielki mężczyzna, Dick, zadygotał.

Czarujący Mickey przyglądał mu się przez chwilę, wsparty prawym łokciem o podłokietnik, leniwie pocierając kciukiem o palec wskazujący. Przy tym ruchu migotały klejnoty w jego pierścieniach.

Później strzelił palcami na dwóch swoich ludzi.

Natychmiast wystąpili, a klęczący zaczął wyć.

– Nie! Boże, nie! Proszę, mam dzieci! Żona z trzecim przy nadziei!

Mężczyzna wrzeszczał, kiedy wywlekano go za drzwi. Zamknęły się, ucinając jego krzyk. Nagła cisza rozbrzmiała echem w wielkiej sali.

Silence poczuła, jak wstrzymywany oddech ucieka jej z płuc. Dobry Boże, w co ona się wpakowała?

Harry chwycił ją za łokieć i ruszyli przed tron.

– Paniusia nie okazuje strachu – syknął do niej kącikiem ust, kiedy się zbliżali. – On nienawidzi tchórzy.

A potem stanęła przed Czarującym Mickeyem O’Connorem, w tym samym miejscu, gdzie zaledwie moment wcześniej klęczał nieszczęsny Dick.

Czarujący Mickey skinął na chłopca ze słodyczami. Ten podsunął mu poczęstunek. Upierścieniona dłoń Czarującego Mickeya zawisła nad tacą,

kiedy dokonywał wyboru – różowy lukrowany cukierek.

Uniósł smakołyk w eleganckich, przyozdobionych pierścieniami palcach i przyjrzał mu się bacznie.

– Kim ona jest?

Harry skłonił głowę, niewzruszony raptownością pytania.

– To dama, która chce z tobą gadać.

Oczy Czarującego Mickeya strzeliły w górę i Silence zobaczyła, że są w odcieniu brązu tak ciemnym, iż mogłyby uchodzić za czarne.

– Tyle widzę, Harry, serdeńko. W pytaniu chodziło bardziej o powód, dla którego znalazła się w mojej sali tronowej.

Silence zerknęła na Harry'ego, który po raz pierwszy okazał niepokój, i postanowiła interweniować w obronie swego orędownika.

– Przyszłam w sprawie mojego męża, kapitana Williama Hollingbrooka, oraz ładunku, który ukradł pan z jego statku, *Zięby*.

U jej boku Harry gwałtownie wciągnął powietrze. Chłopiec z tacą się wzdrygnął, a chudzielec u boku Czarującego Mickeya popatrzył na nią badawczo znad okrągłych okularów.

Silence zaświtała myśl, że chyba należało przemówić z większym taktem. Ale było już za późno. Ciemne oczy Czarnego Mickeya lustrowały ją drobiazgowo. Wrzucił do ust różowego cukierka i przeżuwał powoli, mięśnie jego szczęki napinały się i rozluźniały, powieki na pół opadły z przyjemności.

Przełknął i uśmiechnął się, a Silence zrozumiała, skąd wziął się przydomek „czarujący". Kiedy się uśmiechał, Mickey był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Liczył sobie nie więcej niż trzydzieści lat, skórę miał gładką, w oliwkowym odcieniu, zewnętrzne końce czarnych brwi skierowane ku górze. Do tego długi, niemalże arystokratyczny nos i pełne, kształtne, eleganckie wargi. Na policzku w pobliżu ust igrał dołeczek. Uśmiechnięty Czarujący Mickey wyglądał prawie niewinnie.

Tyle że Silence wiedziała, iż nie wolno jej wpaść w tę pułapkę. Bez względu na to, co mówił jego uśmiech, ten mężczyzna nie był niewiniątkiem.

– „Kradzież" to takie paskudne słowo – przeciągnął zgłoski Czarujący Mickey. Za sprawą jego irlandzkiego akcentu wypowiedź zabrzmiała

niemalże jak pieszczota. – Muszę panią przestrzec, pani Hollingbrook, że niewielu ludziom pozwalam wymawiać je w mojej obecności.

Silence ugryzła się w język, by nie zacząć go przepraszać. Swymi działaniami ten człowiek naraził jej męża na niebezpieczeństwo.

Mickey przekrzywił głowę, a długie, jedwabiste pasmo hebanowych włosów ześlizgnęło mu się z ramienia.

– Czego też możesz ode mnie chcieć, skarbie?

Wysunęła brodę.

– Chcę, żeby zwrócił pan ładunek.

Mickey zamrugał, jakby ubawiony.

– A dlaczegóż miałbym uczynić takie głupstwo?

Serce łomotało jej tak głośno, że obawiała się, iż on to słyszy, ale odpowiedziała ze spokojem:

– Ponieważ zwrot ładunku jest postępkiem słusznym. Godnym chrześcijanina. Jeśli pan tego nie zrobi, mój mąż trafi do więzienia.

Mickey uniósł czarną brew, co nadało mu iście diabelski wygląd.

– Czy twój mąż wie, że tu jesteś, serdeńko?

Silence przygryzła wargę.

– Nie.

– Aha. – Znów skinął na chłopca od słodyczy i wybrał kolejnego cukierka.

Silence otworzyła usta, ale Harry wymierzył jej kuksańca, posłuchała więc ostrzeżenia i na powrót je zamknęła.

Mickey niespiesznie jadł przysmak, a zgromadzeni w sali tronowej czekali. Silence zauważyła stojący nieco za tronem, wykonany z czarnego marmuru posąg jakiejś rzymskiej bogini. Na głowie miała diadem, a na jej piersi udrapowano długie sznury pereł.

– No cóż, sytuacja przedstawia się następująco, serdeńko – odezwał się Mickey tak nagle, że Silence podskoczyła. Znów błysnął niewinnym uśmiechem. – Między właścicielem statku, którym dowodzi twój mąż, a mną zaistniała, widzisz, niewielka różnica zdań. On uważa za słuszne, by nie płacić należnej mi dziesięciny od swoich ładunków, a ja… cóż, nie mogę przystać na takie postępowanie. Świadczy o braku szacunku w moim skromnym mniemaniu. Pozwoliłem sobie więc skonfiskować ładunek *Zięby* niejako w celu pozyskania uwagi tego człowieka właśnie. Mogłabyś

nazwać takie posunięcie drastycznym, a ja bym się z tobą zgodził, ale niczego to nie zmienia. Ten człowiek nawarzył piwa i teraz musi je wypić.

Po czym Czarujący Mickey z wdziękiem wzruszył ramionami, jakby mówił, że nic już nie da się zrobić.

Czyli to by było na tyle. Audiencja dobiegła końca. Harry położył dłoń na jej ramieniu, żeby ją wyprowadzić, a Czarujący Mickey nachylił głowę, by wysłuchać czegoś, co szeptał do niego chudy człowieczek. Ale Silence nie mogła się poddać. Musiała przynajmniej podjąć ostatnią próbę. Dla Williama.

Wzięła głęboki oddech, czując, jak Harry ostrzegawczo ściska jej ramię.

– Proszę, panie O'Connor. Sam pan powiedział, że ma żal do właściciela statku, a nie do mojego męża. Czy nie może pan zwrócić ładunku ze względu na niego? Ze względu na mnie?

Mickey wolno odwrócił głowę, by na nią spojrzeć, obecnie już bez uśmiechu. Jego ciemne oczy patrzyły dziwnie beznamiętnie, a kiedy się nie uśmiechał, linia jego ust miała w sobie jakieś okrucieństwo.

– Uważaj, skarbie. Raz dałem ci poigrać w moich szponach i umknąć bez szwanku. Jeśli znowu w nie wskoczysz, będziesz mogła winić tylko siebie.

Silence przełknęła ślinę. Wyszeptane przez Mickeya ostrzeżenie podniosło jej włoski na karku i po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak podkulić ogon i uciec.

Ale tego nie zrobiła.

– Proszę. Błagam pana. Jeśli nie dla mojego męża ani dla mnie, proszę zrobić to dla siebie. Dla swojej nieśmiertelnej duszy. Proszę wyświadczyć mi tę przysługę, a obiecuję, że nigdy pan tego nie pożałuje.

Czarujący Mickey wpatrywał się w nią, chłodny, zdystansowany, z twarzą bez wyrazu. W sali panowała taka cisza, że Silence słyszała każdy swój oddech. U jej boku Harry jakby w ogóle przestał oddychać.

Później Mickey uśmiechnął się wolno.

– Musisz bardzo go kochać, tego kapitana Hollingbrooka, twojego jakże wspaniałego męża.

– Tak – odparła z dumą Silence. – Tak, kocham go.

– A czy on również cię kocha, mój skarbie?

Oczy Silence zaokrągliły się z zaskoczenia.

– Oczywiście.

– Ach – mruknął Czarujący Mickey – wobec tego może znajdzie się sposób, byśmy rozpracowali problem ku naszej obopólnej korzyści, twojej i mojej.

U jej boku Harry zesztywniał.

Wiedziała. Wiedziała, że cokolwiek zaproponuje Czarujący Mickey, będzie to bardzo złe. Wiedziała, że przypuszczalnie nie zdoła uciec z tej sali, z tego fantastycznego, pełnego przepychu domu z nietkniętą duszą.

– To znaczy, oczywiście – zamruczał Mickey niczym diabeł we własnej osobie – jeśli naprawdę kochasz męża.

William był dla niej wszystkim. Nie istniała taka rzecz, której by nie zrobiła, żeby go ocalić.

Silence spojrzała diabłu prosto w oczy i wysunęła brodę.

– Kocham.

Rozdział 11

Resztę dnia Meg spędziła, myjąc się z zadowoleniem,
tak że kiedy wieczorem kładła się spać, czuła się znacząco
schludniejsza. Nazajutrz rano przyprowadzono ją przed oblicze
Króla Zamknięte Serce. Wydawał się nieco zaskoczony jejwidokiem
– czyżby nie rozpoznał jej bez warstwy sadzy? – lecz wkrótce
na jego twarz powrócił zwyczajowy wyraz niezadowolenia.Przed
królem stała wspaniała kompania dworzan w bogatych futrach
i jedwabiach, przystrojonych klejnotami.
– Kochacie mnie? – zwrócił się król do zebranych dostojników.
Choć dworzanie nie odrzekli jednym głosem jak zdyscyplinowani
gwardziści dzień wcześniej, ich odpowiedzi sprowadzały się
do tego samego: tak!
Król uśmiechnął się szyderczo do Meg.
– No i proszę! Przyznaj się teraz do swojej głupoty…
– z „Król Zamknięte Serce”

– Zamierzasz więc znowu się z nim zobaczyć? – spytał cicho Winter tego wieczoru.

– Owszem. – Temperance skończyła zaplatać w warkocze piękne słomkowe włosy Mary Little i uśmiechnęła się do dziewczynki. – Proszę bardzo, gotowe. A teraz czmychaj do łóżka.

– Dziękuję, psze pani.

Mary Little dygnęła, jak ją nauczono, i w podskokach opuściła kuchnię. Później, kiedy wszystkie dzieci znajdą się w łóżkach, Winter wejdzie na górę, żeby posłuchać ich modlitw.

– Twoja kolej, Mary Church.

Dziewczynka stanęła tyłem do niej, a Temperance wzięła szczotkę i skoncentrowała się na tym, by ujarzmić gęste brązowe loki, nie szarpiąc małej przesadnie.

Kolejne trzy Mary siedziały w halkach przy ogniu, a włosy schły im na głowach pochylonych nad próbkami haftu. Dzień kąpieli był zawsze nie lada harówką, ale Temperance tak czy owak sprawiał przyjemność. Znajdowała coś cudownie kojącego w fakcie, że wszystkie dzieci jednocześnie stają się czyste i schludne.

A w każdym razie ten czas powinien przynosić ukojenie.

Westchnęła.

– Muszę iść dzisiaj.

Wszystkie dziewczynki słyszały ich kłótnię, mimo że tak ona, jak i Winter starali się mówić spokojnie i uprzejmie, ale Temperance najbardziej martwiła się o Mary Whitsun. Ta Mary siedziała obok niej, rozczesując loki dwuletniej Mary Sweet. Mary Whitsun koncentrowała wzrok na zadaniu, lecz między jej brwiami rysowała się zmarszczka.

Temperance westchnęła. Szkoda, że nie mogli odbyć tej rozmowy w cztery oczy, jeśli wszakże zamierzała wziąć udział w balu, na który Caire obiecał ją zabrać dziś wieczorem, musiała bezpiecznie wyprawić dzieci do łóżek, a następnie prędko przebrać się w pożyczoną od Nell suknię. Chciałaby wyczekiwać radośnie tego wyjścia jedynie ze względu na przytułek. Jej serce już przyspieszyło na myśl o ponownym spotkaniu z Caire’em. Z troską zerknęła na stary zegar nad paleniskiem. Będzie dopinać wszystko na ostatnią chwilę.

– Przykro mi, ale mam nadzieję zobaczyć się dzisiaj z pewnym dżentelmenem.

Winter odwrócił się od ognia, w który się wpatrywał.

– Kto to taki?

Temperance zmarszczyła brwi, walcząc z kołtunem we włosach Mary Church.

– Dżentelmen, któremu Caire przedstawił mnie na wieczorze muzycznym, sir Henry Easton. Wydawał się zainteresowany przytułkiem: wypytywał, do jakich terminów posyłamy chłopców i jak ich wyposażamy. Tego rodzaju kwestie. Mam nadzieję przekonać go, żeby wspomógł przytułek.

Winter zerknął na słuchające chciwie dziewczynki.

– Ach tak? A jaką masz gwarancję, że ta nadzieja nie okaże się płonna?

– Żadnej. – Temperance zbyt mocno szarpnęła włosy Mary Church i dziewczynka krzyknęła z bólu. – Przepraszam, Mary Church.

– Temperance… – zaczął Winter.

Przerwała mu jednak, mówiąc szybko i cicho:

– Nie mam gwarancji, ale i tak muszę iść. Nie rozumiesz tego, bracie? Muszę przynajmniej skorzystać ze sposobności, nawet jeśli okaże się ułudą.

Winter zacisnął wąskie wargi.

– Dobrze. Ale na pewno nie odstępuj lorda Caire’a. Nie podoba mi się myśl o tobie na jednym z tych arystokratycznych balów. Słyszałem – zerknął na dziewczynki i chyba zmodyfikował to, co zamierzał powiedzieć – o różnych rzeczach, które dzieją się przy takich okazjach. Zachowaj ostrożność, proszę.

– Oczywiście. – Temperance uśmiechnęła się do Wintera, a potem przeniosła ten uśmiech na Mary Church. – Gotowe.

– Dziękuję, psze pani.

Mary Church wzięła za rękę Mary Sweet, ponieważ włosy szkraba także zostały już należycie zaplecione, i wyprowadziła ją z kuchni.

– No proszę, jeszcze tylko trzy główki i sześć warkoczyków. – Winter uśmiechnął się do siedzących nadal przy ogniu dziewczynek.

Zachichotały w odpowiedzi. Jakkolwiek Winter zawsze był łagodny, nieczęsto mówił tak lekkim tonem.

– Wejdę na górę i zacznę czytać psalm na dzisiaj – rzekł.

Temperance skinęła głową.

– Dobranoc.

Przechodząc, położył przelotnie dłoń na jej ramieniu, a później Temperance odetchnęła z ulgą. Jego dezaprobata bolała ją bardziej niż w przypadku pozostałych braci. Winter był jej najbliższy wiekiem, a dodatkowo zbliżyli się do siebie, prowadząc wspólnie przytułek.

Pokręciła głową i prędko uporała się z włosami trzech kolejnych dziewczynek, odsyłając je jedną po drugiej na górę, aż w kuchni pozostała tylko Mary Whitsun. Stało się czymś w rodzaju ich wspólnego rytuału, że Mary Whitsun miała wieczorem zaplatane włosy jako ostatnia. Żadna z nich się nie odzywała, kiedy Temperance rozczesywała grzebieniem pukle dziewczynki; uzmysłowiła sobie, że robi to od dziewięciu lat – odkąd Mary przybyła do tego domu. Wkrótce jednak oddadzą dziewczynkę na przyuczenie i ich wspólne wieczory przy ogniu, przy zaplataniu włosów, dobiegną końca.

Na tę myśl Temperance poczuła ból w piersi.

Zawiązywała właśnie krótką wstążkę na warkoczu Mary, kiedy zapukano do frontowych drzwi.

Wstała.

– Kto to może być?

Było za wcześnie na lorda Caire’a.

Pospieszyła do drzwi z Mary Whitsun depczącą jej po piętach i odciągnęła rygiel. Na podeście stał lokaj w liberii, trzymając wielki zakryty kosz.

– To dla pani – powiedział, wepchnął jej kosz do rąk, po czym zrobił w tył zwrot.

– Proszę poczekać! – zawołała Temperance. – Co to takiego?

Lokaj znajdował się już kilka kroków od przytułku. Nieco się odwrócił.

– Mój pan mówi, żeby pani to dziś włożyła.

I już go nie było.

Temperance zamknęła i zaryglowała drzwi, po czym zaniosła kosz do kuchni. Postawiła go na stole i odciągnęła skrywające zawartość płótno. Pod spodem leżała jaskrawoturkusowa jedwabna suknia z wyszytymi na materiale delikatnymi żółtymi, szkarłatnymi i czarnymi bukiecikami. Temperance wciągnęła powietrze w płuca. W porównaniu z tą kreacją wspaniała szkarłatna suknia Nell wyglądała jak worek. Pod suknią znalazła piękny jedwabny gorset, halkę, pończochy i wyszywane pantofelki. W gniazdku z jedwabiu spoczywało małe pudełko jubilerskie. Temperance podniosła je drżącymi palcami, nie śmiąc na razie otworzyć. Nie mogła wszak przyjąć takiego podarunku. Jednakże, z drugiej strony, skoro wybierała się na wystawny bal z lordem Caire’em, nie chciała przynieść mu wstydu skromną toaletą.

To rozstrzygnęło sprawę.

Odwróciła się do Mary Whitsun, która stała obok niej z oczami jak spodki.

– Zawołaj, proszę, Nell. Muszę się przebrać na bal.

* * *

Lazarus zjeżył się, gdy tego wieczoru wszedł do sali balowej z Temperance wspartą na jego ramieniu. Prezentowała się wspaniale

w turkusowej sukni, którą jej posłał. Ciemne włosy upięła w górze za pomocą jasnożółtych topazowych szpilek, dorzuconych przezeń do kosza. Jej piersi napierały na lśniący jedwab stanika, krągłe i kuszące. Przedstawiała sobą piękny obiekt pożądania i każdy mężczyzna w pomieszczeniu ją zauważył. A Lazarus był diabelnie świadom uwagi innych mężczyzn. W rzeczy samej, w gardle narastał mu warkot, jakby zamierzał strzec jej niczym parszywy kundel ochłapu.

Co za głupiec z niego.

– Idziemy? – mruknął.

Widział ruch jej szyi, kiedy nerwowo przełykała ślinę.

– Tak. Proszę.

Skinął głową i rozpoczęli przechadzkę po udekorowanej aż do przesady sali. Zwierzyna Temperance ulokowała się przy oknach w głębi, nie wypadało jednak zbliżać się do niej nazbyt ochoczo.

Na balu stawiły się wszystkie przebywające aktualnie w Londynie znakomitości, włącznie – co nieuniknione – z jego matką. Hrabina Stanwicke słynęła z ekstrawaganckich przyjęć, a tego wieczoru przeszła samą siebie. Zgromadzenie obsługiwał zastęp lokajów w pomarańczowo-czarnych liberiach, a każdy z nich zaświadczał o kwocie potrzebnej zarówno na opłacenie jego pstrokatego stroju, jak i czasu. Na wszelkich dostępnych powierzchniach usypano kopce z cieplarnianych kwiatów, które więdły już w duchocie sali balowej. Woń umierających róż i lilii mieszała się z zapachem gorącego wosku, potu oraz perfum, a całość zarazem przyprawiała o mdłości i uderzała do głowy.

– Zwrócę panu tę suknię po dzisiejszym wieczorze – odezwała się Temperance, podejmując spór, który miał swój początek w karecie, gdy tu jechali.

– Ja zaś mówiłem już pani, że wtedy zwyczajnie każę ją spalić – odparł gładko, obnażając zęby w kierunku dżentelmena, który gapił się na jej dekolt. Żaden z tych mężczyzn nigdy nie zwróciłby na nią uwagi w jej codziennym ponurym czarnym stroju. Lazarus był głupcem, wyprowadzając ją z cienia pospolitości prosto między te wyelegantowane wilki. – Przyznaję, że rozczarowuje mnie pani skłonność do marnotrawstwa, pani Dews.

– Niemożliwy z pana człowiek – syknęła na granicy szeptu, uśmiechając się jednocześnie do przechodzącej obok matrony.

– Niemożliwy czy nie, wprowadziłem panią na najmodniejszy bal tego sezonu.

Nastała chwila ciszy, kiedy okrążali grupkę podstarzałych dam o stanowczo zbyt wielu warstwach różu.

Później Temperance odezwała się cicho:

– Rzeczywiście mnie pan wprowadził i dziękuję panu za to.

Zerknął na nią z ukosa. Rumieniec na jej policzkach nie pochodził ze słoiczka z różem.

– Nie musi mi pani dziękować. Wywiązuję się jedynie z mojej części umowy.

Zwróciła na niego zagadkowe, o wiele zbyt mądre złocone oczy.

– Zrobił pan dla mnie znacznie więcej. Podarował mi pan tę piękną suknię, szpilki do włosów, pantofelki i gorset. Dlaczego nie miałabym panu za to wszystko dziękować?

– Ponieważ przywiodłem panią do tej jaskini pełnej wilków.

Bardziej poczuł, niż zobaczył, jej zaskoczone spojrzenie.

– Mówi pan tak, jakby udział w balu wiązał się z niebezpieczeństwem, nawet dla kogoś tak nieobytego jak ja.

Prychnął.

– Pod wieloma względami to towarzystwo jest równie niebezpieczne jak ludzie, których spotkaliśmy na ulicach St. Giles.

Spojrzała nań sceptycznie.

– Tam dalej – wykonał dyskretny ruch brodą – ma pani dżentelmena… używam tego słowa jedynie w jego znaczeniu towarzyskim… który w minionym roku zabił dwóch mężczyzn w pojedynkach. Obok niego stoi obwieszony orderami generał. Stracił większość swoich ludzi w daremnej i głupiej szarży. Krążą plotki, iż nasza gospodyni pobiła kiedyś pokojówkę tak mocno, że musiała jej zapłacić ponad tysiąc funtów, by wyciszyć sprawę.

Popatrzył na panią Dews, spodziewając się szoku, ale odwzajemniła jego spojrzenie z otwartym, szczerym i odrobinę smutnym wyrazem twarzy.

– Dowodzi pan jedynie, że pieniądze i przywileje nie idą w parze ze zdrowym rozsądkiem bądź cnotą. O tym, jak sądzę, już wiedziałam.

Ukłonił się, czując, jak żar wspina mu się na policzki.

– Proszę wybaczyć, że panią nudzę.

– Nigdy mnie pan nie nudzi, o czym pan dobrze wie, milordzie – odparła. – Chciałabym tylko zauważyć, że podczas gdy za pieniądze nie kupi się wyżej wymienionych przymiotów, można za nie nabyć strawę dla żołądka i przyodziewek dla ciała.

– Czyli pani zdaniem ludzie tutaj są szczęśliwsi od tych w St. Giles?

– Powinni być. – Wzruszyła ramionami. – Głód i zimno fatalnie wpływają na usposobienie.

– A jednak – zadumał się – czy obecni tu bogacze czują się choć trochę szczęśliwsi od żebraka na ulicy?

Spojrzała nań z niedowierzaniem. Odpowiedział uśmiechem.

– Szczerze. Moim zdaniem człowiek może znaleźć szczęście… albo rozgoryczenie… bez względu na to, czy ma pełny brzuch.

– Jeśli to prawda, jest to bardzo smutne – skwitowała. – Powinni czuć się szczęśliwsi, skoro wszystkie ich potrzeby są zaspokojone.

Pokręcił głową.

– Obawiam się, że człowiek jest kapryśnym, niewdzięcznym stworzeniem.

Uśmiechnęła się na te słowa. Wreszcie!

– Chyba nie zdołam zrozumieć ludzi z pańskiej sfery.

– Lepiej nie – odparł lekkim tonem.

– Na przykład pan – wymamrotała. – Nie wydaje mi się, żeby nadal potrzebował mnie pan w St. Giles, a mimo to zabiera mnie pan ze sobą. Dlaczego?

Popatrzył do przodu, lustrując tłum, obserwując mężczyzn, którzy obserwowali ją.

– Jak pani sądzi?

– Nie wiem.

– Doprawdy?

Zawahała się, a choć na nią nie spojrzał, był świadom każdego jej ruchu. Jej niespokojnych palców, sunących wzdłuż linii dekoltu, pulsu trzepoczącego z boku szyi, momentu, gdy znów rozchyliła wargi.

– Doprawdy? – powtórzył niskim głosem tuż przy jej uchu.

Zaczerpnęła tchu.

– W domu pani Whiteside zmusił mnie pan do oglądania…

– Tak?

Znajdowali się w piekielnie zatłoczonym pomieszczeniu, napór ciał prawie że dusił. A przecież zarazem odnosił wrażenie, jakby oni dwoje egzystowali w prywatnej szklanej kuli.

– Dlaczego? – spytała nagląco. – Dlaczego kazał mi pan patrzeć? Dlaczego mnie?

– Ponieważ – zamruczał – pociąga mnie pani. Ponieważ jest pani dobra, ale nie miękka. Ponieważ kiedy mnie pani dotyka, ból nosi nutę słodyczy. Ponieważ tuli pani do piersi jakiś rozpaczliwy sekret, niczym żmiję, której nie wypuszcza pani z objęć nawet wówczas, gdy wbija się zębami w jej ciało. Chcę wyrwać pani tę żmiję. Chcę ssać pani poszarpane, zakrwawione ciało. Chcę wchłonąć pani ból i uczynić go swoim.

Poczuł, jak zadrżała, wsparta na jego ramieniu.

– Nie mam żadnego sekretu.

Nachylił się i wyszeptał w jej włosy:

– Słodka, kochana kłamczucha.

– Nie…

– Cicho.

Dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa i Lazarus bez oglądania się za siebie wiedział, że nadchodzi jego matka. Zbliżyli się tymczasem do sir Henry’ego, który stał w towarzystwie dwóch innych dżentelmenów. Lazarus zręcznie ulokował Temperance w kręgu, wymówił się krótko i odwrócił akurat w chwili, gdy lady Caire cokolwiek mocno poklepała go w ramię.

– Lazarusie.

– Szanowna pani. – Skłonił głowę.

– Widzę, że nadal prowadzasz się z tą kobietą.

– Ogromnie się cieszę, że pamięć pani dopisuje – odparł gładko Lazarus. – Tak wielu z wiekiem traci zdolność rozpoznawania twarzy.

Nastała chwila lodowatej ciszy i nabrał pewności, że powiedział dość, by ją przepędzić. Przyglądał się, jak Temperance nachyla się ku sir Henry’emu, a oczy mężczyzny zagłębiają się w jej dekolt.

Później lady Caire z drżeniem zaczerpnęła tchu.

– Co ja ci zrobiłam, żeby zasłużyć na tak okropne traktowanie?

Popatrzył na nią, mrugając ze szczerym zdumieniem.

– Nic.

Westchnęła.

– Skąd więc ta ciągła wrogość? Dlaczego tak…?

Coś w nim pękło. Przystąpił do niej o krok, wykorzystując swój wzrost, by ją przytłoczyć.

– Niech pani nie zadaje pytań, kiedy w istocie nie chce pani poznać odpowiedzi.

Jej niebieskie oczy, identyczne jak jego własne, zaokrągliły się.

– Lazarusie.

– Nie zrobiłaś nic – rzekł cicho i twardo. – Kiedy ojciec porzucił mnie u mamki, nie zrobiłaś nic. Kiedy wrócił pięć lat później i wyrwał mnie, krzyczącego, z jej ramion, nie zrobiłaś nic. Kiedy wysmagał mnie za to, że płaczę za jedyną matką, jaką znałem, nie zrobiłaś nic. A kiedy mała Annelise umierała trawiona gorączką…

Urwał, zwracając niewidzący wzrok ku Temperance. Sir Henry położył dłoń na jej przedramieniu, a między jej brwiami rysowała się delikatna zmarszczka.

Matka dotknęła jego rękawa.

– Nie wydaje ci się, że ja również opłakuję śmierć Annelise?

Odwrócił się ku niej, przełykając ślinę, usta wykrzywił mu szyderczy grymas.

– Kiedy Annelise umierała, rozpaczliwie gorączkując, a mój przeklęty ojciec odmówił posłania po medyka, bo pięciolatka powinna nauczyć się siły, co zrobiłaś?

Jedynie się weń wpatrywała, on zaś po raz pierwszy zauważył zmarszczki rozchodzące się od jej niebieskich oczu.

– Powiem ci, co zrobiłaś. Zupełnie nic. – Kątem oka spostrzegł, jak sir Henry odciąga Temperance od pozostałych dżentelmenów i kieruje się na tył sali balowej. – Nic to jest właśnie to, co zawsze pani robi. Proszę zatem nie być zaskoczoną, kiedy ja w zamian nic do pani nie czuję.

Zdjął sobie jej dłoń z rękawa i odrzucił.

Odwrócił się szybko, ale Temperance i sir Henry już zniknęli. Niech to diabli! Zaczął się przedzierać przez tłum na sali, zmierzając ku narożnikowi, gdzie widział ją po raz ostatni. Nie powinien był zostawiać jej samej z tym mężczyzną. Nie powinien był dopuścić, by odwrócono jego uwagę. Ktoś złapał go za ramię, gdy przechodził, ale strząsnął rękę intruza i usłyszał okrzyk niemiłego zaskoczenia; moment później stał w kącie, gdzie mignęła mu po raz ostatni. Odepchnął na bok piramidę

z umierających kwiatów, spodziewając się za nią przejścia lub zakątka dla kochanków. Ale nie znalazł nic poza gładką ścianą.

Okręcił się wokół własnej osi, przeczesując wzrokiem salę balową w poszukiwaniu błysku turkusu, dumnie uniesionej kobiecej głowy. Widział jednak tylko zidiociałe twarze londyńskiej śmietanki towarzyskiej.

Temperance rozpłynęła się bez śladu.

* * *

Temperance wiedziała niemal od razu, że popełniła niefortunny błąd w ocenie charakteru sir Henry'ego. Kiedy wprowadził ją do ciemnego pokoju, serce tłukło się w niej na alarm, lecz nadzieja umiera ostatnia. Jeśli się myliła, jeśli był szczerze zainteresowany przytułkiem, postąpiłaby głupio, gdyby go obraziła. Z drugiej strony, jeżeli to nie przytułek wzbudzał w nim zainteresowanie, niewykluczone, że znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie.

Dlatego też po wejściu do pokoju zadbała, żeby od sir Henry'ego oddzielał ją sporych rozmiarów fotel.

– W pełni rozumiem pańską potrzebę dyskrecji – odezwała się jak najsłodszym tonem – czy jednak nie moglibyśmy znaleźć lepiej oświetlonego pomieszczenia?

– Ostrożności nigdy za wiele, moja droga – odparł sir Henry, bynajmniej nie uspokajając tym Temperance. – Nie lubię omawiać interesów w miejscach, gdzie ktoś może podsłuchać.

Zamknął za sobą drzwi, przez co w pokoju zrobiło się całkiem ciemno.

Temperance zaczerpnęła powietrza.

– Tak, cóż, co do tej kwestii. Przytułek dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków ma aktualnie tylko trzy osoby personelu: mnie, mojego brata, pana Wintera Makepeace'a, oraz pokojówkę, Nell Jones.

– Ach tak? – spytał sir Henry, a jego głos rozbrzmiał bliżej.

Temperance roztropnie porzuciła fotel i przemieściła się odrobinę w lewo, bliżej drzwi.

– Tak. Gdybyśmy jednak dysponowali wystarczającymi funduszami, moglibyśmy zatrudnić więcej personelu i dzięki temu pomóc większej liczbie dzieci.

– Uciekłaś, myszeczko – zanucił sir Henry przyprawiającym o mdłości głosem.

– Sir Henry, czy pan jest w ogóle zainteresowany moim przytułkiem? – spytała z rozdrażnieniem Temperance.

– Naturalnie, że jestem – odparł, przysuwając się o wiele za blisko niej.

Przestraszona, zrobiła krok w prawo i natychmiast zamknęły się wokół niej męskie ramiona. Ohydne mokre wargi prześlizgnęły się po jej policzku.

– Przytułek będzie idealną przykrywką dla naszych spotkań.

A później miażdżył ustami jej wargi.

Co smutne, pierwszą reakcją Temperance na tę napaść było rozczarowanie, nie zaś oburzenie. Od czasu wieczoru muzycznego wyobrażała sobie, jak przytułek zyska pod patronatem sir Henry'ego. Teraz całą tę przeklętą akcję poszukiwań patrona będzie musiała zacząć od nowa. Z odrazą zaparła się o pierś sir Henry'ego, lecz, naturalnie, nie ustąpił ani o centymetr. Zamiast tego próbował wcisnąć do ust gruby język – zaiste odrażająca perspektywa.

Temperance dyscyplinowała osobników płci męskiej od blisko dekady. Prawda, że osobnicy, z którymi zwykle miewała do czynienia, byli znacznie niżsi i mniej owłosieni niż sir Henry, ale reguła bez wątpienia pozostawała mniej więcej ta sama.

Sięgnęła w górę, pewnie chwyciła napastnika za lewe ucho i wykręciła je z całej siły.

Sir Henry wrzasnął piskliwie.

W tym samym momencie drzwi pokoju otworzyły się z hukiem. Do środka wpadła z impetem pochylona postać, odepchnęła na bok Temperance i grzmotnęła sir Henry'ego. Mężczyźni runęli na podłogę. Temperance wytężała wzrok w ciemności. Słyszała uderzenia pięści i zdławiony krzyk sir Henry'ego.

Nastała chwila ciszy.

Caire chwycił ją za ramię i brutalnie wyprowadził z pokoju. Temperance zamrugała, kiedy wlókł ją korytarzem. W miarę jak zbliżali się do sali balowej, narastał gwar głosów.

Spróbowała uwolnić rękę.

– Milordzie.

– Co, u diaska, robiła pani w ciemnym pokoju z tym osłem? Brak pani rozumu?

Spojrzała na niego. Na jego szczęce zobaczyła zaczerwienione miejsce, sprawiał wrażenie wściekłego.

– Ma pan potargane włosy.

Zatrzymał się raptownie, przypierając ją do ściany korytarza.

– Niech pani nigdy nigdzie nie chodzi z mężczyznami spoza rodziny.

Uniosła brwi.

– A co z panem?

– Ze mną? Ja jestem znacznie, znacznie gorszy niż sir Henry. – Nachylił się ku niej, pieszcząc oddechem jej policzek. – Najlepiej, gdyby nigdy więcej nie znalazła się pani blisko mnie. Powinna pani uciekać w tej chwili.

Jego intensywnie niebieskie oczy płonęły, drgał mu mięsień szczęki. Wyglądał naprawdę przerażająco.

Wspięła się na palce i musnęła ten tik wargami. Caire szarpnął się, a później znieruchomiał. Poczuła, jak ten mięsień podskakuje raz jeszcze i się poddaje. Prześlizgnęła się wargami w kierunku ust mężczyzny.

– Temperance – warknął.

– Ciii… – szepnęła i pocałowała go.

Dziwne. Inny mężczyzna dopiero co pocałował ją w usta, ale z Caire’em odbierała to całkiem inaczej. Wargi miał sprężyste i ciepłe i uparcie je przed nią zamykał. Wsparła się o jego szerokie bary, by znaleźć się jeszcze bliżej. Czuła egzotyczną woń na jego skórze – może wody, którą wtarł po goleniu – a jego usta odurzały smakiem wina. Liznęła jego zasznurowane wargi, raz, łagodnie.

Jęknął.

– Otwórz – szepnęła mu w usta, a on posłuchał.

Testowała delikatnie, polizała wewnętrzną stronę jego warg, zęby, aż odszukała język. Przeciągnęła po nim własnym i wycofała się. Podążył za nią w głąb jej ust, a ona ssała go miękko, ujmując w dłonie jego szczupłe policzki.

Coś w niej się przemieściło, oderwało i uformowało w nowy, cudowny kształt. Nie wiedziała, czym jest ten kształt, lecz pragnęła go zachować. Pozostać w tym ciemnym korytarzu i całować się z Caire’em przez wieczność.

Z dalekiego końca korytarza nadpłynął pomruk głosów, które zbliżały się ku nim.

Caire uniósł głowę, spoglądając w kierunku sali balowej.

Drzwi otworzyły się i zamknęły, głosy ucichły.

Ujął ją za rękę.

– Chodźmy.

– Chwileczkę.

Odwrócił się, by spojrzeć na nią z uniesioną brwią, ale przemknęła za niego. Czarna aksamitna wstążka prawie zsunęła mu się z włosów. Temperance rozsupłała ją ostrożnie i przeczesała palcami srebrne pasma, nim na powrót związała je w kucyk.

Kiedy okrążyła go ponownie, nadal unosił brew.

– Usatysfakcjonowana?

– Tymczasowo.

Ujęła go pod ramię, a on poprowadził ją z powrotem na salę balową.

– Będę musiała zacząć od nowa – powiedziała, gdy znów krążyli po sali.

– Na to wygląda.

Podniosła nań wzrok.

– Jest pan skłonny zabrać mnie na kolejne przyjęcie albo wieczór muzyczny?

– Tak.

Skinęła głową. Użył rzeczowego tonu, jakby kwestia ani przez moment nie ulegała wątpliwości.

– A kiedy wybiera się pan znowu do St. Giles?

Spodziewała się, że odpowie od razu, ale milczał dłuższą chwilę. Spojrzała na niego. Nieznacznie ściągał brwi.

– Nie wiem – rzekł w końcu. – Martwi mnie, że już dwukrotnie nas zaatakowano. Z jednej strony niewątpliwie oznacza to, że zbliżam się do mordercy Marie. Z drugiej, nie chcę pani narażać. Muszę pomyśleć nad tą sprawą i postanowić, jak prowadzić dalsze dochodzenie.

Temperance spuściła wzrok, przeciągając dłonią po pięknej turkusowej sukni. Jeszcze nigdy nie dotykała materiału tak doskonałej jakości i aż się zatchnęła, gdy wcześniej ujrzała swoje odbicie w lustrze w sypialni. Caire wydawał się taki cyniczny, a jednak często postępował w sposób świadczący o życzliwości i trosce. Zaczerpnęła tchu.

– Kochał ją pan?

Zatrzymał się, ale nie spojrzała na niego. Nie potrafiła.

– Nigdy nikogo nie kochałem – rzekł.

Na te słowa podniosła wzrok. Sztywno wpatrywał się przed siebie.

– Nikogo?

Pokręcił głową.

– Nie, odkąd umarła Annelise.

Serce jej się ścisnęło na to wyznanie. Jak w ogóle da się iść przez życie bez miłości?

– Ale od miesięcy szuka pan zabójcy Marie – powiedziała miękko. – Musiała coś dla pana znaczyć.

– Może szukam, bo powinna była coś znaczyć. Bo powinienem był ją kochać. – Skrzywił się. – Może ścigam iluzję uczucia. Może po prostu się oszukuję.

Z całych sił zapragnęła wziąć go w objęcia, pocieszyć tego zimnego, samotnego mężczyznę. Ale znajdowali się w tłocznej sali balowej. Ścisnęła więc tylko jego ramię. Niewykluczone, że ten kontakt sprawiał mu ból, lecz nikt nie przetrwa bez dotyku innego człowieka, nawet on.

Przystanęli na uboczu parkietu tanecznego, skąd przyglądała się mijającym ich postaciom. Lady Hero, siostra księcia Wakefielda, prezentowała się olśniewająco w zwiewnej srebrnej sukni.

– Chciałaby pani zatańczyć? – spytał Caire.

Pokręciła głową.

– Nie potrafię.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Naprawdę?

– W przytułku nie ma na tę umiejętność wielkiego zapotrzebowania.

– Chodźmy. – Znów ją gdzieś holował.

– Dokąd mnie pan zabiera?

– Nie do ciemnego pokoju, proszę się nie obawiać.

Dotarli na tył sali balowej, gdzie dwuskrzydłowe drzwi uchylono, by wpuścić trochę zimnego nocnego powietrza. Caire otworzył je i wyprowadził Temperance na balkon, ciągnący się wzdłuż całej tylnej ściany budynku.

– A teraz. – Caire stanął obok niej i uniósł ich złączone dłonie.

– Och. – Znienacka pojęła jego zamiary. – Nie tutaj.

– Dlaczego? Nikogo tu nie ma.

Była to prawda. Zimna noc zniechęciła innych gości do zapuszczania się na balkon.

Przygryzła wargę, czując się głupio z powodu tego, że nigdy nie nauczyła się tańczyć, podczas gdy wszystkim obecnym na balu taniec przychodził równie naturalnie jak oddychanie.

– Ale…

Uśmiechnął się do niej nagle, taki przystojny, i obrzucił ją szelmowskim spojrzeniem.

– Obawia się pani, że zobaczę, jaka z niej niezdara?

Pokazała mu język.

– Ostrożnie – przestrzegł niskim głosem, choć uśmiech nadal igrał mu na ustach. – Mógłbym porzucić tę lekcję na rzecz innej, znacznie bliższej moim gustom.

Oczy jej się rozszerzyły, nie była pewna, jak traktować jego prowokacyjny ton.

– No dalej, to nie aż tak trudne.

Mówił teraz łagodnie – stanowczo zbyt spostrzegawczy.

Zaczerpnęła tchu, umykając wzrokiem, poruszona jego czułością.

Ujął ją za rękę.

– Podstawą jest zawsze wyglądać tak, jakby – zerknął na nią z ukosa – hm… połknęło się pogrzebacz. Niech pani patrzy.

I cierpliwie zademonstrował taneczne kroki, instruując ją, by podążała za nim, gdy przez otwarte drzwi balkonowe sączyła się muzyka. Temperance przyglądała się bacznie jego pełnym wdzięku ruchom, usiłując je naśladować, co wszakże u niego zdawało się umiejętnością wrodzoną, dla niej stanowiło zagmatwaną serię stąpnięć.

– Och, nigdy tego nie opanuję! – wykrzyknęła kilka minut później.

– Tyle dramatyzmu – mruknął. – Moim zdaniem radzi sobie pani całkiem nieźle.

– Ale ciągle mylę kroki – zaoponowała. – W pańskim wykonaniu wygląda to tak naturalnie.

– Jest naturalne… dla mnie – rzekł bezbarwnym głosem. – Godzinami ćwiczyłem te kroki jako chłopiec. Jeśli źle stąpnąłem, nauczyciel tańca tłukł mnie laską po łydkach. Szybko nauczyłem się nie popełniać błędów.

– O – zareagowała cokolwiek nieadekwatnie.

Ich światy tak bardzo się różniły. Podczas gdy ją jako dziecko uczono gotowania, cerowania i gospodarności, on opanowywał do perfekcji te głupie, zawiłe kroki. Wyobraziła go sobie, dumnego chłopca tańczącego

samotnie w wielkiej, eleganckiej sali balowej, gdy za jedyne towarzystwo miał okrutnego nauczyciela tańca.

Zadrżała.

Ściągnął brwi.

– Zmarzła pani. Wracajmy do środka.

Z wdzięcznością skinęła głową.

Weszli z powrotem na salę balową, gdzie tłok jakby jeszcze się zwiększył.

– Napiłaby się pani ponczu? – spytał Caire.

Temperance znów przytaknęła. Znalazł dla niej puste krzesło obok wielkiego wazonu z kwiatami i usiadła, on zaś wyruszył na poszukiwanie napitku. Robiło się późno, powietrze przesycała woń na pół wypalonych świec. Temperance spostrzegła, jak kilka dam puszcza w ruch wachlarze, i zatęskniła za własnym. Moment później beształa się za to, że chce więcej, podczas gdy Caire podarował jej na tę noc już tak dużo. Niewykluczone, że miał rację: bez względu na to, jak wiele się posiadało, nadal można było czuć się nieszczęśliwym.

Kątem oka złowiła jakiś ruch i zobaczyła, że przez tłum przedziera się sir Henry. Och, wielkie nieba! Co za niezręczna sytuacja, jeśli ją zauważy. Temperance odwróciła głowę i uniosła dłoń do włosów, jakby sprawdzała, czy szpilki z topazami nadal tkwią na swoich miejscach.

– Upuściła pani coś? – niespodziewanie rozległ się w pobliżu kobiecy głos.

Temperance poderwała wzrok, zaskoczona, i spojrzała prosto w duże szare oczy lady Hero. Dama usiadła obok niej, a choć się nie uśmiechała, wyraz twarzy miała sympatyczny.

Temperance uzmysłowiła sobie, że się gapi, a później dotarło do niej, że zadano jej pytanie.

– O… Och, nie, milady.

– Ktoś powiedział pani, kim jestem – stwierdziła lady Hero.

– Tak.

– Aha. – Lady Hero opuściła wzrok na podołek. – Zapewne należało tego oczekiwać. – Pochwyciła spojrzenie Temperance, uśmiechając się odrobinę krzywo. – Odkrywam, że ludzie traktują mnie inaczej, kiedy wiedzą, jak się nazywam.

– O… – Temperance nie była pewna, jak na to zareagować, ponieważ, oczywiście, lady Hero miała rację: córkę księcia traktowano inaczej. – Jestem Temperance Dews.

Uśmiech lady Hero stał się pełniejszy.

– Miło panią poznać.

Z tak bliska Temperance widziała piegi, delikatnie oprószające jej nos. Jedynie podkreślały gładkość i biel cery lady Hero.

Akurat w tym momencie przeszedł obok nich sir Henry. Napotkała jego zażenowane spojrzenie, nim prędko odwróciła oczy.

Lady Hero podążyła za jej wzrokiem.

– Ten mężczyzna to wieprz.

– Słucham? – Temperance zamrugała. Na pewno źle usłyszała. Czy książęce córki nazywają dżentelmenów wieprzami?

Najwyraźniej tak. Lady Hero pokiwała głową.

– Sir Henry Easton, prawda? Wygląda całkiem miło, zgadzam się, ale zdecydowanie przejawia skłonności wieprza. Chyba – ściągnęła nieznacznie brwi – nic pani nie zrobił?

– Nie. – Temperance zmarszczyła nos. – No cóż, tak. Próbował mnie pocałować.

Lady Hero się skrzywiła.

– Przerażające.

– Rzeczywiście. A także rozczarowujące. Widzi pani, sądziłam, że zainteresował go mój przytułek, ale tak nie było. Obawiam się, że zachowałam się głupio.

– Ach – rzuciła lady Hero tonem znawczyni. – Moim zdaniem nie ma pani powodu się obwiniać. Wieprzopodobni dżentelmeni zwykle rzucają się całować damy, choć te nijak ich do tego nie prowokują. Tak mi w każdym razie mówiono. Mnie, oczywiście, żaden dżentelmen nie próbował dotąd obdarzyć niechcianymi względami. Córka księcia i tak dalej. – Lady Hero zdawała się tym faktem odrobinkę zawiedziona.

Temperance się uśmiechnęła. Nigdy by nie zgadła, że z córką księcia będzie się tak czarująco rozmawiało.

– Ale proszę mi opowiedzieć o tym przytułku – odezwała się znów lady Hero. – Nie spotkałam dotąd damy, która by zarządzała taką instytucją.

– Och! – Temperance ogarnęło przyjemne pomieszanie. – No cóż, Przytułek dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków znajduje się w St. Giles

i aktualnie mamy pod opieką dwadzieścioro ośmioro dzieci, ale moglibyśmy przygarnąć znacznie więcej, gdybyśmy tylko mieli patrona. – Przygarbiła się. – Dlatego wiązałam takie nadzieje z sir Henrym.

Lady Hero pokręciła głową.

– Przykro mi. W przytułku przebywają zarówno chłopcy, jak i dziewczęta?

– Tak, mieszkają w osobnych pokojach, oczywiście, ale przyjmujemy wszystkie dzieci do dziewiątego roku życia. W tym wieku posyłamy je na przyuczenie do zawodu.

– Naprawdę? – spytała lady Hero. Ręce trzymała splecione wdzięcznie na podołku, nie wykonała żadnego ruchu, a jednak sprawiała wrażenie szczerze zainteresowanej tematem. – Ale wobec tego jak…? Ojej!

Spoglądała gdzieś ponad ramieniem Temperance.

Temperance obejrzała się prędko i zobaczyła korpulentną matronę, która dawała władcze znaki.

– To kuzynka Bathilda – wyjaśniła lady Hero. – Zapewne chce, żebym poszła z nią na kolację, i tylko bardziej się rozsierdzi, jeśli udam, że jej nie widzę.

– Wobec tego lepiej niech pani idzie.

– Obawiam się, że muszę. – Lady Hero skłoniła głowę. – Miło było panią poznać, panno Dews.

– Pani – skorygowała spiesznie Temperance. – Jestem wdową.

– Zatem pani Dews. – Lady Hero wstała. – Mam szczerą nadzieję, że spotkamy się znowu.

Temperance odprowadzała lady Hero wzrokiem, gdy ta szła w stronę kuzynki Bathildy.

Kiedy znów się odwróciła, stał przed nią Caire ze szklaneczką ponczu w dłoni.

– Przebywała pani w ekskluzywnym towarzystwie pod moją nieobecność.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie uwierzyłby pan, jaka jest miła.

Zerknął w kierunku lady Hero, a później z pobłażliwą miną popatrzył znów na nią.

– Doprawdy? Dalej, proszę wypić poncz, a potem nakarmię panią skandalicznie dekadencką kolacją, nim odwiozę ją do domu. Pani brat bez

wątpienia będzie już wtedy nerwowo spacerował pod drzwiami.

Rzeczywiście, upłynęła blisko godzina, nim wreszcie podążyli do karety Caire’a. Temperance ziewała szeroko po obfitym posiłku jeszcze obficiej zakrapianym winem. Caire pomógł jej usiąść, zapukał w dach karety, po czym zajął miejsce obok, pociągając ją w swe objęcia. Narzucił na nich oboje futro, a Temperance na przemian zasypiała i budziła się, kiedy kareta ze stukotem toczyła się przez Londyn.

Był to świat jak ze snów. W ramionach Caire’a leżało się tak bezpiecznie i ciepło, pod uchem słyszała mocne bicie jego serca. Różnił się od niej, arystokrata ze wspaniałej krainy, ale jego serce biło jak u każdego innego mężczyzny.

Ta myśl ją pokrzepiła.

Kiedy po raz kolejny wróciła do rzeczywistości, kareta stała, on zaś potrząsał delikatnie jej ramieniem.

– Pora wstawać, moja śpiąca piękności.

Otworzyła oczy i ziewnęła.

– Już świta?

Zerknął za okno.

– Wkrótce zacznie. Mam przeczucie, że pani brat wygarbuje mi skórę, jeśli nie odstawię pani do domu przed pierwszym brzaskiem.

Te słowa nieco ją rozbudziły. Usiadła prosto i upewniła się, że fryzurę nadal ma jak należy.

– Och, zgubiłam pantofelek.

Schyliła się, żeby poszukać na podłodze, ale Caire już klęczał, macając wzdłuż podstawy siedzenia.

– Jest.

Ujął jej obleczoną pończochą stopę i delikatnie wsunął na nią pantofelek. W oszołomieniu wpatrywała się w jego srebrzystą głowę.

Widocznie poczuł jej spojrzenie, gdyż podniósł wzrok, a oczy mu pociemniały. Rzekł jednak tylko:

– Gotowa?

Przytaknęła, nie ufając własnemu głosowi.

Pomógł jej wysiąść i odprowadził do drzwi przytułku. Na dworze szarzało, ale na ulicy nikt jeszcze się nie pokazał. Odwróciła się, gdy dotarli do wejścia, i położyła mu dłoń na klatce piersiowej.

– Milordzie… – Nie była pewna, co chce powiedzieć, ale nie miało to znaczenia.

Nachylił się i otarł wargami o jej wargi.

– Dobranoc, pani Dews – zamruczał.

Odwrócił się.

Przyglądała się, jak jego barczysta sylwetka wtapia się w szarą mgłę; później otworzyła drzwi przytułku własnym kluczem. Ziewnęła, ryglując je za sobą, i podskoczyła najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, żeby pozbyć się pantofli na obcasie. Następnie powędrowała do kuchni.

Cztery męskie głowy zwróciły się ku niej, gdy weszła. Temperance zrobiła wielkie oczy. Jej bracia nie czekali chyba na nią przez całą noc? Ale coś jeszcze się tu nie zgadzało. Ponieważ czwartym mężczyzną był jej szwagier, William, który miał zaczerwienione oczy.

Jej spojrzenie pomknęło ku Winterowi.

– Silence.

Winter wyglądał na wyczerpanego i o całe lata starszego niż w rzeczywistości.

– Silence nie ma w domu od wczorajszego popołudnia – powiedział.

* * *

Kazał jej rozsznurować stanik i rozpuścić włosy, i tak zrobiła.

Silence wyszła z sypialni Czarującego Mickeya O’Connora z włosami spływającymi po plecach. Jego sypialnia mieściła się na piętrze nad salą tronową, a w korytarzu Silence wpadła na pokojówkę – pierwszą kobietę, jaką tu widziała. Służąca wytrzeszczyła na nią oczy, po czym prędko odwróciła wzrok, wracając do polerowania wielokolorowej posadzki z marmuru. Silence zastanowiła się, czy pokojówce ktokolwiek pomaga przy tej nużącej pracy, czy może jest to całe jej zajęcie. Polerowanie metra za metrem fantastycznej marmurowej posadzki. Jeśli tak, nie zazdrościła kobiecie zadania.

– Tutej, paniusiu! – zawołał męski głos.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że czeka na nią Harry. Jego oczy były pełne współczucia.

Silence wyprostowała plecy.

– Dziękuję.

Strażnik się zawahał.

– Chciałaby się paniusia ogarnąć?

Twardo odwracał wzrok od jej piersi, częściowo widocznych w rozsznurowanym staniku.

– Nie – szepnęła Silence. – Nie, dziękuję.

Czarujący Mickey wyraźnie zaznaczył, że tego zrobić jej nie wolno.

Harry przez chwilę spoglądał na nią bezradnie, po czym skinął głową. Odwrócił się i poprowadził ją w dół krętymi schodami z marmuru. Wiele innych osób także było już na nogach, ponieważ słońce dawno wstało, a na ich twarzach na widok Silence odmalowywały się rozmaite uczucia. Niektórzy jej współczuli, jak Harry. Inni – przeważnie kobiety – sprawiali wrażenie zazdrosnych. Większość jednak okazywała jej po prostu pogardę; pewien bezczelny typ ośmielił się nawet do niej mrugnąć, nim Harry pchnął go mocno na ścianę. Po tym zdarzeniu kolejne osoby przeważnie odwracały od niej twarze, gdy przechodziła.

Gdy dotarli do wyjścia, Harry przytrzymał przed nią drzwi.

– Trzeba paniusi czego, niech paniusia powie – wymamrotał, kiedy go mijała.

– Dziękuję – odparła uprzejmie – ale mam wszystko, po co przyszłam.

I wystąpiła na jasne, bezlitosne światło dnia.

Czarujący Mickey dał jej precyzyjne instrukcje, toteż szła wolno środkiem obskurnej ulicy w St. Giles, a jej długie włosy powiewały na wietrze. Nie rozglądała się na boki, lecz trzymała spojrzenie utkwione przed siebie, nawet kiedy wracające do domów dziwki pokrzykiwały do niej ordynarnie.

Zamknęła uszy i serce, nic nie słyszała, nic nie widziała, dopóki tuż przed nią nie pojawiła się zalana łzami twarz Temperance.

Wówczas Silence łapczywie wciągnęła powietrze i poczuła, że do jej oczu także napływają łzy.

Ale do tego czasu dotarła już do końca ulicy, mogła więc sobie na nie pozwolić. Zastosowała się do instrukcji Mickeya, zrobiła wszystko, co jej kazał, on zaś dotrzyma swojej części umowy.

Tyle że jej życie już nigdy nie będzie takie samo.

Rozdział 12

Meg westchnęła.
– To nie jest miłość, Wasza Królewska Mość.
Król Zamknięte Serce zamarł z okruchem ciasta, którym zamierzał nakarmić niebieskiego ptaszka.
– Co to zatem jest?
– Strach – odparła krótko Meg. – Dworzanie boją się Waszej Królewskiej Mości.
Król chrząknął i jakby się zadumał.
– Zabierzcie ją z powrotem do lochów – rozkazał strażnikom.
– Aha, i Meg?
– Wasza Królewska Mość?
– Uczesz się, nim znów cię zobaczę.
– Ale do ułożenia włosów potrzebowałabym grzebienia i szpilek – odparła miękko Meg.
Król tylko skinął niecierpliwie głową i Meg raz jeszcze wyprowadzono…
– z „Król Zamknięte Serce”

Temperance tuliła Silence i delikatnie sznurowała jej stanik, kiedy wynajęty powóz toczył się z powrotem do przytułku. Silence zwiotczała, ale oddychała chrapliwie, a Temperance czuła skapujące na jej palce łzy, kiedy zajmowała się suknią siostry.

– Potrzebujesz doktora? – spytała wreszcie.

– Nie. Nie, nic mi nie jest – szepnęła Silence.

Stwierdzenie w tak oczywisty sposób rozmijało się z prawdą, że Temperance znów popłynęły z oczu łzy. Wściekle zmiotła je nadgarstkiem. Teraz nie była pora na uleganie przerażeniu i żalowi. Musiała być silna dla Silence.

– Co…? – Urwała, żeby zaczerpnąć tchu. – Co on ci zrobił, kochanie?

– Zupełnie nic – odparła matowym głosem Silence. – Nawet mnie nie tknął.

Temperance zaczęła protestować, ale zaraz się pohamowała. Oczywiste, że Czarujący Mickey skrzywdził Silence, lecz równie jasne było, że ona nie potrafi teraz o tym mówić. Przez kilka kolejnych minut Temperance koncentrowała się na rozczesywaniu palcami długich rdzawych włosów siostry. Rozdzieliła je i zaplotła w warkocze, które następnie, za pomocą paru własnych spinek do włosów, upięła w koronę wokół jej głowy.

Siostra przylgnęła do jej piersi, a Temperance głaskała ją po czole jak małe dziecko.

– Kochanie, dlaczego poszłaś do tego człowieka? – przerwała ciszę po dłuższej chwili.

Silence westchnęła, zagubiona i samotna.

– Musiałam ocalić Williama.

– Ale dlaczego nie przyszłaś najpierw do mnie? Przedyskutowałybyśmy sprawę, może znalazły inny sposób, żeby pomóc Williamowi. – Temperance starała się mówić spokojnie, wiedziała jednak, że do jej głosu wkradła się rozpacz.

– Byłaś taka zajęta – odparła cicho Silence. – Przytułkiem, dziećmi, lordem Caire’em i polowaniem na nowego patrona.

Jej słowa były dla Temperance jak nóż wbity w serce. Jak mogła do tego stopnia zaangażować się w inne sprawy, że własna siostra nie pomyślała, by zwrócić się do niej po pomoc?

– To i tak nie miałoby znaczenia – wyszeptała Silence, zamykając oczy. – Musiałam iść do Czarującego Mickeya sama. Musiałam sama dobić z nim tego targu. I udało się, wiesz?

– Co się udało, kochanie? – wymamrotała zaniepokojona Temperance.

– Moja wyprawa do Czarującego Mickeya. Mój układ z nim. Mówi, że zwróci ładunek skradziony z *Zięby*.

Temperance również zamknęła oczy. Miała nadzieję, że król piratów dotrzyma słowa, ale nawet jeśli zdarzy się cud i rzeczywiście tak zrobi, dla Silence niczego to nie zmieni.

Jej siostrzyczka była zrujnowana – teraz i na wieki.

* * *

Lazarus wstał tego popołudnia niedługo przed tym, jak pod jego sypialnią rozgorzał spór. Popatrzył znad biurka, przy którym zasiadł w banyanie i spodniach, i przyglądał się, jak drzwi otwierają się gwałtownie.

Do pokoju wmaszerowała Temperance. Za nią marudził Small.

Lazarus jednym spojrzeniem ogarnął ewidentne ślady łez na twarzy Temperance.

– Zostaw nas samych – warknął do lokaja.

Small ukłonił się i zamknął drzwi.

Lazarus podniósł się wolno.

– Co się stało?

Popatrzyła nań z rozpaczą w nakrapianych złotem oczach.

– Silence… O Boże, Lazarusie, Silence.

W rozkojarzeniu odnotował, że jeszcze nigdy nie zwróciła się do niego po imieniu.

– Opowiedz.

Zamknęła oczy, jakby chciała ochłonąć, nim rozpocznie relację.

– Postanowiła sama podjąć próbę odzyskania skradzionego ładunku Williama, jej męża. Poszła więc do przywódcy portowego gangu, człowieka zwącego się Mickey O’Connor…

W trakcie swych wędrówek po St. Giles słyszał mętne plotki o ekstrawaganckim złodzieju portowym. Ten mężczyzna był niebezpieczny. Caire zmarszczył czoło.

– I?

Srebrzysta łza wyślizgnęła się spod jej powieki i skapnęła na podłogę, mieniąc się w promieniach popołudniowego słońca.

– Zgodził się zwrócić ładunek statku… ale za określoną cenę.

Zbyt długo był cynikiem, by nie odgadnąć, o jakiej cenie mowa, lecz i tak zapytał:

– Jaką?

Otworzyła oczy, zalśniły złoconym brązem.

– Zmusił ją, by spędziła z nim noc.

Lazarus wypuścił powietrze z płuc, słysząc potwierdzenie. Nigdy nie poznał tej Silence, nic o niej nie wiedział, a nawet gdyby było inaczej, przypuszczalnie ani trochę by go nie obchodziła. Tyle tylko, że była siostrą Temperance.

A ten szczegół zmieniał wszystko.

Dziwne było to współodczuwanie. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Uzmysłowił sobie, że cokolwiek rani tę kobietę, rani również jego, że kiedy ona krwawi, jego dusza spływa bólem.

Wyciągnął ku niej ramiona.

– Chodź tutaj.

Zanurzyła się w jego objęcia, a on przygarnął ją do piersi, przy czym okruchy wyrafinowanego bólu szczypały jego nagą skórę tam, gdzie banyan się rozchylił. Pachniała słodko, świtem i kobietą.

– Przykro mi – wyrzekł łagodnie te obce dlań słowa. – Tak mi przykro.

Załkała krótko.

– Kiedy rano wróciłam do przytułku, William powiedział, że Silence do wieczora nie pojawiła się w domu. Podejrzewał, że poszła do O'Connora, ale zbyt niebezpiecznie było zapuszczać się nocą na jego terytorium.

Lazarus pomyślał, że gdyby chodziło o Temperance, gdyby posiadał wiedzę, że znalazła się w melinie złodziei, że jej ciału i duszy grozi niebezpieczeństwo, ruszyłby jej na ratunek bez względu na koszty.

– Poczekaliśmy, aż wstanie dzień, i wynajęliśmy powóz – szepnęła mu w ramię. Pod wpływem jej oddechu po skórze przebiegały mu niespokojne dreszcze. – Właśnie zobaczyliśmy dom O'Connora, kiedy ze środka wyszła Silence.

Pogładził jej włosy. Nadal miała w nich żółte topazowe szpilki, które dla niej kupił, ale zmieniła suknię.

Zadrżała, jakby na wspomnienie siostry.

– Włosy miała rozpuszczone, rozsznurowany stanik. Kazał jej przejść w ten sposób ulicą, jakby chciał ją napiętnować jako dziwkę. Na mój widok się rozpłakała.

Zamknął oczy, chłonąc jej ból, i powtórzył jedyne, co przychodziło mu do głowy:

– Przykro mi.

– Powiedziała, że nic się nie wydarzyło, że O'Connor kazał jej spędzić noc w swojej sypialni, ale jej nie tknął. Och, Lazarusie, jej zaprzeczenia brzmiały tak żałośnie, że nie śmiałam naciskać, by wyjawiła prawdę. Potrafiłam tylko ją tulić.

Mocniej otoczył ją ramionami.

– Przykro mi.

Odsunęła się, zaglądając mu w oczy.

– Ale najgorszy był powrót do przytułku. William czekał na nas…

– Nie pojechał z wami? – Lazarus zmarszczył brwi.

Temperance pokręciła głową.

– Powiedział, że jeśli ktoś go zobaczy w pobliżu domu O’Connora, uwiarygodni to tezę, że sprzymierzył się z piratem.

Lazarus kojąco przeciągnął dłonią po jej plecach, nie komentując. Z tego Hollingbrooka był nie lada tuman.

– I kiedy przybyliśmy, spojrzał raz na Silence i odwrócił od niej twarz. Och, Lazarusie – ze znużeniem zamknęła oczy – prawie pękło mi wtedy serce.

Nachylił się ku niej, po prostu nie mógł inaczej. Musnął wargami jej usta.

– Tak mi przykro.

Ze znużeniem wsparła głowę na jego ramieniu, kiedy przyjmowała pocałunki. Jej miękkie wargi smakowały łzami. Powiódł ustami po jej policzkach, na nich także kosztując łez, zlizując jej smutek.

– Lazarusie – westchnęła.

– Mhm?

– Jestem taka zmęczona – powiedziała niemalże jak mała dziewczynka.

Odgadł, że nie spała, odkąd minionej nocy odprowadził ją do domu.

– Połóż się więc ze mną na chwilę – szepnął.

Dźwignął ją jak dziecko, zaniósł do niezaścielonego jeszcze łoża i położył na nim delikatnie, po czym zległ obok niej. Przyciągnął ją do siebie, aż wtuliła głowę w jego okrytą banyanem pierś, czym wywołała ukłucia na granicy bólu.

Westchnęła znowu.

– Zabawne.

– Co takiego? – zamruczał, przeciągając palcami przez jej włosy.

Wyjął z nich żółte topazowe szpilki i odłożył na stolik nocny.

– William przysłał wiadomość. Kiedy już wrócili z Silence do domu. Po tym, jak moi bracia się pokłócili i Asa wybiegł rozgniewany.

– Czego dotyczyła?

Wyskubywał z jej włosów małe pozaginane szpilki, jedną po drugiej, uwalniając jej pukle, rozczesując je delikatnie palcami.

– Ładunek statku – powiedziała. – Mickey O’Connor dotrzymał słowa. Rankiem wszystko było na pokładzie. Jakby nigdy stamtąd nie zniknęło.

Lazarus wpatrywał się w baldachim nad łożem i rozmyślał o perfidii złodzieja, jego honorze i cenie, jaką kobieta jest gotowa zapłacić dla mężczyzny, którego kocha. Kiedy znów opuścił wzrok, przekonał się, że Temperance oddycha wolno i równo na jego piersi, a soczyste wargi ma nieznacznie rozchylone. Jej lśniące włosy rozpościerały się na jego ramieniu i łożu niczym jedwabny koc, a ten widok przyniósł mu głęboką satysfakcję.

Chwycił pasmo lśniących włosów i obserwował, jak zawija mu się wokół palców. Uśmiechnął się nieznacznie. Jakże mężczyzna potrafi się oszukiwać takim obrazem.

Potem opuścił rękę. Przygarnął Temperance mocniej do piersi i zamknął oczy.

I zasnął.

* * *

Obudziła się w ciemnym pokoju z przerażającą świadomością, że gdy tylko uniesie powieki, czeka na nią coś okropnego.

Toteż nie zrobiła tego.

Kołysała się w półśnie, bez myśli, niechętna porzucać ten stan spokoju. Obok niej spoczywało inne ciało, wielkie, ciepłe i krzepiące, i to na nim się skoncentrowała. Oddychał głęboko, jakby nadal spał, jej zaś podobał się cichy odgłos jego wydechów. Znaczył, że nie jest sama. Pragnęła zostać tu na wieczność, w szarym cieple półsnu. Jednakże w sposób nieunikniony wdarła się w nie rzeczywistość i Temperance otworzyła oczy, z bólem wciągając powietrze.

Ramię Caire’a objęło ją mocniej.

Odwróciła się i wtuliła twarz w bok mężczyzny, wdychając jego piżmową woń, zawstydzona, że łzy nadal cisną jej się do oczu. Silence była w ich rodzinie najmłodsza, najbardziej niewinna, i jej upadek wydawał się siostrze zbyt potworny, by go znieść, tak jakby na świecie zgasło całe światło.

Caire westchnął ciężko, sunąc dłonią wzdłuż jej kręgosłupa do pośladków, które ścisnął.

– Temperance.

Był rozpalony. Przeciągnęła ramieniem po jego plecach, dziwnie zaskoczona, gdy uzmysłowiła sobie, że zaledwie cienka warstwa jedwabiu oddziela jej palce od jego nagiej skóry.

– Lazarusie.

Odnalazł ustami jej usta, leniwie senne. Pocałował ją i znalazła pocieszenie, tu, w ciemności. W tej chwili nie była Temperance, on zaś nie był arystokratą, który znacznie przewyższa ją pozycją. Tutaj, w tym stanie zawieszenia pomiędzy nocą a dniem, byli po prostu mężczyzną i kobietą.

I jako kobieta otworzyła dlań usta.

Z głębi piersi wydał pomruk satysfakcji, wepchnął język w jej usta, upominając się o swoje. Pozwoliła mu na to, wciągnęła go głęboko. W tej chwili nie chciała mierzyć się ze światem za drzwiami tej sypialni. Pragnęła jedynie czuć.

Odczuwać swobodnie, jak nie robiła tego od lat.

Uderzyło w nią pożądanie, mocne i szybkie. Zawsze była szczególnie podatna na fizyczną żądzę, strzegła się przed nią każdego dnia, aby zagwarantować, że inni się nie dowiedzą, iż ta żądza nad nią panuje. Teraz puściła ją wolno.

Rozpostarła dłonie na jego plecach, śliski jedwab przesuwał się pod nimi. Caire był muskularny, szeroki w ramionach, wyraźnie wyczuwała rowek wzdłuż jego kręgosłupa.

Przerwał pocałunek, łapczywie chwytając powietrze, i skubnął jej stanik.

– Zdejmij to.

Zadanie nie było łatwe, tu, w ciemności, ale ślizgała się i wykręcała, aż w końcu, kiedy gorset skręcił się jej w talii, Caire po prostu wsunął palce pod sznurówki i wyrwał je z dziurek. Każda sznurówka uwalniała się z niewoli z charakterystycznym trzaskiem, a później piersi Temperance zakołysały się wyzwolone. Zdarł z niej zniszczony gorset, a następnie zdjął jej halkę przez głowę.

I była naga.

– Pozbądź się tego – szepnęła, ciągnąc za banyan.

– Nie mogę. Przepraszam – zamruczał i przypomniała sobie o jego wrażliwości.

Popatrzyła mu w oczy. Wpatrywały się w nią z żalem.

– Czy to sprawi ci ból?

– Nie ból. – Musnął wargami kącik jej ust. – Z tobą nie czuję już bólu. Jedynie… dyskomfort. I tylko wtedy, gdy dotykasz mojej nagiej skóry.

– A jeśli ty dotkniesz mojej nagiej skóry?

Uśmiechnął się wolno.

– To, zapewniam cię, nie będzie dla mnie ani trochę bolesne.

Ogarnęła ją frustracja, potem jednak poruszyła się obok niego, piersiami ocierając się o jego tors, a jedwab popieścił jej sutki.

Sięgnął po nią z warknięciem i wyzbyła się zahamowań. Oplotła go nogą i przeciągnęła nią w górę i w dół. Miał na sobie spodnie i szorstki materiał drapał jej skórę, zanim dotarła do jego nagich łydek. Zesztywniał. Wiedziała, że wywołuje u niego dyskomfort, ale nie potrafiła przestać. Rozkoszowała się kontrastem między własną miękkością a jego twardą siłą.

Znienacka zmienił pozycję, przetaczając ją pod siebie.

– Tak – rzekła na bezdechu. – Tak.

Ale nie postąpił zgodnie z jej oczekiwaniami. Zamiast tego pochwycił jej ręce, dociskając je do materaca nad jej głową, i przygniatał ją swoim ciężarem, aż ledwie mogła się ruszyć.

– Proszę, teraz – wydyszała.

Nie chciała porzucać tego stanu odurzenia, wracać do normalności, poczucia winy, smutku.

– Nigdzie nam się nie spieszy – wymruczał cicho w jej szyję.

– Owszem – odparła ze złością. – Spieszy się.

Roześmiał się tylko, łaskocząc oddechem jej skórę, kiedy sunął ustami wzdłuż jej obojczyka. Do czego zmierzał? Czy nie odczuwał takich samych popędów jak inni mężczyźni? Ta konkretna jego część – część, która czyniła go mężczyzną – bardzo wyraźnie sygnalizowała zainteresowanie. Wciskała się w jej brzuch, twarda i gorąca pod spodniami, a następnie prześlizgnęła się na jej biodro, kiedy sunął w dół jej ciała.

Rozkojarzona, otumaniona i skonfundowana, uwagę miała rozdartą między jego wędrujące usta a członek, który dociskał teraz do szczytu jej wzgórka. Spróbowała unieść biodra, naprzeć na niego, ale Lazarus zaśmiał się i unieruchomił ją udem.

– Co robisz?! – zawołała sfrustrowana.

– No jakże, pani Dews – cedził słowa – wydawało mi się, że była pani mężatką.

– Byłam – odparła zła jak osa; aktualnie mąż stanowił ostatni temat, na jaki miała chęć rozmyślać.

– Wobec tego sądziłbym, że będzie pani umiarkowanie obeznana z tym procesem – szepnął na moment przed tym, nim wziął w gorące usta jej sutek.

Z jej umysłu zniknęła wszelka myśl, przetoczyła się przez nią fala doznania, przyprawiając o drżenie. Dobry Boże, minęło tyle czasu, odkąd jakiś mężczyzna jej tam dotykał. Odkąd czuła to mocne ssanie. Erotyzm tej chwili niemalże ją przytłoczył.

Caire podniósł głowę, by leniwie polizać jej pierś, a każde niespieszne przeciągnięcie językiem dręczyło ją w niewysłowiony sposób.

– Przyznaję, że sam jestem w tym nowicjuszem – oznajmił, cedząc słowa.

– Co? – Zamrugała w ciemności. – O czym mówisz?

– O uprawianiu miłości – odparł rzeczowo, po czym delikatnie ugryzł jej drugi sutek.

Załkała w reakcji na tę dotkliwą przyjemność, kiedy między jej udami narastał ból. Tymczasem on nie robił nic, by przynieść jej ulgę.

Zamiast tego mówił.

– Słyszałem, że to wyjątkowe doświadczenie – kontynuował ze spokojem – ale musisz mi wybaczyć, jeśli wydaję się niepewnym. Byłem w łóżku z wieloma kobietami, nigdy jednak nie zaryzykowałem uprawiania z nimi miłości. W tej sferze, jak sądzę, ty jesteś mistrzynią.

W ostatnim zdaniu pojawiła się nuta pytania, ale nawet gdyby Temperance była w pełni władz umysłowych, nie skomentowałaby. Dlaczego prowadził tę grę, kiedy pragnęła jedynie jego ciała między udami?

– Powoli – rzekł przyciszonym głosem, strofując ją za jęk frustracji. Rozepchnął jej uda i ulokował się w powstałej w ten sposób przestrzeni. – Proszę bardzo. Tak lepiej?

Nie było doskonale, choć niezaprzeczalnie lepiej. Jego twarda długość spoczywała na jej wilgotnych fałdach, materiał spodni tarł o nie cudownie. Zamknęła oczy z rozkoszy wywołanej przez jego żar, delikatny, aczkolwiek nie dość mocny nacisk.

– Proszę bardzo – powtórzył kojąco. – A teraz, gdybym dodał coś takiego?

I znowu wciągnął w usta jej sutek, delikatnie drapiąc ją zębami, kiedy ssał.

Pragnęła także go dotknąć, przeczesać palcami włosy na jego klatce piersiowej, chwycić go mocno za ramiona, sięgnąć w głąb spodni, żeby ugniatać pośladki. Ale nadal więził jej dłonie i była zmuszona po prostu czekać.

Podporządkować się.

– Rozewrzyj nogi – szepnął, a jego niski głos rozbrzmiał wyraźnie w nieruchomej ciemności.

Spełniła polecenie.

– Unieś je odrobinę.

Posłuchała. Chrząknął, chyba z zadowoleniem. Wskutek jej ruchu znalazł się bliżej, jego członek schronił się teraz między jej fałdkami.

Przełknęła ślinę, czekając na kolejne posunięcie.

– Myślę… tak, to.

Zmienił pozycję, wsunął dłoń między nich, rozpiął spodnie i uwolnił członek. Gdy znowu na nią opadł, penisem pocierał niedwuznacznie o jej łechtaczkę, kiedy zaś skupiła się na odczuwaniu tego, odnalazł jej usta.

Przywarł do niej z rozchylonymi wargami i zdawało się to nieomal zbyt intymne, tutaj, w ciemności. Leżał na niej – uciskał torsem jej wrażliwe, nagie piersi, członek skrył w jej miękkości – i pieczołowicie, leniwie ją całował.

Złapał zębami jej dolną wargę, skubiąc delikatnie, a później wyszeptał:

– Otwórz.

Przyjęła do ust jego język, ssała go bezradnie przez długie chwile. Pocałunek był tak erotyczny, że o mały włos nie zauważyłaby, kiedy Lazarus zaczął się na niej poruszać. Ale zauważyła. Zamarła, skoncentrowana na tej części jego ciała, która nawiązywała intymną więź z jakże konkretną częścią jej ciała. Dopóki nie uszczypnął zębami kącika jej ust.

– Uważaj. – Głos mu się rwał.

Dzika kobieta w niej zadrżała w reakcji na szorstkość jego głosu, na świadomość, że go pociąga, pomimo jego wyrafinowania. Otworzyła dlań usta, ugryzła go w odpowiedzi, on zaś łapczywie wciągnął powietrze. A potem miażdżył jej wargi swoimi, prawie że pozbawiony kontroli, samiec dominujący nad samicą. Swoją samicą.

Znów zmienił pozycję, wycofując się nieco. Odnalazł jej wejście i wsunął się w nią odrobinę. Uniósł głowę jedynie na tyle, żeby szepnąć:

– Teraz.

Pchnął potężnie.

Swoją twardością pogwałcił jej miękkie głębie, wdzierając się tam, gdzie przez lata była pusta. Zabrakło jej tchu w reakcji na doznanie zarówno fizyczne, jak i mentalne, ale znów wpił się w jej usta, wyssał z nich oddech. Pchnął ponownie i jeszcze raz, aż ulokował się głęboko w niej. Uda miała szeroko rozwarte, biodrami mocno napierał na jej biodra.

Przelotnie ogarnęła ją panika. Kim był ten mężczyzna? Dlaczego leżała pod nim, pozwalając, by najgorsza część jej istoty dyktowała jej, co ma robić? Później zaczął się poruszać i myśli umknęły jej z głowy. Poruszał się jak fala przyboju, jak wiatr świszczący ponad brukiem, jak mężczyzna na kobiecie. Ten ruch, choć najstarszy i najbardziej rozpowszechniony w historii, wydawał się zarazem nowy i czysty. Ponieważ to byli oni dwoje, którzy jeszcze nigdy nie robili tego razem.

Wygięła się pod nim w łuk. Czuła, jak jego ciało rozstępuje się i stapia z jej ciałem, kiedy kontynuował głęboki pocałunek.

Przebiegł ustami po jej policzku, ani na moment nie przerywając płynnego, niespiesznego rytmu, i wyszeptał jej do ucha:

– Opleć nogami moje biodra.

Zrobiła to, zespalając ich mocno. Szarpnięciem przesunął się nieco w górę, a ona ze świstem wciągnęła powietrze. Przy każdym pchnięciu i za każdym razem, gdy wycofywał się z niej powoli, pocierał ciałem o wierzchołek jej kobiecości. Odwróciła głowę, nagle zbyt obnażona, zbyt wrażliwa, nawet w ciemności, ale podążył za nią, miękko dociskając wargi do kącika jej ust. Ta niespieszna, kontrolowana, powtarzalna inwazja, ten stanowczy atak na jej zmysły były nie do zniesienia. Chciała krzyczeć, wymusić na nim, by przestał. Ponaglić, by przyspieszył. I, jakby rozumiejąc jej niepokój, zwiększył tempo, wdzierając się w nią z łomotem.

Doprowadzał ją do szaleństwa.

Oderwała usta od jego ust, zdyszana, wykręcając nadgarstki w jego uchwycie.

– Dosyć.

– Nie – szepnął. – Odpuść.

– Nie mogę.

– Możesz.

Podciągnął się jeszcze odrobinę, wolno wykręcał biodra, kiedy w nią wchodził, i jakimś sposobem ten nacisk, rozkosz, żar i oczekiwanie wyzwoliły się wszystkie naraz.

Rozpadła się, łkając, cudownie wolna, wyzuta z myśli, pozbawiona duszy, jedynie z samotnym pulsującym punktem lśniącego piękna. Jak przez mgłę słyszała, że on wstrzymuje oddech, poczuła, że jego rytm załamuje się i szarpie, nim nagle stracił kontrolę. Wdarł się dziko w jej ciało, kiedy szybowała, a ten ruch pchnął ją jeszcze wyżej.

Chrapliwie wypuścił powietrze z płuc.

Jego ciało wykonało jeszcze jedno czy dwa pchnięcia, po czym przestał, opuszczając głowę, by pocałować ją czule. Szaleńczo zapragnęła powiedzieć coś całkowicie niestosownego. Powiedzieć mu, ile to dla niej znaczyło.

Uwolnił jej nadgarstki, lecz była zbyt wyczerpana, żeby opuścić ramiona.

– Rzeczywiście wyjątkowe – wymamrotał głosem spokojnym i głębokim, jedynie z lekką zadyszką.

Wiedziała, że powinna się nad tym zastanowić, powinna coś odrzec.

Ale odpłynęła w sen.

* * *

Nigdy dotąd nie obudził się obok kobiety.

Tak brzmiała pierwsza myśl Lazarusa kolejnego ranka. Tradycyjnie jego utrzymanki były, z definicji, bardziej partnerkami handlowymi. Sprzedawały pewien towar; on go kupował. Proste, czyste, bezosobowe. Tak bezosobowe, że niekiedy nie znał ich prawdziwych imion, nawet w przypadku kobiet takich jak Marie, które zachowywał przez lata. Marie, z powodu której szukał w St. Giles zabójcy.

A jednak nigdy nie leżał obok Marie. Nigdy nie czuł obok siebie jej rozkosznego ciepła, nie słuchał jej cichych oddechów, kiedy spała.

Otworzył oczy i odwrócił głowę, żeby obserwować Temperance. Leżała z ramionami nadal zarzuconymi w górę. Jej wargi miały barwę głębokiej czerwieni, na policzkach gościł rumieniec, a promienie budzącego się słońca nadawały jej skórze złoty połysk. Kiedy tak spoczywała obok niego,

wydawała się niemalże zbyt piękna, by być prawdziwą. Jedynie splątane ciemne włosy oddalały jej obraz od perfekcji. Dzięki Bogu. Kupował już perfekcję i dłużej go nie interesowała. Krew burzyła się w nim teraz dla prawdziwej kobiety.

Jeden niesforny pukiel snuł jej się po policzku, opadał na szyję, lgnąc do spoconej skóry, i wreszcie zwijał się na czubku obnażonej piersi. Krągłej i pełnej, z różanym sutkiem. Dotknął tego sutka, podziwiając jedwabistą fakturę jej skóry, fakt, że brodawka natychmiast stwardniała.

Temperance gwałtownie wciągnęła powietrze i odszukał jej spojrzenie. Patrzyła nań w zdumieniu, jakby zaskoczona, że znajduje się tutaj, w jego łóżku.

No cóż, może rzeczywiście ją to zaskoczyło.

– Dzień dobry – zaczął.

Banalnie, zgoda, ale, do diaska, co innego miał powiedzieć?

Ona wszakże odrzuciła przykrycia i wyplątała się z łóżka jak spłoszona sarna.

– Gdzie moja halka?

Założył ramiona za głowę.

– Nie mam pojęcia.

Odwróciła się, by spiorunować go wzrokiem. Wielce czarujące, jako że była naga.

– Zdjąłeś ją ze mnie. Musisz wiedzieć.

– Wtedy, hm… absorbowały mnie inne sprawy.

Szkoda. Nie musiał spoglądać w dół, by wiedzieć, że jego członek byłby więcej niż uszczęśliwiony powtórką z minionej nocy.

Zerknął na nią. Klęczała z pupą w górze, szperając pod fotelem, przypuszczalnie w poszukiwaniu zaginionej halki. Widok oszałamiał, Lazarus przeczuwał jednak, że ona nie jest w nastroju.

I, w rzeczy samej, kiedy nagle wyprostowała się i przyłapała go na tym, że się gapi, spojrzała nań groźnie.

– Muszę wracać do domu. Powiedziałam Winterowi, że idę zobaczyć się z tobą, ale nie spodziewałam się, że spędzę tu noc! Będzie się martwił.

– Naturalnie – odparł głosem, miał nadzieję, kojącym. – Ale dopiero świta. Możesz chyba zostać na śniadanie?

– Nie. Muszę się jak najszybciej dostać do domu – wymamrotała. – Wykluczone, żeby moi bracia uznali nas za kochanków.

Otworzył usta, lecz ostatecznie instynkt samozachowawczy powstrzymał go przed wytknięciem jej, że są kochankami.

– Zadzwonię po pokojówkę – rzekł zamiast tego cierpliwie – żeby pomogła ci…

– O nie! – Z przerażeniem oglądała to, co zostało z jej gorsetu.

Skrzywił się.

– Ach. Pozwól, że poślę pokojówkę, by kupiła ci nowy.

– To zajmie godziny! – Temperance znów piorunowała go wzrokiem.

Westchnął. Nigdy nie przepadał za wczesnym wstawaniem, oczywiste jednak, że tego ranka nie będzie mu dane wylegiwać się w pościeli.

Lazarus odrzucił kołdrę i wstał, pozwalając sobie jedynie na moment satysfakcji, kiedy zerknęła na wybrzuszenie w jego spodniach i gwałtownie spąsowiała. Podszedł do sznurka i zadzwonił po Smalla. Po naradzie przeprowadzonej półgłosem przy drzwiach – Temperance wróciła do łóżka – lokaj pozyskał zestaw gorsetów od pokojówki i pół godziny później pani Dews znów była schludnie ubrana.

Lazarus rozpierał się leniwie w fotelu, obserwując ją, gdy stanowczymi ruchami zawiązywała pod brodą pelerynę. Każdy jej włos znajdował się na właściwym miejscu, biały czepek usadowił się pedantycznie na głowie i wyglądała dokładnie jak szacowna przełożona przytułku dla podrzutków.

Nienawidził tego jej wizerunku.

– Poczekaj – rzekł, kiedy kładła rękę na gałce u drzwi.

Odwróciła się ze zniecierpliwieniem, ale zrobiła się czujna, gdy ruszył ku niej niczym drapieżnik.

– Muszę przeprowadzić dziś w nocy pewne dochodzenie – wyjaśnił. – Wczoraj po powrocie do domu dostałem wiadomość o mężczyźnie, którego powinienem przepytać.

Przygryzła wargę.

– Oczywiście.

Skinął głową.

– Zatem bądź gotowa o ósmej.

– Ale…

Nachylił się i pocałował ją mocno, zmuszając do otwarcia ust, wpychając w nie język, kiedy ustąpiła.

Gdy podniósł głowę, spoglądała nań zaniepokojona. Uśmiechnął się.

– Miłego dnia, pani Dews.

I przyglądał się, jak ona się odwraca i opuszcza jego sypialnię. Trzymała się sztywno wyprostowana, nie obejrzała się ani razu. Być może już postanowiła, że ich spędzona wspólnie noc należy do przeszłości.

Jeśli tak, było mu jej żal. Ponieważ on jak najbardziej zamierzał zaciągnąć ją ponownie do łóżka.

Rozdział 13

Reszta dnia upłynęła Meg na radosnym rozczesywaniu długich, splątanych jasnych włosów. Nazajutrz wczesnym rankiem zaplotła je w warkocze i upięła w złotą koronę wokół głowy. Ledwie wsunęła ostatnią szpilkę, gdy przybyli strażnicy, by zaprowadzić ją przed oblicze króla. Tym razem w sali tronowej zebrało się stadko uroczych dam. Jedna wdzięczniejsza od drugiej, twarze miały delikatnie umalowane, tak by uwypuklić ich olśniewające piękno.
Pośród tej kobiecej obfitości rozpierał się na tronie król, potężny, męski i osamotniony. Natychmiast skierował wzrok na Meg.
– Kochacie mnie, moje konkubiny? – zapytał bez zbędnych wstępów.
Damy odwróciły się zgodnie i mizdrząc się na rozmaite sposoby, odparły: „Tak!”…
– z „Król Zamknięte Serce”

Co ona zrobiła?

Temperance niewidzącym wzrokiem spoglądała przez okno karety Caire’a, kiedy ta toczyła się przez Londyn w jasnych promieniach słońca. Uległa pokusom ciała, położyła się z mężczyzną, który nie był jej mężem – i to po raz drugi. Powinny ją dręczyć poczucie winy, smutek, nawet panika, i rzeczywiście tak było. Zarazem jednak głęboko w jej piersi jarzyła się iskierka radości, uparcie nie dając się zgasić wątpliwościom.

Położyła się z Caire’em i czuła się przez to szczęśliwsza.

Niemniej nadal zbroiła się wewnętrznie na spotkanie z dezaprobatą Wintera, gdy kareta zatrzymała się niedaleko przytułku. I, w rzeczy samej, kiedy wysiadła, ujrzała Wintera stojącego przed drzwiami domu. Ojej…

Przyglądał jej się ze skupieniem w ciemnobrązowych oczach, ale gdy się zbliżyła, powiedział jedynie:

– Wejdź do środka, siostro.

Temperance podążyła za nim przygaszona. Na pół oczekiwała, że zacznie ją przepytywać na temat nocnej nieobecności, on wszakże tylko poprowadził ją do kuchni. W środku Nell nadzorowała przygotowanie porannego posiłku, w czym asystowała jej Mary Whitsun. Na widok Temperance służąca przewróciła oczami, wyraźnie gotując się od pytań, których nie mogła w tej chwili zadać.

Winter odwrócił się, jakby zamierzał wyjść, ale Temperance położyła mu dłoń na ramieniu.

– Co u Silence?

Pokręcił głową, odwracając od niej twarz.

– Ani ona, ani William nie odzywali się od czasu wiadomości o zwrocie ładunku.

Temperance wypuściła powietrze z płuc.

– A Asa?

– Nie wiem. On i Concord nie rozmawiają ze sobą. Obawiam się, że znowu zniknął.

Posępnie skinęła głową. Wystarczyło kilka dni, by ich rodzina rozpadła się na drzazgi.

– Muszę iść do szkoły – powiedział Winter.

– Oczywiście – odparła, opuszczając rękę.

Zawahał się.

– Naprawdę wszystko u ciebie w porządku, siostro? Martwię się o twoje dobro.

Przytaknęła ze wzrokiem wbitym w podłogę. Co też sobie o niej myślał?

Poczuła na włosach muśnięcie jego dłoni, lekkie i krzepiące, a później wyszedł z kuchni.

– Brakowało nam pani wczoraj wieczorem – powiedziała cicho Mary Whitsun.

Mieszała nad ogniem owsiankę, nie patrząc Temperance w oczy.

Temperance westchnęła i rozważyła, czy nie zrobić uniku. Ale postąpiłaby niewłaściwie zarówno wobec Mary Whitsun, jak i siebie samej.

– Przepraszam. Zaniedbałam ciebie i inne dzieci. Nie powinnam była opuszczać was wczoraj tak nagle.

Mary posłała jej nieodgadnione spojrzenie, o wiele zbyt dorosłe jak na dwunastolatkę.

– Nic nie szkodzi, psze pani.

Temperance się skrzywiła.

– Tylko że… – Mary mieszała owsiankę coraz wolniej, aż wreszcie warząchew praktycznie znieruchomiała w garnku. – Pan Makepeace mówił, że wczoraj wieczorem jakaś dama pytała o dziewczęta na przyuczenie. Mówił, że mogłaby to być dobra posada dla mnie.

Temperance poczuła ucisk w sercu. Nie była jeszcze gotowa rozstać się z Mary Whitsun, ale musiała zmierzyć się z realiami.

– Rozumiem. – Odkryła, że musi odkaszlnąć. Uśmiechnęła się promiennie, żeby zamaskować tę zwłokę. – No cóż, to dobre wieści, nieprawdaż? Omówię temat z panem Makepeace'em i upewnię się, że posada jest dla ciebie odpowiednia.

Dziewczynka zwiesiła głowę i się przygarbiła.

– Tak, psze pani.

I Temperance musiała się odwrócić, żeby ukryć błysk łez w oczach.

Reszta dnia upłynęła jej na zwykłych pracach w przytułku – gotowaniu, sprzątaniu, zaprowadzaniu porządku wśród dzieci i ich łagodnym strofowaniu. Wieczorem Temperance była zarazem wyczerpana i podenerwowana, kiedy niecierpliwie wyczekiwała kolejnego spotkania z Caire'em. Mimo to gdy zapukał do kuchennych drzwi, nadal nie czuła się przygotowana, by się z nim zobaczyć.

Otworzyła drzwi i popatrzyła na niego, stojącego tam w szybko zapadającym zmierzchu. Srebrzyste włosy miał zebrane z tyłu w elegancki kucyk, ale jej palce pamiętały jedwabistość tych kosmyków. Szafirowe oczy obserwowały ją spod ronda trikorna, założył też, jak zwykle, czarną pelerynę, teraz wszakże wiedziała, jakie to doznanie, mieć go między udami. Wiedziała, jak pogłębiają się bruzdy wokół jego ust, gdy szczytuje. Wiedziała, jak jego penis drga i szarpie się w jej wnętrzu, gdy wlewa w nią nasienie.

Zaczerpnęła tchu, walcząc, by zachować zwykły, uprzejmy wyraz twarzy.

Kącik jego zmysłowych ust uniósł się minimalnie, jakby Caire zdawał sobie sprawę z toczącej się w niej bitwy.

– Pani Dews. Jak się pani miewa dziś wieczorem?

– Doskonale, milordzie – odparła może odrobinkę zbyt ostro.

Owładnęła nią przemożna potrzeba, by go dotknąć, ale przecież nie mogła.

Na jego ustach zdecydowanie skrywał się teraz uśmiech, a na ten widok zapragnęła jednocześnie zatrzasnąć mu drzwi przed nosem, jak i chwycić go mocno i pocałować.

Frustrujące.

Odkaszlnęła.

– Wejdzie pan na herbatę, nim wyruszymy?

– Dziękuję, nie – odparł, naśladując jej formalny ton. – Dzisiejsza sprawa nie może czekać.

Przytaknęła.

– Dobrze.

Pelerynę miała uszykowaną, zarzuciła ją więc na siebie, skinęła głową siedzącej przy kuchennym stole Nell, która udawała, że nie podsłuchuje, i wyszła. Caire natychmiast ruszył. Przyspieszyła, żeby się z nim zrównać, nie zrobili jednak pięciu kroków, gdy znienacka wciągnął ją w mrok bramy.

– Co…?!

Wargami uciął jej zaskoczony okrzyk. Pocałował ją głęboko i zaborczo, zanim wolno uniósł głowę.

– Tak lepiej.

Wydawał się szalenie z siebie zadowolony.

Sapnęła.

Ruszył znowu, choć już nie tak szybko. W przeciwieństwie do poprzednich wieczorów w St. Giles nie wiedziała, dokąd się kierują. Tym razem to Caire prowadził. Dotarli do skrzyżowania i zobaczyła oczekującą karetę.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Dokąd jedziemy?

– Odwiedzić mężczyznę, którego widzieliśmy w domu pani Whiteside – odparł rzeczowym tonem.

Zatrzymała się.

– Och, ale do tego nie jestem ci przecież potrzebna.

– Nie masz pojęcia, na ile sposobów cię potrzebuję – zamruczał, a później pomógł jej wsiąść do karety.

No cóż, w gruncie rzeczy nie miała wyboru. W każdym razie tak sobie powiedziała, opadając na poduszki. Niewykluczone, że prawda przedstawiała się tak, iż Temperance lubiła z nim przebywać bez względu na pretekst.

Gdy usiadł naprzeciw niej, stłamsiła ukłucie żalu.

Kareta szarpnęła do przodu, a Temperance opuściła wzrok na dłonie na podołku, świadoma jego spojrzenia.

– Wszystko dobrze? – zapytał miękko po chwili.

– Tak – odparła.

– Chodzi mi o to, czy dobrze się czujesz po naszym wczorajszym spółkowaniu.

– O! – Żar wspiął jej się na policzki. Nazywał rzecz po imieniu! – Dobrze. Dziękuję.

– A twoja siostra?

Zmarszczyła brwi, łzy zawędrowały zbyt blisko powierzchni.

– Na razie nie mamy nowych wieści.

– Aha.

Spojrzała spod osłony rzęs, próbując odczytać w mroku wyraz jego twarzy. Zdawał się o nią martwić. Czy planował powtórkę z minionej nocy? Czy też była to jednorazowa przygoda, o której najlepiej zapomnieć? Gdyby jednak nie był nią zainteresowany, nie ciągnąłby jej na tę przejażdżkę. W podbrzuszu gromadził jej się żar, gdy w myślach ujrzała jego dłonie, pieszczące znowu jej piersi. Jego wargi na swojej szyi.

Kareta zachybotała, zatrzymując się, i Temperance prędko podniosła wzrok.

– Gdzie…?

Nie dokończyła pytania, gdyż drzwi pojazdu otworzyły się i wsiadł wysoki mężczyzna w szarej peruce i okularach połówkach.

– Pani Dews, być może pamięta pani mojego przyjaciela, pana St. Johna? – zapytał gładko Caire.

– Oczywiście – odparła, starając się ukryć zakłopotanie.

Pan St. John skłonił głowę.

– Szanowna pani.

– St. John uprzejmie zgodził się dołączyć do nas w trakcie dzisiejszego dochodzenia – wyjaśnił Caire.

St. John prychnął cicho, przez co Temperance zastanowiła się, w jaki sposób owa „uprzejma zgoda” została uzyskana. Z zaciekawieniem wodziła wzrokiem pomiędzy mężczyznami. Na pozór wydawało się mało prawdopodobne, że oni dwaj się przyjaźnią. Caire był taki niefrasobliwy –

choć zarazem niebezpieczny – podczas gdy St. John wyglądał jak poważny uczony.

– Mogę spytać, jak panowie się zaprzyjaźnili? – zagadnęła.

Odpowiedział jej Caire:

– Poznaliśmy się w Oksfordzie, gdzie mnie czas upływał na piciu podłego wina, St. Johnowi zaś na próbach tłumaczenia mało znanych greckich filozofów i sporach na tematy polityczne z innymi nudziarzami.

W tym miejscu St. John wtrącił kolejne prychnięcie.

– Pewnej nocy – ciągnął Caire, nie zważając na przerywnik – natknąłem się na niego w otoczeniu sześciu łobuzów, którzy robili z niego krwawą miazgę. Przykro powiedzieć, lecz poczułem się urażony ich doborem rozrywki.

Temperance czekała, ale mężczyźni patrzyli na nią, jakby opowieść dobiegła końca. Zamrugała.

– Czyli poznaliście się podczas burdy w gospodzie?

Caire z namysłem wbił wzrok w sufit.

– Raczej w walce ulicznej.

– Albo utarczce. – St. John wzruszył ramionami.

– I zostaliście przyjaciółmi – dokończyła za nich.

– Tak – rzekł Caire, podczas gdy St. John wzruszył ramionami, jakby taki rezultat był sam przez się zrozumiały.

– Niepojęte – wymamrotała pod nosem Temperance.

Caire najwyraźniej miał czuły słuch.

– Według mnie sprawę przesądził cios, który St. John otrzymał w czubek głowy – wyjaśnił uprzejmie. – Krew była wszędzie. A krew tworzy więzy.

Zamrugała znowu.

– A panu nic się nie stało?

To domniemanie wyczerpało cierpliwość St. Johna.

– Miał złamany nos i podbite oczy – powiedział, przy czym w jego głosie pobrzmiewało coś nader przypominającego satysfakcję. – A warga spuchła mu tak, że przez miesiąc seplenił.

– Tydzień – wtrącił Caire.

– W najlepszym razie sześć tygodni – odparował ze spokojem St. John. – Nadal sepleniłeś w święto wiosny, kiedy… aaa…

– Wiosłowaliśmy Tamizą o świcie zalani w trupa – dokończył Caire. – Z mopsem, którego ukradliśmy wykładowcy.

– Mniej więcej – mruknął St. John.

– O! – Temperance miała okrągłe oczy.

Kąciki ust Caire’a skoczyły w górę.

– Rozumie więc pani, dlaczego go zabrałem, kiedy pomyślałem, że przyda nam się wsparcie.

– O tak – odparła słabym głosem Temperance.

– Przez kolejne dwa oksfordzkie lata usiłowałem go nakłonić, żeby choć w części porzucił studia na rzecz wina – dodał Caire.

– A ja przez te dwa lata próbowałem powstrzymać cię przed uleganiem twoim najgorszym popędom – rzekł St. John znacznie mniej lekkim tonem. Zerknął na Caire’a. – Był taki moment, gdy nabrałem pewności, że szukasz śmierci.

– Może szukałem – szepnął Caire. – Może szukałem.

Kareta zatrzymała się z szarpnięciem.

Caire wyjrzał przez okno, natychmiast poważniejąc.

– Oto jesteśmy.

* * *

Po ostatnim ataku w St. Giles Lazarus poprzysiągł sobie, że więcej nie narazi pani Dews na niebezpieczeństwo. Zarazem potrzebował wymówki, by uzasadnić jej dalszą obecność w swoim życiu. Dochodzenie, choć ryzykowne, nadawało się idealnie.

Stąd obecność St. Johna tej nocy.

Lazarus przyznawał cierpko sam przed sobą, że męska przyzwoitka – o którą sam zadbał – nadawała jego gonitwie za Temperance rys komizmu. Nie ustąpi jednak ani w kwestii jej bezpieczeństwa, ani swoich… zalotów do niej.

To słowo go zastanowiło. Czy rzeczywiście to robił? Zalecał się? Być może. Po raz pierwszy zabiegał o kobietę, nie wabiąc jej pieniędzmi. Ta myśl dziwnie skłaniała do pokory: przyszła do niego, obojętna na to, co mógł jej dać. Musiał uciec się wyłącznie do swego uroku osobistego.

A tego często mu brakowało.

– Kim jest mężczyzna, z którym dziś się spotkamy? – zapytał St. John, kiedy wysiadali z karety.

Po tamtych dniach w Oksfordzie Lazarus wiedział, że ten człowiek, nawet jeśli jest uczonym, potrafi walczyć, gdy zajdzie konieczność.

– George Eppingham, lord Faulk – odparł Lazarus, patrząc na popadającą w ruinę miejską rezydencję przed nimi. Znajdowali się w Westminsterze. Ta okolica była niegdyś modna, obecnie jednak dawni zamożni mieszkańcy w większości uciekli do zachodniej części miasta. – Gustuje w przepaskach na oczy.

Poczuł na sobie spojrzenie St. Johna, ale zignorował je i zapukał do drzwi. Nastała dłuższa chwila ciszy.

– Jak znalazłeś tego człowieka? – zapytał sztywno St. John.

Lazarus uśmiechnął się bez wesołości.

– Zarekomendowała mi go pewna burdelmama.

Przyłapał St. Johna na tym, że bacznie przygląda się Temperance, nim jednak przyjaciel zdążył ubrać w słowa ewentualną troskę, drzwi domu się otworzyły.

Gapiła się na nich niechlujna pokojówka.

– Czy możemy się widzieć z panem tego domu? – zapytał Lazarus.

Służąca głośno przełknęła ślinę, podrapała się po ramieniu i odwróciła, nie mówiąc ani słowa. Poprowadziła ich w głąb rezydencji, o którą, co oczywiste, niegdyś bardziej dbano. Wytarta drewniana podłoga była matowa. W mrocznych kątach rozgościł się kurz. W holu znajdowały się drzwi do pokoju, które dziewczyna otworzyła bez pukania. Faulk siedział przy biurku w wystrzępionym brązowym banyanie i miękkiej czapce, grzejącej jego ogoloną głowę. Na rękach miał rękawiczki bez palców, żeby móc pisać, a Lazarus odnotował, że ogień na kominku ledwo pełza. W rzeczy samej, w całym domu panował chłód.

– Kto to był, Sally? – zapytał Faulk, nim z opóźnieniem podniósł wzrok. Wpatrywał się w nich przez chwilę, a Lazarus odniósł wrażenie, że oczy mu się zaszkliły. – Nie mam dla was pieniędzy.

Lazarus uniósł brew.

– Nie jesteśmy windykatorami.

– Aha. – Faulk ani trochę się nie zmieszał. – Wobec tego co państwa tu sprowadza, jeśli wolno wiedzieć?

– Chciałbym zapytać o wspólną znajomą.

Faulk uniósł brew. Był młodszy, niż Lazarus ocenił na początku – przypuszczalnie nie przekroczył czterdziestki. Przystojny, lecz niedostatek

lub intensywne życie wyryły bruzdy na jego twarzy, a szczęka mu obwisła. Za kolejny rok lub dwa po jego dobrej prezencji nie będzie śladu.

– Zna pan Marie Hume?

– Nie – odparł szybko Faulk.

Ani na moment nie odwrócił wzroku, ale jego dłoń zacisnęła się w pięść na blacie biurka.

– Jasnowłosa kobieta z okrągłym, czerwonym znamieniem przy kąciku prawego oka? – drążył łagodnie Lazarus. – Znaleziono ją martwą w St. Giles blisko dwa miesiące temu.

– Wiele dziwek umiera w St. Giles – stwierdził chłodno Faulk.

– Owszem – zgodził się Lazarus – ale nie mówiłem, że była dziwką.

Z twarzy Faulka spłynął wszelki wyraz.

W ciszy, która zapadła, Lazarus ujął Temperance za ramię i pociągnął, by usiadła obok niego na koślawej kanapie. St. John nadal stał przy drzwiach.

Faulk strzelił spojrzeniem ku Temperance i St. Johnowi, a później wyraźnie przestał na nich zważać.

– O co panu chodzi? – zwrócił się do Lazarusa.

– Marie była moją przyjaciółką – odparł Lazarus. – Interesuje mnie odnalezienie człowieka, który ją zamordował.

Ziemista twarz Faulka zrobiła się trupio blada.

– Zamordowano ją?

Czy można zagrać zmianę barwy skóry? Lazarus w to wątpił.

– Znaleziono ją przywiązaną do łóżka, z rozciętym brzuchem.

Faulk wlepiał w niego oczy, a potem nagle osunął się na oparcie fotela.

– Nie wiedziałem.

– Spotykał się pan z nią? – dociekał Lazarus.

Faulk przytaknął.

– Co najmniej pięć razy. Ale nie byłem jedynym mężczyzną, którego zabawiała.

Lazarus czekał w milczeniu.

Kolory – ta odrobina obecna na początku – wracały na twarz Faulka.

– Miała kilku stałych gości. Była skłonna robić, hm, nietypowe rzeczy.

Spojrzał porozumiewawczo na Lazarusa, jakby dzielili brudny sekret. Tyle że Lazarusowi ów „sekret” towarzyszył od tylu lat, że związany z nim wstyd dawno odszedł w niepamięć.

Lodowato odwzajemnił spojrzenie mężczyzny.

– Zna pan nazwiska jej pozostałych klientów?

– Być może.

Lazarus przez chwilę lustrował rozmówcę wzrokiem, a później rzekł, nie patrząc na St. Johna:

– Zabierz, proszę, panią Dews do karety.

Temperance stężała u jego boku, ale poszła bez słowa protestu, kiedy St. John wyprowadzał ją z pokoju i zamykał za nimi drzwi.

Przez cały ten czas Lazarus nie odrywał oczu od Faulka.

– A teraz niech pan mówi.

* * *

– Powinniśmy zostawiać go samego z tym człowiekiem? – szepnęła niespokojnie Temperance do pana St. Johna.

Nie zmylił kroku, gdy schodzili po schodach rezydencji.

– Caire wie, co robi.

– A jeśli lord Faulk wezwie więcej służby? Jeśli uzyska przewagę liczebną?

Pan St. John pomógł jej wsiąść do karety, po czym zajął miejsce naprzeciw niej.

– Caire umie sobie radzić. Poza tym nie wyglądało na to, by Faulk miał jakichś jeszcze służących poza tą nierozgarniętą dziewczyną.

Temperance zerknęła nerwowo przez okno, nie do końca przekonana tymi ogólnikowymi zapewnieniami.

– Martwi się pani o niego – stwierdził miękko St. John.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Oczywiście, że się martwię.

Po wyrazie satysfakcji na jego twarzy zorientowała się, że dla niego „martwić się” ma o wiele głębsze znaczenie.

Opuściła wzrok na swoje dłonie.

– Oczywiście, że się martwię – powtórzyła ciszej.

– Cieszę się – stwierdził. – Nikt nie martwił się o niego od bardzo długiego czasu.

– Poza panem – zauważyła półgłosem.

Nieznacznie zmarszczył czoło, ona zaś po raz pierwszy spostrzegła, że jego zadumane szare oczy noszą w sobie jakieś odległe piękno.

– Martwię się o niego, ale to nie to samo. Mam własną rodzinę. – Zamrugał nagle i szarpnął głową, jakby o czymś sobie przypomniał. – A przynajmniej miałem.

Zaległa niezręczna cisza, było bowiem jasne, że trawi go wielki smutek, o którym nie chce mówić.

Po dłuższej chwili Temperance westchnęła.

– Nadal nie wychodzi.

St. John splótł ramiona na piersi.

– Wyjdzie.

– Znał ją pan? – spytała znienacka. – Marie?

Na wysokich, ostrych kościach policzkowych St. Johna pojawił się cień rumieńca.

– Nie, nigdy jej nie spotkałem. – Rumieniec się pogłębił. – Trzymał… trzyma tę część swojego życia w ukryciu.

– I nigdy się nie ożenił?

– Nie. – Zmarszczył brwi w namyśle. – Na ile mi wiadomo, nigdy nie zainteresował się przyzwoitą kobietą. – Podniósł na nią wzrok. – W każdym razie do tej pory.

Obecnie to Temperance z uwagą oglądała własne dłonie, podczas gdy policzki jej płonęły.

Bardziej poczuła, niż zobaczyła, że St. John nachyla się lekko do przodu.

– Proszę posłuchać. On może niekiedy wydawać się twardy i cyniczny, a także, cóż, brutalny. Proszę jednak pamiętać, że ma w sobie część podatną na ciosy. Proszę go nie ranić.

Poderwała głowę, zbulwersowana sugestią.

– Nigdy bym go nie zraniła.

Ale St. John już kręcił głową.

– Mówi pani tak teraz, to naturalne, ale proszę zachować to w sercu. Jemu również zdarza się krwawić. Niech pani nie zadaje mu ran.

Kareta zakołysała się, kiedy lord Caire szarpnięciem otworzył drzwi i wsiadł.

St. John posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, po czym oparł się wygodnie o poduszki.

– Dostałeś to, czego chciałeś?

– W rzeczy samej. – Caire uderzył pięścią o sufit i ulokował się obok St. Johna. – Faulk wie o przynajmniej trzech innych mężczyznach.

St. John z powątpiewaniem uniósł brwi.

– To niewiele.

– Ale więcej, niż miałem do tej pory – odparł Caire.

– A jak zamierzasz odnaleźć tych jegomości? – zadrwił St. John.

– Zasięgnę języka – odrzekł wyniośle Caire.

– Dobry Boże, zasięgniesz języka.

Sprzeczali się, ale Temperance wyczuwała, że obu mężczyznom sprawia to przyjemność, jakkolwiek prędzej daliby się zabić, aniżeli to przyznali. Wyjrzała przez okno i po części odpłynęła, rozmyślając nad tym, co powiedział jej St. John. Z pewnością się mylił. Jakim sposobem mężczyzna pokroju Caire'a może w ogóle mieć czułe punkty? Zerknęła na niego spod na pół opuszczonych powiek. Koncentrował się na tym, by wykazać coś St. Johnowi, lecz mimo to pochwycił jej spojrzenie. Powieki mu opadły, a kącik ust uniósł się zmysłowo, choć Caire dalej spierał się z przyjacielem.

Temperance wstrzymała oddech i w pośpiechu umknęła wzrokiem. Dobry Boże! Jeśli wzbudzał w niej pociąg samym spojrzeniem, to chyba ją należałoby przestrzec?

Niedługo potem zatrzymali się pod domem St. Johna.

– Dobranoc, Caire. Żegnam, pani Dews. – St. John lekko skłonił głowę.

Temperance skłoniła głowę.

– Dobranoc i dziękuję – rzekł Caire.

St. John wzruszył ramionami.

– Zawsze do usług.

Drzwi zamknęły się za nim i kareta znów ruszyła z szarpnięciem. Temperance na pół oczekiwała, że Caire przesiądzie się na miejsce koło niej, ale zdawał się usatysfakcjonowany, obserwując ją z siedzenia naprzeciw. Wierciła się chwilę pod jego spojrzeniem, a później pytanie, które od paru dni odzywało się w tyle głowy, wyrwało się na świat.

– Wiedziałeś, że widywała innych mężczyzn?

Było obcesowe, niewątpliwie, jednak bez trudu prześledził jej tok myślenia.

– Nie.

– Ale… – Zmarszczyła brwi, wbijając wzrok w fałdy peleryny, i potarła plamkę na jej skraju. – Była twoją kochanką. Zapewne oczekiwałeś

wierności?

– Tak.

– No i? – spytała niemal natarczywie, lecz nie skorygowała swego tonu. Jak mogło go to nie obchodzić?

– Była moją utrzymanką – rzekł chłodno – nic więcej.

– Jak długo?

– Niemal dwa lata.

– I jak często ją widywałeś?

Poruszył się ze zniecierpliwieniem.

– Miałem w zwyczaju odwiedzać ją dwa razy w tygodniu.

Wpatrywała się w niego, a w jej piersi wzbierała jakaś emocja, grożąc przerwaniem bariery milczenia.

– Widywałeś Marie dwa razy w tygodniu przez dwa lata. Kochałeś się z nią setki razy…

– To, co robiliśmy, trudno nazwać kochaniem się – wtrącił ostro.

Zbyła przerywnik machnięciem ręki.

– Powiedziałeś kiedyś, że jej nie kochałeś, ale coś musiałeś do niej czuć.

Jedynie na nią patrzył.

– Zadałeś sobie wiele trudu i parę razy ryzykowałeś życie, żeby znaleźć jej zabójcę. – Uderzyła otwartą dłonią w siedzenie obok siebie. – Z pewnością znaczyła dla ciebie więcej niż byle utrzymanka.

– Czyli w twoim przekonaniu musiałem ją kochać? – zapytał miękko.

Nachyliła się ku niemu, z bliżej nieokreślonego powodu rozjuszona.

– Wierzę, że chciałeś kochać Marie… że urzeka cię idea miłości… ale nie masz pojęcia, czym miłość jest. Moim zdaniem to tego szukasz w St. Giles: jakiegoś źródła emocji, mętnego choćby wyobrażenia na temat ludzkich uczuć.

– Co za wnikliwość, pani Dews – rzekł, potwornie cedząc słowa. – Zna mnie pani niespełna miesiąc, a już przeniknęła w głąb mojej duszy.

Cały jej gniew momentalnie się ulotnił.

– Lazarusie…

– Co? – Mięsień drgał mu na szczęce. – Co powinienem powiedzieć?

Zamknęła oczy.

– Coś. Cokolwiek. Powiedz mi, że była miłością twojego życia. Wytłumacz, jakim sposobem była twoją kochanką, lecz nie miałeś pojęcia

o innych jej mężczyznach czy choćby bracie. Powiedz mi coś, Lazarusie. Poczuj coś.

– Może nie ma tu nic do powiedzenia – mruknął nieporuszony. – Może za moje poczynania odpowiada wyłącznie kaprys. Może w całym moim życiu nie kochałem drugiego człowieka. Może tego nie potrafię.

Wpatrywała się w niego zraniona, znużona.

– Nie wierzę ci. Każdy człowiek potrafi kochać.

Odrzucił w tył głowę i zaśmiał się, lecz nie był to miły śmiech.

– Każdy? Co za dziecinny pogląd. Czy dziwki kochają? Albo mordercy? Powiedz mi, czy kocha mężczyzna, który zgwałcił twoją siostrę?

Nim zdążyła pomyśleć, znalazła się po drugiej stronie karety, młócąc go po szyi, barkach, twarzy, wszędzie, gdzie dosięgnęła.

– Przestań! Przestań! Przestań!

Zwinnie schwycił w locie jej nadgarstki.

– Przepraszam. Wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć, ale nie mogę ci tego dać. Mogę dać ci jedynie to.

Owinął ją swoją czarną peleryną niczym skrzydłami ptaka i pocałował.

Rozdział 14

Król Zamknięte Serce odwrócił się do Meg z wyzywająco uniesioną brwią. Ale Meg rzekła tylko:
– To nie jest miłość.
– Cóż więc to jest, nadobna Meg?
Wargi Meg drgnęły, gdy skrywała uśmiech.
– Żądza, Wasza Królewska Mość. Konkubiny pożądają Waszej Królewskiej Mości.
Król zaklął tak głośno, że niebieski ptaszek zatrzepotał na drążku w klatce.
– Znikaj stąd, Meg. A kiedy następnym razem cię wezwę, załóż suknię bardziej stosowną do sali tronowej.
Meg dygnęła.
– Upraszam o wybaczenie, Wasza Królewska Mość, ale posiadam jedynie ubrania, które mam na sobie.
– Dopilnujcie, żeby była należycie odziana – rozkazał Król Zamknięte Serce i raz jeszcze Meg odprowadzono do lochów…
– z „Król Zamknięte Serce”

Temperance siłowała się z Lazarusem, gdy wpychał język w jej usta. Jej furia była rozpaczliwa, zbijała z tropu, a ona chciała krzyczeć i łkać jednocześnie. Dlaczego nie potrafił czuć? Dlaczego nie potrafił kochać? Dlaczego nie mógł dać jej tego, czego potrzebowała?

Ale ciężko przywarł ustami do jej ust, jego wargi odurzały. Odkryła, że czepia się go kurczowo, zamiast mu się wyrywać. Jeśli sam jej nie puści, Temperance podejmie wymianę.

Strąciła jego kapelusz na podłogę karety, przeszyła palcami srebrne włosy, zrywając z nich wstążkę. Uwielbiała jego włosy, rozkoszowała się lśniącymi jedwabistymi pasmami. Zacisnęła je w pięściach i szarpnęła, odciągając mu głowę do tyłu. Jęknął, kiedy przerwali pocałunek, a później

znowu, gdy otwartymi ustami sunęła w dół jego szyi. Nie dbała o to, czy zadaje mu ból. Skórę miał chłodną od nocnego powietrza, słoną i słodką. Lizała go, smakowała, pragnęła ugryźć. Pragnęła pożreć tego mężczyznę, któremu nie mogła pozwolić odejść, choć zarazem nigdy w pełni go nie posiądzie.

Otworzyła usta nad ścięgnem z boku jego szyi i ugryzła mocno.

Zaklął, dźwięk rozległ się głośno we wnętrzu karety. Chwycił jej głowę w dłonie, jakby zamierzał oderwać ją od siebie, lecz później zarzucił atak. Zamiast tego jego ręce znalazły się raptem przy jej spódnicach, pchał je w górę, zadzierał, nie przestając kląć.

Dla zachowania równowagi chwyciła go mocno za barki, kiedy roztrącił jej nogi, by wepchnąć się między nie biodrami. Czuła, że spódnice ma podkasane na wysokość talii, ale nie otwierała oczu, napawała się smakiem jego ciała w ustach. Pogmerał między nimi dwojgiem, obijając się dłońmi o wewnętrzną stronę jej nagich ud, i maleńka część jej umysłu zdumiała się, czy istotnie liczył, że czegokolwiek dokona w tak ciasnej przestrzeni.

A później poczuła napór jego obnażonego członka.

Otworzyła oczy, wyprostowała się gwałtownie i wpatrzyła w niego zszokowana.

Milcząco więził jej spojrzenie, kiedy naprowadzał członek między ich ciałami. Poczuła, jak otarł się o jej wargi sromowe, jak odnalazł wejście, jak wsunął w nie żołądź.

Jak się zatrzymał.

Patrzyła na niego, balansując na jego członku, gdy zaledwie koniuszek tkwił w jej wnętrzu. Była pusta, czekała.

– Ty to zrób – wychrypiał.

Zamrugała, budząc się z oszołomienia, rozejrzała się wokół. Znajdowali się w jadącej karecie, na litość boską!

– Nie. – Przyłożył dłoń do jej policzka, odwracając jej twarz tak, by znów spojrzała na niego. – Jest o wiele za późno na wątpliwości. Zostań ze mną. Wepchnij mnie w siebie.

– Ale…

Przesuwał dłoń w górę, aż jego palce znalazły się przy jej kobiecości.

Otworzyła szeroko oczy.

Więził jej spojrzenie, gdy z rozmysłem okrążał tę część jej ciała, która go otulała, a później powędrował wyżej i ścisnął jej łechtaczkę między

kciukiem a palcem wskazującym.

Zabrakło jej tchu.

– Temperance – szepnął Caire, mroczny diabeł seksu. – Temperance, kochaj się ze mną.

Wygięła się w łuk, czuła jego członek, wielki i natarczywy, te palce, tak pewne swego i nieustępliwe. To było złe, jakże złe, i tak bardzo, bardzo przyjemne.

– Temperance – szepnął znowu, przeciągając lewym kciukiem przez jej usta, podczas gdy prawym pocierał łechtaczkę.

Rozchyliła wargi, liznęła jego kciuk.

– Temperance.

Biodra wierzgnęły jej raz, drugi. Odrzuciła w tył głowę, obejmując jego penis swoim orgazmem. Dochodząc, otworzyła oczy i obserwowała Caire'a spod na pół opuszczonych powiek. Twarz mu się wyciągnęła, usta zacisnęły.

– Nie dręcz mnie – powiedział.

Ale ona stała się raptem dziką istotą, zdolną myśleć jedynie o zaspokojeniu swych cielesnych pragnień. Przyglądała mu się z półuśmiechem, kiedy kręciła biodrami, nękając jego i siebie.

– Temperance – jęknął.

Karetą wstrząsnęło na koleinie, a Temperance uległa temu ruchowi, osuwając się na niego, wpuszczając go w siebie o kolejnych parę centymetrów.

Lecz natychmiast się uniosła, tak że tylko jego żołądź drażniła jej fałdy.

Zaklął, nad górną wargą perlił mu się pot.

Zaśmiała się nisko, ten dźwięk nie przypominał żadnego, jaki kiedykolwiek z siebie wydała. Tutaj, w ciemnym wnętrzu karety, coś ją opętało, podróżowała między światami bez jasno wytyczonego celu. Wygięła się w łuk, wprowadziła go w siebie znowu, odrobinę, a potem wypuściła z ciała.

– Do diabła, Temperance. – Jego głos, zwykle chłodny i beznamiętny, teraz się rwał.

Uśmiechnęła się i opadła do przodu, ocierając się o niego, wykorzystując jego twarde, gorące ciało, żeby się podniecić. Nachyliła się, przekrzywiając biodra, i chwyciła zębami jego dolną wargę.

Niewykluczone, że zaklął – słowa były niezrozumiałe – ale jego cel rysował się jasno. Jedną ręką chwycił mocno jej biodro i uniósł ją, drugą nakierował członek, po czym ostro sprowadził ją w dół.

O, ekstazo! Wypełnił ją, rozciągając szeroko w tej pozycji. Wyśmienite doznanie. Kurczowo przytrzymywała się jego barków, wygięła się w łuk i ocierała o niego, on jednak nie tego chciał.

Dał jej klapsa przez spódnice.

– Ujeżdżaj mnie.

– Nie – powiedziała nadąsana.

Podobało jej się tak jak teraz, subtelne tarcie, cudowne ocieranie się.

– Ujeżdżaj mnie, do diabła.

Docisnął do niej kciuk i przez moment widziała gwiazdy. Potem go zabrał.

– Nieee… – jęknęła.

– Więc mnie ujeżdżaj. Proszę.

Spojrzała nań z góry, na tego arystokratę, wielkiego pana, który błagał ją, by dała mu rozkosz, i zdecydowała, że się nad nim ulituje. Uniosła się na kolanach, tak że się z niej wyślizgnął, a potem znowu opadła w dół.

Obserwował ją, pocierał ukradkiem pod spódnicami, kiedy go ujeżdżała, wpadając na niego wściekle, wiercąc się, dysząc, dosiadając go, podczas gdy kareta z hałasem toczyła się ciemnymi ulicami. Każdy wstrząs, każdy rozkołysany skręt zwiększały jej tempo, aż poruszała się na nim prędko, otwartymi ustami łapczywie chwytając powietrze. Galopowała do mety.

Jego twarz lśniła od potu, usta miał naprężone. Na szyi odcinały mu się sznury mięśni, widziała, jak przełykał ślinę, kiedy na nią napierał.

Pragnęła powiedzieć mu – wykrzyczeć do niego – jak wiele dla niej znaczy. Ale raptem zgubiła tempo, zachwiała się i padła na niego, podczas gdy jej ciałem szarpały niekontrolowane spazmy. Była mgliście świadoma, że on oburącz ściska jej biodra, że wierzga pod nią, raz za razem wchodząc całą swoją długością w jej otwarte ciało. Łkała mu w ramię w oczekiwaniu, jej mięśnie się rozpłynęły, płonęła tam w dole. Pompował w nią bezlitośnie, a ona odwróciła głowę, by mu się przyglądać, zobaczyła, jak skierował twarz w górę, z otwartymi ustami, obnażając zęby w niemym ryku.

Zalało ją jego nasienie.

Wyginał się w łuk, z biodrami w górze, unosząc z siedzenia jej kolana, gdy tkwił w niej, wypompowując swoją esencję.

A potem nagle się rozluźnił.

Jej kolana na powrót opadły na poduszki. Wolno uniósł ramiona, jakby wyczerpany, i skrzyżował je na jej plecach, przytrzymując ją blisko przy sobie. Pozostawali złączeni, jego wiotczejące ciało w jej wnętrzu, kiedy położyła mu głowę na barku i słuchała odgłosów londyńskiej nocy za oknami karety.

* * *

Ciążyła mu ciepło na lędźwiach, miękkim, śliskim ciałem nadal otulając jego członek.

Lazarus zamknął oczy, wdychając woń ich spółkowania. Był to zapach ziemi, skromny zapach, który już zawsze będzie kojarzył mu się z nią. Przeciągnął dłonią po jej plecach, po szorstkiej wełnie peleryny, którą nadal miała na sobie. Zrobili to w karecie. Kącik jego ust powędrował w górę na ten absurd. Nie był młodziutkim paniątkiem, skorym do lekkomyślnych wybryków, najwyraźniej jednak ona podniecała go w każdym otoczeniu.

Uniosła głowę i usiłowała odsunąć się od niego, ale przytrzymał ją chwilę dłużej.

– Szsz…

– Wkrótce dojedziemy – szepnęła.

Miała rację, ale nie chciał jej puszczać. Rozdzielać się z nią. Niemniej ciało miał słabe. Poruszyła się znowu i poczuł, że wyślizguje się z jej głębi. Westchnął i otworzył ramiona.

Zgramoliła się z niego i o mały włos by upadła, kiedy kareta przechyliła się na zakręcie.

– Ostrożnie. – Podtrzymał ją ręką, ale zaraz przesunęła się i usiadła naprzeciw niego.

Umknęła wzrokiem.

Aha. Pani Dews, pełna rezerwy matrona, powróciła. Ze znużeniem złożył głowę na oparciu.

– Musisz doprowadzić się do porządku – powiedziała, wskazując jego lędźwie, przy czym nie spojrzała w tę stronę. Jakby widok ją obrażał.

Spojrzał w dół. Cóż, istotnie nie prezentował się w tej chwili najdumniej, gdy leżał tak na spodniach, zwiotczały i mokry.

– Proszę – wymamrotała.

– Masz chustkę? – spytał uprzejmie.

Sięgnęła do rękawa i podała mu.

Wziął ją, wolno owinął członek kawałkiem płótna i wytarł się. Wyciągnął ku niej chustkę.

– Dziękuję.

Otworzyła usta, tak osłupiała ze zgrozy, jakby wysikał się w Westminsterze.

Roześmiałby się, tyle że sytuacja była raczej tragiczna niż zabawna. Dlaczego podchodziła do uprawiania miłości tak prowincjonalnie? Zwęził oczy. Może jej mąż był pruderyjny lub pod innym względem nie stawał na wysokości zdania. Uderzyło go, że jak dotąd prawie nie wspominała o tym mężczyźnie, mimo wyznania, że go kochała. Otworzył usta, by zapytać o zmarłego, ale kareta zatrzymała się z drżeniem. Wyjrzawszy przez okno, przekonał się, że zajechali przed wylot Maiden Lane.

Ona już gramoliła się na nogi.

Wstał.

– Nie trzeba – rzuciła spiesznie. – Przecież mogę wysiąść sama.

Rozciągnął wargi w bladym uśmiechu.

– Nie wątpię, że możesz, zmierzam jednak odprowadzić cię do drzwi.

– Och, ale… – Protest zamarł jej na ustach, gdy ujrzała wyraz jego twarzy. – O!

Później wysiadła w milczeniu.

Chwycił ją za ramię, kiedy tylko stanął na ulicy, powątpiewał bowiem, czy mu nie ucieknie. Bez słowa poszli ku drzwiom przytułku, a gdy dotarli do celu, był wściekły, choć nie potrafił sprecyzować dlaczego. Odwróciła się, ledwie zatrzymali się przed budynkiem, i zanosiło się na to, że wejdzie do środka, nie życząc mu nawet dobrej nocy.

Coś w nim pękło. Wymamrotał przekleństwo, przyciągnął ją do siebie i wpił się w jej usta. Tego chciał; to ujarzmiało bestię w jego wnętrzu: jej miękkie wargi, jej cichy jęk, gdy przeciągał po nich językiem. Nosił w sobie desperacką, zwierzęcą potrzebę, której nie umiał do końca zidentyfikować. Której nie ogarniał rozumem. Rozrywała go od środka, ta potrzeba. Domagała się jej – czegoś od niej – choć nie wiedział dokładnie czego. Wiedział jedynie, że jeśli nie zaspokoi tej potwornej potrzeby, grozi mu utrata cząstki siebie. Była to konfundująca myśl, a kiedy uniósł głowę,

zobaczył, że na twarzy Temperance również maluje się konfuzja. Niewykluczone, że ona także znalazła się we władzy jakiejś potworności, której nie potrafiła zdefiniować. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć.

Ostatecznie jednak odwróciła się od niego bez słowa.

– Temperance – poprosił, choć właściwie sam nie wiedział o co.

Zatrzymała się, zwrócona do niego plecami.

– Nie… nie mogę. Dobranoc.

I zapukała do drzwi przytułku.

Na rany Chrystusa! Odwrócił się, kopiąc wystające kamienie brukowe. Nie mogli ciągnąć tego w ten sposób. Jedno z nich się złamie i nie miał pewności, co byłoby gorsze: gdyby padło na niego czy na nią.

Powrotna podróż karetą była długa i nużąca. Kiedy dotarł do rezydencji, zegary wybiły już północ. Przekazał kapelusz, pelerynę oraz laskę kamerdynerowi i ruszył ku schodom, kiedy mężczyzna odchrząknął.

– Milordzie, ma pan gościa.

Lazarus popatrzył na niego zdumiony.

Kamerdyner się pokłonił.

– Lady Caire czeka w bibliotece.

Lazarus podążył do biblioteki, a serce biło mu szybko pod wpływem jakiegoś nienazwanego niepokoju. Otworzył drzwi i zobaczył ją od razu. Rozsiadła się na sofie, rozpościerając wokół siebie mieniące się lazurowe spódnice, głowa osunęła jej się na ramię. Zasnęła w oczekiwaniu na niego.

Zbliżył się do sofy na palcach, dziwnie niechętny budzić matkę. Kiedy ostatnio przyglądał jej się niezauważony? Lata temu, być może, choć bardziej prawdopodobne, że dekady. Była piękna; zawsze taka była i zawsze będzie. Miała szlachetne, arystokratyczne rysy twarzy, teraz zauważył wszakże nieznaczne zmiękczenie linii szczęki, odrobinę przywiędłe powieki. Nachylił się bliżej w poszukiwaniu innych zmian i wciągnął w nozdrza zapach pomarańczy. Jej zapach. Używała go od zawsze, przywoływał wspomnienia pokoju dziecinnego. Jej wizyt, kiedy jadł podwieczorek jako siedmio- czy ośmiolatek. Tego, jak całowała go w policzek, zanim wyszła.

Poruszyła się i odstąpił w pośpiechu.

– Lazarusie. – Otworzyła te przenikliwe niebieskie oczy. – Zapytałabym, gdzie byłeś, gdybym nie bała się usłyszeć odpowiedzi.

– Szanowna pani. – Wsparł się ramieniem o obudowę kominka. – Czemu zawdzięczam tę wizytę?

Uśmiechnęła się, łobuzersko i zalotnie, wydało mu się jednak, że dostrzega drżenie jej warg.

– Czy matka nie może wpaść do syna?

– Jestem zmęczony. Jeśli przyszłaś prowadzić swoje gierki, wybacz, lecz raczej oddalę się do łóżka.

Odwrócił się ku drzwiom, ale zatrzymał go jej głos.

– Lazarusie. Proszę.

Popatrzył na nią. Jej uśmiech zniknął, wargi zdecydowanie drżały.

Zaczerpnęła powietrza, jakby zbroiła się wewnętrznie.

– Masz może wino?

Wpatrywał się w matkę przez chwilę, po czym westchnął. Może chodziło o późną porę albo zmęczenie, niemniej stwierdził, że sam z chęcią się napije, aczkolwiek nie wina. Podszedł do karafki i nalał im obojgu po miarce brandy.

– Jeśli dobrze pamiętam, wolisz to. – Podał jej szklaneczkę.

– Pamiętasz? – Wzięła szklaneczkę w obie dłonie, wyraźnie zaskoczona. – Skąd wiedziałeś?

Niedbale wzruszył ramionami, zajmując miejsce naprzeciw matki.

– Widocznie podpatrzyłem cię którejś nocy u ojca w gabinecie.

Uniosła brwi, ale nie skomentowała. Przez jakiś czas oboje w milczeniu sączyli brandy.

Wreszcie odchrząknęła.

– Zabrałeś tę kobietę na bal u lady Stanwicke.

Spojrzał na nią ponad szklaneczką. Wygłosiła stwierdzenie bardzo neutralnym tonem.

– Nazywa się Temperance Dews. Prowadzi przytułek w St. Giles.

– Przytułek? – Poderwała wzrok. – Dla dzieci?

– Tak.

– Rozumiem. – Wpatrzyła się w swoją szklaneczkę, ściągając usta w ciup.

– Po co przyszłaś, matko? – zapytał cicho.

Spodziewał się tradycyjnego teatralnego oburzenia. Ewentualnie zjadliwego sarkazmu. Tymczasem przez dłuższą chwilę milczała.

– Kochałam ją, wiesz? – odezwała się w końcu.

I rozumiał, że mówi o Annelise, zmarłej przed ćwierćwieczem.

– Trzy razy poroniłam – ciągnęła cicho. – Raz przed twoimi narodzinami i dwukrotnie przed Annelise.

Zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

– Nie wiedziałem.

Pokiwała głową.

– Oczywiście, że nie. Byłeś dzieckiem, a naszych rodzinnych relacji nie cechowała szczególna bliskość.

Nie silił się na odpowiedź.

– Kiedy więc Annelise się urodziła – podjęła – była bardzo droga memu sercu. Twój ojciec, oczywiście, nie widział żadnego pożytku z dziewczynki, ale to tym lepiej. – Zerknęła na niego, po czym znów wbiła wzrok w szklaneczkę. – Zabrał cię ode mnie, kiedy byłeś dzieckiem, uczynił cię niejako swoją własnością. Dziedzicem. Uznałam więc, że Annelise należy do mnie. Jej mamka mieszkała w naszym domu, odwiedzałam ją codziennie. Kilka razy dziennie, jeśli tylko mogłam.

Pociągnęła długi łyk brandy, zamykając oczy.

Lazarus milczał. Nie pamiętał tego, lecz był przecież dzieckiem, zainteresowanym wyłącznie sprawami, które oddziaływały na jego mały świat.

– Kiedy zachorowała… – Urwała i odkaszlnęła. – Kiedy Annelise zachorowała tamten ostatni raz, błagałam twojego ojca, żeby posłał po doktora. Gdy odmówił, powinnam była posłać po niego sama. Wiem o tym. Ale pozostawał nieugięty… i był twoim ojcem. Pamiętasz, jaki był.

O tak, pamiętał doskonale, jaki był ojciec. Twardy. Podły. Dogłębnie przekonany o swej niezwyciężoności i nieomylności. I zimny, tak bardzo zimny.

– W każdym razie – dodała miękko – pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Patrzyła na niego, jakby na coś czekała, on zaś odwzajemniał spojrzenie, niemy, ponieważ nie był pewien, czy jest gotów – czy kiedykolwiek będzie gotów – jej to dać.

– Cóż. – Matka osuszyła szklaneczkę i odstawiła na stolik, po czym wstała. Uśmiechnęła się promiennie do Lazarusa. – Jest bardzo późno i muszę wracać do domu. Jutro czeka mnie przymiarka nowej sukni, a po

południu proszona herbatka, i powinnam się wyspać, jeśli mam dobrze wyglądać.

– Naturalnie – rzekł, przeciągając zgłoski.

– Dobranoc, Lazarusie. – Odwróciła się do drzwi, lecz potem się zawahała i obejrzała na niego przez ramię. – Pamiętaj, proszę, że nawet jeśli ktoś nie okazuje miłości, nie znaczy to, że jej nie czuje.

Opuściła pokój, nim zdążył odpowiedzieć.

Lazarus usiadł na powrót i zakręcił resztką brandy w szklaneczce, przypominając sobie brązowe oczy pewnej dziewczynki i zapach pomarańczy.

* * *

Dłużej tak nie da rady.

Silence udawała, że śpi, gdy obserwowała, jak jej mąż wstaje rano. Spędzili noc w tym samym łóżku, lecz równie dobrze mogliby przebywać w różnych domach. William leżał nieruchomo na skraju materaca, tak blisko krawędzi, że zastanawiała się, czy w nocy nie spadnie. Kiedy ostrożnie przysunęła się do niego w mroku, cały zesztywniał, toteż z obawy, że rzeczywiście spadnie, przetoczyła się z powrotem na swoją stronę, zraniona.

Ale trwało wiele godzin, nim zasnęła.

Teraz przyglądała się, jak William goli się i ubiera, ani razu nie zerkając w jej kierunku. Coś w jej wnętrzu zwiędło i umarło. Ładunek statku pojawił się na pokładzie równie nagle, jak wcześniej zniknął. Właściciel nie posiadał się z radości, Williamowi nie groziło dłużej, że trafi do więzienia za kradzież, wreszcie otrzymał zapłatę.

Powinni być szczęśliwi.

Tymczasem rozpacz snuła się nad ich małym gniazdkiem niczym podstępna mgła.

William zapiął sprzączki u butów i opuścił sypialnię, cicho zamykając za sobą drzwi. Silence odczekała chwilę i także wstała, w pośpiechu drobiąc na palcach po pokoju, żeby się ubrać. Wczoraj wyszedł bez pożegnania. I, w rzeczy samej, kiedy opuściła sypialnię, miał już na głowie kapelusz.

– O – powiedziała.

Podszedł do drzwi.

– Mia… miałam nadzieję, że zrobię ci śniadanie – rzuciła spiesznie.

Pokręcił głową, nie patrząc na nią.

– Nie trzeba. I tak mam dziś rano pewną sprawę do załatwienia.

Spędził na morzu ponad pół roku. Zapewne istotnie miał coś do załatwienia, ale żeby o siódmej?

– Nie tknął mnie – powiedziała cicho. – Przysięgam na grób matki, że mnie nie tknął. Przysięgam… przysięgam na… – Gorączkowo rozejrzała się po pokoju i pobiegła po Biblię, którą podarował jej ojciec, gdy była mała. – Przysięgam, Williamie, na…

– Przestań. – Błyskawicznie znalazł się przy niej, wreszcie. Delikatnie wyjął jej Biblię z rąk. – Przestań.

Patrzyła nań bezradnie.

– Taka jest prawda – oznajmiła drżącym głosem. – Zabrał mnie do swojej sypialni i powiedział, że jeśli spędzę noc w jego łóżku, rano zwróci ładunek. Obiecał, że mnie nie tknie, i nie tknął. Nie tknął mnie, Williamie! Całą noc przespał w fotelu przy kominku.

Umilkła, niemo ponaglając go, żeby przyjął jej wyjaśnienia, żeby pocałował ją i poklepał po policzku, i zdumiał się, jakież zaszło głupie nieporozumienie. Żeby znów był jej Williamem.

Zamiast tego odwrócił od niej twarz.

– Och, dlaczego nie możesz mi uwierzyć?! – wykrzyknęła.

Pokręcił głową, a jego znużenie zmroziło ją bardziej, niż uczyniłby to gniew.

– Wszyscy wiedzą, że Mickey O’Connor to kanalia bez choćby krztyny przyzwoitości czy litości, Silence. Nie winię cię. Po prostu żałuję, że nie pozwoliłaś, abym sam się tym zajął. – Spojrzał na nią wreszcie i, ku jej przerażeniu, oczy miał pełne łez. – Jakże bym pragnął, żebyś nigdy tam nie poszła.

Ruszył do drzwi i otworzył je szarpnięciem.

– Zapytał, czy mnie kochasz! – zawołała.

Przystanął, nieruchomy i milczący.

– Powiedziałam mu, że tak – szepnęła.

Wyszedł bez odpowiedzi i zamknął za sobą drzwi.

Silence popatrzyła na swoje dłonie, a później potoczyła wzrokiem po małym, starym pokoju. Niegdyś uważała go za przytulny. Teraz wydał jej

się zwyczajnie nijaki. Gwałtownie opadła na krzesło. Kiedy powiedziała Czarującemu Mickeyowi, że mąż rzeczywiście ją kocha, on uśmiechnął się tylko i odrzekł: „Jeśli cię kocha, uwierzy ci”.

Jakże była głupia.

Jakże głupia.

* * *

Nigdy tak naprawdę nie pozwolił sobie na analizę powodów, dla których szuka zabójcy Marie, nasunęło się Lazarusowi, gdy kolejnego wieczoru szedł ciemniejącymi ulicami. St. John zarzucił mu obsesję, Temperance oskarżyła o wiarę w to, że był zakochany w Marie, podczas gdy nie pojmował, czym jest miłość, ale czy którekolwiek z nich miało rację? Może podjął się tego donkiszotowskiego zadania bez konkretnej przyczyny. Może jego życie było tak jałowe, że brutalna śmierć kochanki wniosła w nie pożądane urozmaicenie.

Przygnębiająca myśl.

Widywała innych mężczyzn w czasie, gdy żyła na jego koszt. Ta wiedza powinna była nim wstrząsnąć, rozzłościć go, odczuwał zaś jedynie ciekawość: potrzebowała więcej pieniędzy niż kwota, którą hojnie jej wypłacał? Czy też potrzebowała seksu?

Okrążył leżącego na ulicy chudego jak szkielet mężczyznę, nieprzytomnego lub wręcz martwego. Zbliżał się do St. Giles. Ulica robiła się coraz węższa, coraz bardziej brudna i nędzna. Kanał ściekowy pośrodku zapychały obrzydliwe resztki, fetor zdawał się lgnąć mu do skóry.

Odnalazł już jednego z wymienionych przez Faulka mężczyzn, chudego typa o szczurzej twarzy, który w trakcie rozmowy ani razu nie spojrzał mu w oczy. Lazarus nie potrafił opędzić się od przypuszczenia, że ten człowiek musi wiązać swoje kobiety, gdyż inaczej nie miałby odwagi się podniecić. Odrażająca myśl. Czy tym właśnie był? Tchórzem niezdolnym spojrzeć kobiecie w oczy, kiedy ją posuwa?

Tyle że spoglądał w oczy Temperance. Z nią nie potrzebował pęt ani kaptura. Była dla niego swego rodzaju wyzwoleniem. Przyjemną normalnością.

Niewykluczone, że to dlatego nogi niosły go do niej nawet w tej chwili.

Noc zapadła w pełni, czarna i złowroga, nim wkroczył do właściwego St. Giles. Lazarus mocniej zacisnął w dłoni laskę, świadom, że w tej okolicy zaatakowano go już trzy razy. Pochłaniało go polowanie, podążanie tropem krwi, może jednak powinien uważniej przyjrzeć się temu, gdzie i kiedy go napadnięto.

Oraz dlaczego go napadnięto.

W oddali zza węgła wyłoniła się grupa mężczyzn. Lazarus wtopił się w boczny zaułek i czujnie obserwował, jak się zbliżają. Spierali się o złoty zegarek i perukę – oczywiste, że tej nocy dopadli już co najmniej jednego dżentelmena-pechowca.

Kiedy ich głosy rozpłynęły się w mroku nocy, Lazarus odczekał trochę, nim ruszył dalej.

Po kolejnych dziesięciu minutach stanął przed kuchennymi drzwiami Temperance. Godzina była późna. Zwlekał chwilę, wytężając słuch, by wychwycić ewentualne odgłosy z wnętrza. Nie usłyszawszy nic, przekręcił laskę i wyjął szpadę. Wsunął ostrze w szparę między drzwiami a framugą. Przez moment ostrożnie manewrował i podniósł rygiel.

Otworzył drzwi, wślizgnął się do środka i zaryglował je na powrót. Ogień w kuchennym palenisku zabezpieczono na noc. Niewykluczone, że położyła się już spać. Mógłby zakraść się po schodach na górę, ale nie miał pojęcia, który to jej pokój. Ryzyko, że obudzi cały dom, było zbyt duże. Poza tym na stole stał imbryk, a obok niego mała puszeczka. Być może planowała wrócić na swoją nocną filiżankę herbaty.

Wszedł do jej małej bawialni, jak tamtej pierwszej nocy, kiedy się poznali. Palenisko było zimne i przyklęknął, by rozniecić ogień, wracając na krótko do kuchni po rozpałkę. Następnie usiadł i czekał, niczym usychający z miłości amant. Lazarus zaśmiał się lekko, ledwie słyszalnie. Czyż nie tym właśnie był? Zalotnikiem czekającym w gorzkiej nadziei na to, że jego pani zaszczyci go swą obecnością? Nie chodziło nawet o seks. Po prostu pragnął z nią być. Obserwować, jak zmienia się wyraz tych niezwykłych złotych oczu. Słuchać jej głosu.

Och, jakiż był żałosny.

Z kuchni dobiegły szelesty i przekrzywił głowę, nasłuchując z zamkniętymi oczami. Czy to ona? Tak sobie roił, w wyobraźni widział, jak zdejmuje z ognia czajnik i zalewa wrzątkiem liście herbaty. Siedział bierny i nawoływał ją w milczeniu, tęskniąc za nią całym ciałem.

Drzwi skrzypnęły, otworzył więc oczy i ujrzał, że ona się w niego wpatruje. Uśmiechnął się jak głupiec; nie zdołał się powstrzymać.

– O! – odezwała się, ewidentnie skonsternowana. – Co tu robisz?

– Składam ci wizytę – odparł. – Obawiam się, że muszę wybrać się dziś do St. Giles i jesteś mi potrzebna.

Patrzyła nań przez chwilę, po czym zawróciła do kuchni. Gdy za nią podążył, okazało się, że już zakłada pelerynę.

– Do czego mnie potrzebujesz?

– Planuję wrócić do Matki Pocieszycielki.

– Po co? – Zmarszczyła brwi, wiążąc pelerynę. – Byliśmy tam dwa razy, czy nie powiedziano nam już wszystkiego?

– Tak by się mogło wydawać. – Przeciągnął palcem po sfatygowanym kuchennym blacie. – Tyle że widziałem się z jednym z kochanków Marie. Utrzymuje, że poznał ją w pijalni ginu Matki Pocieszycielki.

– Co takiego? – Wytrzeszczyła na niego oczy. – Ale Matka Pocieszycielka zachowywała się, jakby nigdy Marie nie spotkała.

– I może się nie spotkały. – Wzruszył ramionami. – Nadal jednak uważam za dziwne, że Marie bywała w jej pijalni ginu. Obsługiwała dżentelmenów. Gdybyś zapytała mnie o to przed jej śmiercią, powiedziałbym, że prędzej padłaby trupem, niż postawiła nogę w miejscu takim jak przybytek Matki Pocieszycielki.

– Bardzo dziwne. – Podeszła do podnóża schodów i cicho zawołała: – Mary Whitsun!

Na górze rozległ się głuchy łomot, a następnie tupot drobnych stóp.

– No i jeszcze Martha Swan – dodał.

Spojrzała nań pytająco. Odpowiedział tajemniczym uśmiechem.

– Wiem, że zabrzmi to zwariowanie, ale sama pomyśl: dlaczego napadnięto nas w pobliżu lokum Marthy Swan?

Wzruszyła ramionami.

– Żeby zapobiec naszej rozmowie z nią.

– Ale wtedy już nie żyła.

Temperance ściągnęła brwi, lecz w tejże chwili pokazała się Mary Whitsun w nocnym stroju.

– Psze pani? – Dziewczynka niepewnie przeniosła wzrok z Lazarusa na Temperance.

– Zarygluj za mną drzwi, proszę – rzekła Temperance. – A potem wracaj do łóżka.

Dziewczynka skinęła głową i moment później stali w zaułku.

Wiatr pochwycił skraj peleryny Temperance i nadął ją jak żagiel.

– Jeśli nie chodziło o powstrzymanie nas przed rozmową z Marthą Swan, to skąd ten atak?

– Nie wiem. – Narzucił szybkie tempo, pilnując, by mieć ją stale u boku. – Może ktoś zobaczył nas u Matki Pocieszycielki. Ktoś, komu nie w smak było nasze śledztwo. Może Marie właśnie tam spotkała tego człowieka.

Posłała mu powątpiewające spojrzenie.

– A może to zwykły zbieg okoliczności.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Lazarus był piekielnie świadom żaru Temperance u swego boku, jej kruchości. Może nie powinien był brać jej ze sobą, lecz im dłużej nad tym rozmyślał, tym większej nabierał pewności: odpowiedzi należało szukać w pijalni ginu Matki Pocieszycielki. A Temperance była kluczem, który otwierał usta bywalców tego miejsca.

Kwadrans później weszli do obskurnej sali i na pierwszy rzut oka spelunka wyglądała tak samo jak przy ich dwóch poprzednich wizytach. Było tłoczno i gorąco, ogień dobrze ciągnął, u poczerniałych krokwi wisiał dym. Lazarus zaczął przepychać się na tył, ku pokojom Matki Pocieszycielki.

Temperance przytrzymała go za ramię. Nachylił się ku niej, by mogła mruknąć mu do ucha:

– Coś tu się nie zgadza. Jest za cicho.

Podniósł głowę, by stwierdzić, że miała rację. Marynarze przy stole w rogu nie śpiewali pijackich pieśni, nie było słychać kłótni ani głośnych dyskusji. W rzeczy samej, klienci pozbijali się w grupki. Nikt nie patrzył mu w oczy.

Lazarus spojrzał na Temperance.

– Co się stało?

Pokręciła głową z wyrazem dezorientacji w pięknych nakrapianych złotem oczach.

– Nie wiem.

Jednooka posługaczka wyłoniła się z zasłoniętego kotarą korytarzyka na tyłach. Nim kotara opadła, Lazarus naliczył w korytarzu trzech mężczyzn. Z jakiego powodu Matka Pocieszycielka potroiła ochronę? Dziewczyna

wyglądała na przybitą, twarz znaczyły jej smugi po łzach. Spostrzegłszy ich, opuściła głowę i chyłkiem przemknęła w bok.

Temperance pospieszyła ku niej, Lazarus nawet jej nie ponaglał. Przyglądał się, gdy najwyraźniej błagała o coś dziewczynę, podążając za nią, podczas gdy tamta potrząsała głową i odwracała się plecami. Temperance położyła dłoń na jej ramieniu, a posługaczka strząsnęła ją, mówiąc coś ostro. Temperance wyprostowała się gwałtownie, oczy jej się rozszerzyły.

Lazarus natychmiast znalazł się przy niej.

– O co chodzi?

Pokręciła głową.

– Nie tutaj.

Wyprowadziła go z pijalni ginu, strachliwie rozglądając się wkoło. Przyciągnął ją do siebie, pod pelerynę, oplótł ramionami.

– Mów.

Zwróciła ku niemu twarz, blady owal w mroku nocy.

– Nie chciała nawet rozmawiać o Marie. Zdarzyło się kolejne morderstwo: prostytutka. Znaleziono ją przywiązaną do łóżka, a jej brzuch… – Zatchnęła się, niezdolna dokończyć.

– Szszsz. – Serce biło mu szybko, zmysły wyczuliły się na każdy najdrobniejszy ruch, każdy szelest w okolicy. – Muszę odprowadzić cię do domu.

Uczepiła się go kurczowo.

– Mówią, że to był Duch St. Giles.

– Co takiego?

– Niektórzy uważają go za zjawę, inni za żywego człowieka, ale tak czy inaczej wierzą, że to on jest mordercą.

Pokręcił głową i zaczął iść.

– Dlaczego?

– Nie wiadomo. Spekuluje się, że szuka za coś zemsty, że wysłano go, by karał grzeszników albo że zabijanie po prostu sprawia mu przyjemność. – Znowu zadrżała. – To nie ma sensu, prawda? Gdyby to on był mordercą, gdyby pragnął naszej śmierci, nie przyłączyłby się do ciebie, żeby odeprzeć tamtych napastników.

– Nie – mruknął. – To nie ma sensu.

Minęło kolejnych dziesięć minut, nim znów stanęli pod jej drzwiami, a Lazarus jeszcze nigdy tak się nie cieszył na widok przytułku. Kiedy kluczem otworzyła drzwi, wszedł za nią do kuchni.

Przyglądał się, gdy napełniała wodą czajnik i umieszczała go nad paleniskiem, a później poruszała zabezpieczony ogień.

– Jakie są dowody na to, że mordercą jest Duch St. Giles? Posługaczka mówiła?

Posłała mu skonsternowane spojrzenie, wykładając utensylia do parzenia herbaty.

– Raczej tego nie wiedziała. Powtarzała to, co mówią wszyscy.

– Hm. – Zabębnił palcami o blat stołu. – Zastanawiam się wobec tego, czy ktoś celowo nie puścił tej plotki.

– Ale kto?

Pokręcił głową.

– Tak czy owak, nie mogę brać cię więcej na wypady w głąb St. Giles. Przynajmniej dopóki morderca przebywa na wolności.

Przytaknęła w milczeniu, marszcząc brwi. Była tak posłuszna jego poleceniom. Czy przeciwstawi mu się później? Myśl przepełniła go niepokojem – nie miał żadnej władzy nad tą kobietą. Mogła robić, co chciała, bez względu na jego opinię bądź to, jak bardzo się martwił.

Wkrótce woda się zagotowała i Temperance napełniła imbryk. Udał się za nią do jej małej bawialni i przykucnął, by rozniecić ogień, podczas gdy ona usiadła na stołku. Następnie rozparł się w fotelu i obserwował, niedorzecznie zadowolony, jak nalewa sobie filiżankę herbaty i dodaje cukru. Przyszło mu do głowy, że nie miałby nic przeciw, by spędzić każdy wieczór reszty swego życia w ten sposób, przyglądając się, jak ona pociąga pierwszy łyk gorącej herbaty, jak przymyka oczy, odprężona.

– Jak się miewa twoja siostra? – spytał po chwili.

Poderwała wzrok, chyba zaskoczona, a to go zirytowało. Uniósł brwi.

– Silence, dobrze pamiętam imię? Otrząsnęła się już po konfrontacji z O’Connorem?

– Nie wiem – westchnęła. – Nie miałam od niej żadnych wieści. Winter ze mną nie rozmawia, wykonuje po prostu swoją pracę, nie poddając niczego pod dyskusję. Concord jest zły… albo lepiej: pełen dezaprobaty.

– A dzieci? – zapytał. – Jak się mają?

Otuliła filiżankę dłońmi.

– Przeważnie wydają się takie jak zwykle. Tylko Mary Whitsun snuje się za mną po domu jak cień. Jakby się bała, że zniknę, jeśli straci mnie z oczu.

Pokiwał głową, niepewny, co na to wszystko odrzec. Jego doświadczenia rodzinne – w rzeczy samej, w sferze uczuć – były smutnie nieadekwatne.

Zaczerpnęła tchu.

– A ty? Jak twój bark?

– Prawie jak nowy.

Milczała przez kilka sekund.

– Jak sądzisz – odezwała się cicho – czemu Marie nie powiedziała ci, że ma brata?

– Może dlatego, że nigdy nie pytałem jej o rodzinę. – Wzruszył ramionami. – Prawda jest taka, że praktycznie nie rozmawialiśmy. W naszych relacjach nie zachodziła taka konieczność.

– Czyli kiedy się z nią spotykałeś, po prostu…

– Pieprzyłem się z nią. Tak. – Obserwował ją, czekając na odrazę. – Nie chciałem ani nie potrzebowałem od niej niczego innego.

– A ode mnie? – szepnęła.

Nabrał powietrza.

– Od ciebie chcę znacznie, znacznie więcej.

Rozdział 15

Tego dnia Meg siedziała w swojej maleńkiej celi w lochach całkiem sama, gdyż nikt jej nie odwiedzał. Uprzątnęła celę, a potem umyła się w wiadrze z wodą i rozczesała długie złote włosy. Już miała kłaść się spać, kiedy zapukano do drzwi. Do celi weszły trzy pokojówki oraz bardzo elegancka fryzjerka i nim Meg się obejrzała, wystrojono ją w skrzącą się niebieską suknię, jej ułożone włosy przyozdobiono perłami, a na nogi wsunięto jej piękne pantofelki na obcasie.
– Ależ co to wszystko znaczy?! – wykrzyknęła zadziwiona.
Fryzjerka ukłoniła się i odparła:
– Dziś wieczorem zasiądziesz do kolacji z samym królem…
– z „Król Zamknięte Serce”

Temperance przyglądała mu się, tej egzotycznej istocie, temu mężczyźnie z obcego świata, który deklarował, że chce od niej więcej. O ile więcej? Z chęcią by zapytała, lecz bała się odpowiedzi.

Odstawiła filiżankę.

– W porządku.

Skinął głową, wpatrzony w płomienie. Wydawał się zadowolony z ich paktu, na czymkolwiek ów polegał, Temperance jednak czuła, jak w jej brzuchu rozlewa się żar. Ona także chciała więcej.

– Nie opowiedziałeś mi o swojej rodzinie.

Z irytacją pokręcił głową.

– Nieprawda. Mówiłem ci o mojej siostrze, o matce.

– Ale nie o ojcu – rzekła cicho.

Nie wiedziała, skąd w niej się wzięła ta nagła potrzeba zgłębienia wszystkich jego sekretów. Może chodziło o świadomość, że po ulicach St. Giles grasuje morderca, może o fakt, że otarli się o śmierć. Wiedziała tylko, że chce go poznać, tego mężczyznę, którego przyjęła w swoim ciele.

Zesztywniał.

– Mój ojciec był arystokratą. To wyczerpuje temat.

Przekrzywiła głowę, przyglądając mu się. Znów wbijał wzrok w ogień i było oczywiste, że temat nie został wyczerpany.

– Jak wyglądał?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Był… wielkim mężczyzną.

– Wyższym od ciebie? – zapytała.

– Tak. – Zmarszczył brwi. – Nie, źle mówię. Przerosłem go, nim wróciłem z Oksfordu. Po prostu wydawał się… ogromny.

– Dlaczego?

– Nie chcę o tym rozmawiać – uciął gwałtownie.

– Ale chcesz więcej ode mnie – powiedziała. – Czy mnie nie wolno w zamian chcieć więcej od ciebie?

Uśmiechnął się krzywo.

– Twardo się pani targuje, pani Dews. Co życzy pani sobie o mnie wiedzieć?

– Może wszystko – odparła śmiało.

– Ach, czy kiedykolwiek da się całkowicie poznać drugą osobę?

– Zapewne nie – stwierdziła, podnosząc się.

Znieruchomiał i obserwował, gdy robiła dwa kroki, by stanąć przed nim.

– Zapewne przez całe życie pozostajemy osobnymi, samotnymi jednostkami – wymamrotała, sadowiąc mu się na kolanie. Dotknęła zwojów jego halsztuka, a potem zaczęła go rozwiązywać. – Nie jesteśmy w stanie naprawdę poznać drugiego człowieka. Czy to chcesz ode mnie usłyszeć?

Odchrząknął.

– Za wiele o tym nie myślałem.

– Oczywiście, że myślałeś – pokpiwała łagodnie. – Jesteś człowiekiem intelektu, w dodatku bardzo cynicznym. Moim zdaniem poświęcasz nazbyt dużo czasu na rozmyślania o świecie i swoim w nim osamotnieniu.

Przełknął ślinę, jego jabłko Adama przewędrowało pod jej palcami.

– A nie jestem samotny?

– Być może. – Strzeliła ku niemu spojrzeniem, po czym skoncentrowała się na zsuwaniu mu z szyi halsztuka. – Czy to dlatego je wiążesz?

– Kogo?

– Tss. Nigdy nie uważałam cię za tchórza, Lazarusie.

Z westchnieniem zamknął oczy.

– Może. Nie wiem.

Zabrała się do rozpinania guzików jego kamizelki.

– Nie wiesz, dlaczego je wiążesz, czy nie chcesz tego przyznać?

– Jakaż jest pani nieugięta. – W jego głosie czaiła się nuta ostrzeżenia.

– Jestem. – Skinęła głową, skupiona na zadaniu. – Inaczej nigdy nie uzyskałabym od ciebie odpowiedzi. Czy ich bliskość sprawia ci ból? Czy to z powodu myśli o tym, jak bardzo jesteś od nich… od wszystkich… osobny, dotyk innych wywołuje u ciebie cierpienie?

– Twoja wnikliwość mnie przeraża. – Współdziałając, zdjęli z niego kamizelkę. – Nie wiem, dlaczego odczuwam ból.

– Ten ból jest fizyczny czy psychiczny?

– Taki i taki.

Skinęła głową i zaczęła rozpinać mu koszulę. Czuła żar bijący od jego skóry, ciemne włosy na torsie odznaczały się cieniem pod szlachetnym płótnem. Wszystko się w niej zacisnęło.

– Może więc wiążesz je, żeby nie zadawały ci bólu.

– Może.

– Albo – popatrzyła mu w oczy – wiążesz je, żeby nie widzieć w nich ludzi.

Uniósł brew.

– Czy to nie czyniłoby ze mnie diabła?

– Czyniłoby? – powtórzyła cicho.

Umknął przed nią wzrokiem.

– Boisz się ich spojrzeń? Temu służy przepaska? Żebyś nie oglądał ich oczu?

– Może nie życzę sobie, żeby one oglądały moje.

– Dlaczego?

– Może nie chcę, by zobaczyły czerń w mojej duszy.

Przez chwilę zaglądała w jego zadziwiające niebieskie oczy, on zaś pozwolił jej na to, jakby milcząco coś jej mówił.

Później odwróciła wzrok.

– Mnie nie wiążesz.

Puls jej przyspieszył. Z chęcią zdjęłaby z niego koszulę, lecz zarazem bynajmniej nie pragnęła zadawać mu bólu. Przeciągnęła dłońmi po płótnie, czując pod spodem ciepłe mięśnie. Miał wspaniały tors, szeroki

i szlachetny, wzgórki jego barków przechodziły płynnie w zbite mięśnie ramion.

– Nie.

– Dlatego, że jestem od tamtych ważniejsza czy że mniej ważna?

– Ważniejsza. Zdecydowanie.

Skinęła głową, obserwując swoje dłonie na jego torsie. Na myśl, że była dla niego ważna, łzy napłynęły jej do oczu.

– A ja jestem ważniejszy dla ciebie? – zapytał cicho.

Oczywiście, że był. Ale odepchnęła pytanie na bok. Interesowały ją jego słabości, nie zaś jej własne.

– Czy to cię boli? Teraz, kiedy dotykam cię przez koszulę?

– Nie.

Nachyliła się i miękko pocałowała go w ramię.

– Cieszę się.

– Odpowiadam na twoje pytania, lecz ty nie odpowiadasz na moje.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Jeszcze nie. Nie naciskaj.

– Co…?

Ucięła jego dociekania, nachylając się i delikatnie liżąc przez koszulę jego sutek.

Wciągnął powietrze.

– Pewnego dnia będę musiał wiedzieć.

– Być może.

Powiodła językiem wokół jego brodawki. Mokry materiał stał się niemal przezroczysty, widziała pod nim brązowy sutek.

– Aaach…

Uśmiechnęła się z ustami przy jego koszuli.

– Temperance.

– Nie naciskaj.

Przytrzymała koszulę płasko na jego klatce piersiowej, żeby widzieć go lepiej. Ściągnięty sutek formował maleńkie wybrzuszenie.

– Tak jak ty naciskasz na mnie?

– A naciskam?

– Bezwzględnie.

W ramach reprymendy mocno szarpnęła kosmyk jego włosów.

Chrząknął.

– Zadajesz sobie pytanie, skąd u ciebie potrzeba, by na mnie naciskać?

– Nie. – Przesunęła dłonie niżej, na jego brzuch. W dotyku był sprężysty i gorący.

– Może powinnaś.

– Mhm. – Na moment rozkojarzył ją pas jego spodni i rozporek poniżej.

– Temperance…

– Nie. – Ześlizgnęła się z jego uda i uklękła mu między nogami. Rozpięła guziki jego spodni. – Czy teraz odczuwasz ból?

– Hm? – mruknął.

Wydawał się urzeczony widokiem jej palców pracujących przy rozporku. Pod spodem jego erekcja napinała materiał. Temperance czuła suchość w ustach, przewidując, co za chwilę zobaczy.

Nie zamierzała jednak pozwolić mu wywinąć się tak łatwo.

– Lazarusie? Czy zadaję ci ból?

– Jeśli tak, to wyborny.

– To dobrze – stwierdziła, rozchylając mu spodnie. Jego penis napierał na bieliznę. – Lazarusie…

– Tak? – spytał. – Aaa…

Przez materiał owinęła jego członek dłońmi. Spod osłony rzęs popatrzyła na jego twarz.

– Chciałbyś mnie kiedyś związać?

Zamrugał, jakby budził się z oszołomienia, w jego oczach pojawiła się czujność.

– Nie. Nie, oczywiście, że nie.

– I kto tu kłamie? – wymamrotała, ściskając delikatnie, testując jego twardość. – Bolałoby cię, gdybym go wyjęła i dotknęła?

Zaczerpnął tchu.

– Chybabym to zniósł.

– Chyba?

– Proszę.

Jego chrapliwy apel rozstrzygnął sprawę. Ostrożnie, delikatnie rozpięła mu kalesony i rozchyliła materiał. A później po prostu patrzyła.

Prezentował się doprawdy wspaniale, gdy siedział w jej zniszczonym fotelu z rozwartymi szeroko nogami i gigantyczną erekcją. Dzięki temu, że nadal miał na sobie koszulę i spodnie, pończochy i buty, widok jego czarnych włosów łonowych i czerwonego członka podniecał jeszcze

bardziej. Był szokująco intymny. Wyglądał jak król, arogancki i pewny swej władzy.

– Uwielbiam na ciebie patrzeć – powiedziała.

– Ach tak? – zamruczał niskim głosem.

Podniosła nań wzrok i jednocześnie owinęła jego członek dłonią.

– Na pewno nie chciałbyś mieć mnie rozciągniętej na łóżku? Bezsilnej, bezbronnej wobec twoich żądzy?

Powieki na pół mu opadły, policzki płonęły od seksualnego głodu.

– Ja… ja… może.

– Może? – wymamrotała, skoncentrowana znów na trofeum w swoich dłoniach. Prawdę mówiąc, jej zainteresowanie grą przygasło. – Nigdy bym nie sądziła, że jesteś nieświadomy swoich potrzeb. Swoich pragnień.

Ścisnęła bardzo ostrożnie, czując miękkość jego skóry, żelazną twardość pod spodem.

Zatchnął się, wyrzucił w górę biodra, wpychając członek w jej dłonie.

– Do diabła! Weź go w usta.

Przygryzła wargę, odrobinę zszokowana. Nigdy dotąd nie robiła czegoś takiego. Przeciągnęła palcem po czubku penisa, gdzie ze szparki sączył się płyn. Jaki miałby smak?

– Temperance – rzekł, a w cichym pokoju jego głęboki głos rozległ się nader wyraźnie. – Ssij mnie.

Nachyliła głowę i z wahaniem wysunęła język. Liznęła. Zmarszczyła nos. Sól i piżmo, nic nieprzyjemnego, ale również nie to, czego oczekiwała.

– Proszę – jęknął nad jej głową.

Och, słyszeć, jak błaga. Coś w niej, jakaś podła i prymitywna część, z lubością chłonęło błaganie w jego głosie. Otworzyła usta i wzięła w nie jego żołądź.

Possała.

Szarpnął biodrami, wtłaczając członek głębiej w jej usta. Nieomal się cofnęła, zaraz jednak chwyciła go pewniej i rozpłaszczyła na nim język, ssąc delikatnie. Pogłaskał ją po głowie. Czuła, że wyjmuje jej z włosów szpilki, nawija pukle na dłonie, ciągnąc łagodnie. Zastanawiała się, czy miał świadomość swoich poczynań. Odchyliła się nieco do tyłu, wypuszczając go z ust, aby spojrzeć na jego twarz.

Obserwował ją.

Pod wpływem tej świadomości zrobiła się wilgotna. Przyłożyła język i przeciągnęła nim wokół żołędzi, patrząc mu w oczy.

– Jezu! – Zgrzytnął zębami, jego szczęka naprężyła się w blasku ognia.

Temperance pogładziła jego członek i otoczyła wargami, ssąc delikatnie sam koniuszek.

Twarz miał napiętą, muskuły pęczniały mu na ramionach.

– Weź go głębiej.

Posłuchała, wciągnęła go tyle, ile zdołała, nadal patrząc mu w oczy, nawet gdy szarpał pod nią biodrami. Nakrył jej dłoń swoją, by zwiększyć jej tempo.

Łapczywie chwytał powietrze, na policzkach ukazały mu się bruzdy, twarz płonęła.

– Chcesz tego? – wyszeptał. – Przestań, jeśli to za dużo.

Nie mogła mówić – usta miała pełne jego penisa – ale chciała to zobaczyć. Chciała doprowadzić go do nieuniknionego końca. Obserwowała go, czując, jak jego członek pęcznieje jej w ustach. Obserwowała, gdy konwulsyjnie przeciągnął dłonią po swej długości. Obserwowała, gdy odsłonił zęby.

– Ach, Boże!

W ustach poczuła słonawe ciepło. Łzy wezbrały jej w oczach, gdy spazmował bezradnie. Był wielki i silny, a mimo to doprowadziła go do tego punktu.

Polizała go, gdy miękł, pełna czułości, dziwnie zagubiona.

– Chodź tutaj – rozkazał i pociągnął ją w objęcia.

Wsunął sobie jej głowę pod brodę i leżeli tak przez dłuższy czas, gdy głaskał ją po włosach. Później zaczął zakasywać jej spódnice. Bez słowa, nieubłaganie odsłaniał jej nogi, aż leżała na nim w niedbałej pozie, ze spódnicami zebranymi wokół talii.

Spojrzał w dół i podążyła za jego wzrokiem. Jej ciemne loczki szokująco kontrastowały z bielą skóry. Nie przywykła do tego, by mężczyzna przyglądał jej się tak w blasku ognia, próbowała więc obciągnąć spódnice, by zakryć nagość.

– Nie. – Unieruchomił jej rękę, rozkazująco spojrzał w oczy. – Chcę cię widzieć.

Pokręciła głową, ale ruch był słaby.

Przesunął dłoń do zbiegu jej ud, a ona odwróciła głowę i schowała twarz w jego barku. Pieścił ją i głaskał przez loczki.

– Rozewrzyj nogi – polecił cicho.

Posłuchała, z trudem przełykając ślinę, i czekała na jego dotyk.

Kiedy nadszedł, był tak delikatny, że o mało go nie przegapiła. Ślizgał się po wewnętrznej stronie jej ud, parł w górę, zbliżał się do tego wyjątkowego miejsca u ich zbiegu. Potem jednak przemknął wyżej, okrążył jej wzgórek, sunąc wzdłuż linii włosów.

– Patrz – rozkazał.

Pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Owszem, możesz.

Zaczerpnęła tchu i uniosła głowę.

Jego wielka dłoń leżała na jej wzgórku, zaborczo rozczapierzał palce.

– Nie odwracaj wzroku albo przestanę – ostrzegł.

Przełknęła ślinę, obserwując, jak jego palce wolno ześlizgują się ku jej wargom sromowym. Rozwarł je, odsłaniając głęboki róż i jej zawstydzającą wilgoć.

– Takie miękkie – powiedział, przeciągając palcem wskazującym między jej fałdami.

Dyszała, przyglądając się, jak jego palec dociera na szczyt i okrąża jej pączek. Delikatnie popukał w łechtaczkę.

– Podoba ci się? – szepnął.

Chciała zaprzeczyć ruchem głowy, odwrócić wzrok, gdyby wszakże to zrobiła, on by przestał, a sama ta myśl wystarczyła, by poczuła, że zaraz umrze.

– Temperance – szepnął, nisko i intymnie – powiedz mi, czy ci się podoba. – Nacisnął delikatnie, nie dość mocno. – Temperance?

– Mocniej – wydyszała.

– Powtórz.

Przełknęła ślinę.

– Mocniej. Dotknij mnie mocniej.

Nacisnął znowu.

– W ten sposób?

Och, cudowna rozkoszy! Jej biodra uniosły się, wiedzione własną wolą. Przytaknęła spazmatycznie.

Krążył wokół, starannie odmierzając siłę nacisku.

– A teraz patrz. Nie zamykaj oczu, obserwuj moją rękę albo przestanę. Rozumiesz?

Przytaknęła znowu, zahipnotyzowana przez ten palec, coraz bardziej śliski od jej wilgoci. Obsługiwał ją w cichej bawialni, gdzie dało się słyszeć jedynie jej rwany oddech i wilgotne plaśnięcia, jakie jego dłoń wydawała w kontakcie z jej ciałem. Tarł coraz szybciej, aż powieki jej zaciążyły i wymagało herkulesowej siły, żeby utrzymać je otwarte. Płonęła, żar i słodka rozkosz promieniowały od jej najwrażliwszego punktu.

Nagle przekręcił dłoń.

Otworzyła szeroko oczy, obserwując, jak wsuwa głęboko w nią dwa palce, i zatchnęła się pod wpływem tego doznania i widoku. Jednocześnie dotknął jej kciukiem i rozpadła się. Rozlewał się w niej ogień, odrzuciła w tył głowę, wzrok zasnuła jej mgła, podczas gdy nadal śledziła, jak on poczyna sobie z jej ciałem. Dobry Boże, nigdy nie czuła się tak rozpustnie. Drżała w jego ramionach, prężyła nogi, a on ciągle poruszał w niej palcami, rozczapierzał je, wykręcał w jej wnętrzu.

Drugą ręką odwrócił jej głowę i zaczął ją gwałtownie całować. Otwartymi, mokrymi ustami, gdy te sprytne palce zwalniały.

– Temperance – wykrztusił. – Potrzebuję cię. Potrzebuję cię teraz.

Dźwignął ją, przerzucał jej nogi, układał ją sobie niczym szmacianą lalkę, ponieważ sama z pewnością nie była w stanie się poruszyć.

Wstał z nią w ramionach i zamienił ich pozycje, kładąc ją na wielkim fotelu, tak że jej pośladki znalazły się na skraju siedziska, a stopy na podłodze. Uklęknął przed nią i zobaczyła, że ma potężną erekcję. Przyglądała się, gdy ujął członek w dłoń i wprowadził między jej uda. Wsunął barki pod jej rozwarte nogi i wyprostował się, unosząc je tak, że zawisła na nim bezradnie.

Ulokował penis u jej wejścia, dysząc z otwartymi ustami, i obserwowała go, kiedy wdzierał się w jej wnętrze. Głowę odrzucił do tyłu, jakby nękał go ból nie do zniesienia. Jakby miał lada moment wyzionąć ducha.

– O Boże! – wydyszał. – Nie mogę… nie mogę…

I zaczął wbijać się w nią, wpychając w fotel, dociskał sobie jej nogi do torsu, tak że nie miała punktu oparcia, żadnego sposobu, by obronić się przed napaścią.

Nie żeby chciała się bronić.

Kiedy wypełniał ją raz za razem tuż po tym, jak zaznała wybornej ulgi za sprawą jego dłoni, natychmiast znowu wezbrał w niej żar. Uderzały w nią niszczycielskie fale rozkoszy, przytłaczając jej zmysły. Miała jedynie mętną świadomość, że on prostuje się na kolanach, nadal z nią połączony, i wdziera się w nią cały, zsuwając jej pośladki z fotela. Przytrzymywał ją w tej pozycji, gdy wlewał w nią nasienie.

Wielkimi dłońmi podpierał jej pośladki. Wbił się w nią, jakby nie mógł się nią nasycić, jakby pragnął na wieki pozostać z nią złączony. Lecz ostatecznie był tylko człowiekiem. Opadł przed siebie, zdołał jednak nie przydusić jej ciężarem swojego ciała. Odplątał sobie jej nogi z barków, a później złożył głowę obok jej głowy na siedzisku fotela.

– Temperance – wymamrotał zaspokojony. – Temperance.

Popatrzyła w sufit, świadoma, że musi znaleźć słowa, by powiedzieć mu, ile dla niej znaczy. Wiedziała, że straci go, jeśli nie pozwoli tym słowom spłynąć z warg, bez względu na to, jak było to dla niej bolesne i trudne. Stała na rozstaju dróg i jeśli nie podejmie żadnej decyzji, utraci wszystko. Jutro. Jutro znajdzie drogę.

Dziś po prostu zamknęła oczy.

* * *

Temperance obudziła się nazajutrz wczesnym rankiem i leżała wpatrzona w sufit swej maleńkiej, samotnej sypialni. Nie chciała wstawać. Jej sypialnia mieściła się na poddaszu. Tak wysoko w budynku znajdowały się tylko trzy pokoje – jej, Wintera i ten, w którym sypiała Nell, jeśli w nocy nie pilnowała najmłodszych dzieci. Pokoiki były ciasne, z niskimi, skośnymi sufitami. Kiedy padał deszcz, u niej w kącie ciekło po ścianie. W zimie marzła, latem męczyło ją koszmarne gorąco.

Dobry Boże, niekiedy żałowała, że nie może stąd po prostu odlecieć. Niewykluczone, że to dlatego pozwoliła sobie na niebezpieczne schadzki z Caire’em, ryzykując nie tylko ciążę i bękarta, lecz także własną duszę. Stanowił pokusę, przed którą najwyraźniej nie umiała się bronić. Możliwe, że po wszystkich tych latach walki z własną naturą dotarła do ściany. Możliwe, że tego rodzaju walki nigdy nie da się wygrać. Możliwe…

Z sąsiedniego pokoju – pokoju Wintera – rozległ się głuchy łomot. Temperance zmarszczyła brwi i zaczęła wstawać.

Za ścianą coś się roztrzaskało.

Wybiegła z sypialni. Drzwi do pokoju Wintera oczywiście były zamknięte, toteż zapukała.

– Bracie?

Bez odpowiedzi.

Zapukała mocniej, a kiedy ze środka nadal nie dochodził żaden dźwięk, zwinęła dłoń w pięść i załomotała w drzwi.

– Winterze! Nic ci nie jest?

Przekręciła gałkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. W całym domu jedynie w sypialni Winter mógł zaznać odrobiny prywatności. Zastanawiała się już, jak wyłamać drzwi, gdy nagle się otworzyły.

– Wszystko w porządku.

Winter stał w progu, lecz wbrew tym kojącym słowom ewidentnie nic nie było w porządku. Krew ściekała mu po ziemistej twarzy, spływając z rozcięcia na czole, chwiał się na nogach.

Temperance objęła go w pasie, żeby nie upadł.

– Co ci się stało?

Uniósł dłoń do twarzy i widok krwi na palcach wyraźnie go zaskoczył.

– Chyba… chyba się przewróciłem.

Wahanie w jego głosie zaalarmowało Temperance jeszcze bardziej.

– Nie wiesz?

– Nie mogę sobie… – Umilkł i rozejrzał się po swojej maleńkiej, podobnej do celi sypialni. – Zdaje się, że powinienem usiąść.

Pomogła mu usiąść na łóżku – w pokoiku nie starczyło miejsca nawet na krzesło – po czym stanęła nad nim niespokojnie.

– Jesteś chory? Kiedy ostatnio jadłeś?

Próbowała przyłożyć mu do czoła wierzch dłoni, ale odepchnął ją z nietypową dlań irytacją.

– Nic mi nie jest, po prostu…

– Upadłeś i nie pamiętasz dlaczego? – dokończyła z rozdrażnieniem. – Co jadłeś wczoraj na obiad?

Zmarszczył czoło.

– Aaa…

– Och, Winterze! Jadłeś w ogóle cokolwiek?

– Może trochę bulionu – odparł, unikając jej spojrzenia.

Temperance westchnęła. Winter nigdy nie nauczył się przekonująco kłamać.

– Zostań tutaj, a ja przyniosę ci śniadanie i jakieś bandaże.

– Ale szkoła – utyskiwał. – Muszę ją otworzyć.

– Nie. – Pchnęła go z powrotem na łóżko, gdyż usiłował wstać. – Szkoła może być przez jeden dzień zamknięta.

– Stracimy czesne – rzekł.

Wpatrzyła się w niego; jeśli szkoła nie zostanie otwarta, uczniowie nie wniosą opłaty za ten dzień.

– Chyba stać nas na jeden dzień jej zamknięcia?

Pokręcił głową, twarz miał prawie tak białą jak poduszka.

– Wydaliśmy prawie wszystkie pieniądze od lorda Caire’a.

– Co takiego? – spytała zszokowana.

– Mieliśmy dług u rzeźnika i piekarza – wyszeptał – a w listopadzie nie zapłaciliśmy szewcowi za buty dla chłopców.

Temperance rozejrzała się po pokoiku, ale nie było tu nikogo, kto podjąłby tę decyzję za nią.

– Damy radę. Tylko nie próbuj wstawać. Obiecujesz, Winterze?

– Tak.

Pokiwał głową i, w rzeczy samej, gdy wychodziła z pokoju, oczy miał już zamknięte.

Dobry Boże, wiedziała, że znaleźli się w bagnie, lecz nie zdawała sobie sprawy, jak głęboko się zapadli. Temperance pospieszyła schodami w dół, starając się uporządkować priorytety, ale uparcie wracała do faktu, że Winter zachorował, a bez niego ona nie jest w stanie prowadzić przytułku.

Weszła do wielkiej starej kuchni z zamętem w głowie, zatrzymała się jednak na widok obecnych w pomieszczeniu osób.

Polly stała obok Nell, na twarzach obu kobiet malował się strach. Mary Whitsun kuliła się w kącie, trupio blada. Polly trzymała w ramionach nieruchome zawiniątko.

– Co się stało? – wyszeptała Temperance.

– Przykro mi – powiedziała Polly. – Ssała jak trza, a wczoraj w nocy…

Odsunęła rąbek koca. Zawiniątko skrywało Mary Hope, której maleńka zaczerwieniona buzia lśniła od potu.

Polly podniosła wzrok, biała jak płótno.

– Ma gorączkę.

Rozdział 16

Tego wieczoru Meg zaprowadzono do wspaniałej jadalni.
Przygotowano tam ucztę, lecz przy stole siedział jedynie król,
u boku mając niebieskiego ptaszka w złotej klatce.
Król odprawił straże i wskazał krzesło po swojej prawej stronie.
– Chodź usiąść koło mnie, Meg.
Meg usiadła bardzo ostrożnie, aby nie uszkodzić swej pięknej sukni.
– A teraz, Meg – rzekł Król Zamknięte Serce, biorąc złoty
talerz i nakładając na niego mięso oraz kandyzowane owoce
– mam do ciebie pytanie.
– Jakie, Wasza Królewska Mość?
Król postawił przed nią talerz, który własnoręcznie napełnił.
– Chcę się dowiedzieć, czym jest miłość…
– z „Król Zamknięte Serce”

– Jaśniejsze drewno, jak sądzę – rzekł z namysłem Lazarus wczesnym popołudniem. – Z inkrustacją z kości słoniowej.

On i pan Kirk, budowniczy fortepianów, znajdowali się u niego w gabinecie. Pan Kirk przyniósł sześć różnych misternie zdobionych deseczek. Lazarus przeciągnął dłonią po wybranym wzorze. Kobiecy, lecz zarazem stonowany.

Jak Temperance.

– Bardzo dobry wybór, milordzie. – Pan Kirk zebrał próbki do specjalnie wykonanej skrzynki. – Powinniśmy mieć coś prawie na ukończeniu. Czy dostarczyć go panu za dwa tygodnie?

– Nie. To ma być prezent. Podam panu adres dostawy.

– Jak pan sobie życzy, milordzie. – Kirk ukłonił się, wycofując się z pokoju w uniżonej pozie.

Lazarus odchylił się w fotelu. Czuł się dziwnie lekko, nieomal beztrosko. Dawał już prezenty kobietom – zapłatę za świadczone usługi – ale nigdy się

nie trudził, by osobiście wybrać podarek. Szczerze mówiąc, nie miało to znaczenia ani dla niego, ani dla tych kobiet. Traktowały otrzymane od niego drobiazgi i klejnoty jako zabezpieczenie na nieunikniony czas rozstania, rzeczy, które da się łatwo spieniężyć. Miał nadzieję, że Temperance spojrzy na jego podarek jako na coś trwalszego, że może pewnego dnia ich relacja stanie się…

Z rozmarzenia wyrwało go ponowne otwarcie drzwi gabinetu. Lazarus podniósł wzrok i przez chwilę zastanawiał się, czy przywołał Temperance myślami.

Wstał.

– Temperance. Co ty tu robisz?

– Po… – Rozejrzała się po jego gabinecie jakby w oszołomieniu. – Po-pomyślałam, że cię odwiedzę.

Ściągnął brwi.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, doskonale. – Ale dolna warga jej drżała.

Dlaczego kłamała?

– Usiądziesz? Zadzwonię, by przyniesiono wino…

– Nie! – Ruszyła ku niemu. – Nie, proszę, nie wzywaj nikogo. Chciałam po prostu być z tobą.

Była blada. Kapelusz o szerokim rondzie wypadł jej z dłoni na podłogę, gdy zbliżała się do Lazarusa.

– Jak się tu dostałaś? – spytał.

– Szłam – odparła na bezdechu.

– Z St. Giles? – Pokręcił głową. – Temperance, musisz mi powiedzieć, o co chodzi. Mam…

– Nie. – Ujęła w dłonie jego twarz. – Nie muszę. Przez jakiś czas nie chcę o tym myśleć. Nie chcę myśleć o niczym.

Pociągnęła mu głowę w dół i pocałowała go. Desperacko wpiła się w jego usta, jej wargi nie były miękkie i powabne, lecz rozpalone i głodne. Jego ciało zareagowało natychmiast, jakby wytresowano je do służenia jej i tylko jej. Nim się zorientował, otaczał ją ramionami, zagłębiał język w jej ustach. Mruknęła z satysfakcją, kiedy wtłoczył ją w biurko. Jego ręce powędrowały ku jej spódnicom, zakasywały je, podczas gdy umysł przypominał, że w drzwiach gabinetu nie ma zamka.

– Do diabła! – Przerwał pocałunek, zagarniając ją w ramiona.

Prędko wyniósł ją z gabinetu, minął zaskoczonego kamerdynera i wspiął się po schodach do sypialni. Small był w środku, kiedy Lazarus kopnięciem otworzył drzwi.

– Wynocha! – polecił głosem, w którym nie rozpoznałby własnego.

Lokaj zniknął bez słowa.

Lazarus położył Temperance na łóżku, po czym zaczął wspinać się na miejsce u jej boku.

– Nie – rzuciła na bezdechu.

Zamarł, obserwując ją.

– Chcę… – Zmysłowo oblizała wargi. – Chcę zrobić to po twojemu.

Mimo że sformułowała życzenie w zawoalowany sposób, od razu wiedział, o co jej chodzi. Uderzyło weń zwierzęce pożądanie, boleśnie stwardniał, jądra mu się ścisnęły. Dobry Boże, tak. Na samą myśl na poły ogarnęło go szaleństwo. Mógł posiąść ją tak, jak lubił najbardziej; poprosiła go o to. Ale jakaś drobna część jego natury wycofywała się, okazując dezaprobatę. Przecież Temperance była inna. Nie mógł wykorzystać jej w ten sposób.

– Jesteś pewna? – zapytał stanowczo.

– Tak.

Nachylił się nad nią jak jastrząb strzegący zdobyczy, zanim uderzy.

– Bądź pewna. Bo w którymś momencie nie będę już w stanie się wycofać. A ty nie będziesz w stanie mnie do tego nakłonić.

Widział, jak przełyka ślinę.

– Proszę. Chcę wiedzieć, co robisz. Chcę to poczuć.

Wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, usiłując dociec, co jej chodzi po głowie, nim znowu odepchnął się od łóżka. Ręce mu drżały.

– Doskonale. – Odstąpił o krok, bał się jej dotknąć. Bał się, że straci kontrolę. – Rozbierz się.

Zaczerpnęła tchu, policzki jej się zaróżowiły, ale ręce ochoczo podążyły ku sznurówkom stanika. Przyglądał się, naprężając palce wzdłuż boków, kiedy zdejmowała stanik i gorset, spódnicę i buty. Gdy wysunęła do przodu szczupłą stopę i wolno zrolowała pończochę, zaświtało mu podejrzenie, że się z nim droczy. Gdy z wdziękiem zdjęła przez głowę halkę i rzuciła ją na podłogę, już to wiedział. Sięgnęła w górę, wyjęła szpilki z włosów, a potem potrząsnęła nimi i przeczesała je palcami. Siedziała na jego łóżku, całkiem

naga, piersi sterczały jej dumnie, łydkę podwinęła pod drugą nogę i po prostu patrzyła na niego, czekając na kolejny rozkaz.

Przełknął ślinę. Boże! Czy mógł to zrobić? Ale chciała tego. Poprosiła o to.

Odwrócił się, nim zdążył zmienić zdanie, i szybko podszedł do komody. W górnej szufladzie czekał stos poskładanych schludnie halsztuków. Złapał ich garść i wrócił do łóżka.

– Połóż się – polecił chrapliwie.

Posłuchała, od razu umieszczając nadgarstki nad głową, blisko drążków wezgłowia. Przywiązał je do nich, pilnie omijając wzrokiem jej piersi, podciągnięte wysoko, gdy uniosła ramiona, jak również jej rozchylone wargi.

– Rozewrzyj nogi.

Rozłożyła nogi szeroko, jako że na jego łóżu miejsca było aż nadto, on zaś przywiązał je za kostki do słupków u końca. Wyprostował się, spoglądając na nią z ostatnim halsztukiem w dłoniach. Jej widok przywodził mu na myśl ucztę dla jakiegoś boga. Róż i biel jej ciała na tle zieleni i brązów narzuty, rozrzucone na poduszce długie, jedwabiste włosy.

W jej oczach nie było strachu, aczkolwiek się zaokrągliły.

Podszedł do wezgłowia, przeciągając halsztuk między palcami.

– A teraz zasłonię ci oczy.

* * *

Temperance przyglądała się, jak Caire nachyla się nad nią z halsztukiem. Twarz miał poważną, z napięcia mocno zaciskał zmysłowe wagi, szafirowe oczy pociemniały mu tak, że stały się niemal czarne. Wiedziała, że powinna się bać, lecz odczuwała jedynie niecierpliwość.

Wyborną niecierpliwość.

Umieścił miękkie płótno na jej oczach i otoczyła ją czerń. Słuchała własnego oddechu, jakimś sposobem głośniejszego, i czuła, jak on mocno zawiązuje halsztuk. Cofnął dłonie, a ona przekrzywiła głowę, nasłuchując jego ruchów. Uznała, że okrążył łóżko, zatrzymując się przy jego końcu. Nerwowo przesunęła palcami po rzeźbieniu u wezgłowia. Co robił? Na co

czekał? Uda miała szeroko rozwarte, powietrze chłodziło najintymniejszą część jej ciała.

– Jesteś taka piękna. – Jego niski głos rozbrzmiał blisko, po jej lewej stronie, i drgnęła. – Szsz… – wymamrotał i poczuła coś… opuszkę palca?… na swoim lewym barku.

Dotyk był tak lekki, że zastanawiała się, czy go sobie nie wyobraziła.

– Twoja skóra przypomina jedwabisty aksamit – odezwał się tuż przy jej uchu. Opuszka palca prześlizgnęła się w dół, do jej piersi, okrążyła ją wolno. – Perłowy róż, taki piękny, taki rozkoszny.

Zabrał palec z jej skóry i przez chwilę nic nie czuła.

Coś mokrego dotknęło jej sutka.

Wciągnęła powietrze, zaskoczona. To był jego język, na pewno, ale tylko tą jedną częścią ciała wszedł z nią w kontakt. Okrążył jej sutek, a później zamknął na nim usta i ssał. Dreszcze migotliwego doznania biegły od jej sutka wprost do miejsca tam w dole. Wiła się bezwiednie, ale pęta przy nadgarstkach i kostkach ograniczały jej ruchy. Musiała po prostu czekać i poddawać się jego zabiegom. Podporządkować się temu, co życzył sobie zrobić w następnej kolejności.

Czy to w tym krył się czar? W bezradnym pragnieniu, niecierpliwym wyczekiwaniu?

Raptownie porzucił jej sutek i poczuła chłodny powiew na wilgotnej skórze. Zadrżała, oba jej sutki były teraz ściągnięte.

– Taka słodka – szepnął, omywając oddechem jej brzuch.

Materac ugiął się pomiędzy jej rozwartymi nogami i uzmysłowiła sobie, że on jest tam w dole, siedzi lub leży, tak blisko miejsca, gdzie była zawstydzająco mokra. Nastała chwila ciszy i wyobraziła sobie, że zwyczajnie na nią patrzy, gdy czekała, wystawiona na pokaz.

Zwilgotniała jeszcze bardziej.

– Zastanawiam się – opuszka jego palca osiadła leciutko tuż za jej prawym kolanem – czy wszędzie jesteś słodka?

Wstrzymała oddech, gdy jego palec powędrował w górę jej uda, delikatnie, na pozór bez pośpiechu.

– Mam skosztować? – zapytał leniwie.

Przygryzła wargę, pozbawiona tchu, niezdolna go zaczerpnąć.

– Temperance? – ponaglił niskim głosem. – Mam skosztować?

Dobry Boże, gdyby nie miała już zasłoniętej twarzy, ukryłaby ją. Chciał, żeby o to poprosiła.

– Może tutaj – szepnął, drapiąc palcem jej mniejsze wargi sromowe. – Albo tutaj? – Okrążył jej łechtaczkę.

– Proszę – wykrztusiła.

– Słucham? – zapytał uprzejmie, podczas gdy palcem nadal lekko… zbyt lekko… jej dotykał. – Mówiłaś coś?

– Proszę, skosztuj mnie – wydyszała.

– Oczywiście. Czego tylko sobie życzysz.

I poczuła jego język, wilgotny i pewny, i, dzięki Bogu, taki twardy. Lizał ją mocnymi pociągnięciami. Nie pominął żadnego fragmentu, gruntownie obmywał jej drżące, wrażliwe ciało. Kiedy wreszcie dotarł do łechtaczki i naparł na nią płasko językiem, ogarnęło ją lekkie szaleństwo. Wykręcała się w pętach, dyszała i mamrotała bliżej nieokreślone słowa, a żar narastał w niej, aż zmienił się w lawę, spływając wszystkimi żyłami. Wygięła się w łuk, bezwstydnie docisnęła miednicę do jego twarzy, domagając się więcej, a on jej to dał, wepchnął w nią dwa palce, podczas gdy językiem smagał jej wierzchołek.

Miała dosyć, ale nie ustawał. Wziął w usta ten maleńki skrawek ciała i ssał, ssał, aż wyłkała swe poddanie, a jej ciałem wstrząsały eksplozje rozkoszy.

Słaba i rozpalona, nadal w pętach, pozostawała otwarta dla jego pożądania.

– Coś mi się zdaje – rzekł niskim, chrapliwym głosem, dmuchając w jej wilgoć – coś mi się zdaje, że możesz być już na mnie gotowa.

Podniósł się z niej, a potem o wnętrze jej ud potarł materiał jego spodni, poczuła ciężar jego ciała, napór penisa. Czekał gładki i twardy u jej wejścia. Poruszył nim w jej wilgoci, a potem jednym szybkim pchnięciem wbił się głęboko. Materac ugiął się po obu jej stronach, widocznie Caire podparł się na ramionach, żeby jej nie przygnieść. Ustami odnalazł jej lewy sutek i narzucił leniwe tempo. Poruszał się w niej zdecydowanie, lecz bez pośpiechu, jakby miał do dyspozycji cały czas świata. Jakby była jego prywatną zabawką, z której może korzystać, jak długo zapragnie.

Okrążył językiem jej sutek, a później przerzucił się na drugi, podczas gdy jego penis utrzymywał niezachwiany rytm. Doprowadzało ją to do szaleństwa. Próbowała wybić się w górę, lecz pęta jej to uniemożliwiały.

– Proszę – zakwiliła.

– O co chodzi? – szepnął niczym siedzący w jej uchu diabeł.

– Proszę.

– Powiedz mi. – Pocałował ją w ucho.

– Mocniej.

Nastąpiła pauza, a później rozbrzmiało ciche, zduszone przekleństwo. Podciągnął się na niej i wbił w nią, jakby całkowicie utracił kontrolę. Szybko i mocno, jak prosiła, i była to czysta rozkosz. Białe światło wybuchło pod jej powiekami, gorące i oślepiające, i krzyknęłaby głośno, gdyby nie fakt, że nakrył jej usta swoimi. Całował ją głęboko, nadal w nią pompując, zażywając przyjemności, gdy leżała bezradna.

A kiedy szarpnął się i przerwał pocałunek, trąc twarzą o jej szyję, wiedziała, że również znalazł rozkosz. Pchnął raz jeszcze, i znowu, a potem osunął się na nią całym ciężarem ciała.

Przez chwilę leżeli w ten sposób, a później zdjął halsztuk z jej twarzy. Zamrugała tuż przed jego szafirowymi oczami.

– Czy teraz powiesz mi, o co chodzi? – spytał.

* * *

Kochanie się z Temperance w ten sposób było jak ziszczony sen. A jednak czegoś brakowało. Ten drobny brak dokuczliwie dawał o sobie znać gdzieś w zakamarkach jego umysłu, a gdy tylko Lazarus ściągnął jej z twarzy halsztuk, stało się jasne, co to takiego: oczy Temperance. Pragnął widzieć złote gwiazdy w jej oczach, gdy się kochali. I pragnął, żeby ona widziała jego oczy.

Żeby widziała jego.

Te niezwykłe złocisto połyskujące oczy umknęły teraz przed jego spojrzeniem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Powinien zezłościć się na ten oczywisty wykręt, lecz zamiast tego zalała go czułość. Odgarnął jej włosy z twarzy.

– Daj spokój, Temperance. Powiedz mi.

Pociągnęła za pęta u nadgarstków.

– Rozwiąż mnie.

Trącił nosem jej policzek.

– Nie, dopóki mi nie powiesz.

– Mary Hope – wyszeptała, zamykając oczy – niemowlę, które przyniosłam do domu tej nocy, gdy się poznaliśmy, umiera.

Ulga spłynęła nań, przynosząc uczucie lekkości. Powiedziała mu, otworzyła się przed nim odrobinę.

– Przykro mi.

– Jest taka mała, taka słaba. Powinnam była wiedzieć, że nie da rady. Ale potem ożywiła się trochę i miałam nadzieję…

Milczał, chłonąc jej ból.

Załkała i pokręciła głową.

– Umiera tam w przytułku. Nie mogłam patrzeć, jak walczy o oddech, więc opiekę nad nią zostawiłam Nell.

– W porządku. – Uniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. – Bierzesz na siebie już tak wiele.

– Nie. – Skrzywiła się, jakby dokuczał jej fizyczny ból. – Nie dźwigam dosyć. Winter upadł z osłabienia dziś rano. Boję się, że przytułek go zabija. Nie powinnam była ich dzisiaj zostawiać. Nie powinnam była tu przychodzić.

– Nie, zapewne nie powinnaś, ale każdy czasem potrzebuje odpoczynku. Nie zamartwiaj się tak.

Pokręciła tylko głową.

Ucałował ją w czoło, zamyślony. W piersi narastała mu jakaś nieprzyjemna, nie do końca nazwana emocja.

– Ten przytułek jest dla ciebie jak więzienie.

Gwałtownie otworzyła oczy.

– Co?

Zabrał się za węzły przy jej nadgarstkach.

– Od jakiegoś czasu zastanawiałem się, dlaczego upierasz się tam pracować. Lubisz to? Ta praca daje ci przyjemność?

– Dzieci…

– Bez wątpienia wykonujesz szczytne dzieło – rzekł. – Ale czy sprawia ci to przyjemność?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Najwyraźniej wstrząsnął nią tak, że odebrało jej mowę.

– Lubisz tę pracę? – spytał znów łagodnie.

– Lubienie nie ma tu nic do rzeczy.

– Nie?

– Nie. Nie, oczywiście, że nie. Przytułek jest działalnością dobroczynną. Działalność dobroczynna nie musi nikomu sprawiać przyjemności.

Lekko się uśmiechnął.

– Wobec tego żaden wstyd przyznać, że nie lubisz tego, czym się zajmujesz.

– Nigdy nie myślałam o niej w tych kategoriach. Lubię dzieci, naturalnie, i niekiedy odczuwam satysfakcję, gdy znajdziemy któremuś dobrą posadę. Musi mi to sprawiać przyjemność, prawda? W przeciwnym razie byłabym potworem. – Odwoływała się do jego opinii, jakby sama nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Wzruszył ramionami.

– Twoje odczucia co do przytułku i pracy w nim nie są ani dobre, ani złe, są po prostu takie, a nie inne.

– No tak, więc oczywiście, że…

– Nie – przerwał jej surowo. – Odpowiedz mi bez kłamstw czy uników.

– Nie kłamię!

Uśmiechnął się do niej tkliwie.

– Och, moja mała męczennico, kłamiesz każdego dnia, głównie przed sobą samą.

– Nie wiem, co masz na myśli – wyszeptała.

– Nie? – Na chwilę zaniechał walki z węzłami; nie wyglądało na to, by cierpiała niewygodę. – Nie chcesz przyznać, że kochasz Mary Whitsun czy choćby maleńką Mary Hope. Widziałem, jak wzbraniałaś się przed dotknięciem tego dziecka. Ograniczasz się, odmawiasz sobie przyjemności… chyba że ktoś wywrze na ciebie nacisk. Zmuszasz się do wykonywania rozpaczliwej pracy, która cię zabija, a wszystko za sprawą niedorzecznego poczucia, że jesteś niegodna. Jesteś najświętszą kobietą, jaką znam, a jednak uważasz się za grzesznicę.

Znienacka wokół jej ust pojawiły się białe bruzdy.

– Nie… – Gwałtownie zaczerpnęła tchu. – Nie waż się mówić mi, że jestem święta. Że nie wiem, czym jest grzech.

Autentycznie się rozzłościła, widział to. Szarpnęła dziko za pęta.

– Wyjaśnij – zażądał.

– Puść mnie!

– Nie.

– Nie znasz mnie! – krzyknęła. Usta miała szeroko otwarte, z oczu płynęły jej łzy. – Nie jestem dobra, nie jestem święta. Muszę pracować w przytułku.

Docisnął nos do jej nosa.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest to coś dobrego i prawdziwego. Moje osobiste odczucia nie mają tu nic do rzeczy.

– Odbywasz pokutę, zgadza się? – wyszeptał.

Pokręciła głową, czerwona na twarzy, a łzy spływały w jej splątane włosy.

– Nie zasługuję…

Nachylił się blisko, uwięził jej twarz w dłoniach.

– Powiedz mi.

Zaczerpnęła tchu, opuszczając powieki.

– Kiedy umarł mój mąż… kiedy umarł Benjamin…

Czekał cierpliwie, gdy łkała. Od dawna wiedział, że coś się tutaj kryje. Czyżby nie kochała męża? Wręcz życzyła mu śmierci? Był przygotowany na tego rodzaju prozaiczne wyznanie, lecz nie na to, które ostatecznie padło z jej ust.

– Byłam z innym mężczyzną.

Zamrugał, tak zaskoczony, że ją puścił.

– Naprawdę?

Przytaknęła nerwowo.

– Był… Cóż, nieważne, kim był, ale dałam mu się uwieść. Byłam u niego, obcowałam z nim cieleśnie dokładnie w chwili, kiedy Benjamina przejechał wóz browarniczy. Wróciłam do domu, zastanawiając się, jak ukryję przed mężem mój grzech, a on nie żył. – Raptownie otworzyła oczy. – Nie żył.

Patrzył na nią przez chwilę, z wolna uświadamiając sobie coś potwornego. Gwałtownie wstał i poszedł do biurka po składany nóż.

– Od jak dawna znałaś swojego kochanka? – zapytał, przecinając więzy przy jej kostkach.

– Słucham? – W pomieszaniu zmarszczyła brwi. – Niedługo. Wtedy byłam z nim po raz pierwszy. Jakie to ma znaczenie?

Zaśmiał się krótko, bez śladu rozbawienia.

– Zapewne jedynie takie, że podkreśla ironię sytuacji. Gdy po raz pierwszy w życiu zgrzeszyłaś, spadła na ciebie nadmierna kara.

Przeciął więzy przy jej nadgarstkach.

Wpatrywała się w niego.

– Nie rozumiesz? To nie jest jakiś tam grzeszek. Nie chodzi o opychanie się słodyczami czy zazdrość o cudzy czepek. Spałam z mężczyzną, który nie był moim mężem. Popełniłam cudzołóstwo.

Westchnął, nagle znużony.

– I oczekujesz, że zarzucę cię oskarżeniami z powodu takiego ludzkiego potknięcia.

– To nie było potknięcie. – Usiadła i owinęła się narzutą. Była piękna, widział to obiektywnie, najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał. – Zdradziłam męża.

– I siebie – uzupełnił cicho.

Zamrugała.

– Tak, i siebie.

– Stosunek płciowy doprowadził cię do upadku – rzekł. – Stosunek płciowy z mężczyzną, który nie był twoim mężem, jest najgorszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłaś.

– Tak – szepnęła.

Na moment zamknął oczy, irracjonalnie żałując, że na nią naciskał.

– Nigdy sobie nie wybaczysz, zgadza się?

– Ja… – Wydawała się wstrząśnięta tym, że tak beznamiętnie ubiera w słowa jej rozterki.

– Stosunek płciowy uważasz za najbardziej niewybaczalny grzech – ciągnął. – Kiedy zatem uznałaś, że musisz siebie ukarać, posłużyłaś się tym najgorszym grzechem.

Otworzył oczy i spojrzał na nią, tak piękną, tak silną. Uosabiała wszystko, zdał sobie raptem sprawę, czego życzyłby sobie u kobiety, gdyby w ogóle przyszło mu do głowy snuć takie rozważania, i wreszcie zidentyfikował ową emocję w swoim sercu. Czuł się zraniony. Zraniła go tak dogłębnie, jakby przebiła mu pierś strzałą.

– Wykorzystałaś mnie, żeby ukarać siebie, prawda?

Przyglądał się, jak na jej twarzy pojawia się zrozumienie, potwierdzenie pewniejsze niż cokolwiek, co mogłaby powiedzieć, i strzała przekręciła się głęboko w jego piersi. Nadal jednak musiał zadać to ostatnie pytanie.

– Czy jestem dla ciebie czymkolwiek więcej niż tylko karą?

Rozdział 17

Meg popatrzyła na najpotężniejszego człowieka w królestwie.
– Czy mogę spytać, dlaczego Wasza Królewska Mość
chce się dowiedzieć, czym jest miłość?
Król nasrożył brwi.
– Stawiałem czoło śmierci w bitwie. Rządziłem rozległym
królestwem, wymierzałem sprawiedliwość i okazywałem łaskę,
lecz mimo to nadal nie wiem, czym jest miłość. Czy potrafisz mi
powiedzieć?
Meg jadła i rozmyślała nad pytaniem. Jak wytłumaczyć miłość
królowi? W końcu podniosła wzrok i zobaczyła, że król karmi
daktylem niebieskiego ptaszka.
– Niech Wasza Królewska Mość otworzy klatkę – powiedziała…
– z „Król Zamknięte Serce”

– Karą? – Temperance wytrzeszczyła oczy na Caire’a.

Był ubrany, a ona naga. Nie zdjął nawet kaftana, gdy się z nią kochał. Czuła się koszmarnie skrępowana. Dopiero co wyznała mu swój największy wstyd, sekret, o którym nie mówiła nikomu, nawet Silence, on tymczasem zaś oskarżył ją… o co?

Pokręciła głową, zdezorientowana.

– Nie myślę o tobie jako o karze.

– Nie? – Nie widziała go jeszcze tak wyciszonego, jakby wycofał się przed nią. – Wytłumacz mi więc, skąd ta nagła prośba, żebym cię związał.

Podciągnęła narzutę, by osłonić przed jego wzrokiem nagie barki.

– Po prostu… po prostu pomyślałam, że jest to coś, co lubisz. Byłam tego ciekawa. Nie wiem, czemu poprosiłam akurat dzisiaj.

– Ja wiem. – Odwrócił się do niej tyłem, mocno zaciskając dłonie za plecami. – To było dla ciebie poniżające, zgadza się?

– Nie! – wykrzyknęła, nie musiała się nawet zastanawiać.

On jednak nie słuchał.

– Chciałaś… potrzebowałaś… seksu, ale uważasz go za grzech, prawda? Najgorszy z grzechów. Mogłaś uczestniczyć w tym akcie, jedynie przekształcając go w coś plugawego.

– Nie! – Wygrzebywała się z pościeli, obojętna na swoją nagość. Jak mógł sobie wyobrażać…?

– Coś upodlającego. – Odwrócił się i spojrzał na nią; zamarła w pół drogi z łóżka. – Ponieważ w przeciwnym razie, cóż, byłaby to czysta przyjemność, czyż nie? A na nią nie mogłaś sobie pozwolić.

Wolno usiadła z powrotem na łóżku, już się nie broniąc. Czy to była prawda? Czy rzeczywiście wykorzystała go w tak nikczemny sposób?

– Nie powinno mieć to dla mnie znaczenia – ciągnął beznamiętnie – co czujesz. Ostatecznie nigdy dotąd nie zważałem na emocje moich partnerek. Całkiem szczerze, w naszych transakcjach ich uczucia uznawałem za nieistotne. Jednak, co dziwne, twoje uczucia się dla mnie liczą.

Umilkł i przez chwilę wbijał wzrok w swoje dłonie, a potem spojrzał znów na nią, z twarzą obnażoną teraz, smutny, zraniony i zrezygnowany.

Na ten widok ścisnęło ją w piersi, zapragnęła coś powiedzieć – nadal jednak nie potrafiła dobyć z siebie choć słowa.

– Ty się dla mnie liczysz – mówił dalej. – A choć pod wieloma względami jestem odrażającą istotą, choć mam niezwykłe, zapewne wręcz złe potrzeby, wierzę, że nie zasługuję na to, by wykorzystano mnie w taki sposób. Może i jestem człowiekiem bez sumienia, lecz po tobie, moja droga męczennico, bym się tego nie spodziewał.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę Temperance po prostu się na nie gapiła. Pragnęła pobiec za nim, przeprosić, wytłumaczyć, powiedzieć słowa, których nie umiała wyrzec wcześniej, lecz była naga. Spojrzała na narzutę, która zsunęła jej się na łono.

Pospiesznie wstała i zaczęła się ubierać, ale halka zaplątała jej się na głowie i Temperance nie mogła znaleźć drugiej pończochy. Do chwili, gdy wetknęła we włosy dość szpilek, żeby utrzymać je nad karkiem, minęło pół godziny, a on nadal nie wrócił.

Otworzyła drzwi i wymknęła się na korytarz. W domu panowała niesamowita cisza, a Temperance uzmysłowiła sobie, że nie ma pojęcia, dokąd mógł się udać. Może do gabinetu? Czy miał prywatną bawialnię albo

bibliotekę? Podążyła korytarzem, zaglądając do pokoi. W końcu olśniło ją, że biblioteki należy szukać raczej na innej kondygnacji, i powędrowała schodami w dół.

Główny hol był oświetlony, a kiedy tam dotarła, zobaczyła stojących obok siebie Smalla i kamerdynera.

– Widzieli panowie lorda Caire'a? – zapytała, świadoma, że pąsowieje.

Co też musieli o niej myśleć ci dwaj służący – samotna kobieta, z włosami wymykającymi się z upięcia, w domu nieżonatego dżentelmena?

Ale jej skrępowanie umknęło, gdy usłyszała odpowiedź Smalla.

– Pan wyszedł, proszę pani.

– O! – Temperance popatrzyła tępo przed siebie. Czy jej towarzystwo do tego stopnia wzbudzało w nim wstręt, że opuścił własny dom?

– Lord Caire zostawił instrukcje, by podstawić dla pani karetę. – Oblicze Smalla było wyzutą z emocji maską dobrego służącego, ale w jego oczach malowało się współczucie.

Temperance raptem zachciało się płakać. Czy to już tyle? Czy wszystko, co zaistniało między nią a Caire'em, dobiegło końca?

Przygryzła wewnętrzną stronę policzka. Nie załamie się – przynajmniej nie w tej chwili.

– Dziękuję. To bardzo… miło ze strony lorda Caire'a.

Small ukłonił się jej, jakby była prawdziwą damą, nie zaś córką browarnika, którą dopiero co porzucił arystokratyczny kochanek. Wyszła w blask późnego popołudnia i zstąpiła po schodach z całym dostojeństwem, jakie zdołała z siebie wykrzesać. Jednakże we wnętrzu wielkiej karety, kiedy zatrzaśnięto drzwi i znalazła się całkiem sama, z dala od ciekawskich oczu, przygarbiła się gwałtownie. Wcisnęła się w kąt, kołysząc się na miękkiej skórze siedzenia, gdy pojazd toczył się ulicami Londynu.

Przez całe życie myślała o sobie jako o człowieku zasadniczo dobrym. Jej upadek z mężczyzną, który ją uwiódł, wywołał szok. Wiedziała, że pobłądziła z powodu jakieś skazy w sobie samej, i sądziła, że był nią jej przytłaczający popęd seksualny. Co jednak, jeśli stanowił on zaledwie symptom znacznie większego grzechu?

Co, jeśli jej prawdziwą wadą była pycha?

Niewidzącym wzrokiem spoglądała na przemykający za oknem Londyn i rozmyślała o swoim małżeństwie, tak dawno temu. Benjamin był protegowanym jej ojca, mężczyzną cichym i nad wiek poważnym. Swego

czasu uczył się na duchownego, gdy jednak spotkał jej ojca, był już klepiącym biedę nauczycielem. Ojciec zaproponował mu pracę w przytułku i pokój u nich w domu. Temperance liczyła sobie wtedy szesnaście lat – była taka młoda! Benjamin, dojrzały, o przyjemnej aparycji, cieszył się aprobatą jej ojca. Poślubienie go wydawało się czymś naturalnym.

Czuła się dostatecznie szczęśliwa w małżeństwie, nieprawdaż? Z pewnością tak, ponieważ Benjamin był dobrym człowiekiem, sympatycznym i miłym. Jak również delikatnym w małżeńskim łożu – przy tych paru okazjach, gdy uległ namiętności. Benjamin wierzył, że miłość fizyczna jest świętym aktem między mężem a żoną. Czymś, czemu należy oddawać się z rozwagą i nie nazbyt często. W rzeczy samej, jedyny raz, kiedy wydawał się niemal poirytowany Temperance, zdarzył się wtedy, gdy zasugerowała, że mogliby częściej praktykować ich fizyczną więź. Dał wówczas jasno do zrozumienia, że kobieta, która szuka seksu, zasługuje na współczucie.

Wiedziała, nawet wtedy, że coś jest nie tak z jej charakterem. Że ma popędy, których należy pilnować. A mimo to, kiedy pojawiła się pokusa, uległa jej bez walki. John, młody prawnik, wynajmował pokój w domu obok. Temperance zmarszczyła brwi. Gdy teraz usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądał, pamiętała tylko jego bardzo owłosione dłonie. W tamtym czasie jej młodsza wersja uznała to za ekscytujące świadectwo męskości. Sądziła, że zakochała się namiętnie, tragicznie i zgubnie, które to emocje wówczas pochłaniały ją całkowicie, a dziś ledwie ostały się w jej pamięci. Z popołudnia swego upadku Temperance zapamiętała myśl, że umrze – fizycznie rozchoruje się i umrze – jeśli nie położy się z Johnem.

Zatem zrobiła to i jej życie się rozsypało.

Wróciła z obskurnego pokoju, który wynajął dla nich John, i znalazła Benjamina – poważnego, przystojnego Benjamina – wydającego ostatnie tchnienie. Koła ogromnego wozu browarniczego zmiażdżyły mu klatkę piersiową. Nie odzyskał przytomności przed śmiercią. Temperance nie pamiętała wiele z tego, co działo się potem. Jej rodzina zajęła się pogrzebem, troszczyła się o nią i pocieszała. Kilka tygodni później Temperance dowiedziała się, że John wyprowadził się z wynajmowanego pokoju, nawet się z nią nie pożegnawszy.

Nic jej to nie obeszło.

Od tamtego czasu pilnie ukrywała swój grzech – i pokusę żądzy. Czyżby w trakcie stała się hipokrytką? Szukała pocieszenia w ramionach Caire'a, ale na tyle zaabsorbowały ją własne demony, że nawet nie pomyślała o jego uczuciach.

Caire miał rację. Wykorzystała go. Na tę myśl aż ją skręciło, zapragnęła wyładować się na kimś – obwinić Wintera o jego załamanie, obwinić Johna o uwiedzenie jej tak dawno temu, obwinić Silence o jej głupią waleczność, obwinić Caire'a o jego umizgi – w istocie obwinić wszystkich oprócz siebie samej. Nienawidziła wiedzy, że jest tak nikczemna. Miał rację. Wykorzystała go dla osiągnięcia seksualnej przyjemności i nie wystarczyło jej nawet odwagi, by przyznać to przed sobą.

I jakimś sposobem, wykorzystując go, zraniła go tak bardzo, że uwierzył, iż seks z nim uważa za upadlający.

Kusiło ją, by się usprawiedliwiać. Zwalczyła jednak wszystkie wykręty, kłamstwa i uniki. Przysięgła sobie dwie rzeczy: po pierwsze, że ocali przytułek. I po drugie, że znajdzie sposób na uleczenie rany, jaką zadała Lazarusowi. Znajdzie sposób, by się przed nim otworzyć, nawet gdyby sama miała zostać zraniona, ponieważ była mu to winna. Ponieważ jeśli tego nie zrobi, nigdy go nie odzyska. Czy mogła mu wyznać, co czuje? Nie była tego dłużej pewna. Spociła się na samą myśl, że miałaby głośno wyrazić swoje uczucia.

Ale było coś, co mogła zrobić.

Wstała i mocno zapukała w dach karety.

– Stać! Proszę się zatrzymać! Chcę pojechać pod inny adres. Chcę złożyć wizytę panu St. Johnowi.

* * *

Lazarus nigdy nie myślał o sobie jako o kimś, kogo łatwo kochać. Nie powinno go więc szokować, że Temperance, w rzeczy samej, go nie kochała. Nie, nie doznał szoku… ale byłoby miło, gdyby darzyła go choć odrobiną uczucia.

Dumał nad tym przyprawiającym o mdłości łaknieniem, kiedy prowadził swego czarnego wałacha przez poranny londyński ścisk dzień po tym, jak wyszedł, porzucając Temperance. Najwyraźniej kiełkujące w nim emocje

wywołały także nowe pragnienie: palącą potrzebę bycia kochanym. Cóż za banał. A jednak, banał czy nie, nie potrafił niczego nakazać swemu sercu.

Uśmiechnął się półgębkiem bez rozbawienia. No cóż, widocznie mimo wszystko nie różnił się od innych mężczyzn.

Karosz się spłoszył i Lazarus podniósł wzrok. Poszukiwany przezeń tego ranka adres znajdował się stosunkowo niedaleko jego rezydencji. Plac, na który wprowadził teraz konia, był nowy, domy wyglądały dostojnie i tak elegancko, że wynajęcie ich ani chybi kosztowało fortunę. Lazarus zsiadł z wałacha i podał wodze czekającemu chłopcu, wraz z szylingiem za fatygę. Wszedł po nieskazitelnie białych schodach i zapukał.

Pięć minut później wprowadzono go do gabinetu urządzonego zarazem zbytkownie i komfortowo. Obite ciemnoczerwoną skórą fotele były tak szerokie, że na każdym zmieściłoby się dwóch mężczyzn. Wśród książek panował nieład akurat na tyle duży, by sugerować, że istotnie się z nich korzysta, a zajmujące cały narożnik pokoju masywne biurko wypolerowano tak, że lśniło.

Lazarus spacerował po gabinecie, czekając na gospodarza. Kiedy drzwi w końcu się otworzyły, miał w dłoniach egzemplarz mów Cycerona.

Mężczyzna, który wszedł, nosił długą perukę. Zewnętrzne kąciki oczu, warg oraz dolne partie policzków obwisały mu, jakby ciągnięte w dół niewidzialnym sznurkiem, co nadawało jego obliczu przyjemny wygląd bloodhounda.

Spojrzał na Lazarusa i uniósł krzaczastą siwą brew na widok książki w jego dłoniach.

– Mogę panu w czymś pomóc? – spytał.

– Taką żywię nadzieję. – Lazarus zamknął i odstawił książkę. – Czy rozmawiam z lordem Hadleyem?

– W rzeczy samej, szanowny panie. – Hadley ukłonił się płytko i odgarniając poły kaftana, opadł ciężko na jeden ze skórzanych foteli.

Lazarus skłonił głowę, po czym usiadł naprzeciw gospodarza.

– Lazarus Huntington, lord Caire – przedstawił się.

Hadley wyczekująco uniósł brew.

– Liczyłem, że zdoła mi pan pomóc – rzekł Lazarus. – Mamy… lub raczej mieliśmy… wspólną znajomą: Marie Hume.

Wyraz twarzy Hadleya się nie zmienił.

Lazarus przekrzywił głowę.

– Blondynka, specjalizowała się w pewnych formach rozrywki.

– Jakich?

– Sznur i kaptur.

– Aha. – Hadley nie wydawał się ani trochę zakłopotany ekscentrycznym zwrotem w rozmowie. – Kojarzę dziewczynę. Przedstawiała się jako Marie Pett, kiedy była ze mną. Odniosłem wrażenie, że umarła.

Lazarus przytaknął.

– Zamordowano ją w domu w St. Giles prawie trzy miesiące temu.

– Szkoda – stwierdził Hadley – nie rozumiem jednak, jak to się wiąże ze mną.

Lazarus skłonił głowę.

– Chcę znaleźć mordercę.

Po raz pierwszy od przybycia Caire’a Hadley okazał cień emocji: zaciekawienie. Wyjął z kieszeni emaliowany pojemniczek, wystukał z niego szczyptę tabaki, wciągnął ją nosem i kichnął. Wydmuchał nos i potrząsnął głową, chowając chusteczkę.

– Dlaczego?

– Dlaczego co? – Lazarus uniósł brwi.

– Dlaczego chce pan znaleźć mordercę tej dziewczyny.

– Była moją kochanką.

– I? – Hadley obracał w palcach tabakierkę. – Wie pan, w czym się specjalizowała, zakładam więc, że korzystał pan z jej usług w tym samym celu co ja. Szkoda, jak mówiłem, że nie żyje, ale są inne kobiety gotowe zaspokoić nasze szczególne potrzeby. Po cóż kłopotać się szukaniem jej zabójcy?

Lazarus zamrugał. Nikt dotąd nie zadał mu tego pytania, formułując je w taki sposób.

– Ja… spędziłem z nią trochę czasu. Z Marie.

– Kochał ją pan?

– Nie, nie kochałem. Ale była żywą istotą. Jeśli nie znajdę jej zabójcy, nie odpłacę mu za jej śmierć, będzie tak, jakby dla nikogo się nie liczyła. A wtedy…

A wtedy co?

Niemniej Hadley dokończył zdanie za niego:

– Jeśli zaś Marie nie liczy się dla nikogo, wówczas pan być może także? My obaj dla nikogo się nie liczymy. Jesteśmy zaledwie samotnymi istotami

kultywującymi dziwaczną odmianę kontaktów międzyludzkich i nie zależy na nas absolutnie nikomu.

Usłyszawszy to, Lazarus wpatrywał się w mężczyznę z lekka osłupiały.

Hadley się uśmiechnął, przez co na jego policzkach pojawiły się liczne obwisłe zmarszczki.

– Miałem nieco więcej czasu od pana, żeby to sobie wykoncypować.

Lazarus skinął głową.

– Zna pan jakieś inne osoby, które ją odwiedzały?

– Poza tą gnidą, którą nazywała bratem?

– Tommym?

– A jakże, Tommy. – Hadley ściągnął usta w ciup, która to mina nie dodawała mu atrakcyjności. – Tommy szwendał się tam prawie zawsze, gdy odwiedzałem nadobną Marie. Kiedyś przyszedł ze starszą kobietą. Nosiła czerwoną kurtkę mundurową. Robiła podłe wrażenie, lecz jak mówiłem, nie zaprzątałem sobie nadmiernie głowy prywatnym życiem Marie.

– Ach tak? – Lazarus zmarszczył brwi.

Tommy twierdził, że rzadko odwiedzał siostrę. Najwyraźniej kłamał. I jak była w tę sprawę zamieszana Matka Pocieszycielka? Ona i jej spelunka zdawały się czaić za każdym zakrętem.

– Czy panu pomogłem? – zagadnął uprzejmie Hadley. – Nigdy nie spotkałem żadnego jej klienta.

– Istotnie mi pan pomógł. – Lazarus wstał. – Dziękuję, milordzie, za poświęcony czas i szczerość.

Hadley wzruszył ramionami.

– Żaden kłopot. Miałby pan chęć zostać na kieliszek wina?

Lazarus się ukłonił.

– Dziękuję, ale jestem już umówiony. Może przy innej okazji?

Był to zaledwie uprzejmy gest i obaj mężczyźni zdawali sobie z tego sprawę. Przez twarz Hadleya przemknął dziwny wyraz, zniknął wszakże, nim Lazarus zdołał go odcyfrować.

– Oczywiście. – Hadley wstał. – Życzę miłego dnia.

Lazarus ukłonił się znowu, po czym skierował do drzwi gabinetu. Tam jednak przystanął pod wpływem pewnej myśli. Odwrócił się, żeby spojrzeć na starszego mężczyznę.

– Czy mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie?

Hadley zachęcił go gestem.

– Jest pan żonaty?

Ten sam wyraz przesunął się przez oblicze Hadleya, pogłębiając na nim każdą zmarszczkę.

– Nie, szanowny panie. Nigdy się nie ożeniłem.

Lazarus ukłonił się raz jeszcze, świadom, że pogwałcił granice uprzejmości. Sam odnalazł drogę do wyjścia z tej eleganckiej, kosztownej rezydencji. Kiedy jednak stanął w blasku poranka, zastanowił się, czy samotność także na jego rysach odcisnęła swe piętno?

* * *

Nazajutrz rano Silence stała przed przytułkiem i uśmiechała się. Nie, nie do końca. Popatrzyła w ziemię i spróbowała znowu, czując ruch mięśni na policzkach. Dziwne. Czynność, która zaledwie kilka dni temu była tak naturalna jak, no cóż, uśmiechanie się, teraz stała się dla niej do tego stopnia obca, że Silence wahała się, czy wykonuje ją prawidłowo.

– Boli panią ząb, psze pani?

Silence podniosła wzrok na cokolwiek umorusaną twarz podopiecznego przytułku. Josepha Smitha? A może Josepha Jonesa? Dobry Boże! Dlaczego jej brat i siostra postanowili nazywać wszystkich chłopców Josephami Jakimiśtam, a wszystkie dziewczynki Mary Jakąkolwiek? Czy całkiem oszaleli?

Niemniej chłopiec nadal wpatrywał się w nią z brudnym palcem w buzi.

– Nie rób tak – rzuciła ostro, zaskakując ich oboje.

Dotąd nigdy nie zganiła żadnego z dzieci, ostro czy w ogóle.

Chłopiec natychmiast wyjął palec z buzi i obserwował ją teraz z pewną dozą nieufności.

Silence westchnęła.

– Jak się nazywasz?

– Joseph Tinbox.

Zmarszczyła nos.

– Dlaczego nazwali cię akurat tak?

– Bo jak tu przyszłem – odparł chłopiec – miałem blaszane pudełko przywiązane do ręki.

– Oczywiście – wymamrotała Silence, darując sobie uśmiechy. – No cóż, Josephie Tinbox, przyszłam do pani Dews. Wiesz przypadkiem, gdzie ona jest?

– Tak, psze pani – odparł Joseph.

Odwrócił się, otworzył drzwi przytułku – tego popołudnia najwyraźniej niezamknięte na klucz – i wprowadził ją do domu. Z kuchni dobiegały odgłosy świadczące o wielkim zamieszaniu, a kiedy Silence tam weszła, ujrzała Temperance, z włosami opadającymi na uszy, zarządzającą czystym chaosem. W kącie stała grupa chłopców, którzy na przemian to śpiewali wysokimi, anielskimi głosami, to znów wymierzali sobie nawzajem kuksańce, kiedy Temperance albo Nell nie patrzyły. Nell nadzorowała cotygodniową kąpiel, podczas gdy przy palenisku trzy dziewczynki pilnowały wielkiego kotła, z którego unosiła się para.

Akurat w chwili, gdy Silence weszła, Temperance odwróciła się i odgarnęła z twarzy pukiel kręconych włosów.

– Silence! Och, niebiosom niech będą dzięki! Przyda mi się dzisiaj twoja pomoc.

– O. – Silence w niejakim oszołomieniu rozejrzała się po kuchni. – Naprawdę?

– Tak, naprawdę – odparła stanowczo Temperance. – Winter nadal jest chory. Mogłabyś zanieść mu na górę tę tacę?

– Winter jest chory? – Silence machinalnie wzięła tacę.

– Tak. – Temperance ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na śpiewających chłopców. – Jeszcze raz od początku, proszę. I, Josephie Smith, dobrze ci radzę, przestań popychać Josepha Little’a. Tak – powtórzyła, patrząc znów na Silence. – Zapomniałam ci powiedzieć, prawda? Och, tyle się wczoraj wydarzyło. Po prostu zanieś mu jedzenie i pod żadnym pozorem nie pozwól wstać z łóżka.

Temperance miała wielce surową minę i Silence kusiło, żeby zasalutować, ale rozsądnie się powstrzymała. Wyszła prędko z kuchni i wspięła się do pokoju Wintera na poddaszu. Niewykluczone, że Temperance nawiedziła prorocza wizja, gdy bowiem Silence pchnęła drzwi, przyłapała Wintera na zakładaniu spodni.

Czy też próbach ich założenia.

Jej najmłodszy brat, blady i spocony, padł na łóżko, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

– Czy mężczyzna nie może już liczyć na odrobinę prywatności? – sarknął, nietypowo rozeźlony.

– Nie, jeśli usiłuje zbiec. – Silence umieściła tacę na stoliku przy łóżku, gdzie ta balansowała niebezpiecznie na stercie książek. – Przykro mi.

– Czyli ci powiedziała? – spytał ponuro Winter.

– Że jesteś chory? Tak.

Silence ze współczuciem zmarszczyła nos. Temperance bywała despotyczna, aczkolwiek w tym przypadku Silence w pełni zgadzała się z siostrą. Winter wyglądał okropnie. Aby się ubrać, zdjął koszulę nocną, mogła więc policzyć żebra na jego nagim torsie. Pochylił się, by podnieść koszulę z podłogi, a wtedy się zatchnęła.

Wyprostował się pospiesznie, ale i tak zobaczyła już długie rozcięcie na jego plecach.

– Dobry Boże! Skąd to masz?

Wciągnął przez głowę koszulę nocną. Gdy jego twarz znów się ukazała, miał krzywą minę.

– To nic takiego, naprawdę. Proszę, nie mów Temperance, będzie tylko bardziej się zamartwiać.

Silence zmarszczyła czoło.

– Ale skąd masz tę ranę? Wygląda jak od noża.

– Nic z tych rzeczy. Upadłem. – Wydawał się zażenowany. – Niedawno na ulicy. Obawiam się, że poleciałem na koło u wozu i żelazo rozcięło mi kaftan.

– Dziwne. Wygląda dokładnie tak, jakby ktoś ciął cię nożem… albo szablą. – Silence usiłowała spojrzeć ponad jego barkiem, ale z nieznacznym grymasem oparł się o poduszki. – Oczyściłeś ranę?

– Wszystko w porządku. Naprawdę. – Uśmiechnął się szelmowsko i rozbrajająco. – Przyznaję, że na początku trochę zaniedbałem sprawę i pewnie stąd moje omdlenie, niemniej teraz rana goi się, jak należy.

– Ale…

– Naprawdę, Silence – wszedł jej w słowo. – Powiedz mi lepiej, co u ciebie.

– Och. – Ostrożnie przeniosła mu tacę na kolana, upewniając się, że stoi na tyle stabilnie, by nic się nie rozlało. – No cóż, William znów pożeglował.

Winter podniósł wzrok znad łyżki z zupą.

– Tak prędko?

Umknęła spojrzeniem, biorąc się za wygładzanie pościeli na łóżku.

– Kapitan jakiegoś statku niespodziewanie zachorował. William zapewnił mnie, że dobrze mu zapłacą za szybki powrót na morze.

– Aha – mruknął niezobowiązująco Winter.

– A poprzedniego wieczoru byłam na obiedzie u Concorda i odnosił się do mnie zimno. Asa również miał przyjść, ale się nie zjawił. Nie przysłał nawet przeprosin. – Silence podniosła poduszkę, żeby ją spulchnić. – Nie będzie ci się to mieścić w głowie, ale Concord insynuował, że pan O'Connor mnie uwiódł, mimo iż powiedziałam mu, że zwyczajnie tak się nie stało. On mi chyba nie wierzy, Winterze. I wydaje mi się, że Temperance także mi nie wierzy.

Widocznie zbyt mocno uderzyła poduszkę, ponieważ z rogu buchnął obłoczek pierza.

– Rozumiem – rzekł wolno Winter, mierząc wzrokiem zniszczoną poduszkę.

– Przepraszam. – Silence odłożyła poduszkę z powrotem na łóżko i przyklepała ją delikatnie. – Ale ty mi wierzysz, prawda? Wiesz, że pan O'Connor mnie nie tknął, że poprosił mnie tylko, abym spędziła u niego noc. I tak zrobiłam. Rzeczywiście spędziłam noc w jego pokoju, ale nic, zupełnie nic nie zaszło. Wierzysz mi, Winterze?

Stała, chroniąc się za skrzyżowanymi na piersiach ramionami, i wpatrywała się w niego niespokojnie.

– Wierzę – odparł powoli Winter – że jesteś moją siostrą i bez względu na to, co się stało, nadal będę cię kochał i wspierał.

– Och – szepnęła, a w oczach wezbrały jej głupie łzy.

Ponieważ była to najsłodsza rzecz, jaką Winter mógł powiedzieć – i zarazem najokropniejsza. Oczywiste, że on również jej nie wierzył.

– Silence…

– No dobrze – powiedziała, nie patrząc na niego; nie mogła, bo jeszcze wybuchnęłaby płaczem albo go uderzyła, przy czym ani jedno, ani drugie nie wydawało się wskazane. – Zejdę sprawdzić, czy Temperance potrzebuje mojej pomocy w kuchni.

– Silence! – zawołał, kiedy zmierzała do drzwi.

Nie odwróciła się, wbijając wzrok w swoją dłoń ułożoną na gałce.

– Co? – spytała gburowato.

– Myślałaś kiedykolwiek o tym, żeby pomagać nam tutaj bardziej regularnie?

Pytanie tak zaskoczyło Silence, że popatrzyła na Wintera.

Spoglądał na nią z powagą.

– Przydałaby się nam twoja pomoc, wiesz?

– Dlaczego? – szepnęła.

Zamrugał i opuścił wzrok na talerz z zupą.

– Sądzę, że przyniosłoby to korzyść zarówno tobie, jak i nam.

Uważał, że jest zrujnowana. Uzmysłowiła sobie ten fakt tak nagle i był on tak niepożądany, że Silence odebrało mowę.

Winter popatrzył jej w oczy z żalem i smutkiem.

– Proszę, chociaż o tym pomyśl.

Przytaknęła chwiejnie i szybko wyszła, nie udzielając odpowiedzi. Nie mogła.

Nikt nie wierzył, że opuściła sypialnię Mickeya O’Connora nietknięta. Ani sąsiedzi, którzy szeptali, kiedy ich mijała. Ani sprzedawcy, którzy odwracali się plecami i udawali, że są zajęci, kiedy wchodziła do ich sklepów. Ani William, który milczał, kiedy przyglądała się, jak się pakuje i opuszcza dom. Ani Asa, ani Concord, ani Verity, ani nawet Temperance czy Winter. Nawet jej własna rodzina sądziła, że Silence skłamała, by ukryć jakiś potworny grzech.

Nie wierzył jej nikt na całym świecie.

Rozdział 18

Polecenie rozbawiło Króla Zamknięte Serce.
– Jeśli otworzę klatkę, ptak wyleci.
– Jeśli Wasza Królewska Mość chce się dowiedzieć, czym jest miłość, musi otworzyć drzwi klatki – odparła Meg.
Zatem król otworzył klatkę niebieskiego ptaszka. Ptaszek natychmiast z niej wyfrunął, a potem przez otwarte okno wyprysnął z sali.
Król popatrzył na Meg z uniesioną brwią.
– Moim zdaniem dowiedziałem się jedynie tego, jak stracić ptaka.
– Doprawdy? – spytała. – Co Wasza Królewska Mość czuje?
Król zmarszczył czoło.
– Stratę. Pustkę…
– z „Król Zamknięte Serce”

– Zatem pańskim zdaniem możemy to zrobić?

Pani Dews nachyliła się ku niemu z rozpromienioną twarzą i zapałem w tych nadzwyczajnych brązowych oczach.

St. John przytaknął, zadziwiony jej witalnością. Jakże mógłby się nie zdumiewać? Tak skrajnie kontrastowała z bezruchem Clary na piętrze.

Odepchnął od siebie tę paskudną myśl i skupił się na udzieleniu odpowiedzi na jej pytanie.

– Tak. Tak, oczywiście. Poleciłem już mojemu sekretarzowi, żeby rozesłał zaproszenia na zwiedzanie przytułku.

Pani Dews przygryzła wargę.

– Ile osób pan zaprosił?

– Nieco ponad setkę.

– Och!

Siedziała nieruchomo, z otwartymi szeroko oczami, ale jej dłoń wysunęła się dyskretnie i zacisnęła na nadgarstku pokojówki, kobiety imieniem Nell.

St. Johna zaskoczyła obecność pokojówki podczas tej, drugiej już, wizyty pani Dews u niego w domu. Za pierwszym razem przybyła sama, nieomal wibrując z podekscytowania swoim pomysłem: otworzyć Przytułek dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków dla zwiedzających, w nadziei na zainteresowanie nim potencjalnego patrona. Plan był śmiały, lecz zarazem sprytny. Oglądanie nieszczęśników, czy to w więzieniach, szpitalach, czy domach dla obłąkanych uchodziło w Londynie za ostatni krzyk mody. Większość gości przybywała jedynie po to, żeby pogapić się i pośmiać z błazeństw tych biedaków, niemniej wielu wnosiło także datki na rzecz instytucji dobroczynnych, które wizytowali.

– To sporo ludzi – skomentowała pani Dews, puszczając rękę pokojówki.

– Tak, ale to same najlepsze rody… takie, które postrzegają działalność dobroczynną jako aktualnie modną. – St. John znacząco uniósł brew.

– Właśnie. Tak, oczywiście.

Pani Dews wygładziła dłonią czarne spódnice. Ta dłoń lekko drżała i St. Johna ogarnęło przemożne pragnienie, by przejść przez bibliotekę i pocieszyć gościa.

– Sądzi pani, że zdążycie się przygotować? – zapytał, splatając ręce za plecami.

– Raczej tak – odparła, przy czym chyba poczuła ulgę z powodu zmiany tematu. – Wyszorowaliśmy już ściany i podłogi. Winter cały czas słucha, jak dzieci recytują z pamięci wiersze, a Nell zajmuje się reperacją ich ubrań.

– Dobrze, dobrze. Polecę kucharce, żeby dzień wcześniej przygotowała dużo ponczu i upiekła piernik, by dostarczyć je rankiem w wyznaczonej dacie.

– Och, ale zrobił pan już tak wiele! – wykrzyknęła pani Dews. – Nie chcę, żeby z mojego powodu narażał się pan na wydatki.

– To dla dzieci – przypomniał jej łagodnie St. John. – Czułbym się jak ostatni głupiec, gdybym nie wniósł nic do naszego skromnego planu. Naprawdę, proszę o tym nie wspominać.

– W takim razie… – Uśmiechnęła się do niego nieśmiało; jej oczy były tak pełne życia.

Jak Caire mógł dopuścić, żeby ta kobieta wyślizgnęła mu się z rąk, to przekraczało zdolność pojmowania St. Johna. Odwrócił się prędko, udając, że spogląda na porcelanowy zegar na obudowie kominka.

– Jeśli to na dzisiaj wszystko?

– O! Och, oczywiście – powiedziała zza jego pleców, jakby lekko zraniona. – Nie zamierzam zajmować panu czasu, panie St. John. Tak bardzo pan już pomógł mnie i przytułkowi.

Zacisnął szczękę, by nie zacząć bełkotać przeprosin. Ukłonił się odrobinę sztywno.

– Życzę miłego dnia, pani Dews.

Wyszła wówczas, dygnąwszy z wdziękiem, i tylko pokojówka posłała mu przez ramię zaciekawione spojrzenie. Poczekał, aż zamknęły się drzwi biblioteki, a następnie podszedł do okna z widokiem na ulicę. Przyglądał się, jak ona przecina ulicę lekkim, pełnym wdzięku krokiem, jedną ręką przytrzymując czepek, ponieważ dzień był wietrzny. Pokojówka szła obok niej, nie zaś z tyłu, i najwyraźniej rozmawiały. Jej odziana na czarno postać stawała się coraz mniejsza, aż wreszcie wtopiła się w londyński tłum.

St. John wypuścił z palców zasłonę.

Rozejrzał się po bibliotece, lecz pomimo książek, gazet i bałaganu, po jej wizycie zrobiło się tu pusto i samotnie. Opuścił pokój i wszedł po schodach na drugie piętro. Nieczęsto odwiedzał Clarę o tej porze; przeważnie sypiała dłużej po jak zawsze niespokojnej nocy. Dzisiaj wszakże odkrył, że nie potrafi utrzymać się z dala. Gdzieś w głębi wiedział, że nastanie taki dzień – być może wkrótce – kiedy nie będzie mu już dane wspiąć się po schodach, by ją zobaczyć.

St. John zapukał do drzwi, a następnie je uchylił. W fotelu przy łóżku stara pokojówka, stała towarzyszka Clary, podniosła wzrok, po czym wstała i podeszła do kominka, żeby zająć się ogniem.

Zbliżył się do łóżka i spojrzał w dół. Widocznie Clarze dopiero co umyto włosy, rozpościerały się bowiem na białej poduszce niczym lśniący sztandar. Ciemnobrązowe loki z rudawym połyskiem były teraz przetykane siwizną. Pogłaskał je odruchowo. Powiedziała mu kiedyś, że są jej największym atutem, jego zaś zdumiało, że damy myślą o sobie w ten sposób. Zdumiało i czule rozbawiło.

– Godric – szepnęła.

Popatrzył w dół i odkrył, że jej brązowe oczy go obserwują. Niegdyś były równie piękne jak u pani Dews. Teraz nieustannie wypełniał je ból.

Nachylił się i ostrożnie musnął pocałunkiem jej szerokie czoło.

– Claro.

Uśmiechnęła się, jej blade wargi wygięły się zaledwie odrobinę.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Głębokiej i trwałej tęsknocie – wyszeptał jej do ucha – za widokiem najpiękniejszej kobiety na świecie.

Roześmiała się, zgodnie z jego zamysłem, potem jednak ten łagodny dźwięk przeszedł w ostry, suchy kaszel, który wstrząsał jej ciałem. Pielęgniarka pospieszyła do łóżka.

St. John odstąpił, z bolesną cierpliwością obserwując, jak spazmy Clary ustają stopniowo. Kiedy wreszcie atak dobiegł końca, włosy lepiły jej się od potu, a twarz miała bielszą niż poduszka, niemniej spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

Z trudem przełknął ślinę przez ściśnięte gardło.

– Przepraszam, że zakłóciłem ci odpoczynek. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że cię kocham.

Wyciągnęła do niego drżącą dłoń.

Chwycił ją i przyglądał się, gdy samym ruchem warg odpowiadała:

– Wiem.

St. John zmusił się do uśmiechu, zanim odwrócił się i opuścił sypialnię żony.

* * *

Upłynął blisko tydzień, gdy późnym popołudniem Temperance zapukała do drzwi Polly. Teraz, kiedy Winter wyzdrowiał, ona i Mary były ciągle w biegu, przygotowując przytułek na zwiedzanie, koniecznie jednak chciała zajrzeć dzisiaj do mamki.

Polly otworzyła drzwi ze śpiącą Mary Hope na ręku i szalem przerzuconym przez ramię.

– Zapraszam, pani Dews, Mary Whitsun. No jakże sie cieszę z wizyty.

– Czy Mary Hope czuje się lepiej? – szepnęła Temperance, wchodząc do ciasnego pokoiku.

Dzieci Polly spały razem na łóżku. Mary Whitsun podeszła tam na palcach, żeby poprawić koc, który jedno z nich skopało.

– A jakże. – Mamka rozpromieniła się, spoglądając na niemowlę. – Gorączka poszła w czorty i tera dzieciak mocno cycka. Chyba przeżyje,

psze pani.

– Och, dzięki Bogu. – Temperance westchnęła i z ulgą zamknęła oczy.

Dzieci umierały tak często. Miłą niespodziankę stanowiło, że znalazło się takie, które pokonało gorączkę w równie młodym wieku.

Nie żeby Mary Hope nic już nie groziło.

– A twoje dzieci?

– Nie zaraziły sie, dzięki Najwyższemu – odparła Polly. – Zdrowe jak szczeniaki, a jakże.

– Dziękuję, Polly. – Temperance zanotowała w myślach, by wynagrodzić mamkę.

– Potrzymie ją pani? – spytała mamka. – Dopiero co zasneła, a ja żem jeszcze nie miała chwili, coby sie ogarnąć.

Wyciągnęła ku niej niemowlę, a Temperance przypomniała sobie słowa Lazarusa – że widział, jak ona wzdraga się przed dotknięciem dziecka. Zawahała się jedynie sekundę, po czym przejęła ciepłe zawiniątko. Mary Whitsun zajrzała jej przez ramię i obie z zachwytem patrzyły na maleńkie paluszki, rozczapierzone na różowym policzku. Do oczu Temperance napłynęły łzy.

– Wszystko dobrze, psze pani? – zapytała z troską Polly, upychając szal pod stanik.

– Tak – wymamrotała Temperance, ocierając policzek o ramię. – Po prostu tak niewiele brakowało.

– Ano prawda – stwierdziła swobodnie mamka, zabierając z powrotem dziecko.

– Nie ma sensu ich nie kochać, czyż nie? – wyszeptała Temperance.

Zerknęła na Mary Whitsun, która nie przestawała wpatrywać się z zachwytem w maleńką twarzyczkę niemowlęcia.

– Ano, głupio nawet próbować – odparła Polly. – Raz się spojrzy w taką małą buzię i człowiek zgubiony, no nie?

– Tak, w rzeczy samej.

Temperance życzyła Polly dobrej nocy i delikatnie zamknęła za sobą drzwi jej pokoju. Kiedy podniosła wzrok, odkryła, że Mary Whitsun się jej przygląda.

– Czy dziecko przeżyje, psze pani?

Temperance się uśmiechnęła.

– Tak sądzę, Mary.

– Bardzo się cieszę – powiedziała markotnie Mary.

Z hałasem zeszły po rozklekotanych schodach i opuściły budynek. Temperance niespokojnie spojrzała w niebo. Słońce chyliło się ku zachodowi.

– Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć do domu przed zmrokiem.

Mary drobiła kroki u jej boku.

– Czy to prawda, że po zmroku wychodzi Duch St. Giles i poluje na dziewczęta?

– Gdzie to słyszałaś?

Mary zwiesiła głowę.

– Od pomocnika rzeźnika. Czy to prawda?

Temperance zmarszczyła brwi.

– Pewnym dziewczętom stała się krzywda, tak. Ale nie masz powodu się martwić, dopóki przebywasz w przytułku, zwłaszcza nocą.

– A pani zostanie w domu?

Temperance spojrzała na Mary. Dziewczynka wbijała wzrok w ziemię, kiedy szły.

– Muszę załatwiać różne sprawy, naturalnie…

– Ale jeśli inne niemowlę będzie potrzebować pomocy nocą? – Mary zagryzła wargę.

– Moja praca polega na pomaganiu sierotom z St. Giles – powiedziała łagodnie Temperance. – Co by się stało z Mary Hope, gdybym po nią nie poszła?

Mary nic nie odrzekła.

– Ale prawie się nie zdarza, żebym musiała urządzać wycieczki po zmroku – dodała z werwą Temperance. – Naprawdę, nie ma powodu do zmartwienia.

Mary po chwili przytaknęła, lecz nadal wyglądała na niespokojną.

Temperance westchnęła, żałując, że nie może uspokoić Mary, dopóki jednak morderca pozostawał na wolności, byłoby o to trudno.

Kiedy dotarły do przytułku, znów czekała na nie praca i Temperance posłała Mary Whitsun, żeby nadzorowała mniejsze dziewczynki, które myły ściany w sieni.

Gdy wreszcie Temperance ruszyła po schodach do swojej sypialni, było już bardzo późno. Przygotowania przez otwarciem przytułku dla zwiedzających okazały się wyczerpujące. Ilekroć sądziła, że dobiegają

końca, kolejne zadanie podnosiło głowę i musiała jakimś cudem się z nim uporać.

Skręciła na rozchwierutanych schodach, przyglądając się poręczy, która domagała się polerowania. Czy jednak poprawa jej wyglądu nie przekona aby potencjalnego patrona, że przytułkowi w gruncie rzeczy nie doskwiera brak funduszy? Ten dylemat towarzyszył każdej decyzji, jaką podejmowała w kwestii pucowania wnętrz. Krytykowała je po fakcie, mimo że Winter powtarzał jej swym cichym głosem, iż wykonuje świetną robotę i nie powinna się tak zamartwiać. A pod wszystkimi jej troskami krył się dokuczliwy smutek. Ujmując rzecz prosto, tęskniła za Caire’em. Przyłapała się na tym, że zastanawia się, co on by pomyślał o jej decyzjach, chciała przedyskutować z nim swoje problemy i małe radości. Chciała z nim być.

Ale tutaj zdrowo namąciła, czyż nie? Przygarbiła się na tę myśl, gdy pokonywała ostatni skręt starych schodów, docierając w końcu na najwyższe piętro. Uważał, że pragnęła go wyłącznie dla seksu, ona zaś z pewnością tęskniła za jego ciałem, jednak jej emocje obejmowały znacznie więcej.

Zatrzymała się u szczytu schodów z migocącą samotną świecą w dłoni i wreszcie zaakceptowała to, co wiedziała od początku. Czuła w związku z Caire’em o wiele więcej aniżeli tylko żądzę.

Łkanie uwięzło jej w gardle, nim zdołała je zdusić. Tak bardzo dokuczała jej samotność, zanim wkroczył w jej życie. Jego aktualna nieobecność jedynie podkreślała fakt, jak bardzo była samotna. Och, miała braci i siostry, dzieci i Nell, lecz nawet w relacjach z własną rodziną stała niejako z boku. Wyłącznie z Caire’em była sobą, ze wszystkimi swymi wadami. Widział jej potrzebę seksu, jej czasem niechrześcijańskie popędy oraz emocje i, dziw nad dziwy, nadal tak samo ją lubił. Tak samo jej pragnął. Bycie z nim okazało się takie wyzwalające! Świadomość, że przy nim może być sobą – w pełni – a on się od niej nie odwróci.

Rozejrzała się po ciemnym, zapyziałym korytarzu. Samotna. Była taka samotna.

* * *

Zwiedzanie trwało od pół godziny, nim Temperance uznała, że ogólnie rzecz biorąc, przebiega nieźle.

Początek był wyboisty, kiedy pierwsi goście – dama z gigantycznym piórem we włosach w asyście korpulentnego dżentelmena w długiej peruce, której farbowana czerń wypadała mało prawdopodobnie w zestawieniu z podstarzałą twarzą – pojawili się nieco za wcześnie, tuż przed piątą. Joseph Tinbox jako jedyny usłyszał pukanie do drzwi, a kiedy je otworzył, początkowo nie chciał wpuścić przybyłych, argumentując, że „przyszli za wcześnie, więc niech sobie idą i wrócą o właściwej porze”.

Na szczęście w tejże chwili nadeszła Nell, która szukała chłopca, i przyłapała go, zanim przepędził gości. Wylewne przeprosiny oraz dwa kubki ponczu pana St. Johna okazały się nader pomocne w kojeniu oburzenia rzeczonej pary. Potem szlachetnie urodzeni napływali miarowym strumieniem. Przybyło ich w istocie tak wielu, że w pewnym momencie wspaniałe karety zablokowały wylot Maiden Lane, wywołując nie lada zainteresowanie wśród okolicznych mieszkańców. Niektórzy wynieśli nawet krzesła i rozsiedli się wzdłuż ulicy, żeby oglądać paradę dostojników.

Tak, sprawy toczyły się nieźle, a jeśli wystarczy ponczu, Temperance zaś uda się powstrzymać Wintera przez zaangażowaniem się w polityczny spór z odzianym w ohydny żółty kaftan hałaśliwym młodym dżentelmenem, który uparcie wygłaszał rozmaite idiotyzmy, może nawet przetrwają ten dzień.

Temperance uśmiechnęła się i uścisnęła dłoń zażywnej damy w śliwkowej sukni, ta zaś głośno ulitowała się nad „tymi nędznymi stworzeniami”. Wychodziła i pomimo cokolwiek nieszczęśliwego doboru słów wydawała się szczerze poruszona sierocińcem.

– Kto to jest? – wymamrotała Nell za plecami Temperance.

– Nie wiem, ale tryska entuzjazmem – odszepnęła Temperance.

– Nie, nie ona. Tamta.

Temperance spojrzała ponad głowami gości i zobaczyła lady Caire, która ostrożnie stąpała po bruku z grymasem niesmaku na ustach. Miała na sobie całkowicie niestosowną suknię ze złotego oraz niebieskiego brokatu i wspierała się na ramieniu dżentelmena w rudej peruce i lawendowym kaftanie. Na widzach z Maiden Lane wywarła nie lada wrażenie, niejeden trącał łokciem sąsiada, kiedy przechodziła. Na szczęście pan St. John spostrzegł, że nadciąga, i przechwycił ją, by zaprezentować skądinąd

przygnębiające szczegóły architektoniczne budynku przytułku. Wiecznie wszakże nie zdoła jej przetrzymywać.

– O nie! – jęknęła Temperance.

– Co? Co?! – syknęła Nell, drżąc z ciekawości.

– To lady Caire – wymamrotała Temperance. – Koszmarne babsko.

Za nimi rozległ się stłumiony chichot.

Temperance odwróciła się i z przerażeniem odkryła, że nie są same. Lady Hero, w zachwycającej srebrzystoniebieskiej sukni, niepostrzeżenie weszła do niewielkiej sieni i, co gorsza, usłyszała jej komentarz.

– Och. Przepraszam – wymamrotała Temperance i zaczęła dyg, ale w pół drogi w dół zmieniła zdanie, nazbyt szybko wystrzelając z powrotem w górę. – Nie zamierzałam… to znaczy… aaa…

– Kiedy ona jest koszmarna – stwierdziła lady Hero z nieznacznym uśmiechem. – Jeśli wszakże da pani wiarę, nieraz słyszałam, jak rozprawia o doli biednych dzieci.

– Naprawdę? – spytała słabym głosem Temperance. Strzeliła spojrzeniem na ulicę. Lady Caire przystanęła, spierając się o coś ze swym towarzyszem. Temperance odwróciła się znów do lady Hero. – Czyli niewykluczone, że jest szczerze zainteresowana naszym przytułkiem?

– Tak mi się zdaje, tak. Podobnie jak ja – dodała dość nieśmiało lady Hero. – Wie pani, zostałam sierotą w wieku ośmiu lat.

– Tak mi przykro, nie wiedziałam.

Lady Hero zbyła przeprosiny machnięciem ręki.

– Stare dzieje. Ale znajdzie pani wiele dam w mniejszym lub większym stopniu zainteresowanych losem biednych dzieci.

– O! – brzmiała niezbyt elokwentna odpowiedź Temperance.

Nie przyszło jej na myśl, żeby szukać patronki. Jakimś sposobem przez cały czas nosiła w głowie obraz patrona takiego jak sir Stanley Gilpin – starszawego, zamożnego mężczyzny – podczas gdy zapewne powinna była skoncentrować się na aspekcie zamożności. Uśmiechnęła się do lady Hero.

– To cudownie!

Lady Hero odwzajemniła uśmiech.

– Czy będzie pani tak miła i oprowadzi mnie po przytułku.

– Oczywiście – rzekła Temperance, ale w tej samej chwili po schodach zszedł Winter.

– Siostro, widziałaś Mary Whitsun? – Między brwiami Wintera rysowała się bruzda.

– Ostatni raz rano. – Popatrzyła na Nell.

Służąca wzruszyła ramionami.

– Mam jej poszukać?

– Gdybyś mogła, Nell – powiedział Winter.

Nell pospieszyła po schodach na górę.

– Zapewne mam przyjemność z panem Makepeace'em – odezwała się lady Hero.

– Winterze, to jest lady Hero Batten – powiedziała Temperance.

– To zaszczyt poznać panią, szanowna pani. – Winter się pokłonił.

– Mówiłam właśnie pani Dews… – zaczęła dama, ale do sieni wpadła z powrotem Nell.

Trzymała za ramię Josepha Tinboksa.

– Powiedz pani, co żeś gadał mnie – rozkazała chłopcu. – Powiedz, gdzie poszła Mary Whitsun!

– Wyszła – wyjaśnił zwięźle Joseph. Brązowe oczy miał wielkie jak spodki, twarz tak bladą, że odcinały się na niej piegi. – Powiedziała, że to w porządku. Powiedziała, że wszyscy są zbyt zajęci.

Pierś Temperance zaczął skuwać lód.

– Zbyt zajęci na co?

– Jakaś kobieta przyszła i powiedziała, że trza przynieść dziecko – odparł Joseph. – Mary z nią poszła.

Temperance wyjrzała na zewnątrz. Niebo już ciemniało, noc wślizgiwała się do St. Giles jak uliczny kot.

Dobry Boże! Mary Whitsun wałęsała się nocą po St. Giles, kiedy w okolicy grasował szalony morderca.

* * *

Późnym popołudniem Lazarus podążał ulicami St. Giles. Słońce chyliło się ku zachodowi, cherlawe promienie wycofywały się prędko spomiędzy wysokich budynków, nadwieszonych okapów i licznych rozkołysanych szyldów. Lazarus przeskoczył nad truchłem kota w ścieku i kontynuował wędrówkę.

Był blisko, bardzo blisko znalezienia mordercy Marie. Raz za razem powracał do St. Giles i aktualna wycieczka, czuł to, miała sporą szansę okazać się ostatnią – na dobre czy złe. Niebezpieczeństwo czaiło się, ostrząc szpony w oczekiwaniu na jego fałszywy ruch.

Bez względu na zagrożenie, w głębi duszy czuł, że postępuje słusznie, starając się wyrównać rachunki. Zanim posunie się dalej z Temperance, musiał dopilnować, żeby mordercę Marie spotkała kara. A potrzebował kolejnego spotkania z Temperance. Rozpaczliwie. Przestanie oddychać, jeśli nie będzie mógł jej dotykać, rozmawiać z nią, obserwować, jak szczere emocje odbijają się w tych zadziwiających nakrapianych złotem oczach.

Najpierw wszakże musiał znaleźć mordercę Marie.

W tym celu w minionym tygodniu trzy razy usiłował pomówić z Tommym Pettem – chłopak bez wątpienia wiedział coś na temat związku między Matką Pocieszycielką a jego siostrą. Ilekroć jednak Lazarus zachodził do przytułku pani Whiteside, Tommy z niewyjaśnionych przyczyn był nieobecny. Może pod wieczór go zastanie.

Po kolejnym kwadransie skręcił w Running Man Lane, która wiła się i skręcała, nim wreszcie wypluwała wędrowców na dziedziniec, gdzie stał burdel pani Whiteside. Kiedy Lazarus zbliżał się do celu, usłyszał krzyki i podniesione głosy. Ostatni odcinek pokonał biegiem.

Powitał go dziwny widok: na dziedziniec wyległy chyba wszystkie damy nocy – i chłopcy także – często ze świecą lub z latarnią w ręku. Ktoś się sprzeczał, ktoś płakał, ktoś inny po prostu stał otumaniony. Z burdelu wyszła akurat Pansy ze swym postawnym obrońcą, Jackym, za plecami. Lazarus zaczął przepychać się przez tłum, kiedy Jacky uniósł potężne dłonie nad głowę i zaklaskał, skutecznie uciszając zebranych.

– Dom został przeszukany. Nikt się w nim nie przyczaił. Niebezpieczeństwo minęło – oznajmiła Pansy swym niskim głosem. – Chcę teraz, żeby wszyscy wrócili do środka.

Jacky zaklaskał ponownie i dziwki, jedna po drugiej, z ociąganiem wchodziły do budynku.

Ogromna kobieta w purpurowych jedwabiach wzięła się pod boki.

– A niby skund wimy, że tam tera bezpiecznie?

Pansy posłała jej surowe spojrzenie.

– Bo ja tak mówię.

Kobieta spąsowiała i ociężale wtoczyła się do środka.

Lazarus wystąpił do przodu i Pansy go spostrzegła. Szarpnęła brodą.

– Pana tutaj nie chcemy.

Nie zraziło go to. Chciany czy nie, czuł, że cokolwiek znajdowało się w burdelu, miało dla niego wielkie znaczenie.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie pańskie zmartwienie – burknęła i odwróciła się, jakby zamierzała odejść, zostawiając go na dziedzińcu.

Bez namysłu przytrzymał ją za ramię, nim zniknęła w budynku, i bardziej wyczuł niż zobaczył, że Jacky rzuca się na niego. Strażnik był potężnym mężczyzną, ale jako taki poruszał się wolno. Lazarus z łatwością uchylił się przed ciosem i grzmotnął napastnika w brzuch. Jacky osunął się ciężko na kolana.

Pansy sapnęła z rozdrażnieniem i krótkimi ramionami objęła potężne bary osiłka.

– Dosyć!

Lazarus odstąpił, ale trzymał pięści w pogotowiu. Popełniłby błąd, nie doceniając Jacky’ego.

Pansy westchnęła, jej nieforemna twarz poszarzała nieznacznie.

– I tak jestem praktycznie martwa. Pan wejdzie.

Jacky ociężale dźwignął się na nogi, posyłając Lazarusowi paskudne spojrzenie, ale cofnął się, żeby go przepuścić.

Lazarus wszedł do budynku, czując mrowienie na karku. Strażnik rad by go zabił. Jedynie Pansy powstrzymywała mężczyznę przed atakiem.

Nie powiedziała nic więcej, lecz tylko poprowadziła Lazarusa schodami w górę. Kilka dziwek zamarudziło na korytarzach, plotkując, ale na widok szefowej zniknęły w swoich pokojach. Pansy zatrzymała się przed drzwiami w połowie długości korytarza na ostatnim piętrze i rzuciła Lazarusowi nieodgadnione spojrzenie, nim pchnięciem otworzyła je na oścież.

Najpierw uderzył w niego zapach, smród wnętrzności i krwi. Zwłoki na łóżku wypatroszono – jak w przypadku Marie. Podszedł bliżej, omijając ciemne smugi na podłodze, i spojrzał w woskową twarz. Na obliczu Tommy’ego malował się dziwny spokój w zestawieniu z gwałtem, jaki zadano jego ciału.

Lazarus popatrzył znów na Pansy. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w koszmar na łóżku, gdy jednak na nią spojrzał, uniosła brodę.

– Zejdźmy na dół. Potrzebuję filiżanki herbaty.

Zamknęła za nimi drzwi, po czym wszyscy troje w milczeniu podążyli z powrotem po schodach i weszli do jej niewielkiej bawialni. Pansy zasiadła w swoim specjalnym fotelu, gestem zapraszając Lazarusa, by zajął miejsce naprzeciw.

– Herbata, Jacky. – Kiedy osiłek się nie poruszył, ze znużeniem skinęła głową. – Wszystko w porządku. Lord Caire nie zrobi mi krzywdy.

Strażnik chrząknął i wyszedł.

– Zabito go w taki sam sposób jak Marie i pozostałe prostytutki – rzekł cicho Lazarus. – Musiał znać zabójcę.

– Mhm. – Pansy, z brodą wspartą na pięści, jakby wpadła w kontemplacyjny nastrój.

– Madame Pansy.

Westchnęła ciężko, podnosząc wzrok.

– Tak. Tak, oczywiście, że znał mordercę.

Lazarus zwęził oczy.

– Podobnie jak pani.

Odpowiedziała na jego spojrzenie.

– Podobnie jak ja.

– Kto to jest, Pansy?

Uniosła rękę, kiedy drzwi się otworzyły. Wszedł Jacky z filigranową tacą w ogromnych łapskach.

Uśmiechnęła się do niego, kiedy stawiał przed nią tacę z herbatą.

– Dziękuję, Jacky. Będziesz tak uprzejmy i popilnujesz drzwi?

Osiłek posłał Lazarusowi podejrzliwe spojrzenie i wytoczył się z pokoju.

Pansy poczekała, aż drzwi się zamkną. Wtedy popatrzyła na Lazarusa.

– To właścicielka tego domu. Kontroluje wszystkie prostytutki w swoim małym fyrtlu St. Giles. Każda musi oddawać jej część zarobków, nawet kiedy chodzi o kilka pensów. Marie odmówiła. A Tommy, ten głupiec…

Z niesmakiem pokręciła głową i nalała sobie herbaty do filiżanki.

Lazarus zmusił się, by siedzieć cierpliwie.

Wzięła filiżankę, ale tylko wpatrywała się w herbatę.

– Myślę, że próbował ją szantażować. Zapewne tym ją sprowokował. Odwiedziła Tommy’ego dziś wieczorem i wyszła stąd w pośpiechu. Widocznie Tommy od początku wiedział, kto zabił jego siostrę, a kiedy pan

zaczął zadawać pytania, wykoncypował sobie, że ona zapłaci mu za dochowanie sekretu. Ładny był z niego chłopiec, ale niezbyt bystry.

Lazarus zamknął oczy. Znalazł się tak blisko.

– Kto, Pansy?

– Matka Pocieszycielka.

Puls przyspieszył mu szaleńczo. Nareszcie.

– Rajfurka, która prowadzi pijalnię ginu?

Wargi Pansy drgnęły.

– Jest kimś o wiele więcej. To najpotężniejsza kobieta w tej części St. Giles. I najbardziej niebezpieczna. Widział pan Tommy'ego. Zrobiła to w domu pełnym ludzi. Ogarnął ją szał. Pali za sobą mosty.

– Ale po co zabijać Marie i inne prostytutki w tak dramatyczny sposób?

Pansy wzruszyła ramionami.

– Żeby nastraszyć rywali, sojuszników, dziwki… wszystkich w gruncie rzeczy.

Zmarszczył brwi.

– Grozi pani niebezpieczeństwo.

– Myślę, że zabije mnie przed upływem tygodnia – oznajmiła beznamiętnie Pansy i wreszcie napiła się herbaty. – Mnie i każdą osobę, która w jej przekonaniu ją zdradziła albo stoi jej na drodze. Pan lepiej niech także ma się na baczności. Zabiła już Tommy'ego, żeby nie porozmawiał z panem… i z panią Dews.

Lazarus uniósł brwi, coraz bardziej zaalarmowany.

– Pani Dews?

Pansy ostrożnie odstawiła filiżankę na tacę.

– Według mnie Matka Pocieszycielka widzi w pani Dews swego rodzaju rywalkę w sprawowaniu kontroli nad St. Giles. Nie podoba jej się, że pani Dews ratuje dzieci, które ona z chęcią by sprzedała… lub posłała na ulicę.

– Uważa pani, że weźmie na cel Temperance Dews?

– Już to zrobiła.

– Co takiego?!

Pansy popatrzyła na niego z rozpaczliwym fatalizmem w oczach.

– Jedna z tutejszych dziewcząt przyprowadziła dziś wieczorem pannicę… tę, którą pani Dews tak hołubi.

– Mary Whitsun.

– Tak. Matka Pocieszycielka zabrała dziewczynę ze sobą, kiedy wychodziła.

Lazarus zerwał się na równe nogi i rzucił ku drzwiom.

– Moim zdaniem – popłynęły za nim ostatnie słowa Pansy – Matka Pocieszycielka zamierza uderzyć w panią Dews poprzez tę dziewczynę.

Rozdział 19

– Wasza Królewska Mość odczuwa w tej chwili smutek i stratę – powiedziała Meg. – To właśnie jest miłość. I – ciągnęła, kiedy niebieski ptaszek wleciał z powrotem do sali i usiadł królowi na ręce – to także jest miłość.
– Nie rozumiem – rzekł król.
– Co Wasza Królewska Mość czuje teraz? – zapytała Meg.
Król Zamknięte Serce zmarszczył brwi, delikatnie głaszcząc ptaszka po łebku.
– Radość. Szczęście.
– To radość miłości. – Meg się uśmiechnęła. – Aby doświadczyć własnej miłości do ptaszka, Wasza Królewska Mość musi być gotów puścić go wolno. W zamian ptak okazuje Waszej Królewskiej Mości miłość, kiedy wraca…
– z „Król Zamknięte Serce”

Dobry Boże…

Pod Temperance kolana ugięły się z przerażenia. Nie Mary Whitsun. Nie jej ukochana Mary Whitsun.

Poczuła, że Nell opasuje ją ramieniem, by ją podtrzymać. Lady Hero wyglądała na zatroskaną. Pan St. John wprowadził do przytułku lady Caire i jej towarzysza, po czym, zamieniwszy parę słów z Winterem, posłał Temperance poważne spojrzenie i powiódł damę po schodach w górę, żeby pokazać jej dom. Winter zaprowadził pozostałych do kuchni. Temperance osunęła się na krzesło. Musiała ratować Mary, jak wszakże to zrobi, skoro nie wiedzieli nawet, dokąd dziewczynka poszła?

– Musimy jej poszukać – mówił Winter. – Skąd miała przynieść to dziecko?

Ktoś zaczął się dobijać do kuchennych drzwi.

– Temperance!

To był głos Caire’a. Temperance zerwała się i pomknęła do drzwi, drżącymi rękami mocując się z ryglem.

Otworzyła drzwi i padła Lazarusowi w ramiona, a później po prostu stała wtulona w niego, dygocąc. Był taki silny, taki dobry i zjawił się, kiedy potrzebowała go najbardziej.

Kurczowo przygarniał ją do piersi.

– Wszystko w porządku?

– Nie. – Pokręciła głową, nadal weń wtulona. – Mary Whitsun zaginęła.

Uniósł jej brodę.

– Wiem. Matka Pocieszycielka ją ma.

– Co takiego?

– Przychodzę prosto z domu pani Whiteside. Matka Pocieszycielka to właśnie pani Whiteside. Wygląda na to, że zwabiła tam Mary Whitsun z pomocą jednej z prostytutek.

– Idziemy tam natychmiast. – Temperance porwała pelerynę z kołka przy drzwiach.

– Poczekaj. Jest coś jeszcze. – Caire przytrzymał ją za ramię, ale zwracał się do Wintera. – Matka Pocieszycielka jest naszym mordercą.

Temperance wytrzeszczyła na niego oczy.

– Mordercą Marie? Tej, którą…?

Przytaknął.

Załkała krótko, po czym wzięła się w garść.

– Zatem sprawa jest tym pilniejsza.

– Tak – rzekł łagodnie – ale możliwe również, że to pułapka. Najwyraźniej Matka Pocieszycielka darzy cię szczególną niechęcią.

Winter się poruszył.

– Wobec tego Temperance nie powinna iść.

Odwróciła się ku niemu z furią.

– Nie iść? Chodzi o Mary Whitsun! Nie zostawię jej z tą kobietą, nawet jeśli to pułapka.

Winter zaczął protestować, ale Caire spojrzał na niego stanowczo.

– Pójdę z nią i zadbam o jej bezpieczeństwo.

– Przysięga pan?

– Na własne życie.

– Możecie wziąć także moich służących.

Na dźwięk głosu wszyscy się odwrócili. Nie wiedzieć kiedy lady Caire weszła do kuchni w towarzystwie swego kawalera. Za nią stało dwóch postawnych służących. Przez chwilę patrzyła Lazarusowi w oczy.

Skinął głową.

– Dziękuję.

Wziął Temperance za rękę i pospieszyli w noc, a służący za nimi.

– Czego ona chce od Mary Whitsun? – wydyszała Temperance, kiedy prawie biegli.

Caire pokręcił głową.

– Niewykluczone, że Mary służy jedynie za przynętę. W takim przypadku zapewne nic jej nie grozi.

Temperance zadrżała.

– Ale Matka Pocieszycielka mnie nienawidzi, sam mówiłeś.

– Według Pansy. – Zawahał się, rozglądając się czujnie, gdy skręcali za róg. – Zabiła Tommy'ego Petta.

– O Boże! – Temperance usiłowała zapanować nad narastającą w niej paniką. Dlaczego nigdy nie powiedziała Mary, jak bardzo ją kocha? Dlaczego trzymała ją na dystans? – Wobec tego gotowa ją zabić z czystej mściwości.

Lazarus nie odpowiedział, ścisnął tylko jej dłoń.

Podróż zdawała się trwać całe godziny, w rzeczywistości jednak zaledwie kilka minut później stanęli przed pijalnią ginu Matki Pocieszycielki.

Lazarus zmierzył wzrokiem drzwi i dobył ukrytej w lasce szpady.

– Trzymaj się za mną – polecił Temperance. – Wy dwaj – ruchem brody dał znak służącym – zajmijcie miejsca po bokach.

Temperance przytaknęła, przyglądając się, jak on stopą otwiera drzwi.

W środku czekał na nich dziwny widok. Pijalnia świeciła pustkami, lecz przewrócone stoły i połamane krzesła zaświadczały o stoczonej tu bitwie. Na podłodze leżały dwa ciała – obstawa Matki Pocieszycielki. Jednooka posługaczka kuliła się pod resztkami stołu. Na środku pomieszczenia stał Duch St. Giles ze sztychem szabli na gardle ostatniego strażnika. Kiedy weszli, Duch zerknął na nich zza czarnej maski, lecz poza tym nie wykonał żadnego ruchu, nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– Nie wiem, gdzie ona jest! – szlochał strażnik. – Jak usłyszała zamieszanie, wybiegła tylnymi drzwiami. Tera może być wszędzie.

Duch jedynie docisnął ostrze do gardła mężczyzny. Strażnik zaskowyczał, wąska strużka krwi pociekła mu po szyi.

– Nie! – krzyknęła posługaczka. – Och, pan nie krzywdzi Davy’ego!

Służący popatrzyli niespokojnie na Caire’a.

– Powiedz mu więc, gdzie jest Matka Pocieszycielka – poradził niewzruszenie Lazarus.

Temperance spostrzegła, że kącik ust Ducha wygina się w górę, jakby w sardonicznej aprobacie.

– Chciała dopaść panią. – Dziewczyna wskazała palcem Temperance.

– Gdzie? – spytała Temperance.

– W przytułku – odparła posługaczka. – Gadała, że się postara, coby pani raz na zawsze wyniosła się z St. Giles.

Temperance zmarszczyła brwi, wymieniając zdezorientowane spojrzenia z Lazarusem.

– Była sama? Czy miała ze sobą dziewczynkę?

– Miała jedną z pani dziewuch – odrzekła posługaczka. – A tera zostawcie mojego Davy’ego. Jej tu nie ma, gadam wam!

– Lepiej wracajmy do przytułku – stwierdził ponuro Lazarus.

– Ale co ona zamierza?! – wykrzyknęła Temperance.

Fakt, że podczas ucieczki Matka Pocieszycielka zabrała ze sobą Mary, przyprawił ją o lodowate dreszcze.

– Nie wiem. – Lazarus popatrzył na Ducha. – Jest pan z nami?

Arlekin przytaknął, okręcił się z wdziękiem i już był na zewnątrz, biegnąc lekko ulicą.

– Szybko! – zawołał Caire do służących.

Znów chwycił Temperance za rękę i podążyli z powrotem tą samą drogą.

Tymczasem zapadła noc. Szyldy kołysały się nad ich głowami, skrzypiąc niesamowicie na wietrze. Raz po raz widzieli księżyc, który unosił się, nadęty i słaby, za sunącymi po niebie chmurami. Duch St. Giles mknął przodem, stąpając nieomal bezgłośnie. Kiedy zbliżyli się do przytułku, Temperance zobaczyła migocące ponad dachami dziwne pomarańczowoczerwone światło, przekorne i wstydliwe, coraz śmielsze jednak, w miarę jak biegli.

A później poczuła dym.

– Dobry Boże! – Nie potrafiła nawet ubrać swojego strachu w słowa.

Wypadli zza węgła i zobaczyli. Przytułek płonął. Przez przerażającą chwilę Temperance czuła się jak ogłuszona, docierał do niej jedynie jakiś świst. Co dziwne, skupiła wzrok na lady Caire, która stała samotnie pośrodku Maiden Lane. Matka Lazarusa zasłaniała dłonią usta, spoglądając w górę – na najwyższe piętro przytułku. Ten widok gwałtownie przywołał Temperance z powrotem do rzeczywistości. Ludzie krzyczeli. Nell była tuż obok, potrząsała nią za ramię, nozdrza wypełnił jej zapach dymu, koszmarna podpowiedź, jaki chaos panuje w środku.

– Wyszły?! – krzyknęła do Nell. Wokół pałętały się dzieci. – Czy wszystkie dzieci wyszły z budynku?

– Nie wiem! – odparła Nell.

– Musimy je policzyć! – zarządziła Temperance.

Na Maiden Lane panował chaos. Ludzie krzyczeli i biegali w tę i z powrotem, arystokraci przybyli zwiedzić przytułek mieszali się z miejscowymi. Uformowano rząd podających wiadra. Obszarpany szewc, który mieszkał w suterenie domu obok, podał wiadro z wodą lokajowi w liberii, który podał je żonie handlarza ryb, która podała je lordowi w śnieżnobiałej peruce, i tak dalej. Widok był dziwaczny. Temperance odwróciła się i spojrzała na przytułek.

Wstrzymała oddech.

Płomienie strzelały z górnych okien, kłębił się szaroczarny dym. Z przytułku wyszli, słaniając się na nogach, Winter i St. John.

– Winterze! – zawołała Temperance.

Niósł w ramionach chłopczyka.

– W pokojach dziecinnych nie ma już nikogo. Chyba mamy wszystkich. Liczyłaś dzieci?

Temperance odwróciła się do Nell.

– Dwadzieścia sześć – odparła pokojówka. – Wszystkie bez Mary Whitsun.

Temperance kurczowo uczepiła się ramienia Lazarusa. Próbowała opanować drżenie.

– Gdzie ona jest? Dokąd Matka Pocieszycielka mogła ją zabrać?

Gdy jednak na niego spojrzała, patrzył w górę.

– Na rany Chrystusa!

Podążyła za jego wzrokiem. Na dachu przytułku wysoka, chuda jak szczapa kobieta w wyświechtanej szkarłatnej kurtce mundurowej stąpała

ostrożnie po gontach.

Arlekin przemknął cicho obok nich i zniknął w sąsiadującym z przytułkiem domu.

– Gdzie jest Mary Whitsun? – Temperance przyłożyła do piersi zaciśniętą w pięść dłoń.

Nie, niemożliwe. Nikt nie byłby takim potworem, żeby zostawić dziecko w tym piekle.

Ale Matka Pocieszycielka ewidentnie szła sama.

Temperance wybuchnęła płaczem. Dobry Boże, Mary Whitsun umierała w płonącym budynku.

– Niech to szlag – wymamrotał Caire i nim zdążyła się odezwać, pobiegł.

Pobiegł do płonącego domu.

* * *

Na dole było względnie czysto, lecz w miarę jak Lazarus wbiegał po drewnianych schodach, dym błyskawicznie gęstniał. Zarzucił sobie na głowę pelerynę, kawałkiem materiału zasłonił usta, stanowiło to jednak marną ochronę. Zakrztusił się, walcząc z ciałem, które natarczywie domagało się powrotu na świeże powietrze. Dobry Boże, ledwo cokolwiek widział, nie mógł oddychać. Wszędzie było szaro od dymu. Rozejrzał się po piętrze, gdzie sypiały dzieci.

– Mary!!!

Jego krzyk przeszedł w suchy kaszel i zginął w ryku ognia. Mogło jej tu wcale nie być. Niewykluczone, że wyprawił się na śmiertelnie niebezpieczną, a zarazem bezcelową misję. Ale nie potrafił patrzeć na rozpacz Temperance. Jeśli to dziecko tu było, znajdzie je.

Pożoga jęczała jak żywa istota, przyczajona na piętrze powyżej – tym, gdzie mieściły się pokoje Temperance i jej brata. Mrużąc piekące oczy, wspinał się po rozchwierutanych schodach. Jeśli przeżyje to piekło, na pewno zadba, żeby nowy budynek przytułku został wybudowany solidniej. Łzy spływały mu po twarzy, lecz wyparowywały niemal natychmiast pod wpływem gorąca.

W korytarzu na górze kotłował się dym.

Gdzie szalona kobieta ukryłaby dziecko? Lazarus opadł na kolana, czołgał się, łzy mąciły mu wzrok. Jeśli dziewczynka znajdowała się przy końcu korytarza, już nie żyła, ale pokoju Temperance ogień jeszcze nie zajął. Musiał przynajmniej sprawdzić.

Sięgnął do gałki i pchnął drzwi barkiem.

– Mary!

Odpowiedział mu krzyk.

Oślepł, toteż macał dłonią, aż znalazł i mocno chwycił drobną stopę. Dziewczynka leżała związana na podłodze obok łóżka. Wtłoczyła się w Lazarusa, jakby zamierzała zagrzebać w nim swoje drobne ciało, musnęło go futro trzymanego przez nią kota. Caire wydobył z laski szpadę i przeciął pęta na nogach i rękach Mary. Następnie otoczył ją ramieniem i pociągnął ku schodom. Płomienie buchały mu w twarz, wdzierały się do gardła, usiłując podpalić go od środka. Bolały go płuca. W uszach słyszał potworny ryk i znienacka pojął, że dom się poddaje. Kot wyrwał się z objęć dziewczynki.

Temperance kochała to dziecko, nawet jeśli nigdy tego nie przyznała.

Pchnął przed siebie drobne ciało Mary. Dobry Boże, pozwól, by przynajmniej ona przeżyła.

– Biegnij! Biegnij, teraz!

Może powiedziałby więcej, lecz w tejże chwili piekło rozwarło się i go pochłonęło.

* * *

Przytułek umierał, a Caire i Mary Whitsun nadal przebywali w środku.

Temperance patrzyła, gdy część dachu ześlizgnęła się nagle i runęła na bruk w dole. Przez chwilę na tle ognia odcinały się dwie sylwetki: upiornie chuda postać Matki Pocieszycielki i szybki cień Ducha St. Giles. Później oboje zniknęli. Temperance nie starczyło energii, by zastanowić się nad ich losem. Cała jej siła woli, wszystkie nadzieje i modlitwy koncentrowały się na Lazarusie i Mary.

Język ognia sięgnął w górę z rozbitego okna, pokój w głębi złocił się od płomieni. Tłum ucichł, jakby przepełniony grozą, kiedy ryk pożogi

przybierał na sile. Rząd ludzi z wiadrami nadal toczył heroiczną walkę, ale nie wyglądało na to, by ich wysiłki odnosiły skutek.

Nagle rozległ się wrzask i Temperance jakby z oddali obserwowała, jak Duch St. Giles wywleka Matkę Pocieszycielkę z sąsiedniego domu. Widok był dziwaczny. Matka Pocieszycielka walczyła jak oszalała wilczyca, ale Duch trzymał ją mocno za ramię i panował nad nią z łatwością. Pchnął ją w kierunku pana St. Johna, po czym palcem w rękawiczce wskazał najpierw płonący dom, a następnie wrzeszczącą kobietę, jakby ktokolwiek potrzebował wyjaśnień. Twarz St. Johna przybrała twardy wyraz, przywołał dwóch marudzących w pobliżu służących, żeby pomogli mu przytrzymać morderczynię.

Później Duch St. Giles zwyczajnie odszedł, znikając w tłumie. Nikt nie zaoponował.

Temperance to nie obchodziło.

– Muszę tam wejść – rzuciła w powietrze i ruszyła naprzód, by zaraz odkryć, że Winter trzyma ją mocno za ramię.

– Puść mnie. – Zwróciła ku niemu błagalną twarz.

Widziała łzy w jego oczach.

– Nie, siostro. Musisz zostać tutaj.

– Ale on spłonie – wyszeptała, odwracając się znów do pożaru. – Spłonie, a ja nie wiem, czy dam radę to znieść.

Winter nie odezwał się więcej, nawet kiedy osunęła się na kolana. Opuszczona, na pokrytym błotem bruku, przyglądała się, jak umiera jej miłość. On był jej miłością, wiedziała to teraz, gdy nie mogła mu już o tym powiedzieć. Caire był jednocześnie silniejszy i bardziej wrażliwy niż jakikolwiek inny znany jej mężczyzna. Widział jej wady, widział gniew i seksualne potrzeby, i pretensje do wyższości, i nie dbał o nie. Dziwne; sądziła zawsze, że pokocha kogoś, kto będzie dostrzegał jedynie najlepsze jej cechy, a przez cały czas kochała mężczyznę, który widział wszystko – jej dobre i złe strony.

Teraz zaś było za późno.

Drapało ją w gardle i zdała sobie sprawę, że krzyczy, usiłując przeczołgać się naprzód, przed czym powstrzymywała ją dłoń Wintera na jej barku.

A potem ukazała się drobna sylwetka, idąca przez dym i płomienie. Zdarzył się cud i Mary Whitsun wynurzyła się z płonącego domu.

Spostrzegła Temperance i podbiegła do niej. Temperance przytuliła ją, całując z płaczem, ściskając o wiele za mocno w swoim smutku i radości.

Dopóki Mary Whitsun nie podniosła zalanej łzami twarzy.

– Lord Caire nadal jest w środku. Przyszedł po mnie, ale na schodach pchnął mnie przodem. Sam tam został.

Rozległ się chrzęst, a później coś ustąpiło i runął cały front budynku.

Rozdział 20

Król Zamknięte Serce był wielce zadowolony z tej demonstracji.
Aby nagrodzić Meg, zaproponował, że da jej, o cokolwiek poprosi
– czegokolwiek zapragnie.
Meg się uśmiechnęła.
– Dziękuję, Wasza Królewska Mość, ale chciałabym dostać
jedynie małego kucyka i worek z prowiantem, marzę bowiem,
żeby zobaczyć szeroki świat.
Król nasrożył brwi na te słowa, gdyż polubił Meg. Niemniej
jakichkolwiek by użył argumentów, Meg pozostała stanowcza: nazajutrz
wyruszy odkrywać świat.
Wprawiło to króla w podły nastrój i przez resztę wspaniałego posiłku
odnosił się do niej opryskliwie. Meg ze swej strony była radosna,
ignorowała też co bardziej sarkastyczne uwagi króla.
A gdy wieczór dobiegł końca, zostawiła króla siedzącego
samotnie w jadalni…
– z „Król Zamknięte Serce”

Deszcz z początku był drobny. Sączył się z nieba, miękki jak pocałunek matki na czole śpiącego dziecka. Temperance zauważyła spadające z góry krople, dopiero gdy ogień zaczął syczeć. Wtedy, znienacka, chmury otworzyły się, wyrzucając z siebie wodę z siłą wodospadu, krople uderzały o bruk tak mocno, że odbijały się rykoszetem i rozpryskiwały w powietrzu. Ogień stawił opór, syczał i pluł na znak sprzeciwu, wyrzucał w górę wielkie kłęby pary. Ale ulewa okazała się silniejsza, bardziej nieustępliwa, i płomienie zaczęły przegrywać.

A pośród tej bitwy z chmur pary wyłoniła się postać w czarnej, wirującej pelerynie i choć kulała, miarowo posuwała się naprzód.

Temperance podniosła się z ziemi, krzyk uwiązł jej w gardle. Srebrne włosy miał osmalone, ale to był on. To był Caire. Wyrwała się Winterowi

i pobiegła, ślizgając się na mokrym bruku, oślepiona deszczem i łzami mknęła ku swemu sercu. Kiedy się zbliżyła, okopcony czarny kot wywinął mu się spod peleryny i śmignął prosto do Mary Whitsun.

Caire zakaszlał.

– Nienawidzę kotów.

Chwycił ją mocno, wciągnął pod pelerynę i pocałował ustami pełnymi dymu, tam w deszczu, na oczach wszystkich.

– Kocham cię – załkała, pocierając dłońmi jego twarz, włosy, klatkę piersiową, by się upewnić, że jest realny i prawdziwy. – Kocham cię i sądziłam, że nie żyjesz. Nie mogłam tego znieść. Myślałam, że sama umrę.

– Skoczyłbym dla ciebie w ogień – wychrypiał. – Skoczyłem dla ciebie w ogień.

Zachłysnęła się śmiechem, a on znowu ją pocałował, jego usta były twarde, smakowały dymem i ogniem, ona zaś nigdy dotąd nie kosztowała czegoś tak wspaniałego, ponieważ żył.

Żył!

Przerwał pocałunek, opierając się czołem o jej czoło.

– Kocham cię, Temperance Dews, kocham cię nad życie!

Powiedziałby więcej, ale pocałowała go znowu, tym razem miękko, samymi wargami usiłując przekazać wszystko, co czuła.

W pobliżu ktoś odkaszlnął.

Lazarus oderwał się od niej na tyle, by wymamrotać:

– Tak, matko?

Temperance zamrugała i odwróciła głowę. Lady Caire stała obok nich, dygocący towarzysz trzymał nad jej głową kaftan, niezbyt skutecznie osłaniając przed deszczem jej elegancką białą fryzurę. Wyglądała na przemokniętą, zmarzniętą i zranioną.

– Lazarusie – szepnęła Temperance.

Podniósł głowę, żeby spojrzeć na matkę.

– O co chodzi?

– Jeśli zakończyliście już ten pokaz dla publiczności – powiedziała lady Caire – trzeba zająć się dziećmi, no i jakąś tam obłąkaną, która, jak mówi Godric St. John, podłożyła ogień i zamordowała trzy kobiety.

– Twoja troska jak zwykle szalenie mnie wzrusza… – zaczął Caire, ale Temperance uszczypnęła go w płatek ucha. – Au! – Popatrzył na nią.

Łaskawe nieba, ależ z tych arystokratów były niekiedy osły!

– Twoja matka bardzo się o ciebie martwiła.

Lazarus uniósł brew.

– Kocham cię, Lazarusie. – Głos lady Caire brzmiał czysto i pewnie. Później jednak dolna warga jej zadrżała. – Jesteś moim synem. Być może nie okazuję tej miłości w przekonujący sposób, ale to nie znaczy, że cię nie kocham.

Zagapił się na nią zdumiony. I przypuszczalnie gapiłby się dalej, oniemiały, gdyby Temperance nie uszczypnęła go znowu.

– Au! – Spiorunował ją wzrokiem.

Znacząco uniosła brew.

– Matko moja. – Caire nachylił się ostrożnie i pocałował matkę w policzek. – Mądra kobieta powiedziała mi kiedyś, że nawet jeśli ktoś nie okazuje miłości, nie znaczy to, że jej nie czuje.

W oczach lady Caire wezbrały łzy.

– Czy mam rozumieć, że ty również mnie kochasz?

Kącik ust Lazarusa podskoczył w górę.

– Najwyraźniej tak.

– Nie sądziłam, że mnie słuchałeś.

– Każde wypowiedziane przez ciebie słowo – wyszeptał Caire – jest na wieki wyryte w moim sercu.

Lady Caire zamknęła oczy, jakby otrzymała błogosławieństwo.

Później otworzyła je energicznie.

– Tak, no dobrze. Co zrobimy z tymi wszystkimi dziećmi?

Temperance spojrzała na przytułek. Ogień prawie wygasł, ale z budynku nie zostało wiele poza tlącymi się ruinami. Dobry Boże! Dopiero teraz dotarło do niej, że nie mają dokąd zabrać dwadzieściorga siedmiorga dzieci, i jakkolwiek tego ranka wstała z zamiarem znalezienia patrona dla przytułku, obecnie nie posiadała nawet samego przytułku.

– Mogłyby ewentualnie zamieszkać u mnie – zaczął z powątpiewaniem Caire.

Jego matka prychnęła.

– W domu kawalera? Nie wydaje mi się. Na razie większość pojedzie do mojej miejskiej rezydencji.

– Ja też znajdę miejsce dla kilkorga. – Lady Hero podeszła do nich cicho. – Dom mojego brata stoi praktycznie pusty. Wyjechał na wieś na lato.

– Och, dziękuję! – Temperance nie wiedziała, jak zareagować na taką szczodrość.

– Pomogę przy najmniejszych – zadeklarowała Mary Whitsun. Dolna warga jej zadrżała. – To znaczy dopóki nie znajdę posady.

Temperance łagodnie położyła dłoń na usmolonych sadzą włosach Mary.

– Co byś powiedziała na to, żeby zostać w przytułku… gdziekolwiek on będzie… i pomagać, jak długo zechcesz?

Oczy Mary Whitsun rozbłysły.

– Chciałabym, psze pani.

– To dobrze. – Temperance mruganiem odegnała kolejne łzy.

Lady Hero uśmiechnęła się do nich obu. Jej tycjanowskiej barwy włosy były mokre i rozpełzały się jej na plecach, a mimo to nadal sprawiała dystyngowane wrażenie, siostra księcia w każdym calu.

– Kiedy się rozlokujecie, chciałabym przedyskutować budowę nowego przytułku.

– Ja także – rzekła lady Caire.

Damy przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

– Większy, nie sądzi pani? – spytała cicho lady Hero.

– Zdecydowanie.

– I z pokojem zabaw dla dzieci?

– Och, absolutnie – odparła stanowczo lady Caire i uśmiechnęła się do młodszej kobiety.

Wyglądało na to, że zawarły jakiś milczący pakt.

– Dziękuję – powiedziała Temperance, oszołomiona.

– Teraz będziesz musiała wypić piwo, którego nawarzyłaś – wymamrotał prześmiewczo Caire do jej ucha. – Kiedy moja matka i siostra księcia zajmą się twoimi sprawami.

Zignorowała kpinę i uścisnęła go z radości. Przytułek znalazł nie jedną, lecz dwie patronki!

– Jeśli nie zgłosisz sprzeciwu, również chciałbym wnieść coś na rzecz przytułku – dodał dziwnie niepewnym tonem.

Podniosła nań wzrok.

– Dziękuję – powiedziała. – Będzie dla nas wielkim zaszczytem mieć za patrona także i ciebie.

Ucałował ją szybko, po czym westchnął.

– Muszę zająć się tamtą sprawą. – Skinieniem głowy wskazał St. Johna, który z pomocą dwóch służących trzymał Matkę Pocieszycielkę. – Zostaniesz tutaj?

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie.

Westchnął znowu.

– Jeśli nam panie wybaczą, matko, milady. – Ukłonił się lekko obu damom.

– Oczywiście – powiedziała lady Hero. – Należałoby chyba zrobić porządek z tymi dziećmi. – Z uniesioną brwią spojrzała na lady Caire.

Dama skinęła głową i kobiety odwróciły się zgodnie, by przypuścić atak na Nell i grupę dzieci.

Caire zadrżał z żartobliwym lękiem.

– We dwie będą budziły grozę.

– Dokładnie tego nam trzeba – stwierdziła z satysfakcją Temperance.

Przygarnął ją do swego boku, kiedy zbliżali się do St. Johna i siłującej się z mężczyznami Matki Pocieszycielki.

St. John popatrzył na Caire’a.

– O co tu chodzi? Dlaczego ta kobieta podpaliła przytułek?

– Zabiła Marie – rzekł ponuro Caire. – A także jej brata, gdy próbował ją szantażować. Przypuszczam, że zdała sobie sprawę, iż wkrótce ją nakryjemy, i przyszła tutaj zabić panią Dews.

Temperance ze wstrętem spojrzała na przeraźliwie chudą kobietę.

– W środku były wszystkie dzieci. Zabiłaby znacznie więcej osób niż tylko mnie.

– Tak. Nie przejmowała się tym. – Caire skinął głową do St. Johna. – Jeśli przeszukamy jej pijalnię ginu, może znajdziemy dowody morderstw.

– Nie ma potrzeby – odparł St. John.

Rozchylił wyświechtaną czerwoną kurtkę od munduru, którą miała na sobie Matka Pocieszycielka. Pod spodem ujrzeli rdzawe plamy, ciągnące się od dekoltu w dół sukni.

– Dobry Boże – szepnęła Temperance, zakrywając dłonią usta.

Tego najwyraźniej było dla Matki Pocieszycielki za wiele. Rzuciła się do przodu, wywrzaskując nieprzyzwoitości jak obłąkana, którą skądinąd bez wątpienia była. Siłą swego ataku pociągnęła do przodu obu służących.

Caire zgarnął Temperance za siebie i cofnął się kilka kroków, tak że oboje znaleźli się poza zasięgiem Matki Pocieszycielki.

– Zamknę ją w mojej karecie! – krzyknął St. John, aby przebić się przez obłąkańcze wycie kobiety.

Caire przytaknął.

– Zwiąż ją dobrze!

– A jakże – odparł St. John. – Ani myślę ryzykować, że ucieknie.

Mężczyźni zajęli się tym ponurym zadaniem.

– Chodź – szepnął Caire do ucha Temperance. – Zmokłaś i zmarzłaś, podobnie jak ja. Znajdźmy jakąś karetę, która zawiezie nas do domu.

– Ale Winter… – Temperance rozejrzała się i spostrzegła brata, który pomagał okiełznać dzieci.

Winter pochwycił jej spojrzenie i uniósł rękę, a potem do nich podbiegł.

– Mam pomóc lady Caire i lady Hero rozlokować dzieci, zwłaszcza chłopców. Zamieszkają w domu księcia Wakefielda i ktoś musi ich tam doglądać.

– Pomogę… – zaczęła Temperance.

Winter położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie trzeba. Z służbą i Nell poradzimy sobie bez problemu.

Caire przytaknął ponad jej głową.

– Zabieram ją do domu, a tam wsadzę do ciepłej kąpieli.

Winter bez słowa mierzył Caire’a wzrokiem. Później wyciągnął rękę.

– Dziękuję.

Caire uścisnął ją mocno.

– Nie ma potrzeby mi dziękować.

Winter przeniósł spojrzenie z Caire’a na Temperance, unosząc brew, ale rzekł tylko:

– Proszę się nią zaopiekować.

– Taki mam zamiar – odparł Caire, kiwając głową.

Winter cmoknął Temperance w policzek i pobiegł z powrotem do dzieci.

– A teraz trzeba znaleźć powóz – mruknął Caire, po czym się skrzywił. – Do diaska, zapomniałem podziękować St. Johnowi za schwytanie Matki Pocieszycielki.

– Kiedy to nie on! – wykrzyknęła Temperance.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

Nie zapanowała nad sobą i wybuchnęła śmiechem; to wydawało się takim głupstwem na tle niedawnych wydarzeń.

– Duch St. Giles pojawił się z nią, kiedy byłeś w budynku.

– Co, na oczach wszystkich?

– Tak. Pomaszerował prosto do St. Johna i przekazał mu Matkę Pocieszycielkę. Myślę, że wszyscy czuliśmy się zbyt oszołomieni, żeby go zatrzymywać.

– I St. John był tutaj w tym samym czasie?

– Tak. – Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

Caire pokręcił głową.

– Żałuję, że mnie przy tym nie było. Z radością bym się dowiedział, kto się kryje za tą maską.

Temperance opasała go ramieniem, kiedy podążyli w kierunku karet.

– Wyjaśnienie tej tajemnicy będziemy musieli chyba odłożyć na inny dzień.

* * *

Temperance zasnęłaby podczas jazdy do domu Caire’a, gdyby nie dręczące ją nerwowe wyczekiwanie. Powiedziała Lazarusowi, że go kocha, ale zostało coś jeszcze – musiała mu to pokazać.

Kiedy więc kareta zatrzymała się przed jego rezydencją, wzięła go za rękę i w milczeniu wprowadziła do środka.

– Cuchnę dymem – zaprotestował, kiedy wspinali się po okazałych schodach.

– To nieistotne – odparła. – Niewiele brakowało, żebym cię dzisiaj straciła.

Serce tłukło jej się w piersi tak gwałtownie, że obawiała się, iż zemdleje. Dostała drugą szansę. Dobry Boże, Caire dawał jej drugą szansę. Cokolwiek zrobi, nie wolno jej tego spartaczyć. Starannie zamknęła drzwi sypialni i stanęła przed nim.

– Chcę… nie, muszę pokazać ci, jak bardzo cię kocham – powiedziała cicho. – Rozmyślałam o tym przez ostatni tydzień. Jak uznałeś, że kochanie się z tobą odbieram jako upadlanie samej siebie.

Zamierzał się odezwać, ale położyła mu palec na wargach.

Uniósł brwi.

– Pozwól mi. – Zaczerpnęła powietrza dla kurażu i z rozmysłem przeciągnęła palcem po jego wargach, nad szczęką, w dół szyi. – Proszę, pozwól.

Trwał nieruchomo, prawie nie oddychał. Wiedziała, że zadaje mu ból, ale zrobiła to tak czy owak. Musiała go nauczyć, że dotyk – zwłaszcza jej dotyk – zamiast bólu może przynosić mu przyjemność, a nie widziała innego sposobu na przeprowadzenie tej lekcji aniżeli demonstracja.

– Chcę się przekonać, czy uda mi się to robić – patrzyła mu w oczy, gdy rozwiązywała na nim pelerynę – nie zadając ci bólu.

Pokręcił głową.

– To bez znaczenia.

– Ma je dla mnie.

Rozwiązywany sznurek zatrzeszczał miękko. Zdjęła mu z ramion pelerynę i ostrożnie powiesiła wraz z kapeluszem na oparciu fotela obok świecy. Kiedy znów się do niego odwróciła, stał, przyglądając się jej z zaciekawieniem. Nie wykonał żadnego ruchu, by pozbyć się kolejnego elementu stroju.

– Uleczyłeś mnie. – Przełknęła ślinę i położyła mu dłonie na barkach. Tym razem drgnął słabiej, jakby po części zapanował nad bólem albo jakby ten ból nieco się zmniejszył. Miała nadzieję, że to drugie. – Dzięki tobie po latach cierpienia stałam się znowu całością. Chciałabym uczynić to samo dla ciebie.

Powoli, delikatnie, zdjęła z niego kaftan, kamizelkę i halsztuk. Kiedy zaczęła rozpinać mu koszulę, pod palcami czuła, jak drży. Na moment opuściła ją odwaga. A jeśli przymuszając go, jedynie bardziej uwrażliwi go na swój dotyk? Zada mu więcej bólu?

Później spojrzała mu w twarz.

– Dobrze – rzekł. – Ale nie bądź zawiedziona, jeśli się nie uda. Nadal będę cię kochał, bez względu na wszystko.

Łzy cisnęły jej się do oczu, gdy tak spokojnie zaakceptował ją i jej zamiary. Cokolwiek się zdarzy, byli w tym razem i już dzięki temu poczuła się lepiej.

Rozbierała go bez pośpiechu, w niemal zupełnej ciszy. Kiedy dotarła do bielizny, brakowało jej tchu, on zaś prężył się sztywno pod materiałem. Ręce jej drżały, gdy pozbawiała go ostatniego elementu odzienia.

Odstąpiła i popatrzyła na niego.

Nagi prezentował się wspaniale. Srebrne włosy spływały mu z barków, na tyle długie, by muskać ciemne sutki. Dla kontrastu włosy na ciele miał niemal czarne. Ciemne loki skręcały mu się między sutkami, układając się na klatce piersiowej w kształt diamentu. Twardy brzuch był gładki, ale tuż pod pępkiem ciemne włosy pojawiały się znowu, tworząc cienką linię, która biegła do loków otaczających jego męskość. Nogi miał długie i silne, bary szerokie i muskularne. A jego oczy – dobry Boże, te oczy! – obserwowały ją w milczeniu, skrzące się szafiry, kiedy czekał na jej kolejny ruch.

– Powiedz mi, jeśli posunę się za daleko – szepnęła. – Jeśli będzie za bardzo bolało, jeśli zechcesz przestać.

Jego ciemnoszafirowe oczy spoglądały z ufnością.

– Powiem.

Stanowczo położyła dłonie na jego nagiej piersi, a potem pchnęła go delikatnie, tak by usiadł na łóżku. Spodziewała się, że w tym momencie się wzdrygnie, ale nie poddała się temu, pozostawiła dłonie na jego ciepłej skórze, kiedy brał głęboki wdech. Gdy się usadowił, przeciągnęła nimi w dół po jego torsie, czując gładkość skóry, łaskotanie porastających mu ciało włosów. Obserwowała jego oczy, kiedy ciemniały, przybierając barwę nieba o północy. Zatrzymała się, a następnie powiodła dłońmi z powrotem w górę jego klatki piersiowej.

– Jesteś taki piękny – wymamrotała. – Od tak dawna chciałam po prostu patrzeć na twoje nagie ciało.

Wygiął usta, ale nie skomentował. Zaczerpnął powietrza, jego pierś uniosła się i opadła pod jej dotykiem. Był taki żywy, taki witalny i przez chwilę cały należał do niej.

Pchnęła delikatnie, wymuszając na nim, by położył się na plecach na łożu.

Zwęził oczy, ale leżał posłusznie.

Podeszła do komody i szukała chwilę, aż znalazła jego schludnie poskładane halsztuki. Wyjęła pięć i odwróciła się ku niemu.

– Kiedy mnie związałeś, byłam zmuszona przyjmować twoje miłosne zabiegi, nie dając nic w zamian. Chciałabym zrobić to samo dla ciebie.

Oczy mu się rozszerzyły, ale przytaknął, raz, stanowczo.

Zaczęła przywiązywać mu prawą kostkę do słupka u podstawy łóżka. Uporała się z zadaniem i popatrzyła na niego. Oddychał szybciej, ale oczy

miał spokojne. Przywiązała mu drugą nogę i nadgarstki. Pęta były luźne, nie wątpiła zresztą, że mógłby je zerwać, gdyby istotnie zechciał się uwolnić. Ale to nie miało znaczenia. Celem było wywołać w nim uczucie bezradności.

I aby ten cel osiągnąć, podeszła do łóżka z ostatnim halsztukiem między palcami.

Jego szafirowe oczy zamigotały, gdy umieszczała na nich halsztuk, który zawiązała mu mocno z tyłu głowy. Przeciągnęła palcami po jego policzku.

– W porządku?

Odchrząknął.

– O, tak.

Jego głos brzmiał zmysłowo. Wyczekująco.

Odstąpiła i popatrzyła na swoje dzieło. Wypełniał sobą olbrzymie łóżko. Nadgarstki przywiązała mu do jednego drążka. Zaciśnięte w pięści dłonie wyciągał nad głową, mięśnie pęczniały mu na ramionach. Halsztuk zakrywał mu twarz od brwi do połowy nosa. Wargi miał rozchylone, kiedy czekał na jej kolejne posunięcie, twarz zwrócił w jej stronę, śledząc jej ruchy za pomocą słuchu. Zadrżała, przypominając sobie, jak się czuła, kiedy zawiązał jej na oczach przepaskę – jak jej zmysły rozkwitły za sprawą ciemności. Jego potężna pierś się uniosła. Penis, gruby i czerwonawy, odcinał się od jaśniejszej skóry płaskiego brzucha.

Dobry Boże, robiła się mokra od samego patrzenia na niego. Po raz pierwszy w życiu z radością powitała swoje podniecenie. Przymknęła oczy, rozkoszując się doznaniem ciężkich piersi, pocierających o siebie ud. Tym właśnie była, podobało jej się to czy nie – kobietą, która pragnęła i potrzebowała seksu. Która uwielbiała seks. I dzisiejszej nocy wykorzysta tę część siebie – część zawsze dotąd pogardzaną – żeby uleczyć mężczyznę, którego kochała.

Rozebrała się cicho, zdjęła stanik, gorset, suknię, półhalki, pończochy i buty. Kiedy pozbyła się halki, płatki jego nozdrzy się rozchyliły. Czy wyczuwał zapach jej podniecenia? Sama go czuła, słaby i cierpki. Przeważnie zapachy i płyny wydzielane przez własne ciało ją zawstydzały, teraz jednak siłą woli odepchnęła wstyd.

Musiała być śmiała i nieustraszona, żeby podołać wyzwaniu.

Przez chwilę stała przy łóżku, nie dotykała go, nie poruszała się, a jedynie oddychała, czując własne ciało i obserwując jego. Wreszcie

dotknęła palcem jego sutka – jak on przedtem postąpił z nią. Jego klatka piersiowa uniosła się pod wpływem dotyku, lecz nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– Kocham cię.

Okrążyła jego sutek, mały i ciemny na bladej skórze. Stwardniał, kiedy go dotknęła. Zaczerpnęła powietrza, czując raptem ucisk w piersi. Był zdany na jej łaskę, ten potężny, samotny mężczyzna, zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym. Jeśli teraz wykona niewłaściwy ruch, może go potwornie zranić, wiedziała już bowiem, że jest w stanie to zrobić, przy czym świadomość tego wydawała się wspaniała i dziwna.

Za sprawą jakiegoś cudu liczyła się dla niego.

– Kocham cię całego.

Nachyliła się i przywarła ustami do jego torsu, całowała go, głaskała wargami, usiłując przekazać wszystkie swoje uczucia. Polizała jego sutek, okrążyła go językiem, czując smak mężczyzny, smak Caire’a. Chwyciła w zęby tę odrobinę jego ciała i ugryzła delikatnie, ostrożnie, słuchając, jak oddech mu przyspiesza.

– Sądzę, że zakochałam się w tobie tamtej pierwszej nocy, kiedy zaskoczyłeś mnie w bawialni.

Jej oddech również przyspieszył, ale to nie wystarczyło. Nawet nie w połowie. Wspięła się na łóżko i dosiadła go na wysokości bioder, gdy jednak naparł w górę, zignorowała go i ześlizgnęła się niżej, tak że między nogami miała jego uda.

– Albo może to było wtedy, gdy po raz pierwszy mówiłeś do mnie w karecie takie gorszące rzeczy.

Położyła się na nim, jej piersi rozpłaszczyły się tuż nad jego rozpalonym penisem, ramiona wyciągnęła wzdłuż jego boków, dotykając go jak największą powierzchnią ciała.

– Pamiętasz?

– T-tak – syknął.

Drżał, wiedziała, że sprawia mu ból samym delikatnym dotykiem, nie ustawała jednak. Przeciągnęła językiem po jego klatce piersiowej, w oczach wezbrały jej łzy, gdy pod wargami czuła łomot jego serca. Zadawała mu ból i nienawidziła tego, lecz zarazem wkładała w tę czynność całą miłość świata.

– Pamiętasz, co mówiłeś? Gdy opisywałeś, jak klęczę przed tobą?

Zadygotał.

Rozpuściła włosy, tak że rozsypały się na jego torsie, i okrążyła pocałunkami jego pępek. Z ust wyrwał mu się cichy dźwięk, być może jęk, ale nie przestawała. Liżąc jak kot, wytyczyła językiem drogę do tego specjalnego miejsca przy pachwinie, gdzie udo spotyka się z biodrem. Wężowym ruchem przesunęła się na nim niżej, wyciągnęła nogi na całą długość wzdłuż jego nóg, stopy zwisały jej z krawędzi łóżka, piersi spoczywały na jego twardych udach.

– I co bym zrobiła, klęcząc przed tobą?

Znieruchomiał. Ostrożnie i starannie oblizała jego twardy członek, czując, jak drga pod jej językiem. Omywała mu penis, ale nie brała go do ust. Jego oddech stał się chrapliwy i nie wiedziała, czy powodem jest podniecenie, czy ból.

Być może nie miało to dłużej znaczenia.

– Twoje słowa ogromnie mnie podnieciły – wyszeptała. – Czułam taki wstyd i jednocześnie taką ekscytację. Otwierałeś przede mną nowy świat. Świat, w którym mogłam być wolna. Chcę, żebyś i ty był wolny.

Wsunęła mu głowę między uda i pocałowała mosznę, delikatnie, czule, wdychając jego męską woń. Później powiodła ustami w dół najpierw jednego, potem drugiego uda, nie zostawiając żadnego miejsca nietkniętego, żadnego skrawka ciała niekochanego. Gdy wreszcie dotarła do jego stóp – wielkich, lecz o zaskakująco eleganckim podbiciu – ociekała własną potrzebą. Nie drżał już, kiedy jednak spojrzała ku wezgłowiu, zobaczyła, że zacisnął pięści na drążkach tak mocno, iż bała się, że je połamie.

No dobrze.

Uniosła się nad nim płynnie, jedną ręką zaparła o jego bark, podczas gdy drugą naprowadziła go w siebie. Gdy ją spenetrował, oboje gwałtownie wciągnęli powietrze.

– Kocham cię – jęknęła.

Łzy popłynęły jej z oczu, gdy wzięła go głęboko w siebie. Uniosła pośladki, tak że się z niej wyślizgnął, a potem, zmieniając kąt, opadła na niego znowu. Położyła się na nim, starając się nakryć jak najwięcej jego ciała swoim. Odkryła, że musi podwinąć nogi przy jego biodrach, żeby utrzymać go w swych głębiach, mogła za to wyciągnąć się w górę nad niemal całym jego torsem. Później leżała nieruchomo, z głową na jego

piersi, mając w swym wnętrzu jego gorący członek, i słuchała, jak pod jej uchem szaleńczo bije jego serce.

Łapczywie chwytał powietrze.

Minimalnie podniosła głowę i otarła się wargami o jego szczękę, próbując go uspokoić.

– W porządku?

Nie odpowiedział. Dłonie nadal zaciskał w pięści, mięśnie ramion nadymały mu się od powstrzymywanej siły. Przyglądała się, jak wykręca nadgarstki w pętach z halsztuków, ciekawa, czy je zerwie, czując w sobie jego twardą długość, pulsującą życiem.

Kiedy upłynęła dłuższa chwila, on zaś nadal pozwalał, by na nim leżała, poruszyła się. Delikatne obroty bioder, skromne unoszenie się i opadanie, jak fale przepływające nad skałą.

Polizała mu szyję, nucąc pod nosem dla ukojenia, kiedy się z nim kochała. Prawie się w niej nie poruszał. Chciała – potrzebowała – by to trwało. Zarazem narastało w niej pożądanie. Otarła się o niego, wykorzystując jego ciało dla własnej przyjemności, a jednocześnie usiłowała przekazać mu, jak wiele dla niej znaczy.

Wydał z siebie jakiś dźwięk, być może łkanie, i zamknęła oczy, ocierając mokrą od łez twarz o jego szczękę.

– Temperance. – Poruszył głową, pochwycił jej wargi. – Dobry Boże, Temperance!

Pocałowała go z ochotą, pozwalając, by wepchnął język w jej usta, by w ten drobny sposób przejął kontrolę.

Jej ruchy zwalniały, aż w końcu ledwie na nim pulsowała, skoncentrowana na jego członku, który wypełniał ją tak kompletnie, jego biodrach między swoimi udami, jego języku w swoich ustach. Stopniowo, naturalnie, jak o wschodzie słońca, ciepło obudziło się w niej tam w dole i rozprzestrzeniało po całym ciele. Praktycznie tego nie zauważyła, do czasu gdy zacisnęła się w środku, bezgłośnie łkając mu w usta. Poczuła, jak się niej szarpie, jak jego mięśnie napinają się pod nią. Wiedziała, że on także szczytuje, i całowała go dalej. Delikatnie. Miękko. Wyznając mu wszystkie swoje uczucia jedynie za pomocą ciała.

Rozluźnił się, jego spazmy ustały, podczas gdy nadal leżała na nim, mokra od płynów ich obojga, delikatnie uwrażliwiona. Wystarczyło jej przytomności umysłu, by sięgnąć w górę i odwiązać mu ręce.

Później wsunęła mu głowę pod brodę i leżała spokojnie, z jego członkiem nadal w sobie.

– Kocham cię, Lazarusie Huntington – szepnęła. – Kocham cię.

* * *

– Czy mój dotyk nadal sprawia ci ból? – spytała jakiś czas później Temperance.

Oboje wzięli kąpiel, zjedli kolację i kochali się znowu, a teraz wyciągnęli się nadzy na jego łożu. Leżała na boku, nogi splątała z jego nogami, pocierała dłonią o jego tors. Zdawało się, że nie potrafi się nim nasycić.

Caire odwrócił głowę, szafirowymi oczami spojrzał w jej własne.

– Nie, twój dotyk już mnie nie boli. Chyba rzeczywiście mnie uleczyłaś. Trochę łaskocze, ale nie jest to bolesne doznanie. – Schwycił dłoń Temperance i potarł sobie sutek jej palcami. – Wręcz przeciwnie.

Szczęście przemknęło przez nią jak złote światło, ale na twarzy zachowała powagę.

– Na pewno? Może powinniśmy dokładniej przetestować twoją wytrzymałość.

Wargi wygięły mu się szelmowsko i przyciągnął jej palce do ust, całując każdy z nich wolno i pieczołowicie, aż prawie wiła się z rozkoszy.

– Czy rzuca mi pani wyzwanie?

Z fałszywą skromnością opuściła rzęsy, flirt przyspieszył bicie jej serca.

– Być może.

– Wobec tego dołożę starań, by nie sprawić ci zawodu – rzekł z powagą, kiedy zaś podniosła nań wzrok, z twarzy spłynął mu już niedawny wyraz przekory. – Nie chcę nigdy sprawić ci zawodu.

– Nie sprawisz – wyszeptała.

Zamknął oczy, jakby z bólu.

– Sama raczej nie wybrałabyś mężczyzny takiego jak ja.

Przyłożyła dłoń do jego policzka.

– Dlaczego tak mówisz?

Znienacka otworzył oczy i przetoczył się, biorąc ją pod siebie.

– Ponieważ jestem samolubny, próżny i zepsuty… w niczym, w rzeczy samej, niepodobny do ciebie czy mężczyzn z twojej rodziny. Niech ci się

nie wydaje, że nie mam świadomości tego faktu. Nie zasługuję na ciebie, Temperance, ale to bez znaczenia. Powiedziałaś, że mnie kochasz, a ja nie pozwolę ci zmienić zdania, ani teraz, ani nigdy.

Leżał na niej ciężko, wsunąwszy nogi między jej rozwarte uda, znowu twardy i gotowy. Zajął dominującą pozycję, tak by narzucić jej swoją wolę.

Ona jednak podniosła nań wzrok i uśmiechnęła się łagodnie.

– Skąd pomysł, że cię nie wybrałam?

Gwałtownie ściągnął ciemne brwi.

– Co?

Przeczesała palcami jego cudowne srebrzyste włosy.

– Jesteś dokładnie tym, czego chcę, dokładnie tym, czego potrzebuję. Jesteś uczciwy, silny i nieustraszony, a dzięki tobie ja także wyzbywam się strachu. Nie pozwalasz mi się ukrywać za wymówkami i unikami, zmuszasz mnie do zmierzenia się z samą sobą i zarazem z tobą. Kocham cię, Lazarusie. Kocham cię.

– Zatem wyjdź za mnie – rzekł z ogniem.

Zatchnęła się, perspektywa szczęścia skrzyła się tak blisko, wręcz na wyciągnięcie ręki.

– Ale… co z twoją matką?

– Co z moją matką? – Arogancko uniósł brew.

Temperance przygryzła wargę.

– Nie jestem arystokratką, nawet w najmniejszym stopniu. Mój ojciec był browarnikiem. Przecież twoja matka i reszta towarzystwa potępią małżeństwo ze mną? Po pożarze cały mój dobytek stanowią ubrania, które miałam dzisiaj na sobie!

– No, to nie do końca prawda – wycedził, a jego szafirowe oczy zdawały się jarzyć w mroku za zaciągniętymi zasłonami łoża. – Posiadasz całkiem przyzwoity fortepian.

– Posiadam?

– Owszem – odparł i pocałował ją w nos. – Zamówiłem go ledwie dwa tygodnie temu jako prezent-niespodziankę, a skoro nie doręczono go przed pożarem… bo nie doręczono?

– Nie.

– No proszę – stwierdził wyniośle. – Posiadasz fortepian i komplet ubrań, a to spory posag, żeby za mnie wyjść.

– Ale to ty kupiłeś fortepian!

Temperance nie potrafiła zapanować nad uśmiechem, który rozlewał się po jej twarzy. Fortepian? Niechże Lazarus nazywa siebie egoistą, ale jeszcze nigdy nie otrzymała równie słodkiego podarku.

– Pochodzenie fortepianu nie gra roli, pani Dews – odparł Lazarus. – Fakty są takie, że należy do ciebie. Co do towarzystwa, niech idą w diabły. Założę się, że wśród plotkarek największe zgorszenie wzbudzi sama okoliczność, że jakaś dama zgodziła się zostać moją żoną.

– A twoja matka?

– A moja matka bez wątpienia będzie bezgranicznie szczęśliwa, że w ogóle się ożeniłem.

– Ale…

Szturchnął członkiem jej wilgotne fałdy i to wystarczyło, by zgubiła wątek.

– Och!

Podniosła wzrok i zobaczyła, że znalazł się bardzo blisko, jego srebrzyste włosy opadały po obu stronach jej twarzy niczym kurtyna.

– Wyjdzie pani za mnie, pani Dews – wyszeptał – i ocali mnie przed samotnym, pozbawionym czułości życiem?

– Tak, jeżeli pan ocali mnie przed życiem wyzutym z radości, wypełnionym jedynie pracą i obowiązkami.

Jego niebieskie oczy zapłonęły i zaraz całował ją namiętnie. Przerwał jedynie na moment, żeby spytać:

– Czyli wyjdzie pani za mnie, moja słodka pani Dews?

– Tak. – Roześmiała się. – Tak, wyjdę za ciebie i będę cię kochać do końca naszych dni, mój ty wspaniały lordzie.

Powiedziałaby więcej, ale całował ją znowu, zresztą słowa i tak nie miały znaczenia. Liczyło się tylko to, że on kocha ją, a ona kocha jego.

I że się odnaleźli.

Epilog

Minął rok, a w tym czasie Król Zamknięte Serce coraz bardziej markotniał. Jednego po drugim odprawił swoich dworzan, aż pozostało jedynie paru mędrców. Znużył się pięknymi konkubinami i odesłał je, zapłakane. Siedział samotnie we wspaniałej złotej sali tronowej na wyścielanym aksamitem tronie i zastanawiał się, dlaczego tak się czuje. Towarzystwa dotrzymywał mu jedynie niebieski ptaszek, ale ptaki nie potrafią mówić, śmiać się czy uśmiechać.

Pewnego dnia rozległo się ciche pukanie do drzwi sali tronowej, a kiedy król zakrzyknął, żeby wejść, któż to się pokazał, jeśli nie pokojówka Meg?

No, no, król wyprężył się na tronie, zaraz jednak przygarbił się znowu, pochmurniejąc.

– Gdzie byłaś?

– Och, tu i tam, wałęsałam się po szerokim świecie – odparła radośnie Meg. – Cudownie spędziłam czas.

– Czyli zapewne wkrótce znowu wyjedziesz? – spytał król.

– Może tak. Może nie – odrzekła Meg, siadając u jego stóp.

– Co Wasza Królewska Mość czuł pod moją nieobecność?

– Stratę. Pustkę – powiedział król.

– A teraz, kiedy wróciłam?

– Szczęście. Radość – warknął Król Zamknięte Serce, po czym zagarnął sobie Meg na kolana i pocałował ją soczyście.

– Wiesz, co to jest? – spytała szeptem Meg.

– Miłość – odparł król. – To jest miłość, prawdziwa i wieczna, moja słodka Meg. Czy zostaniesz moją królową?

– O tak – rzekła Meg. – Ponieważ wielbię cię od chwili, gdy na twój rozkaz po raz pierwszy zawleczono mnie przed twoje oblicze. Pobierzemy się i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

I tak też zrobili!
– z „Król Zamknięte Serce”

Trzy tygodnie później…

Ranki były najcięższe, odkryła Silence. Czuła, że nie ma po co wstawać. Leżała w łóżku i wpatrywała się w sufit. William, oczywiście, wyszedł w morze cztery tygodnie temu, a nadal nie dostała listu. To akurat nie było takie niezwykłe, natomiast dokuczliwe uczucie, że z tej podróży wcale nie napisze, już tak. Concord z nią nie rozmawiał, jeśli nie liczyć krótkiego, pouczającego listu, który spaliła, nie doczytawszy do końca, groził bowiem zniszczeniem wszelkich siostrzanych uczuć, jakimi darzyła najstarszego brata. Nikt nie miał wieści od Asy.

Westchnęła i przetoczyła się na bok, leniwie obserwując muchę, która z bzyczeniem obijała się o okno. Temperance byłaby szczęśliwa, gdyby Silence przyszła pomóc jej w przygotowaniach do ślubu. Jednak smutna prawda przedstawiała się tak, że szczęście Temperance i lorda Caire’a przygnębiająco kontrastowało z oziębieniem stosunków między nią a Williamem. A wskutek zazdrości o własną siostrę Silence czuła się mała, brzydka i zgorzkniała.

Winter zaszedł dwukrotnie, prosząc na swój spokojny, cierpliwy sposób, żeby pomogła im przy dzieciach, ale…

Załomotano do drzwi.

Silence odwróciła się w kierunku zewnętrznego pokoju. Uderzenie było całkiem głośne, skoro usłyszała je w sypialni. Kto to mógł być? Nie miała długów u kupców, nikogo nie oczekiwała. Niewykluczone, że to znowu Winter przyszedł ją namawiać. Rozpłaszczyła się w pościeli. Jeśli istotnie był to Winter, nie chciała go widzieć. Właśnie postanowiła udawać, że nie ma jej w domu, kiedy usłyszała ten dźwięk: słabe kwilenie.

No cóż, to było dziwne. Czyżby pod jej drzwiami kręcił się kot?

Wstała i boso podreptała do drzwi, uchylając je zaledwie odrobinę, gdyż miała na sobie tylko halkę. W korytarzu nikogo nie było – a przynajmniej tak sądziła, dopóki dźwięk się nie powtórzył i nie spojrzała w dół. U jej stóp leżało w koszu niemowlę, całkiem jak Mojżesz, brakowało jedynie sitowia. Popatrzyła na chłopca ze zmarszczonymi brwiami, a on odwzajemnił

spojrzenie i wepchnął do buzi pulchną piąstkę, czerwieniejąc na twarzy. Silence nie wiedziała za wiele na temat niemowląt, rozpoznała jednak zapowiedź nadciągającego wrzasku.

Pospiesznie zgarnęła kosz i zamknęła drzwi. Postawiła kosz na stole i wyjęła z niego malca, by poddać go inspekcji – czy raczej ją, jak się okazało. Dziewczynka, ubrana w sukienkę i gorset, była bardzo ładna, ciemnooka, o cienkich, rozwichrzonych włoskach, które wystawały z czepka.

– Nie przyjmuję gości przed drugą po południu – wymamrotała Silence do dziewczynki, na co ta machnęła piąstką, o mało nie chwytając jej za nos.

Silence zajrzała do kosza i odkryła zniszczony srebrny medalion w kształcie serca.

– Czy to twój? – zapytała dziecko, nieporadnie otwierając medalion wolną ręką.

W środku znajdował się świstek papieru z wypisanym na nim słowem *darling* – „ukochana”. To wszystko. Przeszukała kosz, wyjęła nawet i strzepnęła kocyk, na którym leżało niemowlę, lecz nie znalazła żadnych dodatkowych wskazówek co do tożsamości dziewczynki.

– Dlaczego ktoś zostawiałby mi na progu niemowlę? – zastanowiła się na głos, podczas gdy dziecko ciamkało piąstkę.

Zdawało się całkiem zadowolone teraz, gdy Silence je trzymała. Może nieszczęsna matka wiedziała o jej związkach z przytułkiem?

– No cóż, najlepiej zabierzmy cię do Wintera – zdecydowała Silence. Znienacka miała już powód, żeby wstać tego ranka. Poczuła nieomal ekscytację. – A skoro to ja cię znalazłam, wydaje się zasadne, żebym ja nadała ci imię.

Dziewczynka uniosła brwi, jakby o coś pytała.

Silence uśmiechnęła się do niej.

– Mary Darling.

Wkrótce:

Elizabeth Hoyt

Zakazane przyjemności

Lady Hero Batten, piękna siostra księcia, ma wszystko, czego może pragnąć młoda kobieta – również narzeczonego. Markiz Mandeville jest co prawda nieco nudny i pozbawiony poczucia humoru, lecz to Hero nie przeszkadza. Przynajmniej dopóki nie pozna jego brata o wątpliwej reputacji. Griffinowi daleko do doskonałości, ma opinię cynicznego hulaki i rozpustnika, w Hero budzi więc natychmiast antypatię. On zaś uważa, że panna o tak nienagannych manierach, oddająca się z zapałem dobroczynności, jest zbyt nieskazitelna dla jego brata. Nieustające słowne potyczki zaowocują wkrótce pożądaniem – namiętnością, która sprawi, że ich starannie poukładany świat legnie w gruzach. Ślub Hero zbliża się nieubłaganie, zaś wrogowie Griffina planują ostateczną rozprawę. Czy mimo to dwojgu niedoskonałym ludziom uda się znaleźć prawdziwą miłość i spełnić marzenia?

Elizabeth Hoyt

Grzeszne pragnienia

Pirat rzeczny Mickey O’Connor, zwany Czarującym Mickeyem, wydobył się z nędzy londyńskich slumsów, by zostać królem przestępczego świata dzielnicy St. Giles. Zdobywa wszystko, czego zapragnie – z jednym wyjątkiem. Silence Hollingbrook nie przestaje nawiedzać go w snach, odkąd spędziła jedną, jedyną noc w jego łóżku.

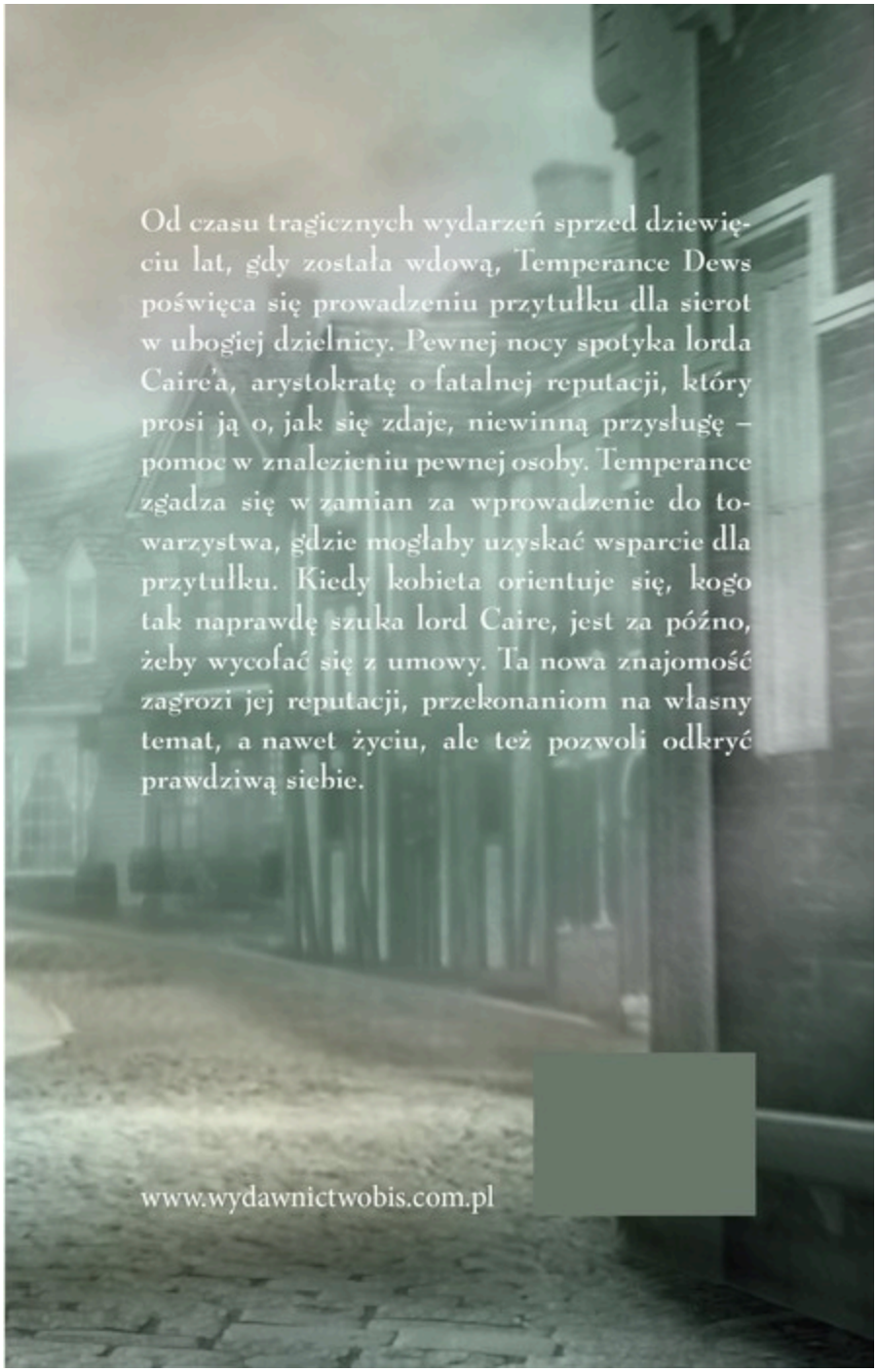
Kiedyś Silence gotowa była poświęcić wszystko, aby ocalić mężczyznę, którego kochała. Teraz, kiedy została niespodziewanie wdową i odnalazła spokój, w jej życie wtargnął znów Czarujący Mickey, przedstawiając propozycję, której nie sposób odrzucić.

[1] https://dmosquito.wordpress.com/2014/08/22/king-lockedheart/

[2] Trikorn – trójrożny kapelusz (przyp. red.).

[3] Banyan – męski strój domowy zapożyczony ze stylu wschodniego, rodzaj szlafroka (przyp. red.).

[4] Mantua – rodzaj sukni dworskiej (przyp. red.).



Od czasu tragicznych wydarzeń sprzed dziewięciu lat, gdy została wdową, Temperance Dews poświęca się prowadzeniu przytułku dla sierot w ubogiej dzielnicy. Pewnej nocy spotyka lorda Caire'a, arystokratę o fatalnej reputacji, który prosi ją o, jak się zdaje, niewinną przysługę – pomoc w znalezieniu pewnej osoby. Temperance zgadza się w zamian za wprowadzenie do towarzystwa, gdzie mogłaby uzyskać wsparcie dla przytułku. Kiedy kobieta orientuje się, kogo tak naprawdę szuka lord Caire, jest za późno, żeby wycofać się z umowy. Ta nowa znajomość zagrozi jej reputacji, przekonaniom na własny temat, a nawet życiu, ale też pozwoli odkryć prawdziwą siebie.

www.wydawnictwobis.com.pl